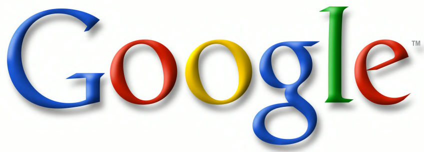


WYBÓR POEZYJ KONDRATOWICZA.

WYBÓR POEZYJ
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

WYDANIE NOWE

na rzecz wdowy i sierot autora.

Z portretem autora.

TOM IV.



WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
1890.

V 4

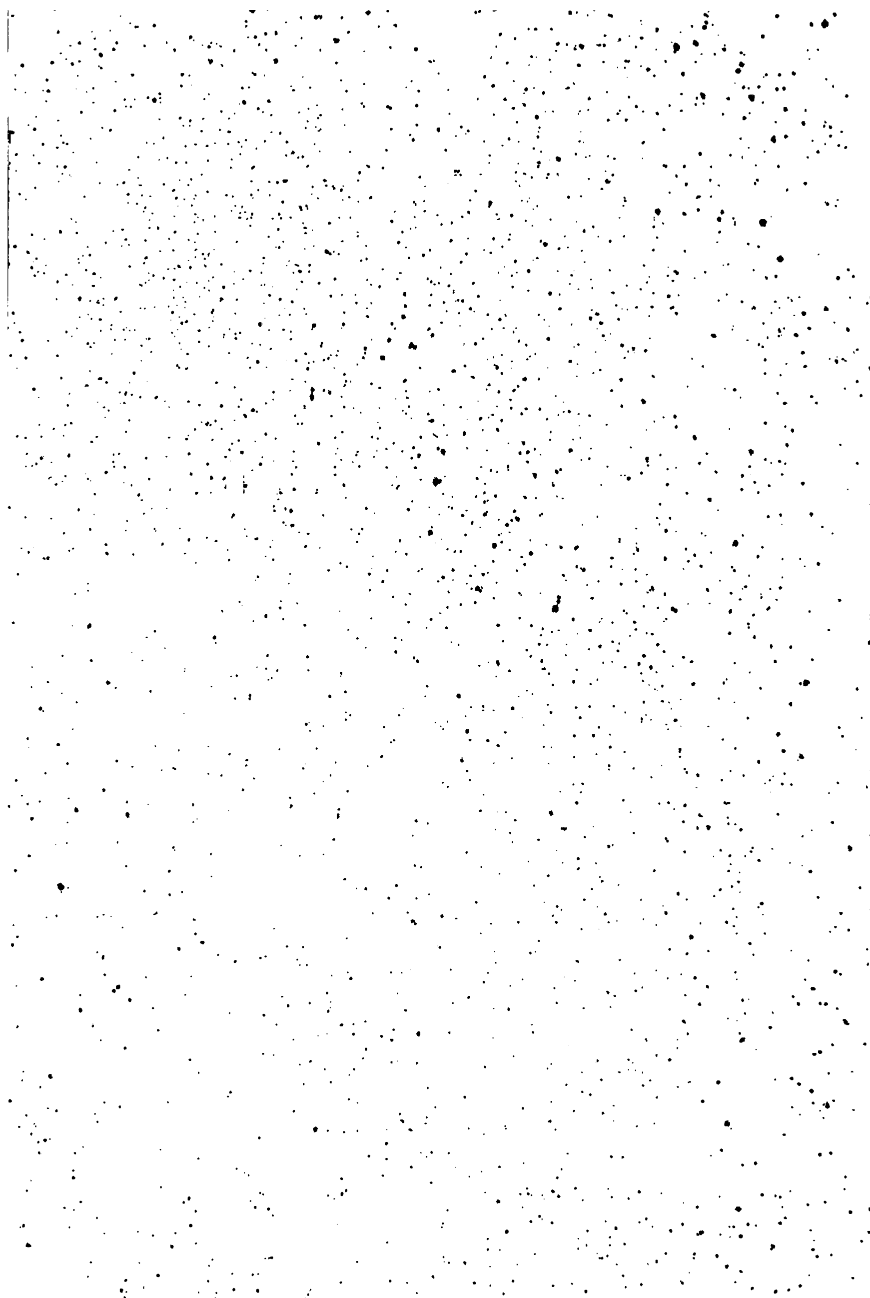
Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Октября 1889 года.

Warszawa. — Druk St. Niemiery, Plac Warecki Nr 4.

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ II.

UTWORY DRAMATYCZNE.



WYROK JANA KAZIMIERZA.

DRAMAT HISTORYCZNY W IV AKTACH.

OSOBY:

JAN KAZIMIERZ, król.
MARYA LUDWIKA, królowa.
STEFAN CZARNIECKI.
KONIECPOLSKI, wojewoda sandomierski.
KANCLERZ KORONNY.
MARSZAŁEK KORONNY.
GNOIŃSKI.
HELENA, jego córka.
PIELGRZYM.
LACKI.
STRZEMIEŃ.
PIERWSZY PAŹ.
DRUGI PAŹ.
PIERWSZY SZLACHCIC.
DRUGI SZLACHCIC.
GOSPODARZ.
GOSPODYNI.
PIERWSZY HALABARDNIK.
DRUGI HALABARDNIK.
SZLACHTA. PANNY DWORSKIE. ŻOŁNIERZE.

(Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w obozie; w drugim w gospodzie na pograniczu szlązkiem; w trzecim w Głogowie na Szlązku; w czwartym w Gdańsku).

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Las. — Ciemność. — Na uboczu pień nizko ucięty. — Z prawéj strony w hełmie i zbroi wchodzi STRZEMIEŃ.

Strzemień *(do siebie).*

Droga nieznana, nie widać księżyca,
Nawet, jak widzę, na deszcz się zanosi.
Szkaradna puszcza, ciemna jak piwnica,
Albo jak oczy mojéj lubéj Zosi!
Zosia... piwnica... wino i dziewczyna,
To specyały, jak mówili starzy...
Ej, tam do licha! deszcz kropić poczyna,
Muszę tu przetrwać całą noc na straży;
Bo tędy szwedzcy mają iść szpiegowie,
Nam rozkazano pochwycić ich żwawo.
Mają mieć listy, z których wódz się dowie,
Czy ma uderzyć na lewo, czy prawo.
Niewielka sztuka wziąć za gardło Szweda
I grzecznie spytać: gdzie idzie? co niesie?
Jakoś się zrobi,—ale gorsza bieda,
Że mój towarzysz gdzieś zbłąkał się w lesie.
On puszczy nie zna, może gdzie i blizko
Błąka się tutaj przez ciemne zarośle.
Uderzę w trąbkę, zapalę ognisko,
To mu w ten sposób znak o sobie poślę.

(Dobywa krzesiwa i hubki).

No!... jeśli ognia od razu wykrzeszę,
To znaczyć będzie, że Zosia jest stałą.

(Krzesze ogień).

Ha! coś nie pali... bo się nazbyt śpieszę.
Raz, drugi, trzeci, ot niby zatlało,
Iskry się sypią, tylko wiatr zawiewa:
Tu stałość Zosi niewinna nic wcale.
Ot pójdę lepiéj pod konary drzewa
I tam w zaciszy ognisko rozpalę.

(Wychodzi na chwilę i wraca z rozpaloną drzazgą i w pniu roznieca ogień).

A co? mówiłem... ot jak jasno bucha!
Bo Zosia wierność dochowa najściśléj.
Och! to dodaje rycerskiego ducha,
Jeśli człek wierzy, że ktoś o nim myśli.

(Uderza w trąbkę).

Powinien słyszeć, echo się rozlega,
Blask od ogniska szerzyć się poczyna.
Dobre to chłopię Krzysztof, mój kolega,
Tylko że milczy i nie pije wina.
Mnie niepojęta takowa odraza.
Ale tam w krzakach słyszę coś szeleści:
Kto idzie? hasło?

Głos za sceną.

Jan Kazimierz Waza.

Strzemień.

Wiwat! niech żyje w radości i cześci!

SCENA DRUGA.

STRZEMIEŃ i LACKI.

Strzemień.

Czołem waszmości, panie Floryanie!
Coś mi przepadłeś i z duszą, i z ciałem.

Lacki.

Pan wojewoda nim skończył pisanie,
Czekać przed jego namiotem musiałem.

Strzemień.

Cóż tam w obozie?

Lacki.

Opłakane wieści!
Coraz to sroższe ciosy na Polaków!
Słowa mi w uściech drętwieją z boleści:
Szwed pod Krakowem.

Strzemień.

Co! zdobył już Kraków?

Lacki.

Zdobył już może: tam słaba załoga,
Wojsko co chwila swoją wierność zmienia;
Król, zdawszy Polskę na Opatrzność Boga,
Kędyś na Szlązku szuka ocalenia.
Wszystko w popłochu, w rozterkach, w bezładzie,
Co czynić?

Strzemień.

Zdać się i złożyć oręże.

Lacki (*z zapałem*).

Hańba, kto dzisiaj miecz do pochew kładzie,
Kto się prawego pana wyprzysięże!
Stójmy z Czarnieckim przy gromadzie bratniéj,
Idźmy za wodzem, gdzie jeno wyruszy.
Lejąc krew naszą do kropli ostatniéj,
Przynajmniéj umrzem spokojni na duszy.

Strzemień.

Umrzeć nie sztuka — ja życia nie ważę,
Byle krew moja na co się przydała.

Lecz trzeba czynić, co roztropność każe:
Ich taka chmara, a nas garstka mała.

Łącki.

Krew waszmościna na wiele się przyda:
Wojna ze Szwedem długie potrwa lata,
Może się staniem kamykiem Dawida,
Co kiedyś strzaska głowę Goliata!
Czarniecki zdoła wycelować procę.

Strzemień.

Daj Bóg i Amen. Przekonałeś wasze;
Pójdę z Czarnieckim, Goliatów zgrzmocę!

Łacki.

Na Rakoczego dziś ostrzym pałasze.

Strzemień.

Przeklęty Węgier! licho go tu wnosi.
Popsuł mi plany, biednaż moja głowa!
Chciałem się wymknąć do méj pięknéj Zosi,
Aby zobaczyć, czy mi wierność chowa.
Bo to u niewiast, jak z oczu, tak z myśli:
Trudne kochanie o sto mil z oddali!
Niechaj w miłości pilnuje się ściśléj,
Kto się wystrychnąć nie chce na rogala.

Łacki.

Nie czas miłostki roić w męzkiéj głowie,
Kiedy o wojnie trzeba myśleć saméj,
Kiedy kraj ginie, gdy wierni synowie
Nad konającą już matką czuwamy.
Grzech teraz kwilić żalami pieszczocha,
Kiedy się sprawie takiéj świętéj służy.
Och! i ja kocham, och! i mnie też kocha
Dziewica piękna, jak wonny kwiat róży.

Z duszą szlachetną, w młodości zaraniu,
Tęskniłem do niéj, jak dusza do nieba;
Lecz dziś kazałem zamilknąć kochaniu,
Na inną miłość serca mi potrzeba.

Strzemień.

A ja, to jakoś jedno z drugiém godzę;
I Zosia droga, i ojczyzna droga!
Służę królowi, tęsknię ku niebodze,
I dziewczę ścisnę, i pobiję wroga.
Czytałeś waszmość, jak to się kochali
Dawni rycerze świętéj krucyaty?
Lecz mnie się zdaje, że mimo oddali
Dziewczęta były wierniejsze przed laty;
Bo ja o moją jestem niespokojny,
Chociaż to niby i słodka, i czuła.

Laoki.

Sroższy niepokój nie wiedzieć wśród wojny,
Czy ona żyje i kędy się tuła.
Rodzice mojéj serdecznéj niebogi
Żyją w pobliżu puszczy Białowieża;
Ojciec jéj, szlachcic stary i ubogi,
Wiernym jest sługą Jana Kazimierza.
Dał swym sąsiadom powód do niechęci;
Czekali dobréj do odwetu chwili.
Więc kiedy przyszli szwedzcy adherenci,
Dwór zrabowali i wieś mu spalili.
Dokąd się udał? — Bóg to wiedzieć raczy!
Czy gdzie się schronił? czy może w niewoli?
Dziś pełno w Polsce takowych tułaczy.
Łacno odgadniesz, że mię serce boli...
Pomyślę, westchnę, czasem łza nabieży,

Ale się wstydzę téj łezki niewieściéj;
Bo serce nasze dzisiaj przynależy
Świętszéj miłości i świętszéj boleści.
Dziś tylko jeden... jeden cel przed nami:
Tam skupiać ducha i ramienia siły.
Niewolno piersi rozmiękczać żalami,
Aby swojego hartu nie straciły.

Strzemień.

Mądrze mówicie! ale z tamtéj strony
Sunie się stary pielgrzym z siwą brodą.

SCENA TRZECIA.

CIŻ i PIELGRZYM.

Pielgrzym.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Strzemień.

Na wieki wieków!... Gdzie to bogi wiodą?

Pielgrzym.

Do miejsc cudownych, waleczni rycerze,
Do Częstochowy, aż do Jasnéj Góry!
Zmówię tam chętnie i za was pacierze,
Jeśli jałmużną obdarzy mię który.
(Kłania się).

Strzemień *(do Lackiego cicho).*

U tego starca twarz jakaś zdradziecka:
Trzeba go badać, jak ordynans każe.

Pielgrzym (*do siebie*).

Muszę zrozumieć, czy to strona szwedzka,
Czy Czarnieckiego, broń Boże, hussarze?

Strzemień.

Kto waszmość jesteś?

Pielgrzym.

Zowię się Mikoszą.

Strzemień.

A herb waszmości?

Pielgrzym (*zakłopotany*).

A mój herb... Kościesza.

Lacki (*do Strzemienia*).

Nie... Mikoszowie topór w herbie noszą,
Ja znam ich pieczęć...

Strzemień (*do Lackiego*).

Coś starzec się miesza.

(*Do Pielgrzyma*):

Z kim waszmość trzymasz?

Pielgrzym.

Jak to?... nie dosłyszę.

Strzemień.

Kogo waść wolisz: czy króla, czy Szweda?

Pielgrzym.

Ja trzymam z Bogiem, dobrzy towarzysze,
Partya ziemska zbawienia mi nie da.

Strzemień.

Waszmość, jak widzę, i uszy przytula,
I odpowiedzi otwartéj unika!
Tu trzeba wyznać, czy waść wolisz króla,
Czy trzymasz stronę Szweda najezdnika?

Pielgrzym (*do siebie*).

To Czarnieczyki.

(*Do Strzemienia*):

A, moi panowie!

Takie pytanie, to czysta obraza:

Ja wciąż się modlę za królewskie zdrowie,

Zatém: niech żyje Jan Kazimierz Waza!

Strzemień i Łacki.

Niech żyje król nasz!

(*Żołnierze zdejmują hełmy, a starzec kapelusz*).

Strzemień (*wpatrując się bacznie, do Łackiego*).

Głowa za ryża, a broda za siwa.

Czoło bez zmarszczków, a wzrok jakiś kosy.

Łacki.

Bądajmy daléj; wszak zwyczajnie bywa,

Że broda wcześniéj siwieje niż włosy.

Strzemień (*do Łackiego*).

Coś jak na starca za prostą ma szyję.

(*Wpatrując się mocniéj*):

Broda przyprawna! trzymaj, bo ucięcze!

(*Łacki chwyta za ramiona pielgrzyma, Strzemień odrywa mu białą przyprawną brodę, z pod któréj wypada list*).

Strzemień.

A tuś mi, ptaszku!

Pielgrzym (*szybko dobywając z pod płaszcza sztylet*).

Puść mię, bo przebiję!

Strzemień (*wyrywając zręcznie sztylet*).

O, nie tak łatwo, poczciwy człowiecze!

(*Podejmuje list z ziemi*).

Oho! to pismo!... a co? kole w oczy?

Zaraz historya wykryje się cała.

Zobaczmy pieczęć. To pisze Rakoczy
Do Wittenberga, Szwedów generała!
Pismo do wodza, szpieg do nas należy:
Szpiega na gałąź!

(Odpina swój rzemienny pas i ciągnie Pielgrzyma).

Chodź, duszo pobożna!

Pielgrzym *(wyrywając się).*

Puśćcie mię! puśćcie!...

Lacki *(do Strzemienia).*

Wstydź się, panie Jerzy!
Czyż się bez wodza rozporządzać można?

Pielgrzym *(klęka).*

Zabierzcie listy, mnie puśćcie łaskawie!
Ja się wykupię, zapłacę z ochotą!

Lacki.

My żołd bierzemy, lecz powszechnéj sprawie
Bardzo się przyda Rakoczego złoto.

(Strzemień uderza w trąbkę; na to hasło wychodzi z za krzaków kilku żołnierzy).

Strzemień *[wiążąc pasem ręce Pielgrzyma].*

Héj towarzysze! weźcie go pod straże,
Do wojewody prowadźcie Judasza;
A czy go puścić, czy powiesić każe,
W tém jego wola, a nie głowa nasza.
Weźcie te listy, co znaleźli przy nim,
Weźcie do wodza to złoto, co w kiesie;
A my tu naszą powinność uczynim,
Na dalszéj warcie zostaniemy w lesie.

Pielgrzym.

Puśćcie mię, ludzie! puśćcie, jam niewinny!
Mnie Rakoczego obietnice zwiodły.

Strzemień.

Gdybym miał prawo, za mój kraj rodzinny
Sambym ci, ptaszku, roztrzaskał łeb podły!
Lecz naszą zemstę na hetmana zdajem,
Niechaj postąpi, jak mu każe władza.

Lacki.

Boże zastępów! nie mścij się nad krajem,
Który tak czarne potwory wyradza.

(Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma).

SCENA CZWARTA.

Zmiana—wnętrze namiotu Czarnieckiego. — W środku prosty stół, na nim papier i pióro, księga i karta geograficzna. Na ścianie pancerz, hełm i pałasz. CZARNIECKI *w żupanie, rysiéj delii i kołpaku wchodzi do namiotu.*

Czarniecki *(do żołnierza, który wszedł za nim).*

O świcie pochód niech trąba obwoła!

(Żołnierz odchodzi).

Już dziś nie legnę, bo mię sen nie bierze.
Nim się Rakoczy opamiętać zdoła,
Wpadnę mu na kark z mojemi harcerze!
Jeszcze wróg jeden—miłosierny Boże!
Gdyby nie wiara, jak tęcza przymierza,
Jużbym się zachwiał, albo złamał może:
Tyle tu wichrów ze wszech stron uderza!
Tam Szwed, tam Północ, tam Siedmiogrodziany,
Tam Kozaczyzna... tam drżeć od Tatara.
Upadł na duchu król, troską znękany,
Kraj spustoszony, a w sercach niewiara.
O ciemna! ciemna téj krainy dola!

(Podchodzi do okna).

Ha! i noc ciemna... lecz w Panu nadzieja!
Przyśle jutrzenkę, rozwidni te pola,
Da nam sturęczną siłę Bryareja,
Sto rąk urośnie. Cudowne są Nieba!
Ale mieć siłę, to jeszcze nie dosyć:
By władać siłą, chyba nam potrzeba
Sto serc szlachetnych w jednéj piersi nosić,
Bo to dzień próby; dzień pokus, dzień chłosty!
Dębem i miedzią trzeba okuć serce!...
W rękach hart został, staroświecki, prosty:
Dusze zmalały w krajowéj roztercel
Rozbudź je, Boże!

(Wznosi ręce do nieba).

SCENA PIĄTA.

CZARNIECKI, STRZEMIEŃ, LACKI.

(Za nimi żołnierze wprowadzają drżącego Pielgrzyma).

Strzemień.

Panie wojewodo!
Wedle rozkazu, czatując dziś w lesie,
Wzięliśmy człeka z przyprawioną brodą,
Który do Szwedów to pisanie niesie.

(Oddaje list).

Chciał nas przekupić... oto jego złoto.

(Składa trzos na stole).

Czarniecki *(skwapliwie biorąc list).*

Wittenbergowi...

(Odrywa pieczęć i czyta).

Swoje plany skore
Skreśla w tym liście. Rakoczy niecnota.
Wyborne wieści! przyszły w samą porę!

Przyjmcie me dzięki, towarzysze młodzi!
Wódz wam dziękuje i Rzeczpospolita,
A król jegomość wdzięcznie wynagrodzi,
Skoro do progów domowych zawita.

Strzemień *(z ukłonem)*.

Cóż teraz czynić wasza miłość każe
Z tym oto jeńcem w świątobliwéj masce?

Czarniecki *(do Pielgrzyma)*.

Polak?

Pielgrzym.

Och Polak!... w niewinnym zamiarze
Te listy... Panie! polecam się łasce!

Czarniecki.

Na gałąź szpiega.

Pielgrzym.

Ulituj się, panie!

Czarniecki.

To prawa wojny. *(Do siebie)*: Lecz to syn téj ziemi,
Pomiędzy szlachtą może być szemranie,
Żeśmy okrutni... *(Głośno)*: Pogardzam podłemi,
Puścić go wolno!

Strzemień.

Ej, to ptak nielada!
Szkoda go puszczać.

Czarniecki.

Słyszysz, co wódz mówi!

(Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma i odchodzą).

Czarniecki *(wychodząc na przód sceny)*.

Naród na sercu widocznie upada.
Donieść to wszystko potrzeba królowi,
Niech rychléj wraca; obecność monarsza

Biednym poddanym nada zapał świeży.
Porzuci Szweda nasza bracia starsza,
A drobna szlachta w jéj ślady pobieży,
Wspólnemi takty uderzą pałasze.
Tak... niech król wraca... niech koniecznie wraca.

(*Klaszcze w dłonie*).

Mospanie Lacki! zatrzymaj się wasze,
Czeka waszmości niepoślednia praca.

(*Lacki wchodzi*).

SCENA SZÓSTA.

CZARNIECKI, LACKI.

Czarniecki.

Koń wasz i zbroja niech będzie gotowa,
A ja tymczasem przygotuję listy.
Mimo Warszawy, pomimo Krakowa,
Pojedziesz waszmość aż na Szlązk górzysty!
Przez szwedzkie czaty przemykaj się w ciemnie,
Wyszukaj króla, co gdzieś w Szlązku gości;
Oddaj me listy, i złóż mu ode mnie
Hołdy poddańczéj mojéj powinności.
Padnij na klęczki, proś, niech się nie mami,
Niech się nie lęka podstępów i zdrady;
Niech wraca zapał wskrzeszać między nami,
Bo tu bez ojca nie damy już rady.
Spraw mi się pilno, zaufać ci mogę,
Masz serce prawe, a rozum bogaty;
Powracaj rychło — a oto na drogę
Masz Rakoczego węgierskie dukaty.

(*Z uśmiechem potrząsa trzosem*).
Grosz przeniewierstwa, srebrniki Judasza,
Będą wydane w naszéj dobréj sprawie.

Lacki.

Ważne mi rzeczy zleca miłość wasza,
Aby je spełnić i gardła nadstawię!

Czarniecki.

Nie... teraz drogie gardło waszmościne,
Ciężko mi Szwedzi odpowiedzą za nie.
Gotuj się w drogę i przyjdź za godzinę,
Znajdziesz gotowe już moje pisanie.

Lacki.

Przetrwam, da Pan Bóg, trudności choć mnogie,
I wiernie oddam, co mi dadzą w ręce:
I śmierć, i życie zarówno mi drogie,
Kiedy je sprawie królewskiéj poświęcę.

(*Kłania się i odchodzi*).

SCENA SIÓDMA.

Czarniecki (*sam, patrząc za odchodzącym*):

Kraje, jak ludzie, mają straszne chwile;
Lecz duch ofiary kiedy kwitnie w młodzi,
Jeszcze żywotnéj można ufać sile,
Jeszcze o śmierci marzyć się nie godzi.
Póki jednego znajdziesz bohatera,
Póki społeczność bożych natchnień słucha,
Kraj nie umiera, jak człek nie umiera,
Gdy jeszcze czuje choćby iskrę ducha.
Serce omdlewa, głowa się posłania,
Lecz to są tylko Opatrzności proby;

To nie skonanie — to pozór skonania,
To przesilenie wśród ciężkiéj choroby.

(Zasiada do pisania).
(Zasłona spada).

AKT DRUGI.

Wnętrze obszernéj gospody na pograniczu szlązkiém; drzwi w głąb na prawo i na lewo, z obu stron stoły otoczone ławami.

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ I GOSPODYNI.

Gospodyni.

Oj czasy, czasy! ot widzisz, przed nocą
Gospoda pusta, nikt drzwi nie uchyli.

Gospodarz.

Bo prawdę mówiąc, nie byłoby po co:
Szwedzi nam wszystko zjedli i wypili.
Raczéjby Bogu dziękować, niewiasto,
Że nam domowstwo zachowali cało.
Niejedna wioska i niejedno miasto
Krwią opłynęło, z dymem poleciało!...
Gdyby nie kufel, nie gospoda nasza,
Gdyby nie starość, ale młodość w wiośnie,
To takbym jeszcze przypasał pałasza
I pędził Szwedów tam, gdzie pieprz nie rośnie!

Gospodyni.

Ot młodzieniaszek! jego stare graty
Cóżby tam komuś pomogły na wojnie?
A patrzeć kufla, a pilnować chaty,

A miodek gościom rozlewać spokojnie!
A liczyć, kręcić i kredką, i główką,
Wdzięcznie przyjmować, kogo Pan Bóg zdarza!
To twoja sprawa.

Gospodarz (*śmiejąc się*).

A zaraz z wymówką!
W pustéj gospodzie nie trza gospodarza.

Gospodyni (*z szyderstwem*).

W pustéj gospodzie?... Ani wie, co w domu,
A chce wojować! Patrzcie, jaki śmiałek!
Toż ja przed Szwedy schowałam kryjomu
Dwie beczki miodu i wina antałek,
A on tu jeszcze o pustkach mi gada!
Miałabym głowę nie wiedzieć już na co.
Zapas niewielki, lecz na to jest rada:
Za każdą szklankę podwójnie zapłacą;
Teraz drożyzna!... Tylko pijcie zdrowi
I płaćcie dobrze, a ja wam dostarczę...

SCENA DRUGA.

CIŻ *i* PIELGRZYM, *jak w pierwszym akcie.*

Pielgrzym.

Pokój niech będzie waszemu domowi!

Gospodyni.

Pokój waszmości, bogobojny starcze!

Gospodarz.

Zkąd Bóg prowadzi?...

Pielgrzym.

Z daleka, z daleka!

Och! bolą nogi... niech trochę wypocznę.
(*Usiada*).
Opieka Pańska! (*Zdejmuje sakwy*). Tak, Pańska opieka
Miała nade mną staranie widoczne.
Powracam z Rzymu, przez Wiedeń, przez Kraków,
Bo święte miejsca odwiedzać człek musi.
Bywałem w ręku i szwedzkich żołdaków,
Bywałem w ręku i polskich rabusi.
Wszędzie dręczony, badany, pytany,
Chcieli zrabować, rozsiekać na ćwierci.
Nic nie znaleźli. Bodaj to łachmany!
Zawsze człowieka wykręcą od śmierci.
A świat ten marny, toć do złota wzdycha,
Szatańskiém jabłkiem skusiła go Ewa.
Cóż z tego poszło?—grzech, kłamstwo i pycha,
Potém obżarstwo... Jeść mi się zachciewa:
Szedłem dzień cały, a w moim już wieku
Idę niesporo... Ot, nic siły niéma!
Zamieram w drodze... Miłosierny człeku!
Daj tam puharek miodu dla pielgrzyma.

Gospodarz.

Z całego serca... i sam się napiję.

Gospodyni.

Może co zjecie?

Pielgrzym.

Daj Boże wam zdrowie!
(*Gospodyni odchodzi*).
Za waszą łaską choć trochę odżyję.
(*Bierze podany puhar i kosztuje*).
Miodek rzeźwiący!

Gospodarz.

Więc byłeś w Krakowie?

Pielgrzym.

Trzy dni téj łaski człek grzeszny doznawał;
Wszystkie kościoły obszedłem ze świecą.

Gospodyni (*wracając*).

A może łaska na kapłona kawał?

Pielgrzym.

Zęby mam słabe... pokosztuję nieco.
(*Zajada i pije*).

Gospodarz.

A więc nasz Kraków zawsze w ręku Szweda?

Pielgrzym.

Zawsze, łaskawco! ustąpił przed siłą,
Król szwedzki nigdy zwyciężyć się nie da.
Czarniecki zemknął, bo rady nie było.

Gospodarz.

Myśmy słyszeli, lecz wcale inaczéj;
Wszak do zmykania Czarniecki nieskory:
Wyszedł, jak rycerz, z honorami raczéj
I z bronią w ręku.

Pielgrzym.

Liche tam honory!
Wyszli-ć tam wprawdzie z chorągwią, z armatą,
Przy biciu bębnów, we trzy regimenty;
Lecz w kilka czasów pod Siewierzem za to
Wszystkich Polaków rozbito na szczęty!
Jedna uciekła, a druga połowa
Przysięgła wierność szwedzkiemu królowi.
Czarniecki uciekł, Bóg wie gdzie się chowa.
Król szwedzki szuka i pewnie go złowi,
Wtrąci w więzienie i wszystkich pozyska,

I królem naszym już zawsze zostanie.
A Szwedy jego, to dobre ludziska,
Dajże im Boże długie panowanie!
Ot teraz, słyszę, biorą Częstochowę,
W czém jak najlepiéj pomagaj im Boże!
Ja pielgrzym starą kłopotałem głowę,
Że tam na odpust człowiek pójść nie może.
Kościół w fortecy, — zamknięto fortecę,
Księża się bronią: — im słuchać spowiedzi,
Nie zaś do wojny brać się tak dalece,
Bo co to Szwedzi!

Gospodarz (*z niechęcią*).

Smakują wam Szwedzi!

Pielgrzym.

Pod kim mi lepiéj, to ja tego wolę.
Ja stary pielgrzym, dla mnie wszędzie ścieżka.
Ojczyzna moja nie na tym padole,
A Król Najwyższy nie na ziemi mieszka!
(*Dopija reszty miodu*).

Gospodyni.

Pobożny człowiek...

Pielgrzym.

Ale ja tu gwarzę,
A wieczór ściemniał, i w drogę mi pora.
Bywajcie zdrowi, zacni gospodarze!

Gospodyni.

Chciejcie odpocząć, oto jest komora.
(*Ukazuje na lewo*).

Pielgrzym.

Ha, jak się wzmocnię, zawędruję daléj,

Trochę się zdrzemać może i należy.
Ale nad rankiem... wy będziecie spali,
Gdy stary pielgrzym z milę już ubieży.
Jam ranny ptaszek: póki nie wyświta,
To czas chłodnawy, najlepszy do drogi!
Bywajcie zdrowi!...

(Odchodzi do komory na lewo, którą mu wskazuje gospodyni, za chwilę wraca).

A jak kto zapyta,
Czy nie przechodził tędy dziad ubogi,
To nic nie mówcie. Teraz takie czasy,
Że muszą truchleć nawet włóczykije.
Dopytywania, badania, hałasy,
To mię z pobożnych rozmyślań wybije.
Najlepiéj milczkiem i chyłkiem na świecie,
W pokorze ducha bądź ślepy i niemy.
Więc, dobrzy ludzie, wy nic nie powiecie,
Że ja tu byłem?

Gospodarz.

O, nic nie powiemy.

Pielgrzym.

Dobréj wam nocy! niech Pańska opieka,
Niechaj was strzegą niebiescy anieli!

SCENA TRZECIA.

CIŻ, *prócz* GOŚCIA.

Gospodarz *(do siebie).*

Ja nie pojmuję nic tego człowieka:
Czyżby już Szwedzi zagarnąć nas mieli?...

G o s p o d y n i (*do męża*).

A ja mówiłam, że daremna praca
Chcieć wskrzeszać dawną potęgę koronną!
Dziś inne czasy... Ale ktoś kołace.

G o s p o d a r z (*patrząc w okno*).

Dwie jakieś bryki i trzech szlachty konno.

(*Zawsze patrząc w okno, do siebie*):

Chmurno, i ciemno, i deszczyk na dworze,
A tam z daleka jutrznia promienieje.

G ł o s z a s c e n ą.

Prosim otworzyć...

G o s p o d a r z.

W ten moment otworzę.

(*Do siebie*):

Szwedzi, — to ciemność, jutrznia — to nadzieja!

(*Wychodzi naprzeciw gości*).

SCENA CZWARTA.

GNOIŃSKI — HELENA, *córka Gnoińskiego* — KILKU SZLACHTY, — GOSPODARZ *i* GOSPODYNI.

G n o i ń s k i (*do Gospodarza*).

Zacny człowieku! dacież nam komorę,
Kędy odpocząć?

G o s p o d a r z.

O wielmożny panie!
Gospoda pusta, w tę nieszczęsną porę
Każdemu z gości znajdzie się posłanie.

Gnoiński (*z uśmiechem*).

Dla nas posłanie!... zdrzymiem się przy stole,
Nawet pałaszów nie zrzucim od boku;
Byleby miejsce dla wozów w stodole,
Byleby koniom siana i obroku,
Bo się zmęczyły...

(*Do jednego ze szlachty*):

Panie Kalasanty!
Waść do tych rzeczy bierzesz, się najtężéj!
Wozy w stodołę niech wtoczą drabanty,
Konie do żłobów; nie zrzucać uprzęży.

(*Do szlachty*):

A jak łaskawie daliście mi władzę
Być gospodarzem w podróżnym taborze,
To rozsiodływać koni wam nie radzę:
W nocy przygoda przytrafić się może.
Kolejno wartę trzymać przed gospodą,
A wypocząwszy, wyruszyć o świcie.

(*Szlachta odchodzi*).

Gospodyni (*do Gnoińskiego*).

Dla czego, panie, tę dziewicę młodą
W ten czas wojenny ze sobą wozicie?

Gnoiński.

Ha! moja pani, konieczność przywiodła,
Musim choć na czas rzucić kraj rodzimy.
Dom mi spaliła zgraja Szwedów podła,
Z ostatkiem mienia na Szlązk uchodzimy.
Kilku mi szlachty towarzyszy w drodze,
By bronić głowy niewiasty i starca!
Spokojny uchron znalazłszy niebodze,
Do wojennego powracamy harca.

Wszystko mi jedno... jesteśmy gotowi
Choć w obóz wroga wrąbać się do środka,
Bom tak ślubował memu patronowi:
Wszędzie bić Szweda, kędy się napotka.
Pobłogosławi Pan Bóg naszą czynność,
Czy nakieruje losy ku odmianie,
Wtém Jego wola, — a nasza powinność:
Służyć królowi, póki sił nam stanie.

Gospodarz (*do siebie*).

Padłbym na klęczki! to jakiś zuch stary,
Co po bożemu trzyma stronę Wazy.

Gospodyni (*do siebie*).

Czysty szaleniec! — jeszcze ma zamiary
Oprzeć się sile większéj o sto razy!

(*Do Gnoińskiego*):

A może Wasza Dostojność pozwoli
Wypić za zdrowie Jana Kazimierza?
Jest stary węgrzyn, głowa nie zaboli,
Potém podróżna znajdzie się wieczerza.
Wprawdzie drożyzna... wielka tu drożyzna:
W trzy razy płacą mięso, wino, zboże;
Lecz pan wielmożny i sam pewnie przyzna,
Że być po Szwedach inaczéj nie może.
Jedli tu, pili bez końca, bez miary,
I zostawili długi niepłacone.
Biorę za kurczę po cztery talary,
Lecz za to kurczę! i bażant na stronę.

Gospodarz (*wpół głośno do żony*).

Lecz ten pan trzyma z Janem Kazimierzem,
Warto ustąpić.

Gospodyni (*cicho do męża*).

Poszedłbyś do czarta!

(*Głośno do Gnoińskiego*):

To co inszego!... My od takich bierzem
Po swojéj cenie: za kurczę pół-czwarta.

Gnoiński.

Dziękuję waściom! jeść i pić nie będę,
Bom się straszliwie umęczył w podróży.
Szlachcie, by miała czém skrzepiać gawędę,
Chciejcie postawić miodu gąsior duży.

Gospodarz.

Wedle rozkazu wnet wszystko się stanie.

(*Odchodzi*).

Gospodyni.

Ugościm szlachtę, czém chata bogata!

(*Odchodzi*).

SCENA PIĄTA.

GNOIŃSKI, HELENA.

Helena.

Coś mi tu straszno... Niewypowiedzianie
Smutném przeczuciem serce me kołata.
Jedźmy ztąd prędko, bo za chwilę może
Będzie już późno.

Gnoiński.

Trwożliwe ty dziecię!
Konie zmęczone, ulewa na dworze;
Mamy tu z sobą garstkę szlachty przecię;
Nie ufać męztwu, albo ich przyjaźni,
Byłoby grzechem, tak wiernie nam służą.

Porzuć te widma chorėj wyobraźni,
Spocznij, boś nocną znużona podróżą.
Wszak my nad tobą niedarmo czuwamy,
I włosa z głowy nikt ci tu nie zdejmie.

Gospodarz (*wchodząc z puharami miodu*).

Oto ktoś znowu kołata do bramy.

Głos za sceną.

Otwórzcie waszmość!

Gospodarz (*otwierając drzwi*).

Prosimy uprzejmie.

SCENA SZÓSTA.

OIŻ, *wchodzi* LACKI *w burce i zbroi.*

Lacki (*z pośpiechem do gospodarza*).

Konia do żłobu, nie zrzucać mu tręzli,
Niech się wysapie, i znów dalėj lecę!
Byli tu Szwedzi?

Gospodarz.

Gdzieś pono ugrzęźli,
Na Jasnėj Górze chcą zdobyć fortecę.
Taka przynajmniėj pogłoska się szerzy,
A tu już, panie, cztery dni nie byli.

Lacki (*zrzuca burkę—postrzega Gnoińskiego i rzuca się w jego objęcia*).

O zacny panie!

Gnoiński.

O kochany Jerzy!
Gdzież to spotkanie i w jakowėj chwili!

(*Ściskają się*).

G n o i ń s k i (*do Lackiego*).

Czyś zdrów? co słychać? gdzie lecisz, jak strzała?!

(*Do córki*):

A co! czy widzisz, głowo chorowita!
Czy ci w przeczuciu dusza powiedziała,
Że narzeczony wkrótce cię powita?

H e l e n a (*podbiega z radością do Jerzego*).

Ach, to pan Jerzy!

L a c k i.

To ja, to ja, pani!
Takiego szczęścia nie wróżyłem za nic!

G n o i ń s k i.

A my spaleni, my z domu wygnani,
Musim do obcych przemykać się granic!
Siadajże Jerzy!... pot płynie ci z czoła,
Musiałeś lecieć... spadłeś nam, jak z nieba.

L a c k i.

O! chciałbym jeszcze mieć skrzydła sokoła,
By prędzéj stanąć tam, gdzie mi potrzeba.

G n o i ń s k i.

Zkąd Bóg prowadzi? w jaką lecisz stronę?

L a c k i.

Od Czarnieckiego w naglącéj potrzebie
Lecę do króla.

G n o i ń s k i.

Czy wszystko stracone?

L a c k i.

Jeszcze nie wszystko: jest Pan Bóg na niebie,
Jest wódz Czarniecki, jest w piersiach otucha;
Ale zaprawdę chwila rozpaczliwa!

Wódz, pragnąc wskrzesić upadłego ducha,
Króla co prędzéj do kraju przyzywa.

Gnoiński.

Was, jak słyszałem, zbito pod Siewierzem?

Lacki.

Nie tak pobili, jak podeszli zdradą.
Ubezpieczeni krakowskiém przymierzem,
Staliśmy w polu bezbronną gromadą.
Wódz nasz dotrzymał, Szwed złamał swe słowo,
Uderzył w nocy w obozowe pole.
Szlachta do bitwy nie była gotową.
Jednych rozproszył, drugich wziął w niewolę:
Wódz zdołał umknąć, ja z drugim kolegą,
Z panem Strzemieniem — co na to mówicie? —
My osłonili piersią Czarnieckiego!

(Z zapałem):

Ja ocaliłem Czarnieckiego życie!
Teraz się hufce zbierają powoli,
I obrot rzeczy już biorą szczęśliwszy.

Gnoiński *(ściskając go z rozrzewnieniem).*

Zazdroszczę, chłopcze! zazdroszczę twéj doli:
Kraj ocaliłeś, jego ocaliwszy!
Chlubię się tobą, że będziesz mym zięciem,
Lecz do téj chluby mieszam łzę rozpaczy.
Syn mój rodzony umknął mi dziecięciem,
Na Ukrainie kędyś hajdamaczy.
Pohańbił ród mój i zakrwawił serce,
Wpuścił tam węża, co się zabić nie da.
Już go widziano pomiędzy morderce,
A teraz, słyszę, miał przystać do Szweda,
I jako Judasz, za garść szwedzkich groszy,

Na głowę matki naprowadza katy.
Dwory i wioski współziomków pustoszy,
Z łupów zbójeckich chce zostać bogaty!
O! nie uwierzysz, jak serce się ściska,
Jakim ja wstydem między ludźmi płonę!
Chcę strzaskać herb mój, wyprzeć się nazwiska!
Bo te skalane, bo te już spodlone.

Lacki (*biorąc go za jedną rękę*).

Czcigodny panie! nie wątpij o cudzie:
Wróci do trzody owieczka zbłąkana.

Helena (*biorąc go za drugą rękę*).

Hamuj się, ojcze! idą obcy ludzie.
O nawrócenie módlmy się do Pana!

SCENA SIÓDMA.

CIŻ *i* SZLACHTA (*powraca*).

Gnoiński (*do szlachty*).

Mości panowie! bracia miłościwi,
Mego przyszłego zięcia wam przedstawię:
Pan Jerzy Lacki!

Szlachta (*z ukłonem*).

Jesteśmy szczęśliwi.

Jeden ze Szlachty.

Znane to imię w teraźniejszéj sprawie.

Drugi ze Szlachty (*występując naprzód z uroczystą przesadą*).

I dobrze znane!... bo mądra Pallada,
Którą Minerwą przezwali Rzymianie,
Wieniec laurowy na skroń jego wkłada.

Już przewiduję, czém późniéj zostanie.
Choć z wieku dziecko, z umysłu był stary,
Smakował w księgach, jak inszy w zabawce,
Kiedy w Krakowie u świętéj Barbary
U Jezuitów siedział w pierwszéj ławce.
Skoligacony z najpierwszemi domy,
Na górę Parnas wdzierał się tém śmieléj!
Bo czuł spadkowéj mądrości ogromy,
Jedne po mieczu, drugie po kądzieli.
Matka z zacnego rodu Śrzeniawitów...

Gnoiński (*uderzając go przyjaźnie po ramieniu*).

Mój Kalasanty! coś za długi wątek.
Daj temu pokój...

Szlachcic.

Ale tych zaszczytów
Jeszcze nie koniec, to tylko początek.
O święta wiaro w zacne antenaty!
Na młodém sercu czegoż ty nie zdziałasz?
Jako Rzymianin, biorąc męzkie szaty,
Gdy szkolne pióro zamienił na pałasz,
Rzekłbyś spojrzawszy: to Mars, nie literat,
To młody Herkul w dzielności potędze;
Et robur et aes circa pectus erat,
Jak o tém pisze Horacy w swéj księdze.
Herkul! bo hydrę już schwycił za szyję,
I śmiercionośną maczugą już kręci;
Herkul nemejskie, on szwedzkie lwy bije,
(Bo państwo szwedzkie nosi lwa w pieczęci).
Zwalczysz, młodzieńcze! zwalczysz te giganty!
Łupem lwiéj skóry okryjesz swe łono!
A teraz przejdźmy...

(*Uroczyście wznosi rękę*).

Gnoiński *(biorąc go za rękę).*

Panie Kalasanty!
Przejdźmy do stołu, gdzie miód zastawiono.

Szlachcic *(z ukłonem do Lackiego).*

Głosiłbym daléj, ale nie mam czasu
Brnąć w miodopłynnnéj wymowy powodzi;
Wody hyblejskiéj, z Kastalu, z Parnasu,
Sarmackim miodkiem zapić nie zaszkodzi.

(Bierze puhar miodu, kosztuje i mówi):

Wyborny napój!... O, nam się nie godzi
Hyblejskich pszczółek zazdrościć wam, Greki.
U nas miód warzył Piast, król i kołodziéj,
I pić go kazał na potomne wieki!

(Szlachta się śmieje).

Szlachcic pierwszy *(z puharem).*

Czytajcie waszmość o piwie i winie,
Niech nasz Klonowicz, niech Acernus powie:
Wino rzecz ludzka, wino z ziemi płynie,
Miodek z powietrza stworzyli bogowie.

Drugi ze Szlachty *(ze szklanicą piwa).*

Ja wolę piwo...

Szlachcic pierwszy.

Polak zasiał pole,
Polskim jęczmieniem zarodziła niwa,
Polak go pożął, zwiózł, zmłócił w stodole;
Wtém przyszedł Niemiec i nawarzył piwa!

(Śmiech ogólny).

Drugi Szlachcic.

Oj warzy Niemiec... ale krotochwile
Pan Kalasanty jeszcze lepiéj warzy.

Gnoiński.

Panowie bracia! poucztujcie chwilę,
A ja postoję przy koniach na straży;
Potém mię z warty zluzuje kto łaska.

Szlachcic pierwszy.

O! już na dzisiaj nie doznawaj biédy!
I nasze konie, i wasza kolaska,
Jakby za murem u Semiramidy.
O murach Troi pisze Iliada,
Stajnia tu krzepka, jak trojańskie wały.

Gnoiński.

A przecięż fortel i przewrotna zdrada
I w mury Troi dostać się zdołały.
(*Odchodzi*).

SCENA ÓSMA.

Szlachta na stronie w milczeniu zapija. Na przodzie sceny LACKI *i* HELENA.

Helena (*podając rękę Lackiemu*).

Jak senna marzę i sobie nie wierzę,
Czyś, panie Jerzy, żywy, czy umarły?

Lacki.

Cztery miesiące!... wyznajcie mi szczerze,
Czy mię z waszego serca nie wydarły?

Helena.

Krzywdzisz mię waszmość: czyż polska dziewica
Raz przyrzeczonéj wiary nie dochowa?
A moje dla was kochanie podsyca
O waszych czynach wiadomość wciąż nowa.

Ja was jednego wybrałam na świecie,
Bo tutaj bez was któż mię uszczęśliwi?
Wy... powątpiewać dziś jeszcze możecie?
Nie, panie Jerzy, wy niesprawiedliwi...

Lacki.

Miałbym nie wierzyć twéj szlachetnéj duszy!
Och! gdyby wojna skończyła się skoro...

(*Cicha rozmowa*).

Szlachcic pierwszy (*do innych*).

Kiedy król szwedzki za morze wyruszy,
Ja przepowiadam, oni się pobiorą.
Ja wiem co mówię: przy pomocy bozkiéj
Jestem astrolog i prorok nielada!

Szlachcic drugi.

Co z kalendarza, stanąwszy wśród wioski,
Zaćmienie słońca chłopom przepowiada.

Szlachcic pierwszy.

Córkę Tarpeja strącono w przepaści,
Z tego wynika...

Szlachcic drugi.

Rzuć twych słów brylanty!
Nikt nie zarzuci, że erudyt z waści.
W ręce waszmości, panie Kalasanty!

(*Piją*).

Szlachcic drugi.

Lecz idzie o to, czy pić wodę czystą,
Kiedy zawita wielki dzień wesela?

Szlachcic pierwszy.

Ja trzymam z królem, z prorokiem, psalmistą,
Że wino serce ludzkie rozwesela!

Miodek rzecz dobra! i ja miodek lubię;
W piwku bożego nie pogardzam daru;
Wszystko uchodzi — no! ale przy ślubie
Szlachetniejszego chcę zażyć nektaru.

(*Piją*).

Lacki (*do Heleny*).

Ja, przy Czarnieckim odbywszy walk tyle,
Lepiéj niż inny kraj widziałem w grobie.
Czy wierzysz, luba! iż bywały chwile,
Żem nawet zdołał zapomnieć o tobie?
Nieraz, jak innym, przyszła myśl wątpliwa,
Lecz na me serce nie upadła skaza;
Bo sprawa święta, chociaż rozpaczliwa,
A wódz nasz wielki, wykowan z żelaza!

Helena.

Jerzy mój! Jerzy! nie gniewam się zgoła,
Żeś mię pochował w swojém sercu na dnie;
Lecz czy ty wierzysz, gdy cię trąba woła,
Że walczysz w sprawie, która nie upadnie?

Lacki.

O nie, Heleno! ni Szwed, ni Rakoczy,
Kędy stanęli, nie mogą pójść daléj!
Barwianém szkiełkiem zaświecili w oczy,
A im się zdaje, że wszystko zdziałali.
Że przyjął złoto jakiś przeniewierca,
Że dał się skusić prostak bezrozumny;
Już oni sądzą, że z naszego serca
Fałszywym bogom postawią kolumny!
O jacy mali!... jacy oni mali,
Że śpią spokojnie pod tak lichą strażą!...
Są jeszcze prawa, które podeptali,

Jest jeszcze kościół, który lekceważą.
Im się wydaje w chwilowym obłędzie,
Gdy rzesza do nich tłoczy się ciekawa,
Że szlachta nasza obojętna będzie
O święty kościół i o święte prawa.
Ha! ale u nas silne jest uczucie,
Ślepi, przejrzawszy, postawią się śmiele:
Nie dadzą słówka wyrzucić w statucie,
Ani cegiełki wyrzucić w kościele.
Na tych podstawach stojąc niezachwianie,
Czyżbyśmy dbali na zbójeckie noże?
Bóg kształty krajów zakreślił na planie,
Bóg tylko jeden przekształcić je może!

Helena.

Dzięki ci, Jerzy! wlewasz wiarę nową,
Że znów odetchniem z Janem Kazimierzem.
Boże! nad mężnych bojującą głową
Modlitwa moja niech będzie puklerzem!

Lacki.

Kto idzie walczyć, spodziewać się może,
Że nie przyniesie głowy z bojowiska;
Lecz czuję w sercu jakieś tętno boże,
Jakiś mi promień przed oczyma błyska.
Od Baltyckiego do Czarnego morza
Pogodny błękit spostrzegam nad krajem;
I widzę ołtarz, u jego podnoża
Słyszę, jak wiarę i miłość wyznajem;
I pod lipami mojéj cichéj wioski
Oglądam ciebie w uroczéj postaci;
Widzę przed sobą najwyższy dar bozki:
Szczęście domowe wśród szczęścia współbraci.

Helena.

Żołnierz... a jednak przed twemi oczyma
Snuje się obraz spokojności saméj.

Lacki.

Przebacz, żołnierzy w naszém wojsku niéma,
Tylko obrońcy tego, co kochamy.
Niejeden naród męztwa nam zazdrości!
Cóż nasze męztwo?—to wiara z nadzieją!
Cóż nasze piersi?—u źródła miłości
Niezwyciężonym hartem kamienieją.
Gdyśmy w pancerzu, gdy z bardyszem w dłoni,
Wśród ryku armat, wśród morderczéj chwili,
Marzym, jak na wsi dzwon kościelny dzwoni,
Na naszéj strzesze jak jaskółka kwili,
Jak buja żyto, jak się łąka kwieci,
Jak tam zbierają kwiaty niemowlęta.
Wspomnisz ten kościół, tę strzechę, te dzieci,
To za nich walczysz, i ofiara święta
Bardziéj a bardziéj odwagę podsyca,
Lwem czyni człeka w stanowczéj godzinie.
Oto naszego męztwa tajemnica!
Ona zaginie—i męztwo zaginie.

Helena.

O! ja pojmuję tę miłość rycerzy,
Co cuda męztwa rozpala w ich łonie;
Lecz wiele wody, łez i krwi ubieży,
Nim nasza ślubna gromnica zapłonie.
Niejedną wojną wre Rzeczpospolita,
Na długo twoją opuścisz niebogę...
Jerzy! Bóg z nami!

(*Podaje mu rękę*).

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ, PIELGRZYM (*wychodzi z lewéj strony, przecierając oczy*).
(*Po chwili Gnoiński ukazuje się we drzwiach*).

Pielgrzym.

Co widzę! już świta,
Zaspałem nieco, wielki czas do drogi.
Gdzieś moje sakwy zostały na ławie.

(*Idzie ku stronie pijącéj szlachty, za nim Lacki*).
(*Do szlachty*):

Tu moje sakwy, tu mój kij sękaty.

(*Do Lackiego*):

Czego tak waszmość poglądasz ciekawie?

Lacki.

Znamy cię, ptaszku, nie z dzisiejszéj daty!

(*Chwyta go za ramiona*).
(*Do szlachty*):

Mości panowie! kto z Czarnieckim trzyma,
Niech tego starca ująć mi pomoże.
To jest szpieg szwedzki...

Szlachta.

Chwytajcie pielgrzyma!

Pielgrzym.

To chyba na was zaślepienie boże!
Kto mi dowiedzie?

Lacki.

Ja sam ci dowiodę,
Ja sam odkryję twe bezecne plany,
Niezręczny szpiegu! Przyprawiłeś brodę,
Z którą niedawno byłeś przydybany.
Czy mię pamiętasz?

Pielgrzym (*krzyczy*).

Brońcie, gospodarze!
Tu gwałt się dzieje na me stare lata!
(*Jeden ze szlachty odrywa mu brodę*).

Szlachta (*wydobywa szable*).

To szpieg!!

Helena (*wpatrując się w pielgrzyma, z rozpaczą*).

To brat mój!...

Pierwszy ze Szlachty.

Powinność nam każe
Dziś nie oszczędzać ni swata, ni brata...

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ *i* GNOIŃSKI.

Gnoiński (*wpada z dobytym sztyletem*).

A nawet syna... Bo kto przeniewierca,
Temu sam nawet Pan Bóg nie przebacza!
Tyś serca nie miał, nie mam dla cię serca:
Z ojca własnego zrobiłeś siepacza!
(*Przebija pielgrzyma. Pielgrzym pada*).

Gnoiński.

Giń, zdrajco!...
(*Po chwili bolesnego wahania się uklęka*).
Synu!.. przebacz mi i wskrześnij!
Cożem uczynił w uniesienia chwili?

Pierwszy ze Szlachty.

Rzymianinowi wszak było boleśniéj,
Gdy przebił córkę, by jéj nie zhańbili;
A on się zhańbił...

Gnoiński (*nieprzytomny*).

Widzisz, panie Jerzy!
Hańba!... szpieg... syn mój... upada nieżywy;
Ojciec go zabił!..

Helena.

Ach! kto w Boga wierzy,
Ratujcie ojca!...

Lacki.

O ja nieszczęśliwy!
Królu! Czarniecki!.. toż moja zapłata,
Za waszą sprawę żem nadstawiał szyję!
Patrzcie, com zdziałał!

Helena (*z rozpaczliwym wyrzutem*).

Tyś zabójcą brata!

(*Klęka przy trupie*).

Gnoiński (*w obłąkaniu*).

Patrz, panie Jerzy, czy mu puls nie bije?

(*Usiada obłąkany*).

Gospodarz (*wchodząc, do Jerzego*).

Wasz koń już gotów!... Co! trup tu się tarza?

Lacki.

Głos obowiązku!... O, lecę już, lecę!

(*Rzuca gospodarzowi kieskę ze złotem*).

Trupa ze szlachtą nieście do cmentarza,
A tych nieszczęsnych miejcie w swéj opiece.
Muszę biedz... listy doręczyć królowi,
A potém... potém... pożegnać świat marny...
Przyjdę zobaczyć, czy żywi, czy zdrowi,

(*Z rozpaczą*):

I strzaskać głowę o kamień cmentarny.

(*Wybiega. Szlachta krząta się około pielgrzyma, Gnoińskiego i Heleny*).

(*Zasłona spada*).

AKT TRZECI.

Mieszkanie królowéj w Głogowie na Szlązku; komnata królowéj — stół zawalony papierami. Jeden Paź krząta się i ustawia sprzęty, drugi Paź wchodzi i mówi.

SCENA PIERWSZA.

Pierwszy Paź.

Królowa jejmość pewnie nieubrana,
Albo spoczywa po wczorajszéj pracy.

Drugi Paź.

O, gdzie tam! pisze od samego rana,
Spocząć jéj nigdy nie dadzą Polacy.
Dziwnaż to Polska! rady sobie nie da,
Choć ma rycerstwo, i konie, i bronie.
Gdyby tak na mnie, przepędziłbym Szweda
Jednym zamachem.

Pierwszy Paź.

Milczałbyś, Gaskonie!
Być Lubomirskim, lub dzielnym Czarnieckim,
Być Koniecpolskim, nie tak łatwa sztuka!
Im trudno idzie z najezdnikiem szwedzkim;
Mędrsza ich głowa niż twoja peruka.
Czyś kiedy słyszał, by sama królowa
Bez uwielbienia wspomniała tych ludzi?
Lub rzekła jakie pogardliwe słowa
O naszéj Polsce?

Drugi Paź.

Ta Polska mię nudzi!
U nas w Paryżu, na królewskim dworze,

Jest blask przynajmniéj, jest monarsza świta,
Człowiek z płcią piękną zabawić się może,
Może potańczyć, naśmiać się do syta.
A tutaj pusto, grobowo, bezładnie,
Rój starych zrzędów królową otoczy,
Jedno a jedno do uszu jéj kładnie:
A Szwed, a Tatar, a jakiś Rakoczy!
Jak się im takie gadanie nie sprzykrzy?
Choćby dla zmiany pośmieli się trochę.
Dziki to naród.

Pierwszy Paź.

Ty sam jeszcze dzikszy,
Żeć teraz w głowie pustowanie płoche,
Gdy senatorów, bohaterów głowy
Pełnią przy pani obowiązek święty.
Tobie się przykrzą ich ważne rozmowy:
To idź, Francuzie, chychotać z dziewczęty!

Drugi Paź.

Dziewczęta wasze, jak odlane z lodu;
Ja, com w Paryżu dokazywał cuda,
Tu, żal się Boże marnego zachodu,
Nawet rozśmieszyć żadnéj się nie uda.
Królowa jejmość te nudne szlachcianki
Kocha i pieści więcéj niźli warto.

Pierwszy Paź.

Bo to rycerzów córki i kochanki,
Lub tych, co z domu własnego wyparto.
A że królowéj matczyna opieka
Dała przytułek nieszczęsnéj dziecinie,
Za to ją wdzięczność od narodu czeka,
Błogosławieństwa niejedna łza spłynie.

Drugi Paź.

Łzy a łzy wieczne... jakże one szpecą!
Tu pięknych dziewcząt jest orszak niemały,
Możnaby oczki rozweselić nieco,
A te od płaczu aż ponabrzmiewały.
Ot téj na przykład Gnoińskiéj Helenie,
Co ją niedawno przywieźli do dworu,
Niczego nie brak — postać i spojrzenie,
Mógłby ją malarz rysować dla wzoru;
Ale cóż z tego?... ustawnie łzy leje,
Ustawnie wzdycha, niewiadomo po co.

Pierwszy Paź.

A czy słyszałeś bolesne jéj dzieje?
A czy wiesz dobrze jéj dolę sierocą?
Pieszczone dziecię bogatego człeka
Żyło jak ptaszę w rodzicielskim domu;
Wtém brat jéj starszy do Szwedów ucieka,
Bo z Radziejowskim związał się kryjomu.
Ojciec go przeklął. Już biedna dziewczyna
Poczęła boleć boleścią rodzinną;
Biedne jéj serce już cierpieć poczyna,
Co cienia troski znaćby niepowinno.
Lecz Bóg zna serce, ile cierpień zmieści,
I od rozpaczy nieszczęsną ochrania:
Gorzkie uczucia domowéj boleści
Osłodził miłém uczuciem kochania.
Pan Jerzy Lacki, rycerz zawołany,
Zdobył jéj serce... Kochała dziewczyna,
Ojciec, chcąc zgoić swego serca rany,
Chciał nim zastąpić straconego syna.
Po zaręczynach dzień ślubu wybrano.

Wtém weszli Szwedzi na zgubę téj ziemi;
Wszystko rycerstwo na koń powołano:
Lacki na boje poleciał z drugiemi.
Próżno nieboga i tęskni, i kwili...
Ale te czasy nieszczęśliwe znacie:
Któraż niewiasta nie płacze w téj chwili
Po ojcu, mężu, kochanku lub bracie?
Lecz sroższym ciosem niebo ją nawiedzi,
Jakby skazawszy na ciągłe ofiary.
Dom jéj rodzinny zrabowali Szwedzi,
Wioskę spalili, tak, że ojciec stary
Musiał uciekać tutaj w szlązkie kraje.
Jechała z ojcem. Już kresu dobiega,
Wtém gdzieś w gospodzie Gnoiński poznaje
Zbiegłego syna, wiarołomcę, szpiega;
Więc oburzenia gniewem się zapala:
Zabija syna, jak Brutus surowy!
Dziś obłąkany wzięty do szpitala,
Ona oddana opiece królowej.
Bez ojca, brata, bez rodzinnéj strzechy,
Niepoślubiona, gdy ołtarz był gotów, —
Czy chciałbyś jeszcze, by stroiła śmiechy,
Lub twoich pustych słuchała zalotów?

Drugi Paź.

Prawda, sierota, bardzo nieszczęśliwa!
Lecz po co płakać? to na oczy szkodzi.

(*Słychać za sceną dzwonek*).

Ale królowa na służbę mię wzywa,
A waszmość zostań, bo ktoś tu nadchodzi.

SCENA DRUGA.

PAŹ, *otwiera drzwi boczne; wchodzi* ALEKSANDER KONIECPOLSKI, *wojewoda sandomierski.*

Wojewoda (*do Pazia*).

Jąk zdrowie naszéj najjaśniejszéj pani?
I czy już wstała?

Paź.

O, wstała już dawno!
Dworscy Francuzi już wszyscy zebrani.
Ona jest teraz listami zabawną;
Lecz jak się dowie, że pan wojewoda
Chce posłuchania, to pewno przybędzie.

(*Paź odchodzi*).

Wojewoda (*do siebie*).

Cóż ja jéj powiem? Codzień nowa szkoda,
Pożoga wojny rozlała się wszędzie.
Wszędzie przegrana, zagrodzono drogę,
A my tu żywot prowadzim bezczynny...
Musimy patrzeć zaparci zagrodą,
Jak niszczą nasze krainy bogate.

(*Uchylają się podwoje w głębi*).

SCENA TRZECIA.

Wchodzi KRÓLOWA, *za nią kilka dworskich* PANIEN, *w ich liczbie* HELENA GNOIŃSKA.

Królowa (*wesoło*).

Niedobry jesteś, panie wojewodo,
Że tak nieczęsto odwiedzasz mą chatę;

I książę prymas nie lepszy od waści.
Chociaż król waszéj powierzył mię straży,
Żaden nie przyjdzie bronić od napaści,
Chociażby Głogów oblegli Tatarzy.
Lecz gdy mię polski opuścił obrońca,
Z hanem tatarskim zawarłam przymierze,
I mój przyjaciel, stryjeczny brat słońca,
Pisuje do mnie serdecznie a szczerze.
Czytaj, com dzisiaj otrzymała z rana...

(*Oddaje mu list*).

Miłosny bilet od Achmet-Gireja.

(*Usiada*).

Wojewoda (*przeczytawszy list*).

O dobry Boże! pomoc niespodziana.

Królowa.

Cóż wojewodo! jeszcze jest nadzieja?

Wojewoda.

Pisze, że przyjdzie w dwadzieścia tysięcy
I Rakoczego od Krymu otoczy.
O! muzułmani dobrzy sprzymierzeńcy!
Wzięty w dwa ognie, podda się Rakoczy.
Kiedyśmy niemal do szczętu złamani,
Bóg miłosierny jeszcze nas ochrania.
Ty zbawiasz kraj nasz, najjaśniejsza pani!
Ja ci zazdroszczę twego panowania.

Królowa (*smutno*).

Nie, wojewodo! nie zazdrość méj doli,
Nie zazdrość mojéj korony i krzyża.
Gdy na samotność człowiek się wyzwoli,
Dusza się jego do aniołów zbliża.
Wszystko mię teraz dręczy, niepokoi,

Wśród ciągłéj walki obumiera siła.
O! proście Boga, przyjaciele moi,
Aby mi prędzéj samotność wróciła!
Tak jest... samotność, spoczynek choć w grobie,
Byleby skończyć tę drogę mozolną.

(Powstaje z zapałem).

Nie, wojewodo! ani mnie, ni tobie,
Teraz nikomu umierać niewolno!
Idzie o króla, idzie mi o męża,
Idzie nam wszystkim o całość téj ziemi.
Użyjmy pióra, użyjmy oręża,
Brońmy ich, brońmy siłami wszystkiemi!
Użyjmy zdrady — choćby nawet zdrady,
Byle ocalić ich życie i zdrowie.

(Chłodniéj).

Wiesz, wojewodo! w téj chwili układy
Mój szpieg ze Szwedem rozpoczął w Krakowie.

(Ciszéj).

Niektórzy Szwedzi zdradzą swego króla,
Poddadzą Kraków, wątpliwości niéma.
Pisz Czarnieckiemu, niech wpadnie jak kula,
Jak tylko hasło ode mnie otrzyma.
Lecz z głębi kraju dotąd nie mam wieści,
Coś niepokoi, coś mię serce boli.

Wojewoda.

Och, dobra pani! boleść po boleści
Musimy przenieść, nim nas Bóg wyzwoli.
Piszą mi z Rusi—pogłoska tam lata,
Przebacz mi, jeśli tą wieścią zatrwożę:
Pan Jan Zamoyski ze Szwedem się brata,
Podda mu Zamość, lub poddał już może.

Królowa *(śmiejąc się wesoło).*

O! co już temu, to śmiało nie wierzcie,
Dajcie mu pokój, panie wojewodo!
Na Zamoyskiego mam sidła niewieście:
Patrz tylko na tę swawolnicę młodą.
Kaźmira d'Arquin figlarne ma oczy,
Lecz dobréj sprawie służą te figlarze;
Pan Jan Zamoyski i do morza wskoczy,
W ogień poleci, jeśli ona każe.
On moją wolę spełnia co do joty,
Na nim się nigdym jeszcze nie zawiodła.
Och wy, mężczyźni! gdyby wasze cnoty
Z ich prawdziwego upatrywać źródła!...
Jeden krajowi zda się wylan cały,
Bo bogatego starostwa chce w darze;
Drugi, jak rycerz, idzie w pole chwały,
Bo mu tam piękna dziewczyna iść każe.
Zajrzeć do serca waszego tajnika:
Namiętność, chciwość lub próżność dziecinna...
Zręczna kobieta zawsze to przenika,
I ze wszystkiego korzystać powinna.
Widzisz, żem szczera.

Wojewoda.

Pani miłościwa!
Widzę, że umiesz trzymać nas pod władzą.

(Słychać trąbkę).

Królowa.

Spójrz, wojewodo, czy goniec przybywa?
Jeśli są listy, niech je tu podadzą.

Wojewoda *(patrząc w okno).*

Goniec z listami.

Królowa.

O, są listy przecię!
Drżę cała... serce jakby ścisnął głazem.
Prędzéj mi listy!
(Do Panien dworskich):
Wy odejść możecie.
(Do Wojewody):
A wy zostańcie, — przeczytamy razem.

SCENA CZWARTA.

KRÓLOWA, WOJEWODA, *potém* LACKI.

Królowa *(wznosząc oczy do nieba z modlitwą).*

Panie Zastępów, łaski Twojéj, łaski!
(Niecierpliwie do wchodzącego Lackiego).
Jakież mi niesiesz waszmość wiadomości?

Lacki *(z pokłonem).*

Pan Opaliński, wojwoda podlaski,
Śle swoje służby Jéj Królewskiéj Mości.
(Oddaje list).

Królowa *(odbiera go drżącą od wzruszenia ręką i łamie pieczęć).*

Głoski się chwieją przed oczyma memi!
(Oddaje Wojewodzie list).
Chciejcie przeczytać, co tu napisano.

Wojewoda *(przebiegłszy list).*

Na czele szlachty wielkopolskiéj ziemi
Zbił Opaliński Szwedów pod Kościaną.
Dwa ich tysiące wyprowadził w pole,
Udał ucieczkę, sparł w głęboki parów;
Samego wodza zabrawszy w niewolę,
Posłał do króla z dziewięcią sztandarów.

A insza szlachta pomniejsze zamczyska
Poodbierała Szwedom niespodzianie,
I ma nadzieję, że resztę odzyska.

Królowa *(z zapałem).*

O! dzielny naród ci Wielkopolanie!
Jeżeli w Polsce zapał taki samy
Zdoła u szlachty ożywić się wszędzie,
To jeszcze Szwedom oprzeć się zdołamy,
Za dwa miesiące już ich tu nie będzie.
Wytchną nakoniec królewscy poddani!
No! cóż tam daléj pisze wojewoda?

Wojewoda.

Poleca łaskom najjaśniejszéj pani
Tego młodzieńca, co to pismo poda:
On ze śmiałością walcząc niepojętą,
Dobrze zasłużon przed Rzeczpospolitą;
Przez niego wodza szwedzkiego ujęto,
Przez niego wszystkie sztandary zdobyto.

Królowa *(patrząc na młodzieńca).*

O! to pan Lacki! On od Czarnieckiego
Wieść króla w Polskę jawił się z usługą.
Jeszcze powracać nie było do czego,
Więc się rzecz zwlekła...

(Z westchnieniem):

Bóg wie, jak na długo.
Nasza z waszmością znajomość nieświeża,
Bo po raz drugi tu się go spotyka.
Wiernych poddanych Jana Kazimierza
Nie zapomina Marya Ludwika.
Nad narzeczoną prosiłeś opieki;
Spełniłam prośbę — ona już przy dworze.

Kochasz i walczysz, jako w dawne wieki,
Lecz musisz wyznać, żeś trafny w wyborze.
Lubię, gdy widzę rycerza kochanka,
Bo to szlachetną duszę zapowiada.
Mospanie Lacki, królowa wygnanka
Waszeby męztwo wynagrodzić rada;
Ale w téj chwili mam środków za mało
Nagrodzić ciebie i twe towarzysze.
Zasługi wasze król uwieńczy chwałą,
Kraj w karcie dziejów, Bóg w niebie zapisze.
Dziś, kiedy idziesz laur zdobywać nowy,
Widokom pańskim służyć za narzędzie,
Przyjmij ten pierścień, pamiątkę królowéj.

(*Oddaje mu pierścień i mówi z dobrocią półgłosem*):

Wkrótce, jak mniemam, przydatny wam będzie.

Lacki.

Za waszą dobroć wynagrodzą Nieba.

Królowa (*do Wojewody*).

Chodź, wojewodo, do mojéj komnaty,
Opalińskiemu dać odpowiedź trzeba.

(*Do Lackiego*):

Wy zaczekajcie.

(*Odchodzi, za nią Wojewoda*).

SCENA PIĄTA.

LACKI (*podczas jego monologu słychać trąbkę*).

Lacki (*do siebie*).

Ona tu na dworze!
Cóż jeśli spotka, jeśli mię zobaczy?
Natchnij mię radą, miłosierny Boże!

Czy mam ją widzieć, czy umrzeć z rozpaczy?
Tak jest, ucieknę, ucieknę w kraj świata,
Na pole bitwy, kędy śmierć mię woła.
Zabiłem ojca, zabiłem jéj brata,
Ona mi nigdy przebaczyć nie zdoła!
Samby mój widok rozjątrzył na nowo
W biedném jéj sercu smutne przypomnienie.
Ale spełniłem powinność krajową,
Serce mię boli, lecz się nie rumienię.

SCENA SZÓSTA.

LACKI, *potém* STRZEMIEŃ *w podróżnym ubiorze, jak Lacki.*

Strzemień (*zakłopotany*).

Gdzie też królową znajdę na ostatek?
Pilno to pismo oddać jéj należy.

(*Postrzegając Lackiego*):

A! góra z górą!... o! trzy kopy latek!...
A cóż porabiasz tutaj, panie Jerzy?
A jak ci zdrowie, kochany kolego?

Lacki.

Witam cię, witam, panie Floryanie?

(*Ściskają się*).

Strzemień.

A po coś waszmość z pułku Czarnieckiego
Zniknął tak nagle i niespodziewanie?

Lacki.

Sam wódz mię wysłał, bym Wielkopolany
Wezwał do sprawy króla i narodu,
I uniwersał przez niego wydany

Obwiózł po szlachcie od grodu do grodu.
Szlachta przyjęła takowe wezwanie:
Na wielkie rzeczy tam się dziś zanosi.
Cóż u was słychać, panie Floryanie?

Strzemień.

O czém? o wojnie, czy o mojéj Zosi?
Oj Zosia! Zosia! to rozumny ptaszek!
A ja liczyłem na jéj lata młode.
Ledwiem wyjechał, jakiś młodzieniaszek
Już w sercu panny zapisał gospodę.
A ja wierzyłem — lecz co dnia i co dnia
Jakiś niepokój udręczał mą duszę.
Więc proszę wodza: choć na pół tygodnia
W strony domowe oddalić się muszę.
Wódz się nie zgodził raz, drugi i trzeci,
Wreszcie go znudził mój jęk nieustanny:
Pozwolił. Jadę — słyszę, co się święci:
A toś mi taki, mój kwiatku różany!
Więc ja z wymówką, Zosia w płacz, w wykręty,
Lecz ja się srożę, jak Bolesław Chrobry!
Wreszcie wyznała, że tu Pan Jacenty
Czasem tak sobie.... przyszedł na dzień dobry.
—„Czy tak! krzyknąłem, ja go tu wytropię,
„Obetnę uszy i niech mię pozywa."
Lecz pan Jacenty schował się w konopie,
A ona w końcu płacze nieszczęśliwa,
Że ja nie wierzę, że tylko ją czernię,
Że mnie miłuje swojém sercem całém.
Takie mię słowa wzruszyły niezmiernie,
Lecz do obozu powracać musiałem.

Lacki.

A cóż tam Szwedzi?

Strzemień.

Pal ich szatan, Szwedzi!
Żołnierzom polskim niestraszna ich tłuszcza.
To mi Szwed gorszy, co w konopiach siedzi
I do méj Zosi konkury przypuszcza.
A chciałem, chciałem na samém odjezdném
Dobrze się zemścić nad takim wisielcem.

Lacki.

Lecz gdzież Czarniecki?

Strzemień.

Miał bitwę pod Gnieznem,
Potém pod małém miasteczkiem Kościelcem.

Lacki.

Czyjaż wygrana?

Strzemień.

A Bóg wie to święty!
Była kurzawa i dym od armaty.
Mnie w każdym Szwedzie zdawał się Jacenty,
A więc każdego rąbałem na szmaty;
Jak wszyscy podli, jako wszyscy tchórze,
Pierzchnął niegodny przez zaroślę ciemną.

Lacki.

Szwed pierzchnął od nas! O, dzięki Ci, Boże!

Strzemień.

Nie, to Jacenty tak pierzchnął przede mną.
Ale nie ujdzie, ja dotrzymam słowa,
I jakem szlachcic, obetnę mu uszy!

Lacki.

Panie Floryanie! czyż sprawa domowa
Niźli publiczna bardziéj ci na duszy?

Strzemień (*z urazą*).

A czyż nie niosę za Rzeczpospolitą
Głowy na kule, miecze i bardysze?
A czy tam Szwedów, czy naszych pobito,
To wódz w tych listach do królowéj pisze.
A czy ja hetman? czy do mnie należy
Liczyć zabitych i ranionych głowy?
Ja z listem jadę; powiedz, panie Jerzy,
Jak tu otrzymać przystęp do królowéj?

SCENA SIÓDMA.

CIŻ *i* PAŹ, *potem* HELENA.

Paź.

Od Czarnieckiego jest posłaniec świeży,
Królowa jejmość przyjąćby go rada.

(Strzemień kłania się: — Paź do Strzemienia):

Proszę iść za mną.

Strzemień (*do Lackiego*).

Ależ, panie Jerzy,
W téj burce stanąć przed nią nie wypada.

(Zrzuca burkę).

Jam przecię niby poseł uroczysty,
Ja muszę stanąć w rycerskiém żelezie.

Helena (*wchodząc zakłopotana z paczką listów*).

Do wojewody podlaskiego listy,
Które pan Lacki w Poznańskie powiezie.

(Paź, za nim Strzemień odchodzą).

SCENA ÓSMA.

Lacki, Helena. *(Helena drżącą ręką oddaje listy Lackiemu).*

Lacki.

Wszystko oznacza duszę przebolałą,
Ta zmiana w głosie, te rąk waszych dreszcze.
Czynicie sobie ofiarę niemałą,
Żeście raczyli obaczyć mię jeszcze.

Helena.

Rozkaz królowéj, nie zaś własna wola
Tu mię przywiodła oddać to pisanie.
A cóż dziwnego, że ciężka niedola
Tak mię zmieniła w waszych oczach, panie!
I w rzeczy saméj, łzy ciągle mi płyną,
Śmiertelna rozpacz w moich piersiach pała!

Lacki.

To ja, Heleno, waszych łez przyczyną!

Helena.

Ty, ojciec, brat mój, wszyscy, com kochała!
Lecz ja nikogo... nikogo nie winię:
Taki był wyrok, tu skargi na stronę.
Boleć i płakać chciałabym jedynie,
Rozpamiętywać me szczęście minione
Na łonie ojca, z marzeniem o tobie,
Wśród cichéj wioski, gdzie się wszystko śmieje.
Dziś moje wszystko pochowano w grobie:
Ojca i brata, wioskę i nadzieje.
Ty jeszcze żyjesz, tyś chluba rycerzy!
Kiedy świat twoje podziwia przymioty,
Ja mniéj cię kocham; tak jest, panie Jerzy,
Lękam się twojéj Katonowskiéj cnoty.

Tyś nic nie winien, że brat był zbrodniczy,
Że ojciec syna zbryzgał się posoką;
Jednak ku tobie żal pełny goryczy,
Żal córki, siostry, pozostał głęboko.

Lacki.

Och! czuję, czuję, co ciebie odkłania,
Widzę z rozpaczą mą dolę złowrogą!
Ależ twój ojciec wyjdzie z obłąkania,
Piękną twą wioskę odbudować mogą.
A ja z uczuciem synowskiém a świętém
Jegobym stare pielęgnował lata!

Helena.

Zawszebym jednak patrzała ze wstrętem,
Jak na mordercę jedynego brata.
O! zapomnijmy tę przeszłość minioną!
Nie dla mnie szczęście w miłości człowieczéj.
Pójdę na boże przytulić się łono,
Klasztorna cela może mię uleczy...
Czemu łza w oczach, źrenica tak pała?
Czemu z twych piersi ten jęk się wyrywa?

(*Biorąc go za rękę z rozrzewnieniem*).

O! nie chciéj Jerzy, bym ciebie kochała,
Bo będę bardziéj... bardziéj nieszczęśliwa!
Czy chciałbyś twojéj nieszczęścia niebodze?
Jedź, jedź ztąd prędzéj... spełnij chlubne dzieło,
Szczęście i sławę znajdź na twojéj drodze...

(*Po chwili, wzruszona*):

I zapomnienie tego, co minęło.

(*Ściska mu rękę i śpiesznie odchodzi*).

SCENA DZIEWIĄTA.

Lacki *sam.*

(Osłupiały).

Sen to... czy prawda?... Ależ prawda przecię:
Głosu jéj słyszę ostatnie odbicie...
I ja sam jeden zostaję na świecie...
Życie bez jutra, bez nadziei życie.
Więc mi niewolno marzyć nawet we śnie...
Więc bez powrotu moje szczęście znika!
Nigdy, mój Boże... nigdy mi nie wskrześnie,
Nikt go nie wrócil...

SCENA DZIESIĄTA.

Wchodzą KRÓLOWA, WOJEWODA, STRZEMIEŃ *i* PAZIOWIE.

Królowa *(do Lackiego).*

Marya Ludwika
Zna twoją boleść, mości panie Lacki.
Wiem, ile cierpi to biedne niebożę;
Lecz Bóg dał władzę królowéj sarmackiéj,
Że łzy poddanych jeszcze otrzeć może.
Swemu królowi kto tak wierność chowa,
Kto jéj dowodzi i krwią, i zasługą,
Spraw jego serca strzedz będzie królowa,
I nie pozwoli, aby cierpiał długo.
Bądź dobréj myśli,—my ręczymy sami,
Bógdajby nasza zdała się opieka!

A teraz na koń, — pośpieszaj z listami,
Bo pan Sieniawski niecierpliwie czeka.

(*Podaje mu rękę do ucałowania, Lacki ją z uszanowaniem całuje*).

(*Zasłona spada*).

AKT CZWARTY.

(*Rzecz w Gdańsku*).

Mała izba straży przed królewską salą obrad; dwaj halabardnicy stoją u drzwi na lewo. Zegar bije dziesiątą: za ostatniém uderzeniem kortyna się podnosi.

SCENA PIERWSZA.

Dwaj HALABARDNICY, *potém* GNOIŃSKI *wchodzi z téjże strony.*

Gnoiński (*do siebie*).

Zobaczę króla o dziesiątéj rano...
Spowiedź méj zbrodni on wysłucha bacznie.

(*Wchodzi do izby; Halabardnicy krzyżują przed nim halabardy*).

Pierwszy Halabardnik.

Teraz nikogo wpuszczać nie kazano.

Drugi.

Za pół godziny obrada się zacznie.

Pierwszy.

Potém sąd będzie, co wymierza kary,
Sąd, który żadnéj zbrodni nie przebacza.

Gnoiński.

Powiedz królowi, że przyszedł dziad stary
Oddać swą głowę pod topór siepacza,
Co zabił syna... rozumiesz, kolego?...
Wnet król jegomość przywołać mię każe.

Pierwszy z Halabardników.

Żeś zabił syna, a co nam do tego?
My tu w przedsionku odprawujem straże.
Wejść tu niewolno!...

Gnoiński (*nieprzytomnie*).

Idę wedle prawa!
Mój syn... uważasz... jął się szwedzkiéj strony
I został szpiegiem Karola Gustawa.

(*Cicho do Halabardnika*):

Ja go zabiłem...

Halabardnik.

Jakiś dziad szalony!

Gnoiński.

Sprawie królewskiéj usłużyłem szczerze,
Ale zgrzeszyłem... pokuty mi trzeba.
Niech prawny wyrok życie mi odbierze,
Mocą statutu chcę trafić do nieba.
Idę grzech wyznać przed sądową kratą.

Halabardnik.

Niewolno!...

SCENA DRUGA.

CIŻ i LACKI.

Lacki (*do Halabardników*).

Wpuścić!... niech stanie przy kracie.
Ja sam królowi odpowiadam za to.

(*Halabardnicy wpuszczają starca*).

Lacki (*do Gnoińskiego, wchodząc do izby*).

Ojcze mój drogi! czegoż tu żądacie?

Gnoiński.

Ha!... to pan Jerzy... Pamiętasz tę żmiję,
Jak w samo serce przebodłem pacholę!

(*Z zapałem*):

Głowę położę i syna zabiję,
Lecz sprawy króla zdradzać nie pozwolę!
Powiem królowi, w czém jest moja zbrodnia,
Niech wedle prawa ukarać mię raczy.
Wszak my śmiertelni umieramy co dnia,
Dzisiaj z podagry, a jutro z rozpaczy.
Lecz córka moja!... zamęźcia tak blizka!
Miałeś być mężem... nikt cię nie nalega...
Bo ona biedna aż dwa ma nazwiska:
Córka zabójcy, albo siostra szpiega.

Lacki.

O jak bolesno słyszeć w ustach ojca
Tak obelżywe dla córki nazwanie!

(*Głośno z przyciskiem*):

Tyś nie zabójca!

Gnoiński.

Jakto nie zabójca?
Zabiłem syna...

Lacki.

Twój syn żyje, panie!

Gnoiński.

Żyje!... czy prawda?... Gość niespodziewany
Zkąd wraca: z ziemi, czy z piekielnéj strony?
Gdzie jest?

Lacki.

W więzieniu... Wyleczył się z rany
I tu do Gdańska przed króla stawiony.

Gnoiński.

Sądzić go będą...

Lacki.

Dziś wedle rozkazu
Sąd tu się zbierze, zwołany umyślnie.

Gnoiński.

O! czemu raczéj nie umarł od razu!
Gnoińskich imię kat haúbą wyciśnie
Na zaszczyt ojcu, na pociechę siostrze,
Na pamięć wiekom. O! nie doczekacie!
Gdzie jest mój sztylet? Lepiéj go wyostrzę,
Uprzedzę ciebie, niedołężny kacie!...
Gdzie jest więzienie? O! będzie mi słodziéj
Zabiwszy syna, co swe imię plami!
Idę...

Lacki (*do Halabardników*).

Nie puszczać, niech ztąd nie wychodzi.

(Klęka przed Gnoińskim).

Ojcze! zlituj się nad sobą, nad nami!
Wyrok królewski los jego osłodzi!

(Słychać za sceną dzwonek. Sadza starca na krześle za kolumną).

Słuchaj go, ojcze, ze spokojną twarzą.

(Znowu dzwonek).

Podwójny sygnał, oto król nadchodzi.

(Do siebie):

W téj chwili losy ojczyzny się ważą...

SCENA TRZECIA.

Podnosi się środkowa zasłona, widać stół długi, ostawiony krzesłami jak do obrady. Wchodzą senatorowie.

KANCLERZ KORONNY, MARSZAŁEK KORONNY, *za nim* CZARNIECKI.

Marszałek koronny.

Więc powiadacie, panie kasztelanie,
Że powodzenia Szwedów już ostatki?

Czarniecki.

Na ziemi naszéj niech tylko król stanie!
Naród bez króla, jak dzieci bez matki.
Czyż z Gdańska, mimo swe chęci gorące,
Zdoła prowadzić układ wojny całéj?
Czy zdoła wzbudzić stronników tysiące,
Które na jedno słowoby powstały?

SCENA CZWARTA.

CIŻ i KRÓL.

Król (*wchodząc ściska Czarnieckiego*).

Panie Czarniecki! witajcie nam zdrowo!
Znowu Szwed doznał twojéj dzielnéj ręki.
Zniosłeś Steinboka siłę wyborową.
Ileż ojczyzna winna ci podzięki!
Łzami wdzięczności król u swego proga
Wita was tutaj, okrytego sławą.
Do wielkich nagród otwarta ci droga,
Boś się zasłużył mozolnie i krwawo.

Czarniecki.

Królu i panie! siłami wszystkiemi
Będę ci służył, gdzie się zręczność poda.
Od nieprzyjaciół zbawienie téj ziemi
To będzie moja najmilsza nagroda.
Ale to szczęście nieprędko się stanie:
Przy méj czujności, przy wojska odwadze,
Za wielka praca, najjaśniejszy panie!
Żebrzę pomocy, bo sam nie poradzę.
Po całym kraju rozleli się Szwedzi,
Hufiec po hufcu potrzeba ich znosić;
Moja troskliwość wszędzie ich uprzedzi,
Ale w narodzie nie masz ducha dosyć.
Lud całéj ziemi, jak stado pisklęce,
Gdy ptak drapieżny matkę mu odbierze;
Najwaleczniejsi załamali ręce
I najwierniejsi zachwieli się w wierze!
Wyjazd monarszy przejął kraj rozpaczą,
Ku wygnańcowi wzdychają żałośnie.
Wracaj nam, królu! Gdy ojca zobaczą,
To sercu dzieci odwagi przyrośnie.

Król.

Panie Czarniecki! już po kilka razy
Waszmość mię o to prosi i zaklina.
Boleje serce Kazimierza Wazy,
Lecz jeszcze wracać nie przyszła godzina.

Kanclerz koronny.

Głowa królewska za nadto nam droga!
Wśród niebezpieczeństw, pośród mrozów zimy,
Nie sposób wracać. Wszak pełen kraj wroga:
Czyż głowę pańską na szwank wystawimy?

Dokąd powracać? Kraków i Warszawa,
Obie stolice zajęte przebojem,
Rozpierzchły senat, podeptane prawa;
Cóż ma król polski czynić w państwie swojém?
Tu wojna obca, tu wojna domowa,
Wróg goni z tyłu, wróg czeka na przedzie;
Czy sejm zwoływać, gdy szlachty połowa
Trzyma z kim innym i na sejm nie zjedzie?

Czarniecki *(zbliżając się do króla uroczyście).*

W hełmie spędziłem dziecinne me lata,
W hełmie starości doczekałem siwéj:
Żołnierz za ojca, za waszego brata,
Dziś tobie służę, królu miłościwy!
Przychodzę pełen serdecznéj boleści
Donieść o klęskach, co cierpim w téj chwili;
Jakżebym słodko weselsze niósł wieści,
Żeśmy spokoju miłego dożyli!
Lecz promień jutrzni na niebios lazurze
Jeszcze nie zwalczył ciemności ponuréj;
Jeszcze północne nie przegrzmiały burze,
A już od Karpat gromadzą się chmury!
Chrześciańskiego imienia zakała,
Znalazł Rakoczy do Polski swą drogę,
Choć mu się żadna przyczyna nie dała;
Wszędy rozpuścił mordy i pożogę.
Prymas koronny, senatu zebranie,
Małżonka twoja, trwogą przerażona,
Tu mię przysłali, najjaśniejszy panie!
Śpiesz na ratunek ojczyzny, co kona!
Jeśli cię naród wśród siebie zobaczy,
Zdoła pokrzepić swą duszę zbolałą,

Nowego męztwa nabierze w rozpaczy,
Pokona wroga, albo umrze z chwałą.
Serca nam trzeba! daj nam serce, panie!
A żadna klęska już nas nie przestrasza.
Przebacz twe ciernie, przebacz twe wygnanie,
To wina losów, nie zaś wina nasza!
W imieniu rady twojego senatu,
W imieniu ludu, co dzisiaj bez chleba,
W imię królowéj, co wzór daje światu,
Jak kochać naród i męża potrzeba,
W imieniu starców, i niewiast, i dzieci,
W imieniu dziejów, co-ć gotują kartę,
W imieniu świątyń, które rok już trzeci
Stoją w pustkowiu zbójecko odarte, —

(*Klęka*).

Błagam cię! wracaj, królu nasz dostojny!
I spraw krajowi piękny dzień wesela,
I daj nam hasło, — a my pożar wojny
Niech ugasimy krwią nieprzyjaciela!...

Król.

Powstań, Czarniecki! Bohater nie klęka,
Chyba w modlitwie kiedy się rozczula.

(*Podaje mu rękę i podnosi z ziemi*).

Twoja, zwycięztwem namaszczona, ręka
Niech podtrzymuje rękę twego króla!
Tyś mię przekonał: jadę do was, jadę,
Niech sercem waszém mą boleść osłodzę.

(*Do Kanclerza*):

Na wieczór zbierzcie senatorów radę;
Jutro przed świtem będziemy już w drodze.

(*Do Czarnieckiego*):

Panie Czarniecki! na żołnierskiém siodle,
Wszak wiesz sam o tém, trudna równowaga;

Jednak nie spadnie, nie zbłoci się podle,
Kto miłosierdzie u Niebios wybłaga.
Trzeba jutrzenki, by rozpędzić chmury:
Swoją jutrzenkę wszak mają niebianie!
Królowa niebios, Panna z Jasnéj Góry,
Królową naszą niech odtąd zostanie.

Wszyscy obecni *(uroczyście wznoszą ręce).*

Na wieki, Amen!

Król.

Kiedy plan się zmienia,
Kiedy tu zostać nie mamy już dłużéj,
Czy są jakowe sprawy do sądzenia,
Byśmy je mogli skończyć do podróży?

Kanclerz.

Jest jedna sprawa, co twe serce zrani,
Bo tu potrzeba użyć miecza kary!
Chciałbyś, monarcho, by twoi poddani
Żyli szczęśliwi, wierni cnocie staréj;
Lecz sprawiedliwość, co sądzi i karze,
Tamę królewskiéj łaskawości kładzie.
Każdego czasu bywają zbrodniarze,
A cóż dopiero w krajowym bezładzie?
Gdy jedni idą bronić praw korony,
Życia i zdrowia nie mając na względzie,
Drudzy przechodzą do przeciwnéj strony,
Widokom wroga służyć za narzędzie.

Król.

Szalony obłąd rozszerzył się razem,
Miecz buntowniczy w krwi bratniéj się pławi;
Na polu bitwy gromim ich żelazem,
Lecz dla pojmanych musim być łaskawi.

Kanclerz.

Na polu bitwy umniejsza się wina,
Jeżeli zdradę co umniejszyć może.
Ale kto listy Siedmiogrodzianina
Nosi do Szweda w przybranym ubiorze,
Raz uwolniony wyrokiem łaskawym
Na téjże zbrodni schwytany na nowo,
Czyż niepowinien ugiąć się przed prawem
I ciężką zbrodnię okupić swą głową?

Gnoiński *(który aż dotąd siedział osłupiały, zrywając się).*

To o nim mowa! Puść mię, panie Jerzy!...
Prawda... wszak jeszcze żyje ta potwora!

Lacki.

Obrad sądowych mieszać nie należy,
Wkrótce stosowna nadarzy się pora.

Król.

Tam, gdzie nagradzać trzeba towarzysze,
Zawsze i chętnie król polski nagradza;
Ale wyroków śmierci on nie pisze:
Na to są grody, jest hetmańska władza.
Choć mię oburza wszelki czyn zdradziecki,
Lecz może zdoła zmiejszyć się ohyda.
Wódz nasz najwyższy, pan Stefan Czarniecki,
Niech to roztrząśnie i wyrok swój wyda.

Czarniecki *(przejrzawszy podane sobie przez Kanclerza papiery).*

Ja znam tę sprawę, najjaśniejszy panie!
Jam go raz pierwszy uwolnił od kary.
Dziś niepodobne twoje zlitowanie,
Bo winowajca przewinił bez miary.

Król.

Któż jest ów zbrodzień?

Czarniecki.

Z Gnoińskich rodziny,
Imieniem Krzysztof—ród znany u świata.

Król.

Jakaż jest kara za podobne winy?

Czarniecki.

Wieczna niesława i śmierć z ręki kata.

Gnoiński *(do Lackiego).*

Moje nazwisko... i kat w jednéj parze...
Pójdę go zabić, by méj czci nie mazał.

Król *(do Kanclerza).*

Lecz prawo nasze zbyt surowo karze.

Kanclerz.

Sam własny ojciec już na śmierć go skazał:
Gdy się dowiedział o jego niesławie,
Sam przebił piersi wyrodnego syna.
Nieszczęsny młodzian już legł trupem prawie,
Ale w szpitalu gdy zdrowieć poczyna,
Wzięty w więzienie, czeka swych wyroków.

Gnoiński *(do Lackiego).*

Puszczaj mię, Jerzy!.. ocalę nędznika...

SCENA PIĄTA.

CIŻ *i* GNOIŃSKI, *za nim* LACKI *wychodzą z ukrycia.*

Gnoiński *(klękając przed królem).*

Królu i panie! wyzwólcie go z oków,
Niechaj kat głowy jego nie dotyka.

Ja jestem ojciec... och! boli mię serce!
Wszak imię moje ma w kraju zasługi...
Czuję, że trzeba zabić przeniewiercę!
Ja sam go, królu, zabiję raz drugi,
Ugodzę lepiéj... i sam się zabiję!
Nie chcę przebaczeń, prawo nie przebacza;
Tylko od hańby zachowaj mu szyję,
Zachowaj imię od ręki siepacza!

Król.

Co widzę!... to wy... to wy w saméj rzeczy,
Stary Gnoiński!... Pamiętasz, pod Żwańcem
Tyś nam sto koni przysłał ku odsieczy,
Gdyśmy już stali nad przepaści krańcem.
Dobrze nam tamta pamiętna wyprawa!
Przyrzekłem wtedy, że ci się odsłużę.
Lecz dzisiaj... przebacz... muszę słuchać prawa,
Prawo jest z głazu... a to praw są stróże!
(*Ukazuje Czarnieckiego i Kanclerza*).

Gnoiński.

Krzywdzisz mię, królu! Czyż ja przypomniałem,
Żem dał pod Żwańcem twój obrot zwycięzki?
Wszak powinienem i duszą, i ciałem
Monarchę mego obraniać od klęski.
Swéj powinności nikt nie przypomina;
Lecz w imię prawa znieś wyrok sądowy.
Niech własną ręką zamorduję syna,
Byle kat jego nie dotknął się głowy.

Kanclerz (*do Czarnieckiego*).

To Brutus rzymski!...

Gnojński.

Nie... Brutus bez drżenia
Skazał swe syny pod topór najprościéj;
Lecz chrześcianin inaczéj ocenia
W rodzinnym domu swoje powinności.
Nie dla oklasku, który gmin omami,
Lecz dla ofiary wypełniając cnotę,
Winien, jak Chrystus, ze krwią i ze łzami
Krzyż swojéj męki zanieść na Golgotę.

Król.

Wybijcie myśli rozpaczliwe z głowy;
Z senatorami pomówię w téj sprawie.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ *i* PAŹ.

Paź.

Przybywa tutaj część dworu krolowéj,
Która ze Szlązka ciągnie ku Warszawie.
Wiedząc, że teraz król jegomość pono
Wracać do Polski powziął zamiar stały,
Chce, by pod jego rycerstwa zasłoną
Słabe niewiasty bezpieczniéj jechały.

Król.

Kędyż są listy?

Paź.

Jedna z dziewic dworu
Wnet je przyniesie.

Czarniecki (*z niechęcią*).

Tak!... tak, nie inaczéj...

Królowa jéjmość za wiele honoru
Biednym żołdakom okazywać raczy,
Gdy nam potrzeba lecieć dniem i nocą,
Być w Częstochowie za trzy dni najdaléj...

Król *(z uśmiechem).*

Panie Czarniecki, nie każdy z rycerzy
Równie niechętny na orszak dziewiczy.
Toż córki polskie, nam strzedz ich należy.
Zresztą, cóż począć? Tak niewiasta życzy,
Nam trzeba słuchać....

SCENA SIÓDMA.

CIŻ *i* HELENA *(zakłopotana wchodzi z listem w ręku).*

Helena.

Najjaśniejszy panie!
Przebacz... że tutaj.... że wchodzę tak śmiała.
Ale królowéj przynoszę pisanie;
We własne ręce oddać je kazała.

(Oddaje list, który król otwiera i bacznie czyta).

Helena *(postrzegając ojca).*

Ojcze, tyś tutaj... Jakżeś niespodziany!
O, co za szczęście!...

(Ściska go).

Ty patrzysz tak smutnie!...

Gnoiński.

Wiesz.... brat twój żyje.... wyleczył się z rany.
Teraz jest więźniem.... kat głowę mu utnie!
Tak każe prawo.... tak chce król i wodze:
Trzeba oczyścić z gadów ród człowieczy!

Zhańbił nam imię, podeptał nas srodze
W obliczu całéj Pospolitéj Rzeczy....

Helena.

Ale on żyje!... czy pewno, że żyje?
Czy to jest prawda?...

(Do Lackiego):

Prawdaż, panie Jerzy?

Gnoiński.

Jeszcze zbrodniczéj nie ścięto mu szyje,
Ale już ona do kata należy.
O córko moja! niedawno, dziś rano,
Gryzłem sumienie o jego zabicie.
Chciałem wybłagać, aby mię skarano,
Przyszedłem oddać moje własne życie.
Ale on żyje... w łańcuchy gdzieś dzwoni,
A na mym domu niezmazana skaza.
O! bądź przeklęta, niedołężna dłoni,
Żeś głębiéj w serce nie wbiła żelaza!

(Król, odczytawszy list, pokazuje go Czarnieckiemu i Kanclerzowi, i naradza się z nimi).

Helena.

Ojcze! daremnie swą ranę jątrzycie,
Jest jeszcze pora.... zaradzić się zdoła.
Tu król przed nami.... wybłagamy życie...

Gnoiński.

Ale mu hańby nie zetrzemy z czoła!
Nie, moja córko! z sakwami i z kijem
Pójdziem ztąd zaraz w jakiś kraj daleki;
Sponiewierane nazwisko ukryjem,
Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.

Wychodź ztąd prędzéj, córko nieszczęśliwa,
Dopóki hańby nie masz na twém czole!
(Helena chce uklęknąć przed królem, Gnoiński ciągnie ją ku drzwiom).

Kanclerz *(głośno).*

Panie Gnoiński, król jegomość wzywa,
Chce ci objawić swoją pańską wolę.
(Gnoiński staje osłupiały).

Król *(podchodząc ku niemu łaskawie).*

Najmilszą gorzkich dni moich osłodą
Jest łzy ocierać, łagodzić niesnaski.
Dziś za obecnych senatorów zgodą...
(Ukazuje Czarnieckiego i Kanclerza).
Mam prawo użyć królewskiéj méj łaski.
Dzisiaj niewolno, by ktoś łzę miał w oku,
Kiedy król wraca, a kraj żyć poczyna.
(Do Kanclerza):
Panie kanclerzu! powiedz treść wyroku,
Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

Kanclerz.

Syn wasz w téj chwili swobodnym zostanie,
Król piętno hańby z jego czoła ściera.
Niech w obce kraje idzie na wygnanie,
I tam niech obce nazwisko przybiera.
A gdy się dowie, że te nasze kraje
Przestało miotać wojenne igrzysko,
Śmiało przed króla majestat niech staje,
A król mu wróci łaskę i nazwisko.

Gnoiński *(z niedowierzaniem).*

Więc hańba zdjęta?...

Kanclerz.

Całkowicie zdjęta.

Gnoiński.

I syn mój żyje?

Kanclerz.

Wnet wolność mu damy.

Gnoiński.

Dzięki Ci!... dzięki, Opatrzności święta!
Więc ja nie zbójca, a mój dom bez plamy?...
Więc moje imię jeszcze jaśnieć może
Po całéj Litwie i całéj Koronie?
O! pozwól królu, niechaj pancerz włożę,
Niech całe życie twojéj sprawy bronię!
Jak młody harcerz, dosiędę rumaka,
Najwaleczniejszych prześcignę hussarzy!

Helena.

Dzięki ci, królu! Dawno radość taka
Na jego smutnéj nie jaśniała twarzy!

Król (*do Gnoińskiego*).

Służba waszmości wdzięczną mi zostanie,
Trzeba nam mężnych w tę nieszczęsną porę!
Ale, skazując syna na wygnanie,
Twojéj starości musim dać podporę.
Pisze królowa, że ta młoda para
Dawno się kocha i jest narzeczoną:
Niech się pan Lacki troskliwie postara
Być siwéj głowy rycerską ochroną.
Stawił się mężnie, kędy wódz go użył,
Wierność dla tronu chował najszlachetniéj;
Dobrze się Lacki krajowi zasłużył,
Król mu dziękuje, los jego uświetni...
Dacież mu córkę?..

Gnoiński (*ściskając Lackiego*).
Miał ją mieć niebawem,
Kiedy nieszczęście spadło nam na głowy

Król (*do Heleny*).
A cóż wy na to?

Helena.
Dla mnie świętém prawem
Wola mojego króla i królowéj.

(*Król łączy ręce Lackiego i Heleny*).

Lacki.
Królu! czym godzien twéj łaski tak wiele!

Gnoiński (*upojony radością*).
Gdzie jest mój pałasz... mój pancerz z żelaza?
(*Do Lackiego*):
Na koń, mój Jerzy, po wojnie wesele!
Teraz...
(*Wznosi czapkę do góry*).

Wszyscy (*uroczyście*).
Niech żyje Jan Kazimierz Waza!

Czarniecki (*uderzając po ramieniu Lackiego*).
Nie szczyptą soli, ani glebą roli
Szlachcic się polski chlubi i bogaci.
Przetrwaj, co ciało i co serce boli,
Znajdziesz nagrodę w duszy twoich braci!
Takie polskiego wojownika cele;
Przy nich nie padnie na twe serce skaza.
Na koń, mój Jerzy... po wojnie wesele!
Teraz...
(*Podnosi w górę czapkę*).

Wszyscy.
Niech żyje Jan Kazimierz Waza!
(*Otaczają króla, zasłona spada*).

1859. Wilno.

NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU.

OSOBY:

ROŚCISŁAW—długoletni aktor.
GŁOS DZIECKA (za sceną).

Rzecz dzieje się w lesie.

Las—w głębi widać strzelecką chatę—z po za gałęzi drzew przegląda. z daleka miasto.

Rościsław (*ze strzelbą wbiega prędko i ukazując ręką ku miastu*)

Ha! już mię nie zobaczysz, miasto ukochane!
Tutaj, w lesie, z naturą i Bogiem zostanę.
Dość być służalcem chwały i złotego cielca...
Ot tę małą lepiankę najmuję od strzelca
I pocznę insze życie... O, dawno już pora!
Nie czekać, aż się słońce schyli do wieczora.
Czas jeszcze wskrzesić w piersiach siłę obumarłą,
Z której mię gwarne miasto niewdzięcznie odarło;
Czas, niechaj spracowane odetchną ramiona.
Precz ode mnie, ohydna masko histryona!

(*Czyni gest, jakby zdzierał i rzucał maskę*).
(*Usiada na pniu drzewa, zamyśla się i po pauzie mówi*):

Och! pamiętam, pamiętam ten zapał młodzieńczy,
Kiedym wierzył, że sława me skronie uwieńczy,

Garrick, Talma gdy byli moim ideałem;
Gdy na błękicie niebios ich imię widziałem,
Wypisane gwiazdami—kiedym nieoględny
Chciał podlecieć aż do nich, jak meteor błędny,
Czcząc jak bóztwo Szekspira albo Moliera;
Gdy czułem, jak ich ogień me piersi pożera.
Jaki wtedy marzący, jaki byłem czysty!
Och! nie znacie młodzieńczych urojeń artysty!
Śmiało—mówiłem—śmiało pójdę po ich drodze!
Imię unieśmiertelnię i sercu dogodzę.

(*Zamyśla się, potém się śmieje ironicznie*):

Cha, cha, cha! i płacz, i śmiech, gdy się w tém roz-
[patrzę...
Dościgłem wreszcie szczęścia, zostałem w teatrze;
Na głowę, rozognioną wspaniałym obrazem,
Jakby z trumny otwartéj, chłód zawionął razem.
Tu tłum drobnych zawiści, tłum poziomych celi,
Nikt młodzieńca nie garnie, nikt go nie ośmieli;
Zamiast przyprawić skrzydła, by latały chyżo,
Ściągną cię z nieba marzeń i ku ziemi zniżą.
Wreszcie, gdy dostatecznie duch był wyziębiony,
Ubrali w szmat purpury, w fałszywe galony,
I wywiedli na deski napełnionéj sali,
I króla, czy tam zbójcę, udawać kazali.

(*Po pauzie*):

Cha, cha, cha! chciałem każdą przejąć się osobą,
Bo tu już moich sędziów widziałem przed sobą.
Publiczność!! wielkie słowo!—śmiały będę, śmiały,
Chociaż głos trząsł się w piersiach, a kolana drżały.
Grałem... grałem bandytę... i byłem bandytą,
Oklasku mi nie dano... wieńca nie uwito,
Odszedłem, zapłakawszy... gdzież tu moja chwała?

Chciałem śmieszyć publiczność—lecz się nie rozśmiała.
Więc osądzili starsi, że ją głos poruszy,
Kazano dla niéj śpiewać—zatykano uszy.

Do méj zimnéj izdebki wróciwszy po scenie,
Gryzłem ziemię w rozpaczy, ryczałem szalenie;
Lecz gdym zbolałą głowę złożył na pościeli,
Znowu mistrzowie sztuki przede mną stanęli.
I nieraz Talma we śnie prawicę mi poda:
„Trudno... trudno, młodzieńcze, lecz wielka nagroda!“
(*Usiada na pniu drzewa*).
Ha! nakoniec doszedłem nagrody i łaski:
Publiczność raz i drugi dała mi oklaski;
Byłem rad, gdy me imię wołano z zapałem,
Alem się opamiętał i znów zapłakałem.
Miałem wiele oklasków! Przejdźmy je koleją:
Płaczą nad Rinaldinim, z Hamleta się śmieją;
Cyd ich nudzi, że długi, Molier nie bawi,
Fredry, naszego Fredry, widzieć nie ciekawi!
Nieraz rzekłem do siebie, gdym otoczon blaskiem:
Wszak oklask jest szyderstwem, szyderstwo oklaskiem!
Kto widzi dzisiaj w sztuce powołanie boże?
Czy dziś Garrick lub Talma urodzić się może?
Minęły wieki święte, hołdujące sztuce...
(*Zrywa się*).
Nie chcę was! nie chcę miasta! na zawsze je rzucę!
(*Ogląda się w koło siebie*).
Co inszego natura! och, to nie kulisa!
Jak ta wierzba płacząca do potoku zwisa!
Jak się wdzięczy ta brzozka pięknie, choć po prostu!
Czuć od niéj tchnienie wiosny, nie farbę pokostu.
Ten strumień, ten wiatr cichy, co szumi po niwie,

To nie nasza orkiestra, grająca fałszywie;
A to rannego słońca między liśćmi drżenie,
To nie lampy ołejne, co czadzą na scenie!
A ten kwiat!—tu mi wszystko uspokaja duszę.
Nie chcę sceny i na krok już ztąd nie wyruszę.
Czas odpocząć po trudach—tu i chatka blizko,
W chacie biednego strzelca najmę przytulisko;
Pójdę z nim się rozmówić...
(*Idzie da chaty i puka w okno*).
Czy gospodarz w chacie?

Głos dziecinny za sceną.

Ojciec prędko powróci, może poczekacie,
Lecz do chaty niewolno wpuszczać mi nikogo,
Bo nasze złe brytany pokąsać was mogą.
W lesie bez psów niemożna—to stróże jedyne,
A ojciec pewnie wróci na siódmą godzinę.

Rościsław (*patrząc na zegarek*).

Teraz jest w pół do szóstéj... to poczekam sobie.
(*Wychodzi na przód sceny*).
A co tam teraz nasi?... Teraz są na probie.
Dzisiejsze przedstawienie dość ich namozoli;
Dam gardło, że Otello nie umie swéj roli,
Bo dramat szekspirowski, to nie bagatela.
Wróćcie, wróćcie te czasy, gdym ja grał Otella!
Czarna maska na twarzy, zazdrość w każdym geście...
Młodociane dni moje, gdzie wy dziś jesteście?
Pamiętam, żem się kochał... że pałało łono
Moją miłością pierwszą, miłością szaloną.
Zazdrosny jak Otello i mściwy w potrzebie,
Gdym przebił Desdemonę, przeszedłem sam siebie.
Teatr drżał od oklasków! A teraz co oni?
Pan bohater sztyletu nie utrzyma w dłoni;

Słaby, czy się ubieli, czy poczerni sadzą...
Idę do nich... bo rady beze mnie nie dadzą.

(Słychać głos trąbki pasterskiéj).

Wstrzymaj się, zapaleńcze! Oto wiejska niwa
Głosem trąbki pasterskiéj nazad cię przyzywa.
A tyś po co do miasta?... a czyż ci nie pora
Przestać żyć trupiém życiem z rana do wieczora,
Od nudy śmiać się głośno, a ziewać po cichu,
Lub wypijać bez smaku kielich po kielichu!
Słuchać miejskiego gwaru, co ci mózg przewraca,
Albo włożyć na nowo sukmanę pajaca!
Nie! zostań tu pod cieniem słomianéj zagrody,
Żyj czarnym kęsem chleba i konewką wody,
Zaprowadź pszczoły w ulach, gołębnik na strzesie...

(Słychać z bardzo daleka szczekanie psów i trąbkę myśliwską).

Lub weź strzelbę na plecy i zapoluj w lesie,
Lub idź z pługiem na rolę—praca cię ożywi;
Spraw zieloną sukmanę, jak noszą myśliwi!

(Po chwili):

Tak! zielona sukmana pamiętną zostanie:
Grałem niegdyś *Freischütza* w zielonéj sukmanie,
Grałem w *Huzarach* Fredry, to wszystko nie fraszka;
W *Doktorze Medycyny* grywałem wujaszka.
Te zielone sukmany—przypominam sobie,
Widzę je rozwieszone rzędem w garderobie.
Grzmiały liczne oklaski i w krzesłach, i w loży.
O, zielone sukmany! któż je po mnie włoży?
Raczéj wioski i lasu wyrzeknąć się wolę,
Pójdę grać w tych sukmanach—bo to dobre role...

(Opamiętywa się).

Wabi cię histryońska zielona sukmana,—
Ha! wszakże i ta puszcza zielono ubrana!

Ostre zielone kolce na jodle lub sośnie,
Ale ten najostrzejszy, co do serca wrośnie.
Chcesz westchnąć, by wyrazić dolę, czy niedolę,
To cię w serce ukąsi jakby żądło pszczole.
Ha! i z tym ostrym kolcem, co mi pierś miał przeszyć,
Trzeba było na scenę iść i ludzi śmieszyć,
I nieraz igrać w piersiach ze śmiertelną raną,
I wykrzywiać do żartów twarz łzami zalaną...
Z czasem się wyuczyłem téj sztuki kuglarzy:
Nigdy łzy nie popsuły bielidła na twarzy,
A kiedy się uśmiecham, gdy wesołość kłamię,
Nie obmyły rumieńca kupionego w kramie.
W témże całe zadanie, w tém tryumf artysty:
Poświęcić dobru sztuki swój ból osobisty.
Tak się idzie do chwały nieśmiertelnych celi,—
A czyż wielcy mistrzowie, jak my, nie boleli?
Wielkość ludzka zależy na dźwiganiu krzyża;
Jednego boleść wznosi, drugiego poniża.

(Po pauzie):

I ja krzyż mój dźwigałem—niech mnie teraz wzniesie,
Nie tam pomiędzy ludźmi, ale tutaj, w lesie,
Gdzie się jakaś zbawienna tajemnica chowa,
Gdzie z Bogiem i naturą łatwiejsza rozmowa,
Gdzie, jak Szekspir powiada...

(Zamyślony usiada znowu na kłodzie).

Tak, Szekspir powiada...
To był wielki filozof, poeta nielada!
Ale wcielić się sobą w jaką jego postać,
Kolosalnym Otellem lub Hamletem zostać,
Przeznać geniusz mistrza, by z potęgą całą
Oddać jego utwory, to i życia mało!
A ja chciałbym w pół życia rzucić sztukę wzniosłą!

Więc cała moja przeszłość, to było rzemiosło?
Więc gdybym się innego pochwycił za młodu,
Dziś miałbym więcéj szczęścia — i więcéj dochodu?
O, nie!—dajcie mi pieniądz—ja go wam odrzucę;
Nie chcę szczęścia, jeżeli nie znajdę go w sztuce!
Jednéj pragnę nagrody za mój zawód cały:
Skonać na deskach sceny, wśród oklasków chwały.

(*Wstaje*).

Sława!... co to jest sława?.. dym... bańka mydlana,
Dzisiaj głośna u świata, jutro zapomniana,
Błahe cacko dla dzieci... a jednak rozżarza
Bohatera do cnoty, do zbrodni zbrodniarza.
Dla niéj, ażeby sławne zostały imiona,
Herostrat kościół pali, Milcyades kona,
Napoleon upada wśród śnieżnych zamieci,
A nędzny wierszokleta epopeję kleci;
Nawet skoczek na linie po wawrzyny sięga...
W sławie jest ludzka śmieszność i ludzka potęga.
Lecz, jak mówi poeta, jest poczciwa sława,
Co nam skrzydła umacnia, piersiom głos nadawa,
Co nas po to ognistym promieniem ogarnie,
Byśmy w drogach ludzkości stali za latarnie,
Nasz wiek, naszą społeczność mieli pod swą wodzą...
Lecz tacy sławni ludzie wiekami się rodzą,
Z promieni nad ich głowy nam choć po iskierce
Godzi się dla nas żądać; tylko podłe serce,
Tylko dusza, w poziomych uczuciach skarlała,
Takiéj dla siebie sławy nigdy nie zachciała.
Ale czuję, że we mnie Bóg inną wlał duszę:
Ja chcę poczciwéj sławy! — i sławnym być muszę!

(*Uderza się ręką w czoło*).

Za późno!.. marzycielu, zbyt zarozumiały!

Idź raczéj teraz płakać na grób twojéj chwały,
Na grób tego, coś kochał; a chcesz odżyć dzielniéj,
To chyba w ciemnym lesie—to chyba w pustelni...
Lecz czy nie wrócił strzelec?—zapukam do chaty.

(*Puka w okno*).

Głos dziecka (*za sceną*).

Nie pukajcie daremnie, jeszcze nie ma taty,
Powróci aż pod wieczór.

Rościsław.

Moje dobre dziecię,
Powiedz mi: na téj puszczy z czego wy żyjecie?
I czy wam tu wesoło?...

Głos dziecka.

Ojciec lasu strzeże,
Albo w rzece na rybę zastawia więcierze;
Więc mamy trochę grosza, mamy kawał chleba,
Jest mleko z naszych krówek—czegoż więcéj trzeba?

Rościsław.

Poetyczna prostota! to dziecię nie kłamie.
Chciałbym widzieć tę chatkę w jakiéj wiejskiéj dramie.

(*Odchodzi na przód sceny i rozpatruje się dokoła*).

W środku byłaby chata z tą drewnianą ławą,
A tenbym dąb umieścił w kulisie na prawo,
A ten ul ze pszczółkami! effekt od parady!
Jużby nasz dekorator dał sobie z nim rady.
Rzuciłby tony zimne, a potém gorętsze,
Możnaby z tego *Okno* dać *na pierwszém piętrze.*
W drugim akcie pasieka—wyborny ul pszczoli.
Raz pamiętam... w téj sztuce nie umiałem roli.
Człowiek ciągle się miesza, ciągle bąki strzela,
A sufler, jakby na złość, upił się, jak Bela.

Nadstawiam pilnie ucha, mrugam nań ukosem,
A on ni w pięć, ni w dziewięć, coś mruczy pod nosem!
Położenie fatalne, jak nie często bywa!
Kiedy mi niespodzianie przyszła myśl szczęśliwa, —
A w roli byłem hrabią, co niby w podróży, —
Więc udaję znużenie, siła mi nie służy...
A zresztą, kołysany myślami sprzecznemi,
Zamiast usiąść na stołku, kładę się na ziemi,
I sekstern z rąk suflera wyrwawszy otwarty,
Calutką moją rolę odczytałem z karty.
Gestykuluję silnie, deklamuję żwawo:
Publiczność nie postrzegła i dała mi brawo!
I czy jedna przeszkoda! — ja miałem ich tyle!
Miło czasem przypomnieć te pocieszne chwile.

(*Uroczyście*):

O! to życie na scenie, to jak wieczne gody,
Życie czynne, braterskie, a pełne swobody,
Życie ciągłéj nauki, niewieńczone chwałą,
Co nie da zdrzemać sercu, by rozleniwiało.
Czyż ja dla spokojności to życie poświęcę?
Mam gnuśnieć w dzikim lesie, opuściwszy ręce?
To byłaby niewdzięczność — niewdzięczność obrzydła
Względem sztuki, co wzięła pod swoje mię skrzydła;
Względem braci, z którymi zjadłem beczkę soli
I przeżyłem lat tyle doli i niedoli;
Względem mistrzów, com niegdyś przedstawiał ich
[dzieła,
I względem publiczności, co mi przyklasnęła!
Nie! nigdy! Skonam raczéj.

(*Chce śpiesznie odchodzić*).

(*Waha się*).

Dobrze się zastanów!
A więc idziesz, szaleńcze, w ten tabór Cyganów,
Co się nazwał świątynią, u któréj ołtarzy
Już święty ogień sztuki dawno się nie żarzy?
Idziesz do towarzyszów, co zimni, nieczuli,
Nieraz cię intrygami i waśnią zatruli?
Idziesz do publiczności na jéj niewolnika,
Co cię dzisiaj przywoła, a jutro wysyka,
Co, staremi przesądy napojona z wieka,
Przyklaśnie aktorowi, lecz wzgardzi w nim człeka?...
Nie! nigdy! skonam raczéj w tym odludnym borze.

Głos dziecinny z chaty.

Ojciec z miasta powrócił!

(*Słychać z daleka bicie zegara*).

Rościsław (*zrywa się*).

Siódma! czy być może!
I w teatrze już grają — nieznośni partacze!
Otella w pierwszym akcie już dziś nie zobaczę.
Pośpieszmy!... prędzéj... prędzéj, może się dogoni.

(*Zwraca się do chatki*):

Bądź zdrowa! tyś nie dla mnie, lesista ustroni!
Na moje stanowisko jak żołnierz powrócę,
By służyć publiczności i hołdować sztuce.

1859. Wilno.

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ III.

UTWORY LIRYCZNE.

DO ***

Z pałaców sterczących dumnie
Znijdź, piękna, do mojéj chatki;
Tylko zabierz swe manatki,
Bo hołotę znajdziesz u mnie.

Święte pustki wszędzie, wszędzie,
Ale nie marz nic o chlebie;
Bo kochanek wierny ciebie
Czułościami karmić będzie.

Z rana ci wianek uplotę,
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczerzę śpiew słowika,
A na noc marzenia złote.

A gdy cię dumanie czyste
W niebieskie sfery uniesie,
Przez otwory w mojéj strzesie
Obaczysz niebo gwiazdziste!

1843. Nieświeź.

DO PRZYSZŁÉJ ŻONY.

Pani! chcesz wierszy, chcesz wskrzesić ducha,
Którego tak dawno tłumię;
Dziewica każe, poeta słucha,
I spełnia rozkaz, jak umie.

Ale okrutne pani rozkazy!
Nie umiem spełnić tak wiele,
Nie umiem znaleźć na słońcu skazy,
Wady w tak czystym aniele.

Ja tylko wielbić jestem ochoczy,
Ja tylko umiem być czuły.
Będę uwielbiał anielskie oczy,
Choć mi spokojność zatruły.

Pani to powie, żem nadto śmiały,
Że to wyrazy pochlebcze,
I moje szczere dla niéj zapały
Swą piękną nóżką podepcze...

1844. Nieśwież.

WSPOMNIENIE NIEŚWIEŻA.

SONETY.

1.

Wspomnienie.

Gdzie po dwuwiecznym gwarze cisza uroczysta
Zaległa Radźwiłłowskich złotych sal obszary,
W murach, co pamiętają byt świetny, byt stary,
Ja wlokłem dni powszednie, biedny biuralista.

W starym blaszanym hełmie chowałem cygary,
A otrząsłszy zbutwiałe malowidła z pyłów,
Kiedy wiatr bił do okna, zastawiałem szpary
Obrazami Ostrogskich, Sapiehów, Radźwiłłów!

W grobach, w gruzach, w gawędach i na starém płótnie
Tylko przeszłość przelotem swój cień zostawiła.
Czytałem po tych cieniach, bolejąc okrutnie,

Bom widział, że ta przeszłość, choć zmarła, nadgniła,
Jeszcze przy naszym wieku wyglądała butnie,
Jak wśród wioski nędzarzów rycerska mogiła.

2.

Miasto.

Małe i liche miasto stoi w rozwalinie,
Tu i owdzie wśród gruzów nowy mur się błyszczy,
Tu i owdzie wieżyce, klasztory, świątynie,
Póki czas ich nie pożre, burza nie poniszczy.

Małe i liche miasto, co stoi w ruinie,
Czyż komu łzę wywoła, ciekawość obudzi?
Wędrowiec je w przejeździe obojętnie minie,
Jak mijamy podeszłych, pospolitych ludzi.

Lecz ten starzec—to żołnierz, to bywalec może,
W ranach swych męztwa, w zmarszczkach ma dłu-
[gich lat dzieje,
Opowie ci swe losy, bitwy lub podróże...

Miasto ma swoją przeszłość, swoje przywileje...
Przestarzały pergamin?!—O, pożal się Boże!
Człek go już nie wyczyta i mól nawet nie je.

3.

Zamek.

Za szerokiém jeziorem, na krańcu krainy,
Sterczy kamienny starzec—i niekiedy z wieży
Długo, z wolna wydzwania ubiegłe godziny,
Nim ostatnią dni swoich godzinę uderzy.

W piersiach jego, jak w piersiach stuletnich żołnierzy,
Tylko pamięć na dawne zdarzenia i czyny.
Teraźniejszość z przeszłością pogardliwie mierzy:
Znał ojców—jakże śmieszne w jego oczach syny!

Czy odżyje? czy wskrzesi swoje dawne losy
Huczno, po Radźwiłłowsku?—Jeszcze ma nadzieję,
Jeszcze dziad śmiało strzela wieżami w niebiosy,

Jeszcze herby, obrazy i szpargałów stosy
Strzeże jak świętość... Boże! ta świętość spróchnieje,
Jak słowo bez znaczenia, roślina bez rosy.

4.

Groby Radziwiłłów

w kościele po-jezuickim.

Pod ogromną świątynią jest miejsce grobowe,
Jest sklepisko podziemne, w niém ołtarz i krata;
Daléj trumna przy trumnie—wszystkie hebanowe,
Wszystkie z dębu—w nich kości długie leżą lata.

Z trumien zgnilizna wieje, choć arystokrata
Przesiąkły balsamami złożył tutaj głowę.
Zgniły pany i panie—tylko trwalsza szata,
Szkielet, herb ci przypomni ich życia osnowę.

Swe imiona to złotem, to krwią nakreślili
W wiecznéj pamięci ludów lub na dziejów karcie!
Nie złorzecz... nie błogosław... oni ludźmi byli.

Cóż gdyby oni z grobów powstali w téj chwili?
Znówby bieżano do nich po łaski, po wsparcie,
Lecz oniby z pogardą oczy odwrócili....

5.

Alba.

Zwierzyniec Radziwiłłowski.

Ha! jak tu pięknie, miło, cienisto, zielono!
Wnijdź w aleje lip starych, w brzezinowe lasy, —
I myślą pradziadowską orzeźwij twe łono,
I przenieś twoją pamięć w pradziadowskie czasy.

Gdzie modlił się *Sierotka*, gdzie Karol zapasy
Wiódł ze zwierzem, obaczysz sarnę przepłoszoną;
Gdzie wrzały pełne życia Albańców hałasy —
Sterczy pałac na łące ruderą czerwoną.

Wyspa... kanał... tu może... Precz stare wspomnienia!
One ciężkie dla duszy. W sercu zniewieściałém
Może słodsze masz myśli i świeższe marzenia.

Może miłość?... Na trawie, co lipa ocienia,
Siądź, szczęśliwcze, i lubym nakarm się zapałem,
I ryj na korze cyfrę kochanki imienia...

6.

Święty Krzyż.

Opactwo Benedyktynów i mogiły miejskie.

Krzyż błyszczy po za lasem—daleko od miasta
Mieszkanie Eremitów bieleje tam w lesie,

A wysoko na górze, jak oko doniesie,
Jest kościoł — na około gęstwina zarasta.

Cisza... zaledwie czasem wiatr po liściach szasta,
Albo echo od dzwonów po wąwozach rwie się...
O! tutaj często dzwonią przy śmiertelnych kresie —
To gród trupi, ludniejszy od żyjących miasta.

Mogiła przy mogile, syny trupich kości,
Robaki odrażliwe, po ziemi się wleką,—
Trącasz nogą — to czaszka, w niéj gadzina gości.

Smutno ci? zmów pacierze, nie złorzecz nicości,
Szalony synu ziemi! bo dzień niedaleko,
Kiedy żywy zmarłemu grobu pozazdrości...

7.

Do Bogarodzicy
w Słuckiéj bramie.

Bogarodzico! ku litości łatwa,
Ty, co źrenicą czuwasz niezmrużoną
W bramie na warcie, aby Twoja dziatwa
Bezpiecznie spała pod twoją obroną?

O! strzeż tych świątyń, w których Syn Twój słodki
Odbiera od nas ofiary codzienne,
I strzeż te domy, te baszty kamienne,
Te rozwaliny — dawny gród Sierotki.

. . . .

1844.

NAD NIEMNEM.

Mętny Niemen i płowy,
Krętym wężem się toczy —
Bóg ci sprzyjaj, czółnowy!
Płyń wesoły, ochoczy.
Lecz on trwożną ma postać,
Prosty człowiek — wiadomo.
Och! gdyby mnie się dostać
Na płaszczyznę ruchomą!
Gdyby łodzi dać wolę
I bez steru, bez wiosła,
Płynąć w mętnym żywiole,
Gdzieby woda zaniosła!
Między fale mienione
Puścić czółen jak długi...
Póki w nurtach utonę,
Tożbym użył żeglugi!
Woda czysta, pienista,
Z moją łodzią się zetrze —
Człek na fali się chysta,
Jako ptaszek na wietrze...

. . . .

1844. Załucze.

ODA Z HORACYUSZA.

(Parodya).

Quem tu, Melpomene, semel
Nascentem placido lumine videris...

Komu raz, Muzo, usiądziesz na karku,
Tego już rozum nie złapie,

Ten już nie pójdzie hasać po jarmarku,
Jak Cygan na chudéj szkapie.

Już go głos trąby śmiertelnie zatrwoży,
Sława go z pieca nie zwabi,
Już on w teatrze nie zasiądzie w loży
Nakształt fircyka lub hrabi.

Za to ulubi gdzieś pod drzewem suchém,
Lub przy kałuży swéj wioski,
Ległszy do góry wychudzonym brzuchem,
Układać rymy i zgłoski.

Muzo! co umiesz i na dudce z łyka
Dziwną i słodką pieśń stwarzać,
Ty, która lubisz nawet i indyka
Łabędzim głosem obdarzać,

Tobie winienem mój obiad piątkowy,
Mą sławę, moje uczucie,
Oklaski, pustki kieszeni i głowy,
I łaty w moim surducie...

1844. Załucze.

SŁODYCZ MARZEŃ.

Nim zaświta los szczęśliwszy,
Jeden balsam na ranę:
Mądre myśli porzuciwszy,
Puszczać bańki mydlane.
Z niemi zgodnie, niezawodnie
Słodka myśl się rozhula.

Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
  O jak słodka cebula!

Los zawistny pędzi, gniecie
  Nieszczęśliwy ród ziemian;
Gromy, burze i zamiecie
  Uderzają na przemian;
Lecz coś klei myśl nadziei
  I pod skrzydła przytula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
  O jak słodka cebula!

O witajcie, myśli puste,
  Lube zamki w obłoku!
Człekby skwaśniał na kapustę
  Bez waszego uroku.
Przez was miłe nasze chwile
  Lecą szybko, jak kula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
  O jak słodka cebula!

Gdy mi serce cierń oplata,
  Chmury ciążą u głowy,
Niedowolen z tego świata,
  Tworzę sobie świat nowy.
Świat mój zgodny i niegłodny,
  Jakby pszczółki wśród ula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
  O jak słodka cebula!

Wszędzie kwiaty, wszędzie kłosy,
  Owoc pokrył aż liście,

Słychać pląsy i odgłosy,
  Lud się kocha ogniście;
Z dobréj woli na swéj roli
  I pracuje, i hula.
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
  O jak słodka cebula!

O! ten nie zna szczęścia dosyć,
  Kto nie umie radośnie
Na topieli gmachów wznosić,
  Zrywać gruszek na sośnie!
To rozkosze, wierzcie, proszę,
  Jak to bawi, rozczula!
Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę,
  O jak słodka cebula!

1844. Załucze.

TO I DOSYĆ.

Dzień po dniu nad głową płynie,
Biegą chwile, biegą lata,
Wraz, przelotny gościu świata,
Legniesz w ciasnéj *domowinie*.

Tam po niebios wysokości
Twój sierocy duch się zbłąka;
Tu w spróchniałe twoje kości
W pustéj trumnie szczur zabrząka.

A po zgonie trup twój blady
Będą grześć ceremonialnie:

Ksiądz żałobną mowę palnie,
Anioł Pański zmówią dziady.

Ona z pięknym płaczem włoży
Czarną szatę, jak do balu;
Druh poeta w dowód żalu
Na nagrobek wiersz ułoży.

Ot i wszystko twemu ciału!
Ziemskie pokryć ziemi bryłą.
Lecz gdzie myśl twa? duch zapału?
O! to zgasło, jak nie było!

Pamięć myśli, pamięć ducha,
Pamięć szczęścia, łez powodzi, —
To nikogo nie obchodzi,
To najprędzéj wiatr zadmucha.

Piosnko moja! w tobie tylko,
Co niebieskie, oddam Niebu,
W tobie przetrwam może chwilką
Dzień méj śmierci i pogrzebu.

Będą ciebie w mnogim tłumie
Ci potępiać, ci wynosić;
Lecz się znajdzie, kto zrozumie,
Westchnie ze mną — to i dosyć.

1845. Zalucze.

RUINY.

Tam na mogiłach szkielet człowieka
Patrzących na się nabawia strachu;
Odwracasz oczy — a tu z daleka
Błyszczy się szkielet starego gmachu.

W szkielecie człeka — pierś pustką stoi;
W szkielecie gmachu — wiatr wieje wszędzie.
Nie żałuj zmarłych — ród ludzki będzie
I w nowe gmachy ziemię ustroi.

Jeżeliś badacz, tego ci mało,
Wyszukaj starca — on ci opowie
I o człowieku, i o budowie,
Chwilkę przeszłości lub przeszłość całą.

Powie, co było z nimi przed wiekiem,
Powie, co z dawnéj wieści pamięta:
Kto, kiedy gmachu kładł fundamenta?
Kiedy trup człeka był jeszcze człekiem?

Od kiedy człowiek w mogile leży?
Od kiedy wichry grób jego zniosły?
Od kiedy runął zamek wyniosły?
I bocian złożył gniazdo na wieży?...

Każdy wypadek wiernie oznaczy,
Myśl twą zaniesie w dzieje przed laty,
Mieć będziesz wieści, mieć będziesz daty, —
Wszak tego dosyć dla was, badaczy.

Lecz jeśli, patrząc na pierś zczerniałą,
Zapragniesz zbadać pod kością zgniłą:
Gdzie wrzały czucia? gdzie serce biło?
I co się w sercu człowieka działo?

Lub jeśli ciebie kroki zawiodły
W pośrodek stosów strzaskanéj cegły,
I zechcesz wiedzieć, jakie tu biegły
Myśli, uczucia, zamiary, modły?

Napróżno słuchasz człowieka baśni,
Daremnie szperasz w pustéj budowie!
Kość nic nie powie, gruz nic nie powie,
Sąd ostateczny chyba wyjaśni.

1845. Załucze.

DUMANIE POETY.

(Fantazya).

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro,
Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
Co siedząć przy stoliku temperował pióro.

On szukał nowych myśli w swéj duszy odmęcie,
Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelném pieniem;
Ale myśli, przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnéj głowie poety osiadły kamieniem.

On po sklepieniu nieba wieszcze oko toczył,
I pół wieszczego pióra w wieszcze usta włożył,

I w wieszczym kałamarzu wieszczy nos umoczył,
I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

1845. Załucze.

Co się przyśni.

Jeszcze chwilka, o dziewico!
Na dobranoc oczkiem błyśnij,
Niech cię słodkie sny pochwycą,
Co się przyśni, to przyciśnij!

Może piesek ulubiony,
Kosz cukierków albo wiśni,
Może jaśnie oświecony;
Co się przyśni, to przyciśnij!

Może jeńcy staréj daty,
Podagryczni, lecz korzystni;
Może kwiaty, lub dukaty;
Co się przyśni, to przyciśnij!

Może zbrojny bót w ostrogi,
Może nawet ci się wyśni
Ten, co drogi, lecz ubogi:
Co się przyśni, to przyciśnij!

Bal czy chatka, którą marzą
Wierszokleci nierozmyślni,
Lub zwierciadło z własną twarzą;
Co się przyśni, to przyciśnij!

Gdy otworzysz piękne oczy,
Snów z pamięci nie rozpryśnij,
Bo w nich będzie sen proroczy;
Co się przyśni, to przyciśnij!

1845. Zalucze.

NIE JA ŚPIEWAM!

I.

Nie ja śpiewam, lecz duch boży,
Który piosnkę we mnie tworzy,
Co z miłości swéj ogniska
Promieniami w pierś mi tryska,
Od którego ciepła mięknę,
Chwytam w serce wszystko piękne,
Aż te czucia ręką bożą
Harmonijnie się ułożą,
I wydadzą dźwięczne gwary,
Niby struny u cytary,
I piersiowa moja deska
Niby harfa gra niebieska...
W pierś uderzam się ze skruchą,
Aż zabrzęczą struny głucho,
Coraz bardziéj, bardziéj głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

II.

Nie ja śpiewam, lecz lud boży,
Który piosnkę we mnie tworzy

I przez serce nitką żywą
W bratnie wiąże mię ogniwo,
I udziela, duszy gwoli,
Czucia doli i niedoli.
Bratnie szczęście, jęk lub skarga
Elektrycznie pierś mi targa,
I napełnia echem łono,
I rozbudza krew uśpioną.
Kładę na pierś rękę brata,
Wnet mi tętno zakołata,
Wewnątrz tony się rozleją,
To miłością, to nadzieją,
Coraz bardziéj, bardziéj głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

III.

Nie ja śpiewam, lecz świat boży,
Który piosnkę we mnie tworzy.
Puls przyrody bije we mnie,
Jak pluchoce fala w Niemnie,
Jak w litewskim szumnym borze
Gwarzą sosny w rozhoworze,
Jak wiatr kąpie moją głowę
I kołysze chmury płowe...
Oko, ucho, myśli moje
Wrażeniami temi poję,
I na oścież pierś rozwinę,
I zapraszam je w gościnę.
One lecą, w pierś się kładną
Harmonijnie a bezładno,

Wszystko żyje, brzęczy, hula,
Jak gromada pszczół wśród ula,
Coraz bardziéj, bardziéj głośno,
Aż te szmery w pieśń urosną.

1845. Załucze.

PIOSNKI.

Piosnka weseli duszę
I we śnie, i na jawie;
A czyż ja milczeć muszę?
A czyż ja piersi zdławię?
Słyszę z dziejów oddali:
Cóżem winien, że piszę,
Gdy ją spisać kazali?
Nie wie ptaszek, co kleci,
Przecięż śpiewa co rano;
Wietrzyk nie wie, gdzie leci,
Lecz mu lecieć kazano;
Fala nie wie, co mruczy
Na swéj harfie spienionéj,
I nikt grzmotu nie uczy,
W jakie ryczeć ma tony.
Wielki Pieśniarz to zbada,
Bierze tony z kolei,
A z nich pieśnię układa
Groźb, miłości, nadziei.

Niby wiejski mistrz w szkole
Zbiera drobne pieśniarze,

Uczy piosnek pacholę
I powtarzać je każe,
I rzecze:—„Dziatwo drobna!
Gdy tou pieśni umiecie,
Każdego z was z osobna
Porozsyłam po świecie.

„Ty, najwięcéj natchniony,
Weźmiesz skrzydła orłowe,
Chmur przebijesz zasłony,
Zbadasz światów budowę,
Zbadasz niebios oblicze;
A gdy wrócisz z oddali,
Dam ci tony słowicze,
By cię lepiéj słuchali.

„Ty zaś... zapal gromnicę
U niebieskich podwoi,
Idź w grobową ciemnicę,
Gdzie przodkowie śpią twoi,
I przez lata, przez setne
Zanurz oko w przeszłości,
Wszystko wielkie, szlachetne
Zbadaj w prochu ich kości.
A gdy wrócisz z mogiły
Z wielką pieśnią dziejową,
Ja umocnię twe siły,
By słyszano twe słowo.

„Ty przyoblecz kształt ptaka,
Bądź jaskółką skrzydlatą,
I pod strzechą wieśniaka
Skleć gniazdeczko na lato.

Przysłuchaj się, co gwarzy,
Jaką nótą pieśń leje,
I pokrzepiaj nędzarzy
Szczebiotaniem nadzieje.
A gdy złożysz piosenki
O wioskowéj zaciszy,
Ja umężnię twe dźwięki,
Że je każdy posłyszy.

„Ty, jak motyl barwiony,
Pożycz barwy od słońca,
I rodzinne twe strony
Przeleć z końca do końca:
Spytaj kwiatka, co marzy?
Naucz się szeptów kłosa,
I dowiedz się, co gwarzy
Brzózka zielono-włosa.
Wrócisz z pieśnią do ludzi,
Ja jéj nadam głos płynny,
Że się w sercach rozbudzi
Miłość ziemi rodzinnéj.

„Idźcie—każdy w swą stronę,
Idźcie, jako wam każę,
Niecić iskry święcone
Na ludzkości ołtarze!
A gdy ołtarz ofiarny
Pięknym ogniem zatleje;
Was zamroczy dym czarny,
Łza źrenicę zaleje.
Przyślę na was szyderce,
Przyślę ludzi złéj woli,

I zaboli was serce,
Ciężkim bolem zaboli.

„Lecz te bole minione
Wynagrodzą się hojnie,
Kto cierniową koronę
Będzie nosił dostojnie.
Nie nagrodę człowieczą
Los do ręki wam poda:
Szczęście tych, co złorzeczą,
Będzie wasza nagroda.
Piosnki wsączę w ich treści
W podniebieskie przestrzenie,
A łzy waszéj boleści
W jasne gwiazdy zamienię.“

1854. Załucze.

Niewinnéj Duszyczce.

Co z losem wieść boje?
Przespałeś, to twoje,
Niech cię sen skrzydełkami przytuli!
Źle wyszli na wojnie,
Śpij, bratku, spokojnie —
Luli, niewiniątko, luli!

Świat nie wie, gdzie śpieszy!
Kto śpi, ten nie grzeszy,
Jak dziecię, co w chrzestnéj koszuli.
Spać z dłonią na oczy,
To słońce nie zmroczy, —
Luli, niewiniątko, luli!

Bo cóż ci do tego,
Że tam gdzieś łzy biegą,
Że nędzarz w łachmanach się tuli?
Od cudzéj złéj doli
Serduszko nie boli,—
Luli, niewiniątko, luli!

O pierwszéj godzinie
Obiadek nie minie,
Przed obiadkiem stukniemy wóduli,
I znowu na łoże
Twą główkę położę, —
Luli, niewiniątko, luli!

Ty marzysz, pieszczotko!
Patrzajcie, jak słodko!
Widać śni, że kochanka go tuli.
Sza... cicho... broń Boże,
Obudzić się może!
Luli, niewiniątko, luli!

Na nowo coś marzy,
Jak znaczno na twarzy!
Pewno śni, że wychylił wóduli;
Bo usta i czoło
Igrają wesoło, —
Luli, niewiniątko, luli!

O! w usta coś bierze,
Śni widać wieczerzę,
Patrzajcie, o ludzie nieczuli!
A ja mu na jawie
Wieczerzę przyprawię, —
Luli, niewiniątko, luli!

O wzorze dla wieku!
O święty człowieku!
To głupcy, co się ze snu wyzuli,
I dzielą się z nami
Radością i łzami:
Prawa mądrość — to luli i luli!

I nie dziw, że płaczą,
Że jęczą z rozpaczą:
Patrząc na świat, swe szczęście zatruli,
Bo dziwną szli drogą,
I usnąć nie mogą;
Prawe szczęście — to luli i luli!

1846. Zalucze.

NAPOLEONISTA.

Obrazek.

Honorowy krzyż na fraku,
Wąsy zawiesiste,
Jedna ręka na temblaku:
Masz Napoleonistę.

Babia czułość nieraz błyśnie
Przez rysy junacze;
Nieraz marsem brwi naciśnie,
By ukryć, że płacze.

Nie powie, że bił się tęgo,
Że lał krew szeroko;
Ale wspomnij Lipsk, Marengo,
I spojrzyj mu w oko!

Dziś, gdy jego przeszłość cała
W grobie pochowana,
Bywa zimny gdyby skała,
Milczący jak ściana.

Ale przed nim niespodzianie
Wyrzecz imię Jego,
On się zerwie, frontem stanie
I łzy mu pobiegą.

Krzyż na piersiach; lecz ma drugi
Pod suknią znak bozki:
Obok krzyża za zasługi,
Medal częstochowski.

Krzyż i medal miał na łonie
W dni bitew, jak zbroją;
Pierś wojaka i po zgonie
W krzyż, w medal ustroją.

Z medalikiem zda rachunek
Przed Najwyższym Panem;
Z krzyżem — stanie na meldunek
Przed wodzem kochanym.

26 maja 1846. Zalucze.

SPOCZYNEK.

(Myśl ze św. Chryzostoma).

Patrz na źródło wody świeżéj:
To się w wązki strumień ściska,
Pnie się w górę, z góry tryska,
I spienione daléj bieży.

Wirem kręci się, to wzdyma,
To się kamień podmyć sili;
Czysty potok: nigdy niéma
Odpoczynku ani chwili.

Patrz w spoczynku woda zgniła,
Jak zabójczą parę zionie —
Pleśń zielona ją pokryła,
A robactwo karmi w łonie.

Myśli ludzka! twa otucha:
Naprzód, naprzód płynąć wiecznie!
Świętém życiem wrzeć koniecznie,
Bo spoczynek—to śmierć ducha.

Bo gdy praca cię unuży,
Już zgnilizna brzydka wpadnie,
Już robactwo cię owładnie,
Uśniesz nakształt wód w kałuży.

1846. Załucze.

BYWAŁO.

Gawęda z samym sobą.

(Urywek).

Ej! oddałbym, oddał i duszę, i ciało,
Gdyby się tak raźno jak dawniéj hulało!
Ej, dawniéj lubiłem, gdy bratnio i szczerze
Zimowym wieczorkiem gromadka się zbierze,
I na niéj uradzą z chychotem i krzykiem
Daleko... daleko pojechać kulikiem...
Rząd sanek po drodze jak wicher ucieka,
I słychać gwar dzwonków z daleka, z daleka...

A rumak, co leci, nie znając zawodu,
Gdy stuknie podkową, aż skra tryśnie z lodu.
A droga po śniegu utarta i gładka,
A księżyc, z za chmurki patrzając z ukradka
Na nasze zabawy, na nasze tu życie,
Puszcza się kulikiem po ciemnym błękicie.
Ja wiozę bywało, i strzegę, i tulę
Milutką istotę, com kochał tak czule!
Ej słodkoż to jechać, gdy szczęście me przy mnie!
Jest kogo utulić na wietrze, na zimnie,
I gwarzyć, i marzyć, i prosić u Boga,
Ażeby najdłużéj przewlekła się droga.
Wiatr ciepły nas kąpie, a zorza choć blednie,
Od gwiazdek, od śniegu widniutko jak we dnie.
My lecim i lecim po górach, po błoni,
Nasz kulik szeleszcze, tępoce i dzwoni.
A tam gdzieś w pomroce za milę, czy daléj,
Czy w chatach wieczorne łuczywo się pali?
Czy gwiazdka błyszcząca? czy wilk okiem mruży?
Czy światło gościnne, cel naszéj podróży?
Malutka iskierka, to błyśnie, to znika, —
Héj, prosto na ogień skierować kulika!
Ot coraz ogniste zwiększają się kreski:
To blaski od okien, to dworek litewski.
Gospodarz nim zaśnie, nim światło zagaśnie,
Héj, żywo przed ganek zajedziem hałaśnie!
Drużyna drużynę serdecznie spotyka,
A gwaruż, tam gwaru! bo radzi z kulika;
A śmiechuż tam śmiechu, a szeptów do ucha!...
Kominek przyjazném ogniskiem wybucha,
Wieczerza na stole, od końca do końca—
Złocieją rzędami kielichy jak słońca...

Wypiwszy, spożywszy z bożego coś daru,
Na nowo ochota do śmiechów, do gwaru,
Pustota i figle krzyżują się w koło,
Po prostu, niewinnie, serdecznie, wesoło.
U starców od ruchu orzeźwi się łono,
Dziewicom jagody różami zapłoną,
Ich oczki strzelają niewinnie, lecz śmiało,
A młodzież, och! młodzież—już serce stopniało...
Ej słodkoż to, słodko, oblawszy się potem,
Na wiązce murogu zasypiać pokotem!
Zasypiać, dumając o przeszłéj zabawie,
I marzyć toż samo, co było na jawie...
Lubiłem to niegdyś... o Boże mój, Boże!
Dla czegoż gdy rękę na sercu położę,
Tak bije mi tętno, tak łzy z oczu biegą?...
O! gdyby choć dzionek wesela dawnego!
Ej hulałbym, hulał!... Daremna podnieto!
Już nie to wśród ludzi, i w sercu już nie to!
Już kulik na Litwie nudoty nie zgłuszy,
Już sanki i dzwonki nie starczą dla duszy!

22 listopada 1846 r. Załucze.

O MOIM STARYM DOMKU.

Ich sehe des Dorfes Weiden,
Des Wiesenbaches Rand,
Wo ich die ersten Freuden,
Den ersten Schmerz empfand.
Matisson.

I.

Ej, za górą za wysoką,
Stare dęby z lewéj strony,
Za dębami bawi oko
Nadniemeński brzeg zielony.

Z prawéj strony bagno szlakiém,
Na bagnisku wierzba wzrasta,
A na piasku, nad chróśniakiem,
Szumi sośnina kolczasta.
W parkanową wjedź ulicę:
Stary domek w ziemię gnie się,
Krzywe ściany, a na strzesie
Mchem zakwitły już dranice,
Widać niebo z drugiéj strony
Szczerbinami między dranic:—
To mój domek pochylony,
Lecz nie oddałbym go za nic.
Tu ostrokół tuż przy ganku,
Do ogródka mego wnijście,
A w ogródku, gdyby w wianku,
Bzy niewielkie, gęstoliście.
Pod oknami mych rozwalin
Pstrzeją ziółka i kwiatuszki,
A od kwiatów idą dróżki
Do agrestu i do malin.
Przez ostrokół widzisz pole,
Lub jak z dala Niemen płynie,
A przy gęstym ostrokole
Ul pochyły na darninie.
To mój ogród—wszystko moje—
Choć ubogo w nim i dziko;
Sam w nim chodzę, piszę, roję,
Kopię rydlem i motyką.
Domek, ogród, wszystko u mnie,
Jakże rzewnie, jak wesoło!
Jak uroczo, i jak dumnie
Ztąd poglądam naokoło!

Czy to patrzę po płaszczyźnie,
Czy na łąki, na ostrowy,
Czy się chciwe oko wśliźnie
Między ciemny bór sosnowy,
Czy to puścić wzrok po Niemnie,
Jak rybaka z jego łódką:
Jak ztąd pięknie, jak przyjemnie
Bujać okiem w okolutko!
Mój horyzont, to jak sala—
A te lasy, to ustronie,
Te rybackie chaty z dala
To jak sprzęty w tym salonie.
A tam w górze po lazurze
Pływa sobie chmur ułomek...
O! gdy zbierze się na burzę,
Nie wytrzyma stary domek!
Już gdy burza, zawierucha,
Mało służy dach ochrończy;
Już przez pułap deszcz mi plucha,
A przez ściany wiatr się sączy.

II.

Stuka, puka topór w lesie,
Echo wstrząsa cisz gajową,
I mnie wieść żałosną niesie,
Że mieć będę chatę nową;
Dach nad dawną moją chatą
Ręka cieśli w próchno zwali,
I że wkrótce, w przyszłe lato,
Będę mieszkał okazaléj...
Ach! gdy runą z tą starzyzną
Każda izba, każdy kątek,

Gdzież podzieją się, wyślizną
Tyle wspomnień i pamiątek?
Czy bywało serce bije
Uniesieniem, smutkiem, strachem,
Mnie najlepiéj, gdy się skryję
Pod zakwitłym moim dachem.
Czy bywało radość wchodzi—
Ściany echem się odezwą,
Czy to boleść–znieść ją słodziéj,
Tu i płakać było rzeźwo.
Oto przyzba, oto ganek—
Ztąd słuchamy, gdy z poblizka
Nadniemeński wychowanek,
Słowik, świętą piosnkę tryska;
Czasem tęskną myśl mi poda,
Czasem rzewność tak głęboka,
Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy poleją się jak woda.
Raz... pamiętam... zachwycenie
Z rzewnym smutkiem serce burzy...
O! jak błogie i westchnienie,
Gdy je druga pierś powtórzy!
Ot mój pokój, mój różowy,
Malowany w kolor cegły,—
Och! w około biednéj głowy
Jakież myśli tu przebiegły!
Ot na ścianie wieniec żyta,
Pamięć żniwa i dożynek.
Oto sofa pyłem kryta—
Mój po pracy wypoczynek.
Ot mój stolik, tron potęgi,
Tam szpargałów leżą roje;

A to szafa, a w niéj księgi—
Zguba moja, szczęście moje!
A nad stołem, tam, wysoko,
Buja nitka pajęczyny.
W nią wlepiałem moje oko,
W lube dumań mych godziny;
W nią patrzałem, gdyby w tęczę,
Gdy na czole ciężar czułem,
Lub gdy myśli pasmo snułem,
Wątłe, słabe, jak pajęcze.
Oto komin—druh wesoły,
Tu wchodziły cygar dymy,
Tu-m fajczane trząsł popioły,
Tu paliłem moje rymy.
A ot druga izba w parze:
Lubo nie ma w niéj przestworu,
Tu bywało co wieczoru
Chodzę sobie i coś gwarzę.
Tu bywało, gdym znużony,
Słodkie wczasu mam godziny,
W uściśnieniu lubéj żony
Lub w pieszczotach méj dzieciny.
Tu kobierzec w krasne kwiaty,
Po kanapie rozpostarte;
Tutaj stolik do herbaty,
A na ścianach — Bonaparte.
O! lubiłem w téj izdebce,
W gwarze gości tchnąć weselem,
A najbardziéj gdy się szepce
Z ukochanym przyjacielem.
Oto pokój mój do wczasu!
Łoże twardsze niźli cegły—

Ztąd daleko od hałasu,
Tędy moje sny przebiegły.
Czasem w lubych mar osnowie,
Czasem mara myśl przelękła,
Ot wezgłowie — w to wezgłowie
Ej, niejedna łza zasiękła!

III.

Chatko! ściany twoje stoją.
Lecz cię wkrótce proch zagrzebie.
Jaż przyrosłem tak do ciebie,
Ty tak wrosłaś w duszę moją!
Wkrótce wnijdę w nowy kątek,
Obcy sercu i pamięci;
Nic z mych wrażeń, nic z pamiątek
Nowéj strzechy nie uświęci.
Tam przeniosę me cygaro,
I mój stolik, i wezgłowie;
Łacno wznowić chatkę starą,
Lecz już duszy nie odnowię.
Szukać wrażeń już nie sposób
Zardzewiałemi oczyma;
A w tym świecie, wśród tych osób,
Już pamiątek dla mnie niéma.
Już widoki z okien nowe:
Niemna okiem nie pogonię,
Lasów k'sobie nie przyzowę,
Bo te będą w innéj stronie.
I mój ogród... precz te żale!
Już minęła młodość mglista.
Cóż po sercu? po zapale?
Trzeba żyć już jak statysta...

Było... przeszło... cóż rozpacze?
Daj waletę życiu temu!...
Chwilka... chwilka... niech zapłaczę,
Niechaj westchnę po staremu!

15 lutego 1847. Załucze.

Westchnienie majowe.

Ot wesoły goniec, pieszczoch boży — Maj;
Ziemia z końca w koniec, jak rozkoszy raj,
Kwitnie, woni, pieje, nosi wieniec z róż,
Rozrzewnienie leje do szczęśliwych dusz.
Wieszczy syn przyrody przyszedł serce wznieść—
Cześć ci, gościu młody! uroczysta cześć!

Błękit, ziemia, drzewa, wszystko zrzuca pleśń,
Świeżą piękność wdziewa, nóci rzewną pieśń,
Błyszczy gwiazda złota, księżyc blaskiem drga,
Tu chróściel skrzekota, a tu słowik gra.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniéj!
Piéj do duszy naszéj, piéj, słowiku, piéj!
Przemień serce, przemień, uroń piosnkę twą,
Nasze serce krzemień, nasze oczy — szkło...
Bo nad nami pono zimne chmury szły,
Odrętwiły łono, zamroziły łzy.

O poeto ptaszy! czarodzieju kniéj!
Piéj do duszy naszéj, piéj, słowiku, piéj!
Nóć twój śpiew uroczy, moc twych czarów dwój,
Wróć mi łzy na oczy, wróć mi zapał mój.

Ejże szczęsno było, póki młody szał,
Oko skrą świeciło, w duszy ogień wrzał!
Czy zkąd pocisk grzmotnie, czy zabraknie sił,
Człek spłakał ochotnie i cierpienia zmył.
Jam łzy szczęścia zlewał po odejściu chmur,
Kochał, dumał, śpiewał w twojéj pieśni wtór;
Dziś duch jakiś we śnie wionął we mnie chłód,
Miłość, łzy i pieśnie... skamieniały w lód...

O poeto ptaszy! czarodzieju kniéj!
Piéj do duszy naszéj, piéj, słowiku, piéj!
Piéj, szczebioc przyjemnie, upajaj mój słuch,
Rozbudź wtór swój we mnie, rozbudź śpiący duch!
Bądź mi dobrym wieszczem, wieszczu wiosny ty,
Niech majowym deszczem z oczu trysną łzy!...
O poeto ptaszy! czarodzieju kniéj!
Piéj dla duszy naszéj — będzie duszy lżéj!

16 maja 1847. Załucze.

WARYANT Z PIEŚNI GMINNÉJ.

Odżyła sosna, zakwitła kalina,
Rozpękła brzoza wiosnę przypomina.
—„Wiosno, ty, wiosno!—powtarzają w koło—
„Jak oczom miło, jak sercu wesoło!“
—Grzech pozazdrościć, lecz Boże mój, Boże!
Jak ten szczęśliwy, kto wiosnę czuć może!
Bracia, ja wiosnę podziwiałbym z wami,
Ale ja świata nie widzę za łzami;
Chciałbym odetchnąć, lecz zaparte łono,
Jak gdyby piersi kamieniem tłoczono.

Zielone moje łąki i pastwiska,
Krzewiste zboże na morgach połyska;
Lecz w sercu chwasty, żal duszę rozrywa,
Nie bierze chętka do kosy i żniwa.
Poszedłbym w pole świtającym dzionkiem,
By się pomodlić razem ze skowronkiem;
Lecz słaba ręka pługa nie udźwignie,
A w zaschłych piersiach modlitwa zastygnie.
Siadłbym na konia i leciał jak strzała,
Boleśćby może z wiatrem uleciała;
Próżna ochota! bo w nieszczęsnéj dobie
I koń mój dzielny zesmutniał przy żłobie,
Gdy go dosiędę, z wolna się pomyka,
Jak obciążony trumną nieboszczyka.
Ludzie wy, ludzie! w szczerym rozhoworze
Niech ja się spłaczę, niech duszę otworzę;
Lecz mowa smutna, zgorzkniała i sucha
Odstrasza ludzi, i nikt jéj nie słucha.
Ojcze mój, ojcze! poradź mi w niedoli!
O matko moja! jak mi serce boli!

16 lipca 1847. Załucze.

Do Niemowlęcia.

Lata po latach jak woda płyną,
Czas już do wzrostu twojego blizki;
Czémże ty będziesz, mała dziecino,
Kiedy wynijdziesz z twojéj kołyski?

Może ci z czasem służyć Temidzie
I szalę sądu piastować przyjdzie.

Szkoda cię mały—zbrukałbyś rękę,
Albobyś zmazał lub we krwi zbroczył
Twoją bieluchną, świętą sukienkę,
W którą cię pleban na chrzcie obłoczył.
Może twe młode i żądno serce
Zapragnie sławy szukać w żołnierce,
I umężniwszy piersi otwarte,
Stanąć jak rycerz w bojowych chwilach,
Żyć, jak Batory lub Bonaparte,
Paść, jak Leonid przy Termopilach.
Lecz dziś rycerstwa zawód nietwardy,
Dziś niepopłatne mężne Bajardy;
A jeśli wierzyć naszéj gazecie,
Że wojna zniknie z oblicza ziemi,
Kraje się zwiążą węzły bratniemi,
Więc i rycerstwo zniknie na świecie.
Szkoda cię, mały, jeżeli marnie
Masz nosić pancerz na twojém łonie,
Staczać potyczki—tylko w bostonie,
Napełniać strachem—tylko kawiarnie.
Może twój umysł, Bogu oddany,
Zechce porzucić troski światowe,
I przed ołtarzem między kapłany
Głosem z pod serca chwalić Jehowę.
Lecz nie wiesz, mały—rój mędrców liczny
Poważnie burzy w co wierzyć trzeba,
I pragnie z gruzów starego nieba
Zmurować wszechświat filozoficzny.
Wkrótce (jak piszą) znikną już wszędy
Nasze świątynie, nasze obrzędy,
I nasze „*Wierzę*,“ wyssane z mlekiem,
Wkrótce przestanie rządzić człowiekiem.

Bo dziś człowieka para oświéca:
Parowe kotły w wozach, w okręcie,
Parowe myśli, jak błyskawica,
Z ludu do ludu lecą w momencie.
Gdzież ci, dziecino, szukać swéj doli
Pomiędzy tylu mądremi dziwy?
Chyba ci szczęście jakie pozwoli
Być maszynistą lokomotywy.
Nie, nie, malutki! inna twa droga,
Ty może pójdziesz wznioślejszą metą!
Kiedy podrośniesz, proś Pana Boga:
Niech cię uczyni wielkim poetą.
Z sercem kamiennném, z głową Minerwy,
Wiek nasz zbezwładnił swe stare nerwy,
Syty rozkoszy, syty promieni,
Utracił miłość, wiarę, nadzieję,
Coraz się karli, coraz drętwieje,
Wkrótce się, wkrótce w kamień zamieni,—
Jeno się kładąc w cienie grobowe,
Złota chce jeszcze sobie pod głowę.
Śpieszmy go wskrzesić!—Próżna ochota!
Któż z pod kamienia pierś mu uwolni?
Kto ją rozgrzeje tchnieniem żywota?
Kto w próchnie serca ogień rozniecí?
O! wy jedynie ku temu zdolni,
Uderzcie w stróny, wielcy poeci!—
Nam trzeba wieszcza, wieszcza proroka,
Coby miał lirę i piersi grzmiące,
Coby piosenką i strzałem oka
Umiał oświecać i grać jak słońce.
Zródź się, poeto! Może w téj dobie
Już przyszedł na świat spełnić swe dzieło—

Mała dziecino! może na tobie
To posłannictwo boże spoczęło.
Wskrzesić wiek martwy!... o jak to pięknie,
Gdy lód zakipi, skała rozmięknie,
Ziemia uczuje w swych pulsach drganie
I serce ludzkie z martwych powstanie!
Wielkie to dzieło!

Twe czoło młode
Potomność w jasną otoczy tęczę.
Ale za życia—czy wiesz, młodzieńcze,
Jaką świat sądził tobie nagrodę?
Twe czoło—w wieniec cierni ustroją,
I zelżą ciebie hańbą sromotną,
I w twoje piersi kamieniem grzmotną.
Lecz wara kwilić! bo te męczarnie
To gwiazda cześci na twoje łono:
Wszak świat zabija proroki marnie,
Wszak i Chrystusa tu umęczono.
Chyba nikczemny zwolennik świata,
Zbyt polubiwszy cielesny oków,
Nie chciałby umrzeć śmiercią Sokrata,
Umrzeć za prawdę—śmiercią proroków.
O! tam Duch Święty pewno nie świeci,
Gdzie, gdy się dotknie cierpienia rózga,
Męczennik płacze, przeklęctwy bluzga,
Jak dzisiejszego wieku poeci.

Gdy boli serce, więc jęki swemi
Zioną przeklęctwa niebu i ziemi;
Kiedy pioruny palą im w głowę,
Chcieliby wstąpić w ciemno grobowe,

I hańbią siebie przez płacz niewieści,
Że się fortuna z nimi nie pieści.
Więc choć do liry wyścigiem śpieszą,
Głos słabych piersi przepada w tłumie—
Mętnéj ich pieśni nikt nie rozumie:
O! tacy wieszcze świata nie wskrzeszą.

Nie ten cel pieśni — i mistrzom świętym
Nie taka pieśnia z duszy się darła;
Cudem jéj dźwięku kamień był tkniętym,
I wrzała w żyłach krew obumarła.

Ten, lejąc tony bystrym potokiem,
Śpiewał o przodkach wielkiemi słowy,
Ten opowiadał wolę Jehowy
I przyszłość orlém przebijał okiem.
I biegły ludy, gdzie wieszcz im kazał:
Były to wielkie wieki na świecie,
I wielcy wieszcze, i wielcy ludzie;
Nikt się nikczemną skargą nie zmazał,
Że go już ciężar do ziemi gniecie,
Że pora spocząć po znojnym trudzie.

Wieszczu! daremnie inny się żali,
Że żadna pieśnia ludzi nie wzruszy;—
Ty nam zakołac, przemów do duszy,
Śpiewaj, jak dawni mistrze śpiewali,
A od twéj pieśni, jakby od cudu,
Wstąpi duch nowy do serca ludu.
Jako Izajasz zabrzmij ludowi,
Co przez twe usta Jehowa mówi,—
Lub po Homerów stąpając śladach,
Zanóć nam wielką pieśń o pradziadach,

Niech na cześć przodków głos się natęża,
Śpiewaj nam powieść ich cnot i męztwa,
Gwar ich obrady, szczęk ich oręża,
Głos ich modlitwy, błogosławieństwa:
Albo, jak Orfej, rozpierzchłe rody
Idź bratać cudem piosenki twojéj!
Wieszczu miłości, śpiewaku zgody,
Cóż się przed siłą twoją ostoi?
Niech jeno niechęć, zemsta, niezgoda
Nie da się słyszeć w cierpkim rozgwarze;
Pan namaszczenia twéj lirze doda
I strunom twoim dzielnie grać każe.

Niedosyć duchem przejęci bożym,
Wywołać cudu niedosyć godni,
My, starzy piewcy, lirę już złożym,
Bóg pokolenie nowe odmłodni,
I lepszą dolę piewcom przeznaczy,
I da im zdobyć serca słuchaczy.
Śpiewaj—a ludzie, co dziś jak głazy,
Słuchać cię będą sercem wzruszoném,
A zachwyceni uroczym tonem,
Wszędzie pobiegną na twe rozkazy.
I pod wielkiego śpiewaka wodzą
Uderzą serca żądzą zaszczytną,
I wielcy ludzie znów się odrodzą,
I wielkie wieki znowu zakwitną.

Oto są wieszcza i pieśni cele:
Dziecię! piać będziesz takiemi tony...
Jeśli odwagi i sił masz wiele,
Jeżeliś Duchem Świętym natchniony,

Spełnisz te cuda, póżno, czy rano;
Lecz jeśli-ć z nieba głosu nie dano,
Nie pragnij drzeć się w Parnasu szranki,
Dosyć już dzisiaj pieją poety —
Dziś za sonety i tryolety
Nie zyskasz nawet łask u kochanki.
Bo próżno śpiewać nadobnym licom,
Wstrząsać słowiki, wody, zefiry:
Naszego wieku mądrym dziewicom
Milszy dźwięk złota nad dźwięki liry.

17 lipca 1847. Załucze.

NA ECHO DZWONU.

Sonet.

Co to za gwar poważny? Boże! co ja słyszę?
Dzwonią ztąd o dwie mile na *Zdrowaś Marya*,
Echo święconéj śpiży w chmurach się kołysze
I wilgotne wieczorne powietrze rozbija.

Aż wnętrze mojéj piersi, jak puste naczynie,
Odbija cały odgłos z powagą i mocą;
Znać, że święcone echo, bo do serca płynie,
Serce drgnęło modlitwą, w oku łzy migocą.

Boże! któryś poświęcił i dał rozgłos chyży
Echom twardych metali, żelaza i śpiży,
Poświęć mojego ducha i piosnkę méj duszy!

A dozwól, niech brzemienna tony święconemi,
Rozpłynie jak huk dzwonu po szerokiéj ziemi
I serca moich bliźnich ku cnocie poruszy!

1847. Załucze.

Do A. P.

„Wielki pan — piszą w gazecie—
„W tych dniach pożegnał się z ciałem.“
Ot dalibóg nie wiedziałem,
Że on kiedy żył na świecie.
Pany wielmożne i jasne
Giną w mroku niepamięci;
A mnie się biednemu święci,
Że ja niecały zagasnę,
Że choć dzionek po mym zgonie
Nie ulegnę czasu ręce,
Że przeżyję w méj piosence,
Albo w przyjacielskiém łonie.
Nie zuchwałeż to nadzieje?...
Ja coś roję... i być może...
Wszak my ludzie, wielki Boże!
Czy kto pracę potem leje,
Czy kto pędzi dni w weselu,
Śmierć jest wszystkich wspólną metą:
Ten piechotą, ten karetą,
Do jednego dążym celu.
Ten złoży nieczułą głowę
W cztery deski jedlinowe,
A drugi w blasku omamień
Legnie, by spróchnieć w hebanie...
Tym marmur na piersiach stanie,
Tym prosty położą kamień...
Kamień położą przy sośnie,
Marmur cyprysem otoczą;
Lecz się marmury zgruchoczą,
Nim kamień mchami porośnie.

1847. Załucze.

ŚWIĘTA CHATA.

Jakaż święta moja chata,
Gdy natchnienie nad nią lata,
Gdy pod oknem w szumie brzozki
Daje myśli, stroi zgłoski,
I z méj piersi cudem dziwa
Całe piosnki wysnowywa!
I przez okno jak jaskółka
Piosnka leci w bratnie kółka:
Przerwie smutki gdzieś sieroce,
Lub z wesołym pochychoce;
Jedne serca natchnie wiarą,
W drugich wskrzesi miłość starą,
Lub nadzieję w lepszém jutrze,
Albo łezkę komuś utrze.
O! ja wtedy, ja pan świata.
Jakże święta moja chata!

Jakże rada moja chata,
Kiedy wita gościa-brata,
Kiedy echem swojéj ściany
Głos odbija ukochany,
Gdy spojony duchem ściśléj
Dzielę z bratem chleb i myśli!
Brzęk puhara, gwar rozmowy
Echo stroi w urok nowy,
I przebywa w méj przestrzeni,
Każda ściana się promieni;
W każdém oknie, w każdéj stronie
Po dwa słońca zda się płonie...

1847. Załucze.

DO BOGA.

I.

Czy w wieńcu z globów, w słonecznéj szacie,
Zasiadasz, Panie, w Twym Majestacie,
A tron Twój jasną otoczon tęczą,
A u stop chóry Aniołów klęczą;
Czy Cię do łona tuli Marya,
Czy dziki grzesznik na krzyż przybija;
Czy w mojém sercu uśmierzasz burze,
Czy się objawiasz w pięknéj naturze:
Wszędzie w Twą miłość ku światu wierzę,
Boga i ludu czytam przymierze.

II.

Wnet po potopie, wielki Jehowo,
Skreśliłeś łukiem wstęgę tęczową,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że przebaczyłeś zbrodnie téj ziemi.
Po naszych grzechach i zbrodniach wielu
Szedłeś nas zbawić, Odkupicielu!
Szedłeś nawiedzić Twoją czeladkę;
Ziemską dziewicę wziąłeś za matkę
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg się brata z synami ziemi.

III.

I jako człowiek w braterskiém kole,
Znosiłeś ludzkie dole, niedole;
W ubogiéj szacie, pieszo i boso,
Z chaty do chaty kroki cię niosą.

I pozdrawiałeś jednemi słowy
Mędrce, książęta i rybołowy.
Rzekłeś do panów i biednéj czerni:
—„Bądźcie pokorni i miłosierni,
„Miłujcie brzemię waszego krzyża,
„Będzie podwyższon kto się poniża;
„Zdeptajcie węża dumy i pychy,
„Błogosławiony ubogi, cichy;
„Błogosławiony, kto się u świata
„Sprawiedliwości nie dokołata."
Leczyłeś chorych w solimskiém mieście,
Wskrzesiłeś syna smutnéj niewieście,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg ukochał nędzarzów ziemi.

IV.

Lecz hardzi mędrcy w swéj synagodze
Twojéj nauki zlękli się srodze
I zawrzeszczeli:—„Zgroza! ohyda!
„Sieje zgorszenie ów syn Dawida.
„On chce porównać gmin i bogaczy,
„Porównać mędrców i lud prostaczy.
„Biada nam możnym!... Próżna obawa:
„Ukarzem śmiałka na mocy prawa."
Oto za miastem między gór szczyty,
Bóg w środku łotrów na krzyż przybity;
Ranią go włócznią wśród zbiegowiska,
Krew z jego serca na ziemię tryska,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że serce boże zlało się ziemi.

V.

Nie tońcie wiecznie we łzach boleści:
Bóg wskrzesnął dla was na dni czterdzieści,
A kiedy ziemska kończy się praca,
Na łono niebios znowu powraca;
Wraca w niebiosa własną osobą,
I ciało człecze zabiera z sobą,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Pan ubóztwił lepiankę ziemi.

VI.

Człeku, uzacnion i spojon żywo
Z niebem i ziemią w jedno ogniwo,
Masz w niebie Ojca twym prośbom gwoli.
Gdy ci niedobrze, gdy serce boli,
Jeno jak dziecię uklęknąć trzeba,
Ręce na piersi, oczy do nieba,
I tak mu śmiało powiedz twe dzieje,
Niech się otwarcie dusza wyleje.

VII.

Krzywda nam, Ojcze! bo dłoń zelżywa
Ocugla usta, ręce skowywa;
Przyszliśmy w nędzę, w urągowisko,
Niebo wysoko — a piekło blizko;
A w sercach przedsię waśń i niezgoda,
Bliźni bliźniemu ręki nie poda...

1848. Załucze.

Do ***

Ty mię nie kochaj, będzie nam swobodniéj
Modlić się wzajem, jako przyjaciele.
Na co nam miłość? jam swobodny od niéj,
Bez zgryzot serca twe losy podzielę.
Chcę ciebie widzieć i cieszyć się głośno,
Ścisnąć twą rękę, nie drażniąc nikogo,
Nie jątrząc czyjąś źrenicę ukośną,
Wyznać otwarcie, że mi jesteś drogą.
Chcę w twoich chwilach smutku i niedoli
Czuwać nad tobą i westchnąć głęboko,
Śmiało zapytać: „Ach! co ciebie boli?“
I łzy twe otrzeć, i rozchmurzyć oko.
Na mojéj drodze, gdzie cierniska dosyć,
Kiedy mię zrani latorośl kolczata,
Chcę głosem pewnym o ulgę poprosić:
„Śpiesz, przyjaciołko, poratować brata!“
Wtedy się twojém podeprę ramieniem,
Bez bicia serca, radośnie i zimnie:
Świat się nie zgorszy, my nie zarumienim,
Choć ja przy tobie, choć ty będziesz przy mnie.
Niech drogę życia przy tobie przechodzę,
A kiedy podróż ukończy się słodka,
Niech oko nasze na ubiegłéj drodze
Żadnych wyrzutów sumienia nie spotka.
Dręcząca miłość czyż dla nas zapewni
Ufnéj, niewinnéj przyjaźni rozkosze?
Bądźmy jak bracia, przyjaciele, krewni:
Na co nam miłość? — nie kochaj mię, proszę!

1848. Załucze.

Do....

Odpowiedź na prośbę o napisanie gawędy.

(Sonet).

O! przebacz, że mi dzisiaj konceptu nie starczy
Tworzyć nowe gawędy i nowe obrazy,
Mój umysł tak nieżyzny, jak grunt gospodarczy:
Nie rodzi bujnych plonów wciąż po kilka razy.

Ja myśli, jako grunta, na trzy zmiany dzielę:
Najprzód żyto się rodzi korzystnie, bogato,
Potém drobna jarzyna, bławatki i ziele,
Nakoniec myśl na ugór puszczam całe lato.

Ja słyszałem o waszych cudach płodozmianu,
Ale nie chcąc wysilać mą skibę poparną,
Wolę staroświeckiego pilnować się planu;

Bo jeśli agronomiąc mądrze i z wysoka,
I gruntu nie ulepszę, i zmarnuję ziarno,
Zginie z głodu i pracy pegaz-bronowłoka.

1848. Załucze.

Do J. I. Kraszewskiego.

Ty mię wołasz do pieśni, chcesz na moją głowę
Gwałtem wcisnąć promienie i wieńce laurowe,
Mówisz o mych wierszykach, że te w swoim czasie
Dadzą mi znakomite miejsce na Parnasie,

Że trzeba tylko śpiewać, wolą czy niewolą,
Choć tam w gardle zachrypło, choć tam piersi bolą,
Choć słuchacze posnęli, — radzi czy nieradzi,
Dadzą oklask, co wieszcza na gwiazdach posadzi.

Winienem ci zaiste za balsam różanny
Dać ukłon debiutanta i rumieniec panny;
Winienem wyrzec głosem skromnego zachwytu:
Domine! non sum dignus takiego zaszczytu!

Lecz dzisiaj u nas jarmark, a święty Mikoła
Trochę miodkiem szlacheckim stuknął mi do czoła;
A więc ci śmieléj powiem, powiem i powtórzę:
Choćbyście dali patent i na ośléj skórze
Na wielkiego śpiewaka, wielkiego poetę,
Jak Homer lub Wirgili, Tasso albo Goethe,
Ja i wtedy zaiste rozmyślałbym jeszcze,
Czy warto być poetą i co to są wieszcze?

Poeta rodzi wiersze — ej, boleść zbójecka
Rozdzierać własne piersi dla porodu dziecka,
Zakrwawiać biedne serce, wstrząsać nerw po nerwie,
Rozogniać mózg, co głowy ledwie nie rezerwie,
Opłókać łzami oczy, znosić trud czartowski,
Mierzyć długość wyrazów i dobierać zgłoski,
A tak z rozbitą głową i z rozdartém łonem
Rzucać się, jak szaleniec, nad brzydkim brulionem!

Oto już wiersz skończony, co-ć dał się we znaki:
Jest końcówka, śródniówka, jest sens siaki taki;
Lecz idą dalsze trudy, znasz je szczegółowie.
A po czemu dziś wiersze? niech ci księgarz powie.
On ci jasno wyłuszczy: że to marna praca,

Że dzisiaj rymowany towar nie popłaca,
Że teraz pisać wiersze zupełnie nie pora,
Że się tylko drukują *Nakładem Autora*;
Że zatém... No, autorze, dopełniaj już miarki,
Trzęś z ojcowskiéj szkatuły zakwitłe talarki,
Będziesz wielkim i sławnym...

O, już dzięki Bogu
W porządku alfabetu stoisz w katalogu!
Świat cię porwał i czyta, a krytyk dla cześci
W kronice literackiéj twe imię zamieści.
Tocz na Parnas twą chwałę, jak kamień Syzyfa:
Tu spotkasz się z Grabowskim, tam trafisz na Gryfa,
Tam recenzent z Warszawy, z Poznania, ze Lwowa,
Ciągnie cię za końcówki, porywa za słowa,
Jeden woła, że idziesz w liberalnéj drodze,
Drugi krzyczy: „Postępu tutaj nie znachodzę!"

Dobrze ci tak, poeto! Na cóż było, na co
Stroić lube twe dziecię, jak gminny pajaco?
Uczucie, to skarb serca, pielęgnuj go w ciszy,
Myśl twoją miéj dla siebie, niech jéj nikt nie słyszy.
Myśl, czucie, to twe dzieci... z dala z niemi, z dala!
Niechaj się ich niewinność na świecie nie skala,
Niech ich żaden dowcipniś, niech żaden zabójca
Nie napoi trucizną na zagładę ojca.

Otoż wierszyk, igraszka, dziecińistwo i kwita,
Ma nam żółcią i octem przegryzać jelita!
Jam jeszcze tych przysmaków nie kosztował prawie,
Lecz z góry nie smakuję w téj cudnéj potrawie.
Gdybym miał talent wieszcza, gdyby mi Jehowa
Włożył w usta prorocze uroczyste słowa

I kazał głosić światu, tém słowem przejęty,
Dałbym się kamienować, jako Szczepan święty;
Ale dziś w pospolitych wierszokletów kole
Na co nam nosić guzy daremne na czole?
Na co mam się zapędzać na pieśni olbrzymie?
Świat i bez naszych pieśni doskonale drzémie;
Na co mamy go budzić, kłopotać mu głowę?
Szczęść mu Bóg w preferansie na asy kierowe!
On je chętniéj pojmuje niźli serce nasze;
Niechaj lirę waletom pikowym przypasze,
Niechaj treflowym damom swe uczucia niesie.

Piosnko! królowo serca, rządź w swoim zakresie!
Tu, tu... w kryjówkach duszy, my z tobą cichaczem
Pośmiejem się, pomyślim, pomarzym, zapłaczem!

A ty Wiaro! Nadziejo! ty Miłości boża!
Czasem ja przyjdę z harfą do twego podnoża:
Pobłogosław me pieśni, jako wdowie grosze,
Czy je w ciszy zanócę, czy światu wygłoszę.
Błogosław, kiedy wielbiąc, co wielkie i piękne,
Czasem sobie po prostu na luteńce brzęknę!
Niech w uroczym odbrzęku moja pieśń ulata
Na chwałę Pana Boga i pożytek świata.

Grudzień 1848. Załucze.

Natchnienie.

Są gdzieś w głowie myśli — cacka,
Są gdzieś czucia w piersiach z gliny,
Jest coś w świecie, co z nienacka
Targnie czasem te sprężyny,

I rozbudzi śpiące tętno,
I wywoła myśl pamiętną.
Rzadko kiedy gość ten spłynie,
Krótko bawi i ucieka;
Ale póki on w gościnie,
Czarodziejstwo w duszy człeka!
Człek odchodzi od pamięci,
Bozko marzy, łza się kręci,
Mżą się kręgi przed oczyma,
Serce bije, włos się wzdyma,
Krew ukropem w żyłach bieży,
Twarz w promieniach, czoło w pocie,
Aż westchnienie pierś odświeży,
Jako wietrzyk po spiekocie.
Wtedy spojrzysz na naturę:
W czarującéj świat postaci!
Człekby śpiewał, leciał w górę,
I uściskał ludzi braci....
Ach, w tym stanie tak słodziutko
Wiekuiste żyćby lata!
Lecz gość miły bawi krótko,
Lada zimne tchnienie świata,
Lada mgnienie, lada chwila,
Pierzcha bystrzéj od motyla.
Głowa zimniéj, zimniéj marzy,
Serce słabiéj bić poczyna,
Ustępuje ogień z twarzy,
Człowiek znowu—kość i glina.

1849. Załucze.

Gawęda o bocianie.

I.

Wiatr chłodno westchnął i mgłami kręci,
Zima już blizko, ej blizko!
Bocian poważny, stróż sianożęci,
Rozpuszcza skrzydła, tumani, męci,
I z wolna płynie na rżysko.
Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży
I zamknął poważnie oko.
Snadź syn litewski marzy głęboko
O swéj zamorskiéj podróży.

II.

„Miłoż to lecieć w auzońską stronę,
„Miło coś widzieć i wiedzieć,
„A rozważając trudy minione,
„Plondrować Nilu brzegi zielone,
„Na piramidzie posiedzieć!
„Lecz ach! wiadomo jednemu Bogu,
„Czy ujdę śmierci lub klęski?
„Czy wrócę jeszcze w kraj nadniemeński?
„Siądęż na kupie murogu?

III.

„O błonie Litwy! cudneż to błonie!
„Tu wszystko szczęściem rozmarzy;
„Słonko ciepluchne, sianożęć wionie,
„Dziatwa klekoce, a tam na stronie
„Słychać brząkanie kosarzy.
„Słodkoż tu było! — Bóg wie co daléj?

„Czy wracać będzie już po co?
„Może dąb z gniazdem zamieć obali,
„Lub kry wiosenne zgruchocą?!

IV.

„Lepiéjby swemi czuwać oczyma
„W miejscu, gdzie szczęścia tak wiele;
„Lecz piersi czują, że idzie zima,
„Na żółtéj łące już żeru niéma,
„Za chwilę śnieg ją zaściele!"
I ptak — opiekun błoni ojczystéj,
Wyprężył dziób swój czerwony,
Podbiegł, rozwinął lot zamaszysty...
Uleciał w auzońskie strony.

1849. Załucze.

SKUTKI.

Kiedy dziewczę wzrok wytęża,
Jakby dostać męża;
Kiedy młodzian stroi postać,
Jakby posag dostać;
Gdy rachuba, potém stuła
Ten związek zasnuła:
Och, poznają po swéj klęsce,
Że krzywoprzysiężce!
A gdy sobie nie uwierzą,
Niech spojrzą na dzieci:
Ojciec stworzył, Syn odkupił,
A Duch nie oświeci.

1849. Załucze.

Do A. E. Odyńca,

jako Redaktora Kuryera Wileńskiego, prosząc o umieszczenie w tymże Kuryerze awizacyi.

Zbliża się wiosna i święty Jerzy:
Niejeden słodkie zamiary tworzy,
Że posiadłości swoje rozszerzy,
Że kapitały swoje pomnoży,
Że swojém złotem skusi hołysze
I dusze bliźnich w wieczność zapisze.
Lecz to nie dla nas, panie Edwardzie,
My, nieodrodni synowie Feba,
Ziemską mamonę mamy w pogardzie,
Szerokich włości dla nas nie trzeba.
Byleby strzecha choć nizkiéj chaty,
Serce przy sercu, szelest strumyka,
Dobre cygarko, kufel herbaty,
To już aż nadto dla śmiertelnika!

Lecz mnie, niestety! na méj dzierżawie
Nie dano zażyć takiéj rozkoszy:
Piaszczysta niwa nie rodzi prawie,
Znikomy pieniądz wnet się rozproszy,
Dziedzic majową ratówkę liczy,
W karczmie lichota, na wiosce bieda,
Nawet poważnie grozi leśniczy,
Że na kominek drzewa mi nie da.
Jakże, skłopotan, serce rozdzielę
Kochanym książkom i lubéj dziatwie?
Jakże myślami w górę wystrzelę?
Jakże się z lutnią moją załatwię?

O! gdyby jedna szczupła siedziba!
Nie miałbym losom złorzeczyć po co!
Panie Edwardzie! ty jeden chyba
Moim zamiarom będziesz pomocą...

Promieniem wieszczów płonie twa głowa,
W piersiach Apollo złożył piosenkę,
A na dobitkę, muza dziejowa
Rylec z tablicą dała ci w rękę.
Wzrok twój zapuszczasz po całym globie,
Czy kędy wojna, czy gdzie przymierze,
Kto się narodził, kto spoczął w grobie,
Wszystko zamieszczasz w swoim *Kuryerze*.
Czy kto potwierdzon w jakim urzędzie,
Czy się stronnictwo w Izbach kojarzy,
Czy Bonaparte przegląd odbędzie,
Czy król hiszpański z żoną się swarzy,
Rozprawy mędrców, wyścigi koni,
W twojéj gazecie jakby na dłoni.

Ale nietylko ważnemi dzieje
Twojego pisma karta bogata:
Oto na końcu papier szarzeje,
I tam już miejsce drobnostkom świata.
Czy ziomek z ziomkiem procesa wiedzie,
Czy muzykalna gwiazda błysnęła,
I Zimmermana angielskie śledzie,
I u księgarza najnowsze dzieła,
Peruki, kwiaty, cukry, sardele,
Na jednéj karcie tłoczą się śmiele.
I cała Litwa przez pismo twoje
Dwakroć na tydzień wieści odbierze:

Jednego bawią szwajcarskie boje,
Drugi smakuje w szwajcarskim serze;
Tak pośrednictwem twoich arkuszy
Litwa ma pokarm ciału i duszy.

Otoż niech twoja grzmiąca gazeta
Trzykroć ogłosi na świat szeroki:
Że pewny sobie chudy poeta
Chce kupić ziemi ze cztery włoki;
Chce kupić strzechę, co go osłoni
Od skwarów lata i wichrów zimy,
Gdzieby spokojny, z lutnią we dłoni,
Mógł chwalić Boga i klecić rymy.
Niechby w widoku z okna mu były
Wioskowe strzechy, ciche mogiły,
Kędyby witać sielskie przechodnie,
Gdzieby zapłakać można wygodnie.
Niechby serdeczna ciżba wieśniacza
Była mi rada, gdy ją odwiedzę;
Niech mię przyroda piękna otacza,
A dobry sąsiad mieszka o miedzę.
A gdybym słyszał brzękot kosarzy,
A gdybym widział, jako żną zboże!...
O takiéj schedzie wciąż mi się marzy,
Twém pośrednictwem kupię ją może.
Tam, tworząc mały i skromny światek,
Twojéj gazety uczczę *Dodatek*,
A na *Kuryera* (daj mu Bóg zdrowie)
Prenumeratę co rok odnowię.

Oto już marzę, marzę z pociechą,
Uroczą przyszłość widzę w oddali:

Oto pan Edward pod moją strzechą
Na przywitanie—Chrystusa chwali...
Witaj mi, witaj, gościu nad gości!
Dobrym uczynkiem rozwesel łono!
Patrz na mój dworek: co tu piękności!
Jak tu cienisto, jak tu zielono!
A jaki rzeźwy chłodek na lato!
Bo ja mam klony i dęby w lesie.
Tam cię uraczę wiejską herbatą,
Tam będziem gwarzyć, co myśl przyniesie;
Będziemy śpiewać—słodka pociecho!
Z lasem na własność kupiłem echo,
Co za pańszczyznę wtórować będzie
Wesołéj pieśni albo gawędzie...

1849. Załucze.

Za wcześnie.

Poranek kwietniowy, do wiosnyśmy chętni,
A ziemia zamarzła chrupoce i tętni;
Pod murem lodowym śpi Niemna odnoga,
  A wzywa skowronka już praca.
Wstał, przeczuł, że zima skończyła się sroga,
Z modlitwą poranną poleciał do Boga,
  Z błogosławieństwem powraca.

Na szarym zagonie, nim ciepło zawionie,
  Skowronku, zatrzymaj swe pieśnie!
Rolnicy z pługami iść jeszcze nie mogą.
Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?
  Za wcześnie, skowronku, za wcześnie!

Poeto! napróżno twój zapał cię skłania
Opiewać i wiosnę, i dzień zmartwychwstania:
Grób jeszcze Chrystusa opłakać należy
I całun śniegowy nad wiosną.
Zachowaj na potém twój śpiewek tak świeży,
Aż młodsze uczucie w pierś ludu uderzy,
A kwiaty na łąkach wyrosną.

Aż w skrzepłém ich łonie nim życie zawionie,
Zachowaj, poeto, twe pieśnie!
Wszak pieśni tryumfu wysłuchać nie mogą.
Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?
Za wcześnie, poeto, za wcześnie!

Poeta i ptaszek, śpiewacy rozgłośni,
Zaledwie uczuli, że w piersiach się wiośni,
Probują i tężą swój zapał śpiewaczy,
Choć wicher zadyma im płuca.
O! śpiewak szczęśliwy, że wiosnę obaczy,
Niepomny, że zima, że próżen słuchaczy,
Nadziei i piesień nie rzuca.

—„Na sercu tak lubo! precz, zimna rachubo!
„Śpiewajmy, bo przestać boleśnie.“
Czekajcie do chwili, któż maj nam umili?
Za wcześnie, śpiewacy, za wcześnie!

—„Niepłonne śpiewanie, niepłonna zachęta;
„Bo głos *Alleluja!* zahula na święta.
„Oracze do siejby gotują swe pługi,
„My drogi gotujmy za rano.
„Rozgrzejem tymczasem lodowe szarugi,
„Obudzim, ożywim i serca, i smugi,
„Nam wiosnę ogłosić kazano.

„Gdy znikną już szrony, nasz zawód skończony,
„Ci, co wam wróżyli przedwieśnie,
„Już sami wypoczną, ku ziemi lot skręcą,
„I wiosnę, i lato dla siebie poświęcą.
„Słowiki! dokończcie ich pieśnie!"

—„Ja mała ptaszyna, mam piosnkę w mém łonie,
„Śpiewam ją z rozgłośnym wyrazem;
„Modlę się do Nieba i jedno wciąż dzwonię,
„By zboże wyrosło na moim zagonie,
„Gdzie domek złożyłem pod głazem.

„Modlę się rolnikom o deszczyk ciepławy:
„Ach! kiedy niegęste i kłosy, i trawy,
„To orzeł me gniazdo spostrzeże!
„Rozbudzam oracza, ten idąc, przy sosze,
„Słucha méj piosenki, wie, o co ja proszę,
„I swoje dołącza pacierze!"

Tak śpiewał skowronek, aż z serca, aż z głębi,
I roił nadzieje szczęśliwe.
Posłyszał piosenkę słuch bystry jastrzębi,
Drapieżca spadł gromem na niwę:
Krew bryzła na trawę, i piórka szarawe,
I życie minęło, jak we śnie.
Już orzą sielanie, lecz głucho na łanie,
Bo zginął skowronek za wcześnie!

—„Na jawie tak rzewnie, a we śnie tak błogo,
„A w piersiach coś iskrzy się, budzi:
„To pieśni przeczucia, co jeszcze nie mogą
„Przyodziać się w kształty, niebieską pójść drogą
„I w słowach wypłynąć do ludzi.

„Uroczo, radośnie przeczuwam przedwiośnie,
„Lecz sroży się zima straszliwa;
„Choć serce coś śpiewa, wiatr tony odwiewa
„I znowu je w sercu skowywa.
„Jam przecię poeta! tchnę przeciw zawiei

„I słowem ognistém lód skruszę;
„Zaśpiewam modlitwę—i wnet po kolei
„I w domku człowieka, i w polu, i w kniei
„Rozwiośnię i kwiatki, i dusze.

„O! i sam odetchnę dziecinniéj i słodziéj,
„I znowu się życiem rozżarzę,
„Zabłądzę w zarośla, popłynę na łodzi,
„Obejrzę, jak zboże, jak kwiatek mi wschodzi,
„Z oraczem na polu pogwarzę.

„Tam pasterz w róg brząka, tu słyszę skowronka,
„Serce się rozmarzy, roześni;
„Natura, swoboda, natchnienia mi doda
„I nótę poszepnie do pieśni."

Tak śpiewak miał wiosnę wywołać zieloną;
Podsłuchał go wicher daleki:
Wymierzył pęd w głowę, marzeniem ognioną,
Szarugą i śniegiem uderzył mu w łono
I zakuł je lodem na wieki.
I oto przy trumnie lud ciśnie się tłumnie,
I dzwonek kołata boleśnie,
I w jamę ksiądz tłoczy śnieg z piaskiem na oczy
Poety, co śpiewał za wcześnie.

1849. Zolucze.

W IMIONNIKU STANISŁAWA MONIUSZKI.

Gdy widzę promienne, natchnione twe oko,
Gdy słyszę twą piosnkę natchnioną, —
Łaskawą Opatrzność uwielbiam głęboko,
Że iskrę skrzesała w twe łono,
Że pamięć o Litwie w Niebiosach się mieści,
Że piewcę pomiędzy nas budzi,
Że twojém imieniem i blaskiem twéj cześci
Powiększa cześć naszą u ludzi.

Lecz jeszcze nie tutaj twa wielkość się znaczy,
Tu pełni Opatrzność swe plany.
Bóg natchnął ci twórczość, wlał ogień śpiewaczy,
Ty śpiewasz, boś na to zesłany.
Serdeczniéj podziwiać i kochać cię będziem,
Żeś Litwie poświęcił się cały,
Żeś stanął, jak Orfej z muzyczném narzędziem,
Rozmiękczać kamienie i skały.

Widziałem po świecie, jak pieśni twéj siłą
Zawrzały kamienne umysły,
Jak oko, co dotąd bezmyślnie świeciło,
Poczuło, że łzy mu wytrysły.
Słyszałem, jak napiew, przez ciebie schwycony
Na polu, lub w chacie rolnika,
Napawa urokiem litewskie salony
I swojskiém uczuciem przenika.

Cześć tobie, pieśniarzu! harmonie śpiewacze
    Rozniosą braterstwo — jak cudem:
O! kto raz przy piosnce ludowéj zapłacze,
    Przestanie się pastwić nad ludem!
Litwini ulegną pieśniowéj potędze,
    Zbliżą się z rodzinną szczerotą,
I Litwin we złocie, i Litwin w siermiędze
    W braterskich uściskach się splotą.

18 grudnia 1849 r. Wilno.

SZCZĘŚCIE.

(Z OKOLICZNOŚCI).

„Szczęścia! szczęścia!" ludzie krzyczą jedni za drugiemi,
Rozebrali wszystko złoto, wszystką chwałę ziemi;
Każdy szuka swego szczęścia, ile tylko może:
I ja staję do podziału... i ja dziecię boże!
Mnie nie trzeba waszéj cześci i waszego złota,
Alem przecię brat wasz, ludzie, nie błędny sierota.
Gońcie zdrowi, co kto złowi, mego nie weźmiecie,
Bo i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Lubię marzyć, lubię bujać, ale marzę skromnie,
Mało trzeba, aby szczęście zawitało do mnie:
Trochę słońca, trochę życia, to mi dusza wskrześnie,
Trochę ciszy, trochę czasu, to ułożę pieśnię;
Trochę serca, coby spoić z méj piersi oddechem,
Czasem łezką, czasem dumką, albo pustym śmiechem.
Skromne cele—ach! niewiele pożądam, jak dziecię;
Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Kładę rękę na me czoło, na mą pierś niebogą:
Nie mam myśli, nie mam uczuć, co rumienić mogą;
W mojéj myśli, w słabéj myśli, żyje ludzkość sama,
W mojém sercu radbym zmieścić cały ród Adama.
Ale ludzie na me skronie kładą wieniec z cierni,
Jeden myśli me zabija, drugi serce czerni.
Za co? za co tak mi płacą? jam niewinien przecię,
A i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Gdy chcę śpiewać, wnet zahuczy jakiś grom zło-
[wieszczy;
Gdy chcę dumać, tłum niesforny po nad głową wrze-
[szczy:
Gdy jutrzenka błyśnie sercu, czoło się wygładzi,
Oni karać mię za szczęście, kamienować radzi.
Tłumy szydzą, żem zaniechał poziomych korzyści:
O! nie pojmie czystych chęci, kto się nie oczyści!
Ja wam w drogę zajść nie mogę, wy idźcie, gdzie
[chcecie,
Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Należy mi trochę szczęścia, takiego jak roję,
Za niewinne pieśni moje, za cierpienia moje.
Poszanujcie moją ciszę, kiedy pieśń sposobię,
Złoto wasze, chwałę waszą zachowajcie sobie.
Wierzcie w czystość mojéj duszy, nie złorzeczcie tyle,
Kiedy sercu znękanemu dam folgę na chwilę.
Zniosłem wiernie wasze ciernie, a gdzież moje kwiecie?
Wszak i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

1850. Załucze.

KŁÓTNIA I ZGODA.

Z miłéj zgody przyszły kłótnie
Wśród płochéj swawoli.
Człek żądlastém słówkiem utnie,
A tu serce boli.
Szkoda ranić złemi żarty,
Ale trudna rada:
Trzeba dowieść, żem uparty,
Gniewać się wypada.
U niéj także gniew na twarzy,
Wie, co mię obchodzi,
I z kim innym niby gwarzy,
A w serce mi godzi.
Albo milcząc, myśli w gniewie
Bóg święty wie o czém.
Wszyscy patrzą, a nikt nie wie,
Że my wojnę toczym.
Ale trudnoż walki znosić,
Więc mi rękę poda:
— „Dość tych wojen! dosyć, dosyć!
„Już na zawsze zgoda.“
I tak wdzięcznie główkę skłania,
Rumieni oblicze,
Że dla szczęścia pojednania,
Znów kłócić się życzę...

1851.

HOMEROWA DZIATWA.

Boże mój, Boże! jak to poecie
Trudno i nudno żyć na tym świecie!

Każdego kocha, ufa bez granic,
I w sercach rymu dla serca szuka;
A dobrzy ludzie mają go za nic,
Bo zwieść poetę niewielka sztuka.
Przecięż go każdy zwodzić ochoczy,
My tacy prości, a oni biegli!
Więc na złość światu zamknijmy oczy,
Udajmy, żeśmy nic nie postrzegli.
Niech zwodzi przyjaźń, zwodzi niewiasta,
Niech szarpie krytyk, lichwiarz odziera:
Ślepym był Homer, nasz protoplasta,
Więc bądźmy ślepi na cześć Homera.

1851. Załucze.

PRZEDWIOŚNIE.

Na dworze niby lato, niby jeszcze zima,
Jeszcze świat, jeszcze serce, jak gdyby pod pleśnią,
Jeszcze się pierś wiośnianém uczuciem nie wzdyma,
Ptak się jeszcze swobodną nie rozhulał pieśnią.
Pora wiośnie i dawno! a zkądże to dziwo,
Że tak źle się rozwija i pączek, i trawa?
Leniwo biją pulsa, pieśń płynie leniwo,
Jest wiosna, ale czegoś wiośnie nie dostawa.
I rzekł mi siwy starzec:—„O, wiosna już blizka,
„Znam to, bo kopę wiosen miałem przed oczyma;
„Lecz jeszcze, widzisz aspan, mgła zimowa ściska,
„Póki grzmotu nie będzie, to i wiosny niéma.“
Ja, kochanek spokoju, trwożę się i blednę,
Kiedy burza zawyje, kiedy grzmot zatrzaska;

Rozedrą się w źrenicach moje oczy biedne,
Gdy w chmurze błyskawiczna zamży się przepaska!
Mnież się modlić o grzmoty? A jednakże łono
Tak spragnione odetchnąć w wiośnianéj naturze!
O, jeżeli wam zimę zakończyć sądzono,
Pośpieszcie czarne chmury i ogniste burze!

1 kwietnia 1851. Załucze.

ORACZ DO SKOWRONKA.

I.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
I my ludzie, i wy ptaszki, wszystko dzieci boże.
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.
Tyś, skowronku, mój towarzysz, choć w nierównéj doli,
O kochaniu jeno marzysz twemu sercu gwoli;
Tyś szczęśliwy i wesoły, gdy jutrznia poranna,
Lecisz w górę, by z anioły zaśpiewać: *Hozanna!*
Z twéj piosenki rade nieba, i Pan Bóg się cieszy,
Że ptaszkowi mało trzeba i dziękować śpieszy —
Że, różnemi gwarząc tony, głosisz w kraj daleki:
„Niechże będzie pochwalony, na wieki! na wieki!“

II.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
Lecisz w niebo, za oraczem pomódl się, nieboże!
Mów, żeś krążąc wedle sioła, widział biedy nasze,
W głodzie wiosna niewesoła, jako wiosny ptasze.

Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie
[dźwiga,
Chciałby śpiewać świętą pieśnię, głodna pierś zastyga.
Za nic wiosny widok rzewny i krasna jutrzenka,
Gdy co rano dzwon cerkiewny po umarłym stęka.
Dziatwa jęczy, człek się błąka, z łez świata nie baczy—
Wiosną życie dla skowronka, a śmierć dla oraczy...
Módl się, ptaszku! Bóg wzruszony doda nam opieki,
I niech będzie pochwalony na wieki! na wieki!

10 kwietnia 1851. Załucze.

POGRZEB MŁODEGO ROLNIKA.

SIELANKA.

Wczora, młody Łazarzu, śledząc wzrok twój pilno,
I słysząc w zeschłych piersiach muzykę mogilną,
Tętno, co słabo kołata,
Kłamałem twéj rodzinie, i tobie, i sobie,
Że cię ręka lekarza podźwignie w chorobie,
Że jeszcze wrócisz do świata.

Dzisiaj — w jodłowéj trumnie leży trup młodzieńczy,
Matka, upadłszy na twarz, żałośliwie jęczy,
Głową o trumnę uderza;
Na ławie cudzy ludzie wzdychają przy czarce,
Wzdycha ojciec, że stracił pomoc w gospodarce,
A dzwonnik śpiewa z psałterza.

Promień rannéj jutrzenki do chaty się wciska,
I jakby dla zniewagi, dla urągowiska,
Twarz trupią oświeca jaśnie.

Stosowniejsza dla ciebie, o biedny młodzianie!
Lampa, co krwią migoce na zczerniałéj ścianie,
Buchnie... to znowu przygaśnie...

Biją w dzwonek cerkiewny... to już hasło znaczy,
Że skończona przy grobie robota kopaczy,
Już robak czeka w mogile!
Już przychodzi ksiądz z krzyżem... O, zaczekaj, księże!
Nim ojciec czarne woły do wozu zaprzęże,
Zostaw nam gościa przez chwilę...

Zakołatała wieko wierna ręka cieśli,
Wóz słomą potrząsnęli i trumnę wynieśli,
Karawan chatę wymija.
Z żółtemi gromnicami, w uroczystéj parze,
Śpiewając podchmieleni idą gospodarze,
Płacz niewiast niebo przebija.

Nawet wójt, choć twarz jego tak groźna i dzika,
Uszanował pokłonem trumnę nieboszczyka.
Młodzieńcze! straszno ci w grobie?
W obumarłych źrenicach łza ci pewno stoi,
Żal sercu rzucać wioskę, gdzie cudzy i swoi
Tak rzewnie płaczą po tobie?

A jednak ja, przychodzień, co patrzę z daleka,
Czuję, jak się krew moja pod sercem zapieka,
Jak mię pot zimny opływa:
To nie po tobie płaczą — o! im tylko szkoda,
Że zakrzepła na zawsze twoja ręka młoda
Do sianokosu i żniwa.

Bo twa ręka z siekierą była oswojona,
Bo już sochę dźwigały twe młode ramiona,
Już zdobywałeś kęs chleba!
Cóż za dziw, że rodzina, że wójt nawet czuły?
Bo się twoje ramiona z zaprzęgu wyzuły...
To żal nie taki, jak trzeba!...

Idzie młoda żniwiarka z zakwieconą głową...
Może westchnie... wyleje łezkę ukradkową,
Święte współczucie obudzi.
Gdzie tam? póki zaręczyn nie zapiją starzy,
Żadne się młode dziewczę kochać nie odważy —
Płakać po chłopcu... wstyd ludzi!

Ostrożna!... Gdyby świat ten nie był zimnym tyle,
Smutnoby ci tak młodo zakostnieć w mogile,
Nie chciałbyś rzucać nas może;
Cierpiałbyś, jakby-ć serce na połowę darto...
Ale teraz, poznawszy, że i żyć niewarto,
Pokochasz grób twój, nieboże!

Przy mogile gromadki zbierają się tłumne —
Słychać, jak garści piasku uderzają w trumnę,
Już spoczął w ziemi syn kmieci;
I kłodę położyli na jego kurhanie,
I dzwonek ostateczne zagrał pożegnanie:
Niech wieczna światłość mu świeci!

Wieczorem, wy umarli, niekiedy umiecie,
Wziąwszy postać upiora, błąkać się po świecie,
Odwiedzać rodzinne sioła

I u lubego okna podsłuchywać z cicha,
Czy rodzina pamięta, czy kochanka wzdycha,
Czy kto twe imię zawoła?

Nie chodź, młody upiorze, do lubéj, do braci,
Bo ci się twa ciekawość boleśnie odpłaci!
Za miesiąc — obaczysz pono
Grób twój w zielsku, a imię w niepamięci ludzi.
Śpij twardo, póki Pan Bóg ze snu cię nie zbudzi,
Zapomnij przeszłość minioną!

10 sierpnia 1851. Załucze.

DO FLETNI.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana,
Dość spoczywać nam doma!
Na równinach i w lesie,
Twoja nóta znajoma
Niechaj piosnkę rozniesie;
Po nad braterską strzechą
Niechaj rozbudzi echo,
Niechaj echo rozbudzi,
Niechaj piosnkę rozleje,
Niech przemówi do ludzi,
Słówkiem dobréj nadzieje;
Niech się w sercach rozgości,
Jak zwiastunka miłości.
Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Ten, co strugał cię z drzewa,
Dał ci tonów niewiele:

Jednym głosem się śpiewa
Panu Bogu w kościele,
Drugim ojców ziemica,
Trzecim krasna dziewica.
Dla słowiańskich pieśniarzy
Tego trojga już dosyć;
Co się jeno zamarzy,
Wszystko można wygłosić.
My sobie ludzie prości
Żyjem wedle miłości.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Dzisiaj z pieśnią nielada
Nam wystąpić się zdarza;
Bo przybyła gromada,
By posłuchać pieśniarza.
Przyjmiem, przyjmiem brat brata,
Jako chata bogata.
Niech gromada wybaczy,
Że uboga gościna;
Nie postawim kołaczy,
Ani wina węgrzyna;
Lecz zapiejem dla gości
Pieśń słowiańskiéj miłości.

Oj dana moja, dana!
Moja fletni drewniana!
Bez długiego zachodu
Ujmiem gości najsłodziéj,
Piosnką starszą od miodu,
Co warzył Piast kołodziéj, —

Piosnkę o tém, co czyni
Młoda Lachów kniahini,
Jak dziad stary i ślepy
Zwalczał smoki i żmije,
Jak w kamienne oszczepy
Chrobra młodzież się bije,
Kto jéj chwały zazdrości,
Kto umiera z miłości...

1851. Załucze.

LIRNIK WIOSKOWY.

SIELANKA.

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
Snadź ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
I smutno, i wesoło;
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
Przechodzę całe sioło!
Z tobą się nie napieszczę: i dzień, i noc, i jeszcze...
Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladéj twarzy
Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
Przecię tonów nie zniżę;
Nie żałuję méj głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Niebezpiecznes narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
I tęsknota ogarnie.
Tyś pokaraniem bożém! z tobą, jak z ostrym nożem,
Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
Co tam w duszy lirnika?
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Że mnie tak chętka bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Pànu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczo.
Patrzcie na dziewę moją! przy niéj chłopcy się roją...
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem połyska.
Mnie Bóg więcéj przeznacza: znaj, co hardość śpiewa-
Ja przed nikim nie zniżę [cza!
Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy
Skonam, grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Wątłe z tobą nadzieje!

Snadź twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem uklęknę,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
O dolo moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wytężę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
Smutnym tonem mitrężę.
Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klnę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.
Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada!
Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze
I z innym pląsa rada.
Starzec westchnie i powie: „Za mych czasów grajkowie
„Toć to grali dla duszy!
„Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody;
„Trąbić mu w róg pastuszy!“
I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani, —
Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
Otoż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!
Liro! próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
Z ciebie ciernie i krzyże!
Lecz tyś promień méj głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!
Tyś dla mnie ulgą bożą, a gdy mnie w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
Zolbrzymieją me słowa,
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakołata:
„Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
„Lirnik głośny u świata.“
Wtedy z całego sioła ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać, ściskając plecy: „Zkąd ci ludzie dalecy
„Znają pieśni téj wioski?“
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzéj ziemi
Westchnieniem i gawędą sławić lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybyszy do cmentarnéj zaciszy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
I rzekną, wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy
„Skonał, grając na lirze.“

18 Stycznia 1852. Załucze.

PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

(Z tematu ludowego).

Bór nasz wysoki nad wszystkie bory,
Dwór nasz bogaty nad wszystkie dwory;

Na naszym panu strój złotolity,
Na pani perły i aksamity,
Służba srebrzyste nosi sukmany,—
Ej, pan nasz sławien nad wszystkie pany!
A jego wioska długa pół mili,
Na jego polach kłos się aż chyli,
Szerokich morgów oko nie zmierzy,
Zboże wysokie, jak półk żołnierzy.
Ej, była u nas wojna odkryta,
Wojsko pszenicy i wojsko żyta!
Żeńcy sierpami ścięli szczęśliwie,
I kłos nie został na pańskiéj niwie.
Ejże po wojnie idźmy do pana,
U niego będzie cześć nam oddana:
Sprawi nam ucztę, jakby wesele,
Białym obrusem stoły zaściele,
Przyjmie w gościnę swoje żniwiarze,
Miodu i wina zastawić każe;
Przepije czarę zà nasze zdrowie
I dobre słówko swym gościom powie.

1852. Zalucze.

Dedykacya gawęd gminnych Litwinom.

O bracia moi z nad Wilii, z nad Niemna!
Gdy wam swojacka gawędka przyjemna,
Zasiądźcie w kółko, a ja wam pogwarzę.
Stukniemy w czarki, rozweselim twarze,
A może prawda wynurzy się na dnie,
Albo się chwilka smutkowi wykradnie.

Ja czasem wierszyk skleciwszy na prędce,
Lubię się wylać w niewinnéj gawędce,
A wy niekiedy serdecznie i czule
Dajecie ucho sielskiemu gadule;
Będziem wzajemnie radzi—tak mi właśnie!
Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
Aby snadź jaki panek, czy półpanek
Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadanek.
U nas, wiadomo, domowa czeladka,
Wiersz od siekiery, robota niegładka,
A słuchacz, patrząc w serce gospodarza,
Wdzięczen z przyjęcia czém Pan Bóg obdarza.
Łatwiéj to z wami wywinąć się księdze,
Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!
Gmin nieuczony łatwiéj się pozwoli
Podkraść, wysłuchać, czy go serce boli?
Czy własna wina, czy boża niełaska,
Czy błoga radość po sercu pogłaska,
Oblicze gminu blednie, to się płoni,
Pierś przezroczysta—widno jak na dłoni,
Na sercu grają uczucia otwarte,—
Łatwoż je schwycić i przenieść na kartę;
A potém w kółku tych samych słuchaczy,
Któż niedołężnéj piosnce nie przebaczy?
Kto zechce śpiewek nicować dziadowski
Z myśli do myśli, ze zgłoski do zgłoski?
Z jasnemi pany nie tak idzie składnie:
Któż ich oblicza, ich serca odgadnie?
Jak dla nich śpiewać, kiedy mają narów,
Że za swój pieniądz chcą dobrych towarów?
Dla nich się książki w pozłocistych szatach
Robią w Paryżu w najpierwszych warsztatach!

Gdzież nam dościgać? nierówna gonitwa,—
Co insza Paryż, a co insza Litwa.
Kogo zamorskie pachnidło przynęci,
Cóż mu aromat naszych sianożęci?
Po śpiewie oper, jak nudną są rzeczą
Ranne skowronki, co na Litwie skrzeczą!
Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,
Dla ciebie śpiewam, gminu szaraczkowy!
O tobie śpiewam i z tobą zespolę
Nadzieje, radość, i smutki, i bole;
Twojém powietrzem orzeźwię oblicze,
Od twoich ptasząt wyrazu pożyczę.
Niech się myśl moja z pod serca wygwarzy
Nótą żniwiarską, w takt brzęku kosarzy;
Gdzie chata słomą lub darnią pokryta,
Serdeczny Litwin niech piosnkę przeczyta,
A gdy swojaka dopatrzy się we mnie,
Zgrzeszyłbym mówiąc, żem śpiewał daremnie.

1852. Załucze.

DRZEMKA I CZYN.

(*Piosnka*).

Bo też życie próżna mara,
Kto zapomnieć się nie stara,
Kto się dąsa Bóg wie czego,
Kto nie spoczął ani chwili
Wśród szczebiotu dziewiczego,
Wśród dziecięcych krotochwili,
Kto psuł puhar winem z wodą,
Kto nie pieścił się przyrodą.

Drzemiąc, jako Sybaryta,
Nad rozkosznéj książki kartą,
Sam u siebie człek się pyta:
Czyż doprawdy żyć niewarto?

Bo też życie próżna mara,
Kto rozbudzić się nie stara,
Kto opuścił gnuśne ręce,
Kto doświadczyć sam się lęka,
Co rozkoszy w krwawéj męce,
Kiedy z bolu serce pęka,
Kto nie czuje i nie baczy,
Jaki olbrzym człek w rozpaczy.
Kiedy radość tak zdobyta
Wionie czasem w pierś rozdartą,
Sam u siebie człek się pyta:
Czyż doprawdy żyć niewarto?

1852. Wilno.

PIELGRZYM.

Oto z kijem pielgrzymskim, jako ślub mój każe,
Przewędrowałem miasta, wioski i cmentarze,
W macierzystych kościołach rozpatrzyłem z bliska,
Nadpowietrzne wieżyce, podziemne sklepiska,
I aby się przed ludźmi pochwalić zdobyczą,
Wziąłem nieco pamiątek w sakwę wędrowniczą:
Garstkę wody niemnowéj i gruz staréj wieży,
Z grobowca kość nadgniłą, z pola kwiatek świeży.
Wzdłuż i wszerz zwędrowawszy nadniemeńskie stro-
Pod gruszą pól domowych odetchnę znużony; [ny,
A nim k'dalszéj pielgrzymce na siły się wzmogę,
Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę.

Tam nad siném jeziorem stary zamek stoi,
Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,
Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,
Tutaj cmentarz na piasku, gdzie śpi dziatwa luba,
Tutaj boże świątynie, tutaj bratnie domy,
Śpiewa znajome ptactwo, huczy wiatr znajomy;
I wspominam spłakany, rozmarzony cały,
Uczucia, co mi niegdyś piersi zalegały,
I myśli, które niegdyś paliły mi głowę...
O strony mego serca! o strony domowe!
Kiedy wicher mię życia daleko wyrzuca,
Niech na zapas powietrza zagarnę ztąd w płuca,
Niechaj mi wzdyma piersi, niech je w głębi noszę,
Na westchnienie rzewniejsze by użyć po trosze.
W zamian cóż wam zostawię? czém pamięć oznaczę?
Chyba błogosławieństwo pielgrzymie, żebracze,
Ze wzgórza puszczę z wiatrem po waszym obszarze,
A Pan Bóg je przeżegna i spełnić się każe.
Nad wioskami, nad Niemnem, nad lasem, nad błonią,
W lepszy czas, pieśń głośniejszą ptaszkowie zadzwo-
I rosa Łaski Pańskiéj niech użyźnić raczy [nią,
Wasze niwy piaszczyste i serca oraczy.
A na wiosnę, na błoni, przy Niemna zatoce,
Gdy bocian zmartwychwstania piosnkę zaklekoce,
Duch pielgrzyma pośpieszy, by cieszyć się z wami,
Polatać nad wioskami, po nad cmentarzami,
Gdzie pił wodę niemnową, gdzie miał chleba kawał,
Gdzie łzy bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,
Zkąd odszedł rozpaczliwie, załamawszy ręce,
I zostawił pamiątkę w znikoméj piosence!

1853. Wilno.

Do Feliksa Rumbowicza.

Mój Feliksie! wszak ludzie zaprzeczyć nie mogą,
Że wszelka linia prosta jest najkrótszą drogą;
Że gdy pod jedną miarę wykroisz je ładnie,
To trójkąt do trójkąta najściśléj przypadnie;
Że kwadrat stoi prosto, a trapez pochyło;
Że koło jest płaszczyzną, a ośmiościan bryłą;
Że x algebraiczne cyfra niewiadoma:
Lecz z tego nie wynika, byś miał siedzieć doma,
Ażebyś cały wieczór (o pożal się Boże!)
Miał ślęczeć nad rachunkiem, jak kupiec w kantorze.
O! jemu łatwiéj liczyć, gdy grosza nachwytał,
Niż tobie — idealny, spektorski kapitał.
„Tysiąc mnożę przez tysiąc!“ co za urok słodki!
Zda się rosną w kieszeni wytarte dwuzłotki,
Zda się, że szereg cyfer po tablicy szasta,
Że każde zero w worek dukatów urasta;
Człowiek aż oko pasie, aż ślinkę połyka,
Patrząc, jak chudy dzwonnik na brzuch kanonika.
Ale patrząc na cyfry, mało się skorzysta;
Chuda w naszych bilansach cyfra rzeczywista.
Integralny rachunek niewiele się przyda:
Pięć od czterech nie mogę, pożyczam u Żyda;
Zero od zera — zero; kiedy pustki w kiesie,
Nie masz na to sposobu i w Pitagoresie!

Więc zostawmy w pokoju rachunki i troski.
Patrzaj, co w swéj gazecie napisał Lesznowski:
Owo na ziemi Franków jest bal u Cesarza,
Owo Turczyn niewierny już wojną zagraża,

Owo straszna kometa przychodzi z oddali,
Drgnie płomiennym ogonem i ziemię zapali.
Pytam się: czyż niewarto o wieczornéj chwili
Byśmy te wszystkie sprawy głębiéj rozważyli?
Lecz nim groźny padyszach w swéj pychy zakresie
Stolicę ze Stambułu do Smorgoń przeniesie,
Nim się kardynałowie do Paryża zjadą
Maścić wybrańca ludu święconą pomadą,
Zbierzmy się w ciepłą izbę i, starym zwyczajem,
Zróbmy traktat przymierza Jamajki z Kitajem.

Wszak znasz trojańskie dzieje: Eneasz przed laty,
Zaproszon od Dydony na szklankę herbaty,
Niezrażony przestrzenią i morza ogromem,
Nie sam jeden pojechał, ale z całym domem
I ze wszystkiemi sprzęty własnéj gospodarki:
Włożył Jowisza w kieszeń, a ojca na barki,
I przewiesił przez plecy posiłek sowity—
Z Pryamowskiéj gorzelni flaszkę okowity;
A kurząc z krótkiéj fajki tabakowe liście,
Na tyryjskie salony wkroczył posuwiście.

W dziejach starych i nowych—jeżeliś ich świadom—
Przypatrzysz się do sytu podobnym przykładom:
Cyrusy, Daryusze, Likurgi, Perykle,
Których bohaterami nazywają zwykle,
Których sława z przed wieków aż dotąd się nie ćmi,
Szli zawsze na herbatę z żonami i dziećmi.

Raz Pompejusz, Rzymianin rozgłośny u świata,
Zaprosił na herbatę króla Mitrydata,
Lecz, że niezawsze środki dobrym chęciom służą,
Samowarek maleńki a gości miał dużo;

Ujrzał, że mu przychodzi wstydzić się widocznie,
Struchlał rzymski bohater i rozmyślać pocznie:
— „O gdyby się z kłopotu wykręcić zwycięzko!
„Dałbym chętnie augurom sto wołów na mięsko,
„Uczciłbym olimpijskie Junony, Cerery,
„Wypiłbym na cześć Bacha kieliszek madery,
„Kazałbym — jeśli w niebie taki ślub przyjęty —
„Mojemu fagasowi dać sto kijów w pięty;
„Lecz żaden ślub, niestety! i żadna ofiara
„Nie zwiększy objętości mego samowara!“
Tak gdy biedny Pompejusz w daremnéj rachubie
Gładzi jeno czuprynę i swe wąsy skubie,
Wzywa niebieskie siły i piekieł otchłanie,
Nowy koncept do głowy przyszedł niespodzianie;
Więc jak niegdyś Archimed wykrzyknął: — *Eureka!*
I list do Mitrydata posyła przez Greka,
A w liście były takie wyrażone myśli:
Chcesz pić u mnie herbatę, to samowar przyślij!
Więc śladem Pompejowym ozwać się ośmielę:
Przyjdźcie do nas na wieczór, dobrzy przyjaciele!
By zaś chińskim nektarem uweselić życie,
Jak niegdyś Mitrydates — samowar przyślijcie.

1853. Wilno.

DO STANISŁAWA SZCZEPANOWSKIEGO.

Pod niebem płomiennêm, gdy miną dnia skwary,
Gdy z morza chłodnawy wiatr dmucha,
Kochanek przed lubą chcąc wylać głąb ducha,
Powierza to strunom gitary.

Pod wzniosłym balkonem lud ciśnie się w tłumie,
I słucha śpiewaka wśród ciszy,
I każdy podziwia, kto jeno go słyszy;
Lecz jedna go tylko rozumie.

Och, bo też gitara to dziwne narzędzie!
Czy tęskni, czy wzdycha, czy płacze,
Choć z piersi tysiąca westchnienie dobędzie,
Nie każdy cię pojmie, śpiewacze!

Nie każdy cię pojął, o nasz Stanisławie!
Lecz oczy są, z których łzy biegą;
Nic ciżba nie doda, ni ujmie twéj sławie,
Kochanka rozumie lubego.

Pojęła twą pieśnię niemała drużyna:
Nie żałuj twych trudów i pracy,
Nie rzucaj przekleństwa na gród Gedymina,
Że cię nie pojęli swojacy.

Bo ciche Litwiny topnieją i mięknią
Przed wszystkiém nadziemskiém i wieszczém;
Pojęliśmy w tobie natchnienie i piękno,
Choć ci nie klaskamy, nie wrzeszczym.

Cześć tobie, śpiewaku! cześć tobie i dzięki,
Żeś do nas zagwarzył tak cudnie,
Żeś ludziom z nad Wilii, z nad bystréj Wilenki,
Dał poznać gorące południe.

26 kwietnia 1853. Wilno.

NIEPIŚMIENNY.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na bożym świecie;
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy, panowie, pisać umiecie.
Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemném niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
Dumkę po dumce, słowo po słowie.
Spisałbym widok bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;
A teraz wszystko marnie ulata,
Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym najprzód piękne sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy,
Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo aniołów o jasnéj twarzy.
Spisałbym potém ptasząt słóweczka,
Ranne skowronka *Zdrowaś Marya*;
Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija?

Co mówi z wiatrem kłosista niwa?
Co ryczą woły, jak beczą stada?
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potém, mrucząc, sam z sobą gada?
Jak kowal młotem bije w kowadło?
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
Wszystkoby wiernie spisać wypadło —
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, piórko wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią;
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym po prostu, jak serce puka,
Takbym i pisał na białéj karcie.
Pukania serca złowić nie sztuka,
Ludziom niemożna mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki - gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie chwycę — jam niepiśmienny.

IV.

Łatwiéjże panom, łatwiéj Żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:
On swoje dumki na papier złowi,
A potém z ludźmi co chce dokaże.

Ja — daj mi piórko, naucz niém władać, —
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moją nędzę pocznę powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może.
Spisałbym z tego bez żadnéj zmiany
Książkę modlitew taką, jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany
Możeby łezkę uronił za mną.
Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
Ja ciebie karmię w porze jesiennéj!
Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze!
Toż to polecę, człek niepiśmienny!

1853. Borejkowszczyzna.

Hymny do Mszy świętéj.

Kyrie eleyson.

Przy świętych tajemnic straszliwéj ofierze,
Gdy lud Twój z modlitwą przed ołtarz się zbierze,
Wysłuchaj serdeczne wołanie,
Zlituj się nad nami, o Panie!

Christe eleyson.

Niech nasze westchnienia i modły w świątyni
Twa łaska godnemi przyjęcia uczyni;
Daj myśli, daj serca nam czyste,
Zlituj się nad nami, o Chryste!

Gloria.

Chwała Panu na Syonie,
Niech się zleje, niech zespoli!

Pokój święty niech owionie
Wszystkich ludzi dobréj woli!

Graduale.

Powstańmy z cześcią, bo Zbawca sam
Prawdy żywota objawi nam,
Swego zakonu wyłuszczy treść,
I przykład poda, jak życie wieść.
Zléj na nas, Zbawco, naukę, zléj!
Niech grzeszne serce odżyje w niéj!
Niechaj na prawdę zakipi już
Miłością Boga i bratnich dusz.

Credo.

Wierzymy w Boga, co światy tworzy,
Wiemy, że Chrystus prawy Syn Boży,
By zetrzeć głowę piekielnéj żmii,
Przyszedł na ziemię z łona Maryi.

Et incarnatus.

I Bóg stał się człowiekiem, i w ludzkiéj postaci
Dał się przybić do krzyża za grzechy współbraci;
I czoło mu zranili, i przebodli serce,
I skonał, błogosławiąc swe ślepe morderce.

Et resurrexit.

I zmartwychwstał uroczyście,
I w niebiosa ulata!
I zapewnił swoje przyjście,
Czynić sądy ze świata.

Offertorium.

Niech z ręki twojéj, kapłanie,
Bóg przyjmie świętą ofiarę;

A Słowo ciałem się stanie,
I cud obaczym przez wiarę.
Gdzie chleba, wina istota,
Bóg znijdzie ku dziatwie swojéj;
Nakarmi Ciałem żywota,
Krwią swojéj Łaski napoi.

Sanctus.

Święty! Święty! Święty Boże!
Któż podoła Cię zmierzyć?
Człowiek tylko klęknąć może
I w proch czołem uderzyć!

Benedictus.

Hozanna, hozanna! w potęgi ogromie
Na ołtarz ofiarny Bóg zstąpił widomie!
I ciało, i duszę, i krew swoją bierze,
I mękę odnawia w niekrwawéj ofierze.
Niedarmo, niedarmo, o Zbawco! o Chryste!
Przelane krwi Twojéj potoki rzęsiste:
Dla żywych w niéj zdrowie i szczęście się mieści,
Dla zmarłych ochłoda czyscowych boleści.

Agnus.

Niech się na sercu nie trwoży,
Kogo sumienie przygniata,
Gdyż oto Baranek boży,
Który gładzi grzechy świata!
Wy, którzy czyści jesteście,
Kogo żal omył i skrucha,
Do stołu bożego śpieszcie,
Bo dana uczta dla ducha.

Benedictio.

Powstańmy wszyscy gromadnie,
Bądźmy szczęśliwi i prawi;
Tu kapłan na nas krzyż kładnie,
A w niebie Bóg błogosławi.

1854. Borejkowszczyzna.

DO WIKTORA KAŻYŃSKIEGO

z powodu jego „Śpiewnika."

Graj, dudarzu, graj!
Więcéj piosnek daj!
Niech się wsłucha w twoją pieśnię,
Niech litewska dusza wskrześnie
I polubi kraj!

Graj, dudarzu nasz!
Dziewkom nótę wskaż,
Niech się w chłopcach duch odzowie,
Niech zapłaczą staruszkowie
I wyjaśnią twarz.

Graj, dudarzu, piéj!
W głębi naszych kniéj,
W głębi serc — pod naszą strzechą
Znajdziesz, grajku, znajdziesz echo
Dla piosenki twéj!

1854. Wilno.

PIEŚNI DO MUZYKI
W. KAŻYŃSKIEGO.

1.

WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK.

Żarcik.

„Wlazł kotek na płotek i mruga,
„Piękna to piosenka, niedługa.“
My temu chytremu kotkowi
I sami odmrugnąć gotowi;
A żaden nie zgadnie, nie zoczy,
Co sobie powiemy przez oczy.
Tak mrugniem figlarnie i zdradnie,
Że człowiek sam siebie nie zgadnie;
W tém sekret, w tém cała zasługa:
„Wlazł kotek na płotek i mruga.“

Ej kotku, ty kotku filucie!
Czy mruga w twych oczkach uczucie?
Czy zdrada głęboka a słodka,
Zwyczajnie, jak w oczach u kotka?
Czy mrugasz nieszczerze, czy szczerze,
Ja zawsze kotkowi uwierzę,
I wzajem odmrugnę tak ładnie,
Że kotek nic a nic nie zgadnie.
W tém sekret, w tém cała zasługa:
„Wlazł kotek na płotek i mruga.“

A kiedy kotkowym zwyczajem
Zawiedziem i zdradzim się wzajem,
Niech żadne się na to nie żali,
Bo myśmy oboje mrugali.

Na zręczne mruganie z ukradka
Nikogo nie znajdziem na świadka;
Kto widział, nie zgadnie co znaczy,
Bo coraz mrugamy inaczéj!
W tém sekret, w tém cała zasługa:
„Wlazł kotek na płotek i mruga.“

2.

KRAKOWIAK NA LITWIE.

Choć w Krakowskiém lepiéj żyją,
Ja-ć i Litwę chwalę:
Bo nad Niemnem, nad Wilią
Lud niezgorszy wcale.
Choć w gospodzie kiedy skacze,
Mniejszą ma ochotę,
Choć czarniejsze tam kołacze,
Ale serce złote.

U nas zboża, u nas trawy
Zieleniejsze w okół,
U nas chłopiec taki żwawy,
Jak karpacki sokół.
Tu jak dęby chłopcy duże,
Pozwieszali głowy,
Ale za to w ich naturze
Widać hart dębowy.

Każda nasza Krakowianka
Śmieje się radośnie,
Do chychotek czy do tanka,
To aż serce rośnie!

Tu poważnie i powolnie
  Dziewczę słówka waży,
Jasném oczkiem kiedy kolnie,
  Aż się człek rozmarzy!

Nasza piosnka żwawiéj hasa,
  Tam powolniéj wcale,
Coś jak echo z po za lasa,
  Jak wiślane fale.
Kiedy patrzysz na tych ludzi,
  Gdy się w Litwie gości,
Coś takiego w sercu wzbudzi,
  Jakby płacz z radości.

3.

Pieśń myśliwska.

Zagrajcie pobudkę! już dnieje, szarzeje,
  Trop łatwo na rosie zobaczym;
Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje,
  Potykać się z leśnym kudłaczem!
Dwururka przez plecy, a trąbka u pasa—
  Niech krew się rozigra w nas żwawiéj,
A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,
  Niechaj się do pola zaprawi!

W dębowym, sosnowym ostępie, czy borze,
  Pocieszmy się dobrą nadzieją!
Nie idźcie za nami, pudlarze i tchórze,
  Was lasy litewskie wyśmiéją!
Bo z dziadów, z pradziadów, tu echo borowe
  Strzał celny rozeznać jest w stanie;

Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,
  Ten zuchem od razu zostanie!

Tu każdy powinien domowe znać knieje,
  I każdy znać pole od dziecka.
Zagrajcie pobudkę! już dnieje, szarzeje;
  Ozwij się, drużyno strzelecka!
Niech głosy po rosie zagrają, popłyną,
  Aż echo drzemliwe zatrzęście!...
O rozbudź się, krasna, o luba dziewczyno!
  Daj rączkę na drogę, daj szczęście!

4.

KORALE.

Dumka kozacka.

Gdym z Kozaki szedł na boje,
  Moja Hanna rzecze:
„Niesiesz, luby, życie swoje
  „Pod tatarskie miecze!
„Lecz modlitwa, płacz dziewczyny
  „W boju cię ocali;
„Ty mi za to, mój jedyny,
  „Przywieź sznur korali.“

Bóg kozaczéj szczęścił braci:
  W jednéj boju chwili
Han tatarski wojsko traci,
  A my gród zdobyli.
Gdy wyparto krzepkie wrota,
  Gdy się miasto pali,

Inszy srebra, inszy złota,
  Jam szukał korali.
Wśród rabunku los mi służy,
  Pan Bóg zdobycz poda:
Sznur korali krasny, duży,
  Jakby wiśnia młoda!
Pochwyciwszy zdobycz drogą,
  Już nie czekam daléj,
Śpieszę stanąć przed niebogą,
  Dać jéj sznur korali.

Pędzę stepem, pędzę błonią,—
  Oj daremna praca!
W naszéj wiosce dzwony dzwonią,
  Lud z mogiłek wraca.
Dobrzy ludzie śpieszą ku mnie
  I wołają z dali:
—„Twoja Hanna leży w trumnie,
  „Nie trzeba korali!“

Zapłakałem, zajęknąłem
  I roztrącam rzesze,
I przed cerkwią padam czołem,
  I przed obraz śpieszę.
Do najświętszych stop Maryi
  Niosę smutne żale,
I zawieszam u Jéj szyi
  Czerwone korale!

5.

Kruk.

Piosnka litewska.

Z po nad lasu, z po nad chmury,
Na dolinę sioła
Kruk się spuścił czarnopióry,
Na żer dziatwę woła.
Ej! żerował gdzieś na grobie
W pośród bojowiska:
Krwawą rękę trzyma w dziobie,
Na niéj pierścień błyska!

— „Czarny kruku! z jakiéj strony
„Burza cię przywiała?
„Zkąd ten pierścień pozłocony
„I ta ręka biała?“
— „Za górami, ej dziewczyno!
„Był tam bój nielada!
„Krwi młodzieńczéj rzeki płyną,
„Głów tysiącem pada!

„Zakopuje lud roboczy
„Bohaterskie głowy;
„Na mołojców orle oczy
„Sypie żwir surowy.
„Po kurhanach, jak kopacze,
„Wyją wilków stada,
„I niejedna matka płacze,
„Na grób pierśmi pada!“

Dziewczę jękiem pierś rozrywa,
Twarz we dłonie chowa:
— „Dolaż moja nieszczęśliwa!
„Biednaż moja głowa!
„Wiem już teraz, kto zabity,
„Czyja to dłoń biała:
„Jam ten pierścień złotolity
„Lubemu oddała!“

6.

Dola.

Waryant z pieśni litewskiéj.

W oczach ciemno, serce boli,
I zapłakać chce się!
Pójdę hukać, lepszéj doli
Wywoływać w lesie.

Przyjmiem chlebem, przyjmiem solą
W szczeréj uprzejmości:
Odezwij się, lepsza dolo,
I przyjdź do nas w gości!

Między wzgórki, między drzewa
Wołam w leśnéj ciszy;
Ale słowa wiatr odwiewa,
Dola nie posłyszy!

Piosnko moja! ej nie tobie
Przebić wicher burzy!
Wracaj jęczeć sama w sobie,
Kędy serce wtórzy.

1854. Borejkowszczyzna.

Do **

Kiedy w ojczyźnie, pomiędzy swojemi,
W cudze krainy twa dusza ulata;
Wzdychasz bluźnierczo do auzońskiéj ziemi,
Kreślisz obrazy germańskiego świata;
Złorzeczysz matce wśród dzikich uniesień,
Że nadto brzydka, kiedy się rozszlocha,
Że na jéj twarzy wiekuista jesień,
Że nie tak piękna, jak obca macocha.
Ptaku przelotny! co w wiośnie żywota
Pod obce niebo poleciałeś w gości,
Spytaj jaskółki, co w oknie szczebiota,
Czemu kolibrom słońca nie zazdrości?
Czemu, u obcych pogościwszy zimą,
Wraca na lato pod strzechę rodzimą? —
Szczęśliwe ptaszki, trzykrotnie szczęśliwe!
Szczęśliwi ludzie nie czują jak błogo,
Że raz wybiegłszy za domową niwę,
Znowu, gdy zechcą, powitać ją mogą.
Lecz zapytajcie ranionego ptaka,
Co nie mógł z braćmi powrócić na Litwę,
I zapytajcie w obczyźnie biedaka
O jego dumkę, o jego modlitwę;

Spytajcie, czego zesmutnieli oba?
Jak się im piękny Neapol podoba?
Od błoń auzońskich, gdzie lasy mirtowe,
Czemu do sosen wyrywa się dusza?
Tamto powietrze, i lekkie, i zdrowe,
Czemu im piersi pali i osusza?
Niejeden może z nieszczęsnych tułaczy
Bluźnił tak samo rodzinnéj zagrodzie;
Dzisiaj, poznawszy, co dym swojski znaczy,
Czuje zgryzotę, co mu piersi bodzie.
Zna, że bluźnierstwem znieważył niebiosy,
I wziąwszy sakwę pielgrzymską na ramię,
Szedłby na Litwę odarty i bosy,
Przebłagać Matkę Bożą w Ostréj-Bramie,
Przebłagać góry i rodzinne bory,
Którym się niegdyś tak srodze zawinia...
Zdrowie swéj duszy odzyskałby chory,
Od szklanki wody z Niemna lub Horynia.

1854.

Grajek wioskowy.

I.

Ubogi odzieżą, lecz myślą bogaty,
Siadł grajek wioskowy na przyzbie u chaty,
I wierną skrzypicę wziął w ręce;
A w głowie snadź ważna toczy się narada:
Coś brząka, coś mruczy — bo w myśli układa
Strój nowy ku nowéj piosence.

I błądzi spojrzeniem ku niebu, ku ziemi,
Nad polem zieloném, nad strzechy sielskiemi,
Spogląda ku lasom, ku rzeczce.
Wnuk przy nim trzyletni, ciekawy a żywy,
Znalazłszy we drwalni dwie szczepy łuczywy,
Grał niby na drugiéj skrzypeczce.

II.

Uśmiechnął się stary, podumał i milczy:
— „Już tropisz do lasu, o synu ty wilczy!
„Poczekaj! nic z tego nie będzie.
„To brzydka zabawka! to gra nic do rzeczy!
„Rzuć, chłopcze, tę trzaskę, boć ręce skaleczy—
„Skrzypica — zaklęte narzędzie!
„Gdy raz ci do duszy przyrosną jéj tony,
„Już będziesz zgubiony, na zawsze zgubiony,
„Młodości i sił twoich szkoda.
„Snu tobie nie będzie, tém gorzéj im daléj,
„Gorączka pragnieniem twą duszę rozpali,
„A gdzież tu na świecie ochłoda?

III.

„Weź inną zabawkę — ja krzyżyk ci zrobię,
„I będziesz po dworze przechadzał się sobie,
„Śpiewając *oremus* księdzowski;
„Jak kiedyś zostaniesz rozumny i duży,
„To może ci dola życzliwa posłuży,
„Że będziesz plebanem téj wioski.
„Czy ludzkość żałobą, czy kwieciem pokryta,
„Wesele czy pogrzeb — ksiądz Brewiarz czyta,
„I cóż go zasmuci, rozrzewni?

„Czy piękny urodzaj na polach rolnika,
„Czy Pan Bóg pomorem i głodem dotyka,
„Plebani dziesięcin swych pewni.

IV.

„Lub baw się w żołnierza, weź kij mój sękaty,
„I hasaj do koła stodoły i chaty,
„Ja-ć szablę wystrugam z łuczywy;
„Gdy pójdziesz do wojska, ej! będzie do twarzy:
„Twój mundur, twój kaszkiet od złota się żarzy,
„A rumak—kasztanek lub siwy!
„Szablica, ostroga błyszcząca ze stali,
„A wąsik runieje, a oko się pali,
„Dziewczęta ci z całéj lgną włości;
„W gospodzie, czy w domu, na każdéj zabawie,
„Ty jeden réj wiedziesz i głośno, i żwawie,
„A każdy ci z chłopców zazdrości!

V.

„Cóż z liry za korzyść? Ot marnie zaginie;
„Ubogi syn pieśni, w ubogiéj wioszczynie,
„Daremną zamęczy się pracą.
„Tu rzadkie obsiewki, dożynki, wesele,
„Tu chleba niewiele i zabaw niewiele,
„Niewiele grajkowi zapłacą.“
—„Ej, dziadku mój, dziadku! — odpowie mu wnuczę—
„Ot ja cię dobrego sposobu nauczę:
„Rzuć wioskę, gdzie żyją nędzarze;
„Weź skrzypkę i pytaj, gdzie ludzie bogaci,
„Tam każdy posłucha, i hojnie zapłaci,
„I drogę do inszych pokaże.

VI.

„Ja kiedy wyrosnę, gdy skrzypkę mi kupią,
„Tak pójdę na świecie—to wcale niegłupio;
„Obaczysz, jak mi się poszczęści.“
—„O dziecię! — rzekł starzec — nie bluźnij w ohydzie,
„Niech raczéj z pieśniami zaniemieć ci przyjdzie,
„Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści!
„Gdy nędzarz w téj wiosce wyprawia biesiadę,
„To serce grajkowi życzliwe i rade,
„Gospodarz najwyżéj go mieści;
„I grajka obsiądą, słuchają z rozkoszą,
„I czarkę najpierwszą ku niemu przynoszą—
„Tu pieśnia w pożytku i cześci.

VII.

„Na uczcie bogacza nie szukaj dusz bratnich:
„Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
„U progu ci chyba grać każą.
„Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
„Westchnienia nie wzbudzisz, bo duch u nich zimny,
„Z szyderczą słuchają cię twarzą.
„A kiedy na uczcie zapieni się wino,
„Sto razy służalcy pieśniarza pominą,
„Nim puhar podadzą ci hardo.
„Gdy czasem bogacza napadnie szał pusty,
„On każe, byś zagrał piosenkę rozpusty,
„I rzuci garść złota z pogardą!“

VIII.

Tu starzec złagodniał i wnuka pogłaska.
—„Tak, chłopcze... bądź grajkiem!.. O Boże! Twa łaska
„Niech zawsze na pomoc mu przyjdzie!

„Nim kiedyś mą skrzypkę powierzę ci w ręce,
„Przeżegnam ją najprzód, w kościele poświęcę,
„Byś pieśni nie podał k'ohydzie.
„Choć czasem chleb suchy pożywać się zdarzy,
„Bądź grajkiem poczciwych wioskowych nędzarzy,
„Jak ja sam przebyłem lat tyle."
Chłopczyna wysłuchał, co stary dziad gdera,
Podumał, zapłakał, i oczka ociera,
I pobiegł uganiać motyle.

16 października 1854. Borejkowszczyzna.

Do Ignacego Chodźki,

przesyłając na chów zimowy konie, do fortuny pana M. K., autora znanych „Gawęd z Ambrożewiczem."

Gdy pan mulski znudziwszy litewskiemi syny,
Odjeżdżał hajdamaczyć w stepy Ukrainy,
Pomiędzy dzikie jary, czahary, burzany,—
Zostawił skarb na Litwie, och! skarb nieprzebrany,
Skarb, który Pan zaledwie swym wybrańcom nada,
Thesaurum super aurum—dobrego sąsiada;
I tak mówił, prawicę podając mu czułą:
—„Bądź stróżem mych penatów, a czuwaj nad Mułą,
„Na ciebie moją władzę przelewam najszczerzéj;
„Kto jeno w imię moje czołem ci uderzy,
„Spełniaj wszystkie żądania, jakie słusznie rości,
„Hetman z mego ramienia w mojéj posiadłości."
Tak mówiąc ostateczne pożegnalne słowa,
Przyrzekł *oko* tytuniu przysłać z Berdyczowa,
I słowem w palemońskiéj ziemicy nieznaném
Mianował go najwyższym mulskim atamanem.

Ten, co przedtém jednoczył już zaszczytów wiele,
Którego cenią bracia, współobywatele,
Co, sam służąc krajowi zaszczytnie a długo,
Wyższą jeszcze u ziomków wsławił się zasługą,
Kiedy ująwszy pióro, jak pendzel uroczy,
Szereg *Obrazów Litwy* stawił nam przed oczy,
Ten, u którego w sercu święta prawość kwitnie,
Co przywykł wielkim trudom podołać zaszczytnie,
Temu sił nie przeciąża, humoru nie drażni
Ni buńczuk atamański, ni prośba przyjaźni:
Nieobecnego druha zastępując świetnie,
Równie troskliw o Mułę, jak o swe Dziewietnie.

Lecz, jak zwykle, kłopoty nierozdzielne z władzą:
I tutaj suplikanty spokoju nie dadzą.
Ważne *sąsiada Muły* przerywając prace,
Oto natręt przybywa i do drzwi kołace,
A czołem uderzywszy, że przybył nie w porę,
Przekłada swoją prośbę *in eo tenore:*

Pan mulski—jak świadoma o tém miłość wasza;—
Do swojéj posiadłości, słyszę, mię zaprasza,
Bym *lares et penates* spakowawszy razem,
Przybył z lutnią pobitą i chudym pegazem.
O! zaprawdę, rozrzewnia jego przyjaźń czuła!
Ale tutaj mię niemoc do łóżka przykuła,
Pierś, kiedy właśnie tonów trudniejszych dochodzę,
Wyśpiewana, zachrypła, dolega mi srodze;
Tu dręczą mię gorączki i bolesne kaszle,
Tu bezwzględny Hippokrat swych potomków naszle.
Tak więc przybyć do Muły nie mając sposobu,
Posyłam darmozjadów do mulskiego żłobu;

I oto przywiedziono przed wasze podwoje
Odstawną pegazicę i pegaziąt dwoje.

Gdy mię przyjął Apollo w czeladkę parnaską,
Z taką szczególnych względów oświadczył się łaską:
—„Śpiewaj, a ja ci nadam wieszczów przywileje,
„Na twojéj drodze kwiatki obficie posieję,
„I rozkażę strumykom brzęczeć z całéj siły,
„I rozkażę słowikom, by pięknie nóciły;
„Aby ci przedmiot w oczy nie wpadał znikomy,
„Nie dam ci na dzierżawie ni ziarna, ni słomy;
„Na twych łąkach, byś serce rozrzewniał radośnie,
„Niechaj brzęczą koniki, a siano nie rośnie;
„Dla twoich wieszczych myśli daruję świat cały,
„Pozwalam ci obrywać niebieskie migdały,
„A na ziemi, gdy na nią zestąpisz na chwilę,
„Możesz dopędzać wiatry i łapać motyle."

Tak przyjęty, zasiadłszy hardo na Parnasie,
Nie dbam o ziemską szkapę—niech się trawką pasie;
A gdy trawkę na łące mróz zimny powarzy,
Niechaj idzie na łaskę lepszych gospodarzy.

Oto treść mojéj prośby. Jakiż koniec w liście?
Jak tu się submittować pięknie, uroczyście?
Jakim uczcić affektem mulskiego sąsiada?
Oto utnę po prostu, jak mi serce gada:
Jam twój rodak, a u nas na całéj przestrzeni
Któż Chodźki nie uwielbia? nie kocha? nie ceni?

1854. Borejkowszczyzna.

Do
ALEKSANDRA ŻELEŹNIAKA
po pierwszém spotkaniu.

Znamy się z sobą od niedawnéj chwili,
Ale już więcéj znać się nie potrzeba:
Ledwieśmy kąsek rozłamali chleba,
A zda się beczkę już soli spożyli.
Dałeś mi poznać duchowe rozkosze
I błogi podział uczucia i myśli;
Bóg i czas dalszy połączą nas ściśléj, —
Kocham cię, bracie! pokochaj mię, proszę.

1855. Mińsk.

Toast dla Teodora Narbutta,
autora „Dziejów Litwy.“

Zasnuła się pomroką przeszłość tajemnicza,
Zgasło w Litwie ognisko poświęcone Znicza,
Zmilkła pieśń wajdelotów, — w uroczystéj mowie
Któż nam przeszłość wyświeci? kto przyszłość prze-
[powie?
O! jest człowiek od Boga przysłany téj stronie,
W jego piersi ognistéj Znicz litewski płonie,
Jest mąż, co, z rylcem dziejów stojący na straży,
Starą i nową Litwę wspomnieniem kojarzy,
Co, jak dawny ofiarnik, prawnukom wspomina
Bogów i bohaterów ziemi Gedymina,
Jak stary *burtynikas*, co podawał hasła:
„Jeszcze auszra życzliwa nad Litwą nie zgasła!“

I dzisiaj ten dostojny wróżbita przeszłości
Jak ojciec w gronie dziatwy, między nami gości.
Zbierzcie się, dzieci Litwy i młodsze, i starsze,
Wydajcie uroczysty okrzyk patryarsze,
W róg bawoli starego ałusu nalejcie:
W cześć kapłanowi Litwy! w cześć krywe-krywejcie!

1855. Wilno.

W IMIONNIKU

SYDALII ŚWIDOWÉJ.

Tutaj dni moje spokojnie płyną,
Mam chleba, soli, kwiatów do syta,
I dobry człowiek czasem gościną
Do mnie zawita.

W cichéj ustroni żyćby niezgorzéj
Wśród gęstych dębów, jabłoni, gruszy, —
Och! gdyby tylko jeden dar boży:
Spokojność duszy!

O ludzie dobrzy! o ludzie bozi!
Westchnijcie czasem za mną k'Jehowie:
Niechaj gorące myśli zamrozi
W zbolałéj głowie.

A wyobraźnia moja skrzydlata
Z chłodnym rozumem niech idzie w parze;
O szczęściu własném, o szczęściu świata
Niechaj nie marzę.

1855.

Do ks. Wacława Hundiusa.

Mój bracie wedle serca, mój ojcze w Chrystusie!
Szlę ci obraz kapłana, zacny Hundiusie.
Jako stary Bernardyn był swéj wiosce wzorem,
Ty dla naszego Wilna bądź definitorem.
Gdy w nasze twarde *głowy* biją dogmatyści,
Twój głos niech nasze *serca* od grzechu oczyści.
Objąwszy Święto-Jańską po Skardze ambonę,
Ty jeden możesz działać na serca skruszone.
Płacz, sróż się, jako Chrystus płacze lub się sroży:
Litwini w twoich słowach odgadną głos boży.
1855.

HASŁO.

(Do Wincentego Pola).

Gdy Polsce jeszcze gwiazda świeciła Rejowa,
Sławny Jędrzéj Trzycieski w te pisał doń słowa:
„Rej bowiem, jako mówią, ty sam w Polsce wodzisz,
„W naszym polskim języku ty sam przodkiem cho-
[dzisz.“

K'wam, mistrzu, te wyrazy zwrócę, jeśli wola:
Tyś jest Pol — bard jedyny sarmackiego pola;
Tyś przestronny, jak pole, od brzega do brzega,
A twa pieśnia sarmacka górą się rozlega.
Z echem jéj obeznane Lechitów krainy,
Od Karpat i Powiśla do Dniepru i Dźwiny.
Odbiło się twe imię i piosenka sama,
W lasach Litwy, co pieśniom wtórzyły Adama;

Na stepach Ukraińskich, w dzielnicy Bohdana,
Rozpływa się, stepowym wiatrem kołysana;
Nad Newą, aż do krańca lapońskiéj rubieży —
Słowem: wszędy znajoma, codzień dank ma świeży.

My mieszkamy pod starym Palemońskim lasem,
Gdzie wiatr mroźny piosenki zagłusza nam czasem,
Lub odwiewa ich echo, a cóż więc za cuda,
Że niezawsze, niewszystko dosłyszeć się uda?...
Więc dzisiaj kołatamy do twéj dobréj woli:
Zaśpiewaj co wyłącznie naszym lasom gwoli,
Naszym karlim pagórkom i piaszczystéj niwie,
A spragnione ich echo zawtórzy chętliwie.

7 lipca 1855. Borejkowszczyzna.

CZULI A CNOTNI, BĄDŹMY OCHOTNI.

Seh't, wie die Tage sich sonnig verklären!
Blau ist der Himmel, und grünend das Land,
Klag' ist ein Misston im Chore der Sphären,
Trägt auch die Schöpfung Trauergewand.

Salis.

Patrz, jak się niebo rozjaśnia uroczo!
Majem oddycha i trawka, i świat,
Aż grzmi powietrze, aż ptaszki szczebiocą,—
Nie pora wdziewać całunowych szat!
Płyńcie mi w duszę radość i wesele!
Tyle jest piękna—chwytajmy je w czas!
Cnota i radość—to mądrego cele,
Niechże nakoniec opromienią nas!

Otwórzcie dusze! wszędzie radość płuży—
Łówcie w powietrzu jéj piosenki strój,

Łówcie oddechem, bo jest w woni róży;
 Patrzcie: radością kołysze się zdrój!
Bierzcie ją w usta w soku winogrona,
 W owocach jabłka i soczystych grusz.
Wszędy jest radość — niech wnijdzie do łona,
 Czas, aby chmury rozwiały się już!

Patrz w jasne oczy twojego anioła,
 Radosném tętnem niech ci serce gra;
Miłość cnotliwa w niebo cię powoła,
 Smutek uleci i pierzchnie, jak mgła.
Uczujesz wtedy olbrzyma w twéj duszy,
 Poznasz dostojny twojéj drogi szlak,
Poczujesz siłę, co głazy poruszy,
 Iskrę do walki—to zwycięztwa znak.

O bracia moi! zkąd te łzy niewieście
 Szpecą jagody bohaterskich lic?
Czyliż to życiem znużeni nareszcie
 Nad miękką trumnę nie widzicie nic?
Ach! tyle wielkich i szlachetnych rzeczy,
 Tyle zostało obowiązków znieść!
Niechaj sumienie nasz grób zabezpieczy,
 A wtedy umrzeć—i sława, i cześć.

Nieraz się troska, nieraz przyboleje,
 I łza na oku, i na sercu żal;
Użyj na serce balsamu nadzieje,
 Zażyj cierpliwość, jak pancerną stal.
A gdy mgła smutku twą głowę otoczy,
 Wytężaj oko do niebieskich zórz!
I nie brnąc w ścieżkę występnych uboczy,
 Dobrą otuchę w Opatrzności złóż.

Dajcie kielichy! niechaj wino tryśnie,
Pokrzepmy siły — i z losami w bój!
Aż póki ręka strudzona nie zwiśnie,
Póki się z czoła nie poleje znój!
Słodkoż zaśniemy! sumienie zaświadczy,
Żeśmy spełnili, co należy z nas.
O! w tém świadectwie jest balsam zaradczy,
Co zgoi w piersiach najdotkliwszy raz.

Odważnie, bracia! choć duszę zraniono,
Choć wieniec cierni przygniata nam skroń:
Boleść potrzebna, bo orzeźwia łono,
Jak ciepły wietrzyk obumarłą błoń.
Żniwiarze Pańscy! i śpiewajmy szczerze,
I pracowicie związujmy nasz snop:
Pociecha duszy — któż ją nam odbierze?
Ona różami otoczy nasz grób.

1855. Borejkowszczyzna.

GŁOS UBOGICH

do obywateli gubernii Wileńskiéj,

zebranych na wybory w Wilnie.

O goście szlachetni! i cześć wam, i zdrowie!
W czas dobry witajcie nam w mieście!
I groszem, i duchem bogaci mężowie,
Co czołem krainy jesteście!
Gdy wasze dostojne obrady i prace
Z wysoka przeżegnał Jehowa,

Otwórzcie swe serca! bo do nich kołace
Ubogi, sierota i wdowa.

Na polach we żniwa plon chybił żniwiarza,
Złe wieści latają żałośnie;
I wioskom, i miastom głód smutny zagraża,
Truchlejem, gdy wspomnim o wiośnie.
Gdy waszą troskliwość zajmuje tak szczerze
Po wioskach niedola ludowa,
Niechajże i w mieście jałmużnę odbierze
Ubogi, sierota i wdowa.

Gdy płacąc społeczne zasługi i czyny,
W szlachetne zbieracie się grona,
Gdy uczty dajecie wybrańcom krainy,
Wołając ich zacne imiona:
Niech stara gościnność, stosownie do chwili,
W słusznéj się granicy zachowa!
Mniéj kilku toasty, a już się posili
Ubogi, sierota i wdowa.

Tam, w domach—rodziny modlą się za wami,
By sprawy szczęśliwie się wiodły;
A cóż wam zaszkodzi, że z rodzin modłami
Ubodzy połączą swe modły?
Gdy szczodra dłoń wasza ich nędzę umniejszy,
Bóg ziści dziękczynne ich słowa;
I może wymodlą urodzaj plenniejszy
Ubogi, sierota i wdowa.

1855. Wilno.

WARYANTY STARYCH TEMATÓW.

I.

Mogłem być znaczny na świecie
I bogatszy w mym powiecie,
Ale cel mego żywota
Nie był zbierać siła złota.
Mikołaj Kochanowski, Rotuła XI.

To papką, to czapką, to prośbą, to siłą
Zhołdowałbym losy, zhołdowałbym ludzi,
Jużby się i złota, i cześci dobiło, —
Lecz chciwość i pycha żądz moich nie budzi;
Zgasiwszy ich ognie w najpierwszéj iskierce,
Wybrałem ubóztwo, piosenkę i serce.

Lecz biada wśród ludzi, kto żądz ich nie dzieli!
Ze skromném rojeniem ukrywać się każą,
Ubóztwo wyśmieli, przy pieśni zasnęli,
A święte uczucie okryli potwarzą;
I lecąc przed ołtarz Mamona i Pychy,
Zburzyli mój uchron, zburzyli mój cichy!

O! czemuż w mych modłach nie było modlitwy
Do cielca Baala, do bożka czczéj chluby!
Z ich własnym orężem stanąwszy do bitwy,
Podeptałbym pysznych i starł samoluby;
Silniejszą przewagę uznawszy w pokorze,
Znieważać me serce przestaliby może.

1855. Wilno.

II.

Niepodobnym obyczajem,
Nie począwszy, żyć przestajem.
Jan Kochanowski, księga X, pieśń 15.

Codzień głosim piękne słowo,
Codzień wiedziem żywot trupi,
Codzień mamy żyć na nowo,
Wznieść się sercem, wznieść się głową,
Aż nas w końcu Czyn odkupi,
Aż nas w końcu Duch oświeci.
Ale starym obyczajem
Słowo szumi, a czas leci,
Nie począwszy, żyć przestajem.

W polach naszych perz i ziele
Potrzebuje rolnéj sochy;
W myślach kwitną piękne cele,
Czujem w sercu chwastów wiele,
Które zasiał żywot płochy;
Prędko z gruzów staréj nędzy
Mamy wioski stworzyć rajem;
Lecz śmierć idzie jeszcze prędzéj,
Nie począwszy, żyć przestajem.

Jak ów pielgrzym w Palestynie,
Świat na drzemkę legł złowrogą,
I godzinę po godzinie
Czeka, woda aż przepłynie,
By przejść rzekę suchą nogą.
I na ziemi sakwy kładzie:

„Niech wypiję, niech się najem!"
I znów drzemka po biesiadzie;
Nie począwszy, żyć przestajem.

1855. Borejkowszczyzna.

ORSZAK POGRZEBOWY.

Głowę do trumny złożę w weselu,
Jeżeli pójdą za moją trumną
Ci, co kochałem... to nazbyt tłumno,
Bo ja kochałem wielu... och, wielu!
Ja śmiałych chęci nie puszczam daléj:
Niech tylko przyjdą, co mnie kochali!

Co mnie kochali wiernie a szczerze,
Niewielka liczba — dwoje czy troje.
Niechajby przyszli i wrogi moje,
I tych się może ze trójka zbierze.

Tak na pokładzin moich obrzędzie
Summa summarum sześć osób będzie,
A siódmy pójdzie kapłan życzliwy,
A ósmy dzwonnik,—czegoż potrzeba?
Dziewiąty — wietrzyk z rodzinnéj niwy,
Dziesiąty — deszczyk z naszego nieba.

W takim orszaku niechaj mię żwawo
Wilgotnéj ziemi pościel otuli;
Niech mię pokropią kropelką łzawą
I zaśpiewają łacińskie *luli!*
Ukołysany, rad z mojéj doli,
Boleści życia wyśpię powoli.

1855. Borejkowszczyzna.

MODLITWY NA OBRAZKACH.

I.

Hymn do N. P. Maryi Ostrobramskiéj.

Królująca z wysoka
Nad murami naszemi!
Rzuć promienny blask oka,
Spojrzyj Matko ku ziemi!
Tu w błagalnym rozgwarze
Płynie modła w przestrżeni;
Tu sieroty, nędzarze,
Tu na duszy strapieni;
Ich nadzieja jedyna,
Twoja litość matczyna.
Znasz, co w myślach się mieści,
I co w sercach nam pała;
Znasz tajniki boleści,
Boś ty sama bolała!
Wiesz, kto ulgi udziela:
Niechże Syn Twój, Bóg-Człowiek,
Choć promykiem wesela
Łzy osuszy nam z powiek;
Niech się wstawi do Syna
Twoja litość matczyna.

II.

Hymn do P. Jezusa na Śnipiszkach w Wilnie.

Z Ojcem Przedwiecznym stolicę dzieli,
Na twarz padają przed nim Anieli,

Na Jego imię piekło się trwoży:
Oto Syn Boży.
Obarczon krzyżem, w koronie z cierni,
Dręczą go ludzie niemiłosierni,
Krew płynie z czoła, łza tryska z powiek:
Oto jest Człowiek!
Ty, który ludzkość wziąłeś w Twą pieczę,
Na krzyż przybity Boże-Człowieczel
Wnijdź nam do serca, niech się w niém zbudzi
Miłość dla ludzi.
A gdy w naszego życia zawodzie
Krzyż nas obarczy, a cierń ubodzie —
Godnie przebywać drogi ciernistе
Pomóż nam, Chryste!

III.

Hymn do Zbawiciela w kościele katedralnym w Wilnie.

Niechaj się, Chryste, w Twém sercu zmieści
Modła, co niesiem ufni a prości,
Bolejącemu—słowa boleści!
Bogu—cierpienia ludzkości!

Dotkliwych ciosów, co spadły rojem,
Bez Twéj pomocy nie zniesiem sami;
Nawiedź nam serca świętym pokojem,
Jezu, zmiłuj się nad nami!

Którego głowę przebodły ciernie,
Pośpiesz się ku nam z bozką osłodą:
Ciernistе myśli, spraw miłosiernie,
Niechaj nam głowy nie bodą.

Któremu serce włócznią przebodli,

Któryś sam płakał krwawemi łzami,
Gdy człek zbolały Tobie się modli,
Jezu, zmiłuj się nad nami!

Któryś nakarmiał ludzi tysiące,
Błogosławiwszy chlebów siedmioro,
Spraw niech i dzisiaj rzesze łaknące
Chleb Twojéj łaski odbiorą.

Gdy u stop krzyża mą boleść złożę,
Niech mnie nadzieja próżna nie mami:
Boże cierpienia! pociechy Boże!
Jezu, zmiłuj się nad nami!

IV.

Hymn do Świętéj Weroniki.

Gdy się nad Zbawcą ciżba okrutna,
Prowadząc na śmierć, pastwi jak może,—
Tkliwa niewiasta ze szmatem płótna
Pośpiesza otrzeć oblicze boże.
Starłszy znój z czoła i pot, co płynie,
Chrystus niewiastę pamiątką darzy:
Oto na białéj płótna tkaninie
Odbija obraz swéj bozkiéj twarzy.
Duszo w miłości bożéj ognista,
Coś otrzymała cud znakomity,
Módl się za nami! niech obraz Chrysta
Na naszych sercach mamy odbity!
Śladem Chrystusa, gdy cierpiąc srodze,
Dźwigamy krzyże na smutnéj ziemi,
Uproś nam cnotę wytrwania w drodze
I miłosierdzie nad cierpiącemi.

V.

Hymn do Świętego Kazimierza.

Dostojny Patronie Litwy,
Pokrewny z ciała i ducha!
Przygarnij nasze modlitwy,
Niech je Pan Niebios wysłucha.
Módl się za nami do Boga,
Niech grunt nie chybia swych plonów,
Niech głód, pomorek, pożoga
Nie dotknie ziem Palemonów.
Twa modła ludu niech strzeże
I ziemię dobrze Ci znaną;
Błogosław miast naszych wieże
I wiosek strzechę słomianą.
Coś sławił rzewnemi hymny
Świętą Dziewicę Maryą,
Rozgrzéj nam wiarą duch zimny,
Niech serca pobożniéj biją.
Niech wiary będzie zapłatą
Przeżegnanie Pańskiéj dłoni,
Niech nas Opieki swéj szatą
Bogarodzica osłoni.

VI.

Hymn do Świętéj Filomeny.

Dziewico, któréj wdziękami
Monarcha rzymski ujęty,

Próżną nadzieją się mami
Uwikłać w ziemskie ponęty!
Lecz w Twojém sercu ukryty,
Chrystus swą miłość rozżarza:
Wzgardziłaś ziemskie zaszczyty,
Wzgardziłaś miłość cesarza!
Gdy go zajątrzył Twój opór,
Pod miecz katowski Cię bierze;
Ochoczo poszłaś pod topór
Dopełnić z Niebem przymierze.
Swéj Męczenniczki wyrazy
Chrystus ochoczo wysłucha:
Wybłagaj nam czystość ducha,
Broń nasze myśli od skazy!

VII.

Hymn do Świętego Kajetana.

O Kajetanie! święty Patronie!
Coś Bogu zlecał Twoje potrzeby,
A ufna wiara, coś nosił w łonie,
Hojne z Niebiosów sprowadza chleby!
O! my wierzymy w te cuda wiary,
Ale się troski pozbyć nie możem:
Nie dla nas cudu przywiléj stary,
Bośmy bluźniercy w obliczu bożém!
Gdy Pan w swym gniewie albo przestrodze
Tak wielu klęski ziemię dotyka,
My, potrzebami dręczeni srodze,
Wzywamy Ciebie na pośrednika.

Oto na polach nieurodzaje!
Oto kalecy do prac niezdolni!
Oto sierota głodu doznaje!
Któż wyrobnika z nędzy uwolni?
Gdy nasza troska nic nie pomoże,
Święty Patronie, w Tobie otucha:
Módl się za nami o dary boże,
O wiarę w sercach i pokój ducha.

VIII.

Hymn do Świętéj Zofii.

Zofio święta, Matko pobożna,
Coś dała przykład w gronie Twéj dziatwy,
Jak chrześciance wielką być można,
Jak zgon dla prawdy słodki i łatwy!
Gdy wespół z Tobą na śmierć otwartą
Wiedli Twą dziatwę srodzy morderce,
Choć serce matki najsrożéj darto,
Lecz nie uległo potężne serce.
O bohaterek wzorze jedyny!
Patronką matek zostań na ziemi:
Niech wzorem waszym córki i syny
W obliczu Niebios będą świętemi.

IX.

Hymn do Świętéj Anieli.

Święta Anielo, dostojna Wdowo!
Gdy śmierć stargała Twe ziemskie śluby,

Ty wzięłaś inszą szatę godową:
Habit zakonu ciężki a gruby.
Wyższa nad żądze ziemskich korzystek,
Grosz Twój ubóztwu oddałaś wszystek.

Oto my ludzie ziemscy, cieleśni,
Brzydka namiętność serca nam miota;
W głębinach duszy zdradnie się cieśni
Żądza rozkoszy i chciwość złota.
Niechże za Twoją czystą przyczyną
Nam ziemskie żądze z piersi wyginą.

X.

Hymn o Chrzcie Chrystusa.

I poszedł Chrystus w nadjordańskie strony,
I został w rzece od Jana ochrzczony;
Stało się wielkie przymierze na ziemi,
Sakrament złączył Boga z śmiertelnemi.
Brzmiały weselem niebieskie krainy,
I głos był słyszan: „To mój Syn jedyny!"
I wodzie chrzestnéj udzielona siła,
By grzechy z duszy człowieka zgładziła.
Wodą chrztu kapłan zlewając nam głowy,
Dał białą szatę czystości duchowéj;
Błogosławiony ten po tysiąc razy,
Kto ją do grobu przechowa bez skazy!
Lecz kto nieszczęściem a winą swéj duszy,
Kurzawą świata jéj białość przyprószy,—
Chryste! łzy żalu, które wylewamy,
Niech z białéj szaty oczyszczą te plamy.

XI.

Hymn do Św. Tadeusza.

Zaniechaj, wdowo, tęsknoty,
Bóg widzi boleść twéj duszy;
W niebo spojrzyjcie, sieroty,
A Bóg łzy wasze osuszy!
On ciernie waszego czoła,
On oczy zalane łzami
W opiekę zdał Apostoła:
Tadeusz czuwa nad wami.
Gdy z myślą bolesną w głowie
Opadną ręce bezwładnie,
Kiedy sierocie i wdowie
I chleba łaknąć wypadnie,
Bądź Tadeuszu na straży!
Niebo Twych modłów wysłucha,
Chlebem nakarmi nędzarzy,
Łaską umocni ich ducha.

XII.

Hymn do Św. Heleny.

Święta Heleno! o Matko cesarza,
Co nowe światło nad Rzymem rozżarza,
Dał chrzestny chryzmat pogańskiemu światu,
Namaścił czoło ludu i senatu,
A karty dziejów rozpocząwszy nowe,
Na Kapitolu wzniósł godło krzyżowe!

Tyś chrześciaństwu dała skarb jedyny:
Krzyż, krwią przesiąkły Baranka bez winy,
Zarzucon gruzem i nasypem ziemi,
Dał się odkopać rękami Twojemi.
Przez Cię ludzkości, co Chrystusa wyzna,
Wrócona po Nim najdroższa puścizna.
Naucz nas, Święta, kochać Krzyż ten stary
Duchem miłości i duchem ofiary.
Do ramion jego wołamy w niedoli:
Niech nas przygarną, gdy nas serce boli!

1855—1858. Borejkowszczyzna i Wilno.

NA UROCZYSTE OTWARCIE
MUZEUM STAROŻYTNOŚCI
w Wilnie.

Kiedy przeszłość litewska ze swojemi dzieje,
Wiekami poczerniała, w gruzach popieleje,
Gdy stare jéj zabytki czas niszczy i zmienia,
Pokrywszy bryłą ziemi lub mgłą zapomnienia,—
Ten, co berło Mendogów i Witoldów trzyma,
Przychylnemi obrócił w tę stronę oczyma,
Kazał ratować każdy téj przeszłości szczątek,
Dźwignąć w grodzie Jagiełłów świątynię pamiątek.

W téj dla Litwy pamiętnéj dawnych nauk sali
Poświęcić ów przybytek gdyśmy się zebrali,
Schylamy wdzięczne głowy, jak powinność każe,
Przed Bogiem, co myśl piękną zlewa na mocarze,
Przed monarchą, posłusznym głosowi natchnienia,
Co nowym naszą stronę blaskiem opromienia,

I nasz hołd dostojnemu mężowi oddajem,
Co z ramienia Monarchy zarządza tym krajem.

Kolejno—cześć wam, goście, którzyście w téj chwili
Podzielić uroczystość naszą pośpieszyli!
Cześć wam, stare zabytki, dni ubiegłych szczęty,
Nad któremi bierzemy dług czuwania święty!
Cześć nareszcie i tobie niech złożą Litwini,
Zacny zakładco naszych pamiątek świątyni!
Za którego staraniem i przy czujnym sterze,
Jak wzięła swoje życie, tak wzrostu nabierze.
Tyś ją wypielęgnował w głębi twego łona,
Tyś zarzucił osnowę, Bóg wątku dokona.

Za szczupłość naszych zbiorów nie wstyd nam u świata,
Bo jeszcze ziemia nasza w pamiątki bogata,
Bogate serce naszych współobywateli,
Co się każdym nabytkiem ochoczo podzieli.
Więc wsparta ich współczuciem poczciwa mozoła
Co rok większém bogactwem pochlubić się zdoła,
Co rok może z tych gruzów nowa myśl zaświeci
Korzyścią dla nauki i dla naszych dzieci.

Dostojni urzędnicy i goście łaskawi!
Niechże wasze współczucie nas pobłogosławi;
A jeśli trudy nasze warto mieć na względzie,
Niech ku nam wasze serce z pomocą przybędzie!
Nie chcą bogatych darów téj świątyni ściany:
Rdzawy kawał żelaza w polu wyorany,
Stara miedziana drachma, grynszpanem pokryta,
Albo karta odwieczna, co nikt nie wyczyta,
Lub staroświecki obraz z odwiecznemi plamy:
Oto cała jałmużna, jakiéj pożądamy!

Jeśli z takiemi dary pośpieszyć ochota,
Między święte pamiątki umieścim te wota;
A może wśród tych szczątków najlichsza okrucha
Posłuży do zbadania dziejowego ducha,
I kartę historyczną oczyści od baśni,
I przeszłość nam odsłoni, i przyszłość rozjaśni.

Za czasów starożytnych, jak nam piszą dzieje,
Zawieszano w kościołach wojenne trofeje:
I dzisiaj toczy walkę i zwycięztwa szuka
Z czasem i niepamięcią dziejowa nauka;
A te stare żelaztwa, te spróchniałe karty,
To łup w imię nauki czasowi wydarty.
Zawieszamy go z chlubą w pamiątek kościele,
Ale walka trwa ciągle, zdobyczy jest wiele.
Wspomóżcie nas w téj walce, dodajcie nam siły,
Kto szanuje pradziada, komu prawnuk miły!
A da Bóg, może plony zjawią się bogate,
Przeszłość weźmie uczucie, a przyszłość oświatę.

17 (29) kwietnia 1856. Wilno.

ARCHEOLOGIA.

(Do Redaktora Gazety Warszawskiéj).

Winszuj mi z serca, mości redaktorze!
Człowiek radością dzieli się, z kim może.
U nas świątynię pamiątek odkryto,
A od soboty jestem w niéj lewitą.
Mam tedy dzisiaj prawo niewątpliwe
Nosić baldachim, dzwonić na wotywę,

Ubierać ołtarz na dni uroczyste
I odpowiadać: „*Laus Tibi, Christe!*“
Dobry-ć to urząd; ale kto wie wreszcie?
Może wy innych przekonań jesteście;
Powszechny przesąd i was może mami,
Że starożytność — zabawka z trupami,
Że z dawnych gratów nic się nie wyklei,
Że w dziejach trzeba żywotnéj idei.
Otoż, chcąc prawdy odsłonić oblicze,
Z całą szczerotą wam się wyjęzyczę;
A gdy me słowo zważycie na szali,
Może i w innych przesądy obali.
Naukę dziejów nazwałbym najprościéj
Lekarzem chorób naszéj społeczności:
Ona ulecza od zamętu głowę,
Odświeża serca już zwątpić gotowe,
Zna puls ludzkości, co najciszéj szepta,
I przepisuje zbawienne recepta.
Archeologia, którą mam na względzie,
Jeśli tak chcecie—niech już trupem będzie.
A czegoż warta lekarza porada,
Który praw życia na trupie nie zbada?
Który nieświadom prostych wiadomości,
Gdzie biją tętna, gdzie nerwy i kości?
Któż się takiemu powierzyć ośmiela,
Co nie probował na trupie skalpela?
Starożytników udział taki samy:
Zamiast skalpelów, my rydlem władamy.
W trupie przeszłości, jakże piękna praca,
Gdy się nerw jeden nieznany namaca,
Gdy się wykrzyknie, rozjaśniwszy twarze:
„Patrzajcie na to, ludzkości lekarze!

„Zbadać to pilno żaden się nie poleń,
„Bo tu jest zdrowie dla przyszłych pokoleń!"
A może drobiazg, znalezion w przestrzeni,
Naukę dziejów od razu przemieni:
Gdzie mądrych potów, gdzie sił było szkoda,
Klucz do przeszłości od razu wam poda,
A za pomocą tych cudownych kluczy
Jaśniéj na przeszłość poglądać nauczy;
A że z przeszłości i przyszłość coś bierze,
Doli potomków przysłuży się szczerze.
A więc nie szydźcie, jak uliczne chłopię,
Że ktoś po starych cmentarzach się kopie,
Że mały kłosek ze swojego żniwa,
Jak coś wielkiego, światu obwoływa.
Szanujcie rydel: bo to jest rzecz droga
W rękach rolnika, czy archeologa, —
Czy na żniwiarskiéj, czy na dziejów roli,
Okruchę chleba zawsze wymozoli.

1856. Wilno.

ZOZULA.

O! nieblizkie drogi nieba
I niełatwy lot orłowy!
Gdy mu serca, gdy sił trzeba,
Orzeł leci do dąbrowy.

Nim do lotu pierś rozwije,
Nim w powietrzne ruszy harce,
Król błękitu czołem bije
Bałamutce i wróżbiarce.

Bo zozula, chociaż młoda,
Zna filutka sądy boże;
Wróżbą sercu dopomoże
I olbrzymiéj siły doda.

Kuku! kuku! niby nie wie,
Że wyrocznią jest orłowi,
Że on, skryty gdzieś przy drzewie,
Każde „kuku“ sercem łowi.

W jego piersiach zakipiało,
Poczuł w sobie orle ramię,
Pod niebiosa wzbił się śmiało,
Siwe chmury pędem łamie.

I uderzył w chmury siwe,
Aż wytrysły deszczu strugi;
Świat mu wdzięczen téj przysługi,
Że wywołał deszcz na niwę.

Spada, pierśmi w chmurę trąca,
Pierzchła gęstych chmur przepaska;
Świat orłowi w ręce klaska,
Że odsłonił widok słońca.

Ludzie dziwią się nieczuli:
Zkąd się tyle siły wzięło?
To wróżbiarki leśnéj dzieło —
Cześć zozuli! cześć zozuli!

1856.

DO WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

(Przy wydaniu „Czém chata bogata“).

Idź, młody piewco! leć, młody ptaku!
Niech się twój zapał co chwila budzi:
Śpiewać w litewskich piewców orszaku,
To znaczy śpiewać dla dobrych ludzi.
Kochać tych ludzi — serca nie szkoda,
Śpiewać — nie szkoda piersi młodzieńczéj;
Bo każda nóta, co się im poda,
Zaraz w ich sercach mile oddźwięczy.
Ja znam te serca! trafisz najprościéj
W duszę słuchacza, sąsiada, brata,
Jeno kołataj w imię miłości,
Postaw: *czém chata twoja bogata.*
A nie pogardzą twoją chudobą,
Przyjdą gromadnie do twego stołu,
I chleb duchowy rozłamią z tobą,
I łzę wyleją z tobą pospołu.
Śmiało się, grajku, spuść na ich serca!
Nie ogadają twojego chleba,
A choć się znajdzie jaki oszczerca,
To się i o to troszczyć nie trzeba;
Bo ten lud boży tak go zasyczy,
Że sam odwoła słowa goryczy.

O serca Litwy, jakby o ścianę,
Krzepko oparty, przypatrz się nieco,
A piosnki twoje, wiatrem rozwiane,
Lotem jaskółki nasz kraj oblecą;
Nad każdém oknem strzechy Litwina
Będzie twe gniazdo—twoja gościna.

Dla twoich pieśni szerokie echo,
Szerokie pole dla twego trudu.
Patrz na te wioski: pod każdą strzechą
Żyją gromadki bożego ludu.
Zajrzyj w ich serca, jak tam bogato!
Niechże te skarby piosnka roświeci.
Spojrzyj na dymy nad każdą chatą,—
Z niemi pod niebo niech myśl poleci
Niechaj wybłaga o łaskę Nieba,
Czego tym chatom, tym sercom trzeba.
Grusze na polach, krzyże z mogiły,
Wieże kościelne, swojskie powietrze,
Jakież to barwy na twéj paletrze!
Jakiż z nich obraz stworzy się miły!
Jakże myśl każdą zamkniesz tu zwięźle!
Śmiało, malarzu, bierz się za penzle.

O dobrzy ludzie litewskiéj włości!
Przyjmijcież piewcy dar niebogaty.
I ja przyszedłem do was przed laty
Bez żadnych zasług okrom miłości;
Mnie spotkał uśmiech waszego oka,
Waszém współczuciem dotąd się pieszczę,—
Wszak niwa piosnek taka szeroka,
Tyle zostaje wyśpiewać jeszcze,
Na tyle taktów piosnka się klei,
To o cierpieniach, to o nadziei...
Och! nie zawadzi! och! nie zawadzi
W struny rodzinne zagrać goręcéj!
Wy, jako tuszę, będziecie radzi,
Że jeden pieśniarz przybędzie więcéj:

Przyjmijcież sercem braterskie dźwięki,
Odbijcie w sercach echo piosenki!

Patrz za górami na przestrzeń mglistą:
Świat promienieje albo się chmurzy.
Przygotuj czoło, młody lutnisto,
Na wieniec cierni i wieniec róży,—
I wyśpiewując, co serce mieści,
Umiéj być wesół, kiedy wesele,
Płacz z bolejącym w chwilę boleści,
Ukazuj braciom ich wyższe cele.
Nie zginie piosnka w piosenek tłumie:
Bóg cię nagrodzi, a kraj zrozumie.

1856. Borejkowszczyzna.

Szum brzozki.

SIELANKA.

Pod oknami mojéj chaty
Biała brzozka smukło rośnie,
A odarta z letniéj szaty,
Chwiejąc warkocz swój kudłaty,
Pomrukuje coś żałośnie,
Wyśpiewywa pieśń niedoli,
Że, słuchając, dusza boli.

„Chłodny wietrze! sroga zimo!
Szklany lodzie! śniegu biały!
Wyście ledwo przeszły mimo,
Już ozdobę mą rodzimą,
Moje liście oberwały,
Rozrzuciły po przestrzeni,
Zamroziły sok w méj rdzeni!

„Na gałązkach ciężką bryłą
Lód kropliste zakuł deszcze.
Biały śniegu! po co było
Wiać na głowę, na pochyłą,
I obciążać bardziéj jeszcze,
Że wierzchołki wysokiemi
Giąć się muszę aż ku ziemi?

„Nie na długo wicher głuszy,
Ciepły wietrzyk wiosnę szepce,
Wiosna idzie, lód pokruszy,
Ona warkocz mój osuszy,
Ciężkie śniegi w błoto wdepce;
W mojéj piersi znów widocznie
Siła soków krążyć pocznie.

„Z młodych pączków trysną liście,
Liście wonne i majowe;
Ale nawet wiosny przyjście
Nie podniesie uroczyście
Skaleczoną moją głowę!
Dzięki lodów ciężkiéj bryle,
Już wierzchołka nie odchylę.“

1857. Borejkowszczyzna.

Złoto, kadzidło i myrra.

(Westchnienie).

I.

Gdy niedostatki nas gniotą,
Gdy zbytki zgubić nas mogą,

Chryste, zrodzony ubogo,
Ty pobłogosław nam złoto!
Gdzie wieśniak ginie bez chleba,
Gdzie jęczą w łachmanach chorzy,
Tam złota wiele potrzeba,
Tam się niech złoto przysporzy.
Kiedy występku ohyda
Ma złota ile zamarzy,
Królu! potomku Dawida!
Daj go na chleb dla nędzarzy.
Gdzie nie masz pola do pracy,
Gdzie wątłe siły żywota,
Błagamy, jako żebracy:
Daj złota, Boże! daj złota!

2.

Kadzidło—to symbol chwały,
Należny tylko Jehowie,
A przecięż w człowieczéj głowie
Dymy aromat rozlały.
Bogactwo, wziętość lub władza
Piętno zatarły w nas boże;
A dym kadzidła przeszkadza,
Że człek być człekiem nie może.
Złącz nas w braterskie ogniwo,
O Chryste! o Boże z nieba!
Daj nam zasługę prawdziwą,
Któréj kadzideł nie trzeba!
Gdy piekieł pycha obrzydła
Z tobą się mierzy zuchwale,

Przeżegnaj garstkę kadzidła,
Niech służy ku Twojéj chwale!

3.

Myrra—to symbol cierpienia,
W niéj pobłogosław łzy nasze!
Gdy cierń nam serce opasze,
Niechaj się wiara nie zmienia,
Niechaj nadzieja pokrzepi,
Niech miłość wskrzesi nadzieję,
Że jutro będzie nam lepiéj,
Że się nam słońce zaśmieje.
Ośmiel nas, że mamy prawo
Zaufać Tobie jak ojcu!
I Tyś w Oliwnym ogrojcu
Pocił się łzawo i krwawo.
Gdy cierpień wpiją się miecze,
Gdy pęka serce sieroce,
Chryste! zbolały człowiecze!
Błogosław myrry owoce!

1857. Borejkowszczyzna.

KRZYŻE WIOSKOWE.

Dawnemi laty, w pocie swego czoła,
Mnich sprawy ludzkie na pergamin leje;
W mowie łacińskiéj, w języku kościoła
Kreśli poważne, rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tém więcéj uczczono.

Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasu i osób.
Takiém wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Przeszłość na zawsze staje na widoku,
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekną potomni.

Swoje wspomnienia w postaci odmiennéj
Pisze dla wnuków wieśniak niepiśmienny.
Gdzie mu mieć kartę? gdzie pióro i rylec?
A jednak w sercu potrzeba się budzi,
Aby syn własny lub obcy przybylec
Znał dawne czasy i dawniejszych ludzi,
Aby na wieki zbawić od zatraty,
Co się w téj wiosce trafiło przed laty.
Więc zamiast karty bierze grunt z pod wioski,
A zamiast pisma krzyż z drzewa wyciosa,
I cichych dziejów niezmazane głoski
Na tle błękitném odbiją niebiosa.
A w wiosce nie brak zgrzybiałego dziada,
Który o kiju pod krzyż się przywlecze,
I byleś ciekaw, przechodni człowiecze,
Krzyża i wioski dzieje ci wygada.
Dziejopis umrze, pergamin zbutwieje,
Młodzi przestaną trudnić się łaciną;
Ale krzyżami zapisane dzieje
Z pamięci ludzkiéj niełatwo zaginą.
Jeden krzyż zgnije, drugi się postawi,
Jeden dziad umrze, to drugi się zdarzy;
A młodzi zawsze powieści ciekawi,

Więc zawsze gotów słuchacz u bajarzy;
I takim kształtem powieść o rodzinie
Z krwią pokolenia w pokolenie płynie.

Czasem się zdarzy, ktoś z opowiadaczy
Dat nie pamięta, imię przeinaczy.
Więc słucha mędrzec i ramiony wzruszy:
Podanie pismu nie jest odpowiednie;
Śmieje się tedy i myśli w swéj duszy:
„Brednie dziadowskie, nic więcéj, niż brednie!“.
Ach! to nie brednie, chwycone z ulicy!
Ręczy krzyż Pański, jako świadek niemy;
Lecz winneż dzieje, że my piśmiennicy
Prawdy w podaniu znaleźć nie umiemy?

Krzyż na swéj niwie stawia kmieć ubogi,
Krzyżem swe imię niepiśmienny znaczy,
Krzyżem rozstajne rozchodzą się drogi,
W krzyż idą sakwy na piersi żebraczéj,
Jęczym przybici na krzyż naszéj doli,
Krzyżem nas żegna, krzyżem Bóg wyzwoli;
Krzyże stawiamy, by uczynić zadość
Pamiątce zmarłych drogich sercu braci,
W krzyżu nadzieja, łzy, i krew, i radość,
Krzyż nas podniesie i krzyż nas zatraci,
Przed krzyżem serce strapione się modli,
Jeden się zacni, a drugi upodli.

Czy na rozstajnéj, czy na życia drodze,
Krzyżu Chrystusów, wszędzie cię znachodzę.
Tyś zawsze godłem, tyś życia obrazem!
Czy cierpi serce, czy szczęście nam służy,
Zawsze i wszędzie tyś jest drogowskazem,
Ażeby pielgrzym nie błądził w podróży.

A jeśli pielgrzym w obłędu godzinie
Krzyż Chrystusowy niebacznie pominie,
I zamiast drogi manowce obierze,
I straszną przepaść znajdzie na uboczy;
To, byle sercem pożałował szczerze,
Znów, krzyżu Pański, staniesz mu przed oczy,
I ojcowskiemi twojemi ramiony
Wskażesz błędnemu gościniec stracony.

Wielcy i mądrzy zapomnieli może,
Lub na krzyż Pański dziś patrzą inaczéj;
Lecz prosty wieśniak każde swe rozdroże,
Każdą pamiątkę krzyżykami znaczy;
Każdą pamiątkę, choć tysiąc lat mija,
Krzyżem, jak gwoździem, do serca przybija.
Dziwne te krzyże, dziwne te mogiły,
Po naszéj ziemi rozrzucone wszędzie!
Plemiona zmarły, wieki się zmieniły,
Lecz pamięć żyje i długo żyć będzie.
I gdy ci bajać pocznie dziad brodaty
O tym krzyżyku, o królowéj Bonie,
Nie wierzysz w ścisłość historycznéj daty,
Lecz sercem czujesz, że to prawdą wionie,
I bardziéj trafi do twojego łona
Gawęda starca, niż książka uczona.

1857. Borejkowszczyzna.

STARY ZEGAR.

Oto kunszt staroświecki majsterskiego dzieła:
Dłoń ludzka w małéj skrzynce bieg czasu zamknęła,
I dzwonek dała mu w rękę;

W małéj mosiężnéj skrzynce żyje myśl nielada,
Coś porusza wskazówkę, coś szypi, coś gada,
Coś dzwoni jedną piosenkę.

Zegar! — ileż on zmierzył i minut, i godzin,
Ile wydzwonił biesiad, śmierci i urodzin,
I różnych doli człowieka!
A w zimném jego sercu żelazna sprężyna
Nieubłaganym taktem ciągle przypomina,
Że życie ciągle ucieka.

Przemierzając wskazówką długich lat ogromy
Na krótkie mgnienia oka, na czasu atomy,
Mruczy i zrzędzi, jak stary:
— „Nie gońcie za motylem, nie próżnujcie gnuśnie!
„Do roboty! do czynu! bo hańba kto uśnie,
„Kto swéj nie spełni ofiary!

„Długo stare zegary, odwieczni nudziarze,
„Nad głową waszych ojców biły w ekscytarze,
„Budząc ich myśli i czyny.
„Brzęk puharów, gwar śmiechów tłumił ich gderanie,
„Aż pan kazał zegarom jęknąć niespodzianie,
„Aż pękły rdzawe sprężyny!“

Znów waga naciągnięta, wskazówka popchnięta,
I szybko nowéj ery pobiegły momenta,
Ale zegary już inne:
Ciszéj biją sprężyny, ciszéj puls kołata,
Aby nie przerwać dumań myślącego świata,
Szanując drzemki dziecinne.

Co też mędrzec wyduma? co też dziecko wyśni?
Jak garstkę swoich minut ludzkość ukorzystni?
Wielkie dziejowe zadanie!
Świat ocknął się, zakipiał, jak wsiadł na sto koni,
Już jego szybkich pulsów zegar nie dogoni,
Już nad nim gderać przestanie.

Czas idzie żółwim krokiem, postęp orlim lotem,
Poprzedzon świstem pary i machin łoskotem,
Podniósł tytańskie ramiona!
A pragnąc glob podźwignąć z jego staréj osi,
Zaledwie zaczął walkę — już zwycięztwo głosi,
Że fałsz i ciemność pokona.

Boże! kiedy się puści w swe drogi sokole,
Niech nie zapomni krzyża położyć na czole!
Nawiedź go myślą poradną!
Dopomóż jego śmiałéj a poczciwéj chęci,
Niech mu się z wysokości głowa nie zakręci,
Ani ramiona opadną!

Niechaj w górę wzniesiona drużyna skrzydłaczy
Zbożne, prawdziwe cele postępu zobaczy,
Niech światu prawdę wyśledzi.
A potém bądź miłościw dla starych szermierzy,
Gdy stary zegar czasu godzinę uderzy
Wielkiéj, dziejowéj spowiedzi!

Zegar bije sekundę — to rodzi się dziecię,
Zegar bije sekundę — ktoś umarł na świecie,
Świat być w spoczynku nie może;
Wciąż nowe pokolenia snują się po ziemi,
Z nowemi dążeniami, z myślami nowemi,
Idą twe dzieci, o Boże!

Trzeba mistrzów, co pilno badając puls młodzi,
Mówiliby: „To godzi, a to się nie godzi!"
I strzegli starych cnot ziarna.
Wzbudź ich! a który spełnił swoje powołanie,
Wedle sprawiedliwości błogosław mu, Panie!
Bo ich zasługa niemarna!

1857. Borejkowszczyzna.

KWIETNIOWY MOTYL.

Młody chłopaku, porzuć swawole:
Kwietniowy motyl wyleciał w pole,
Radosna chwila!
Nie psuj radości swoją pustotą,
Niech mu na skrzydłach migoce złoto,
Nie goń motyla!

Niech sobie lata, niech sobie lata,
Przez kilka godzin użyje świata,
Co się przymila.
Skrzydełka płoną, oczki mu płoną,
Chce się pocieszyć trawką zieloną, —
Nie goń motyla!

Dla niego wieczność, co dla nas chwilka,
Chce w jednéj wiośnie mieć wiosen kilka,
Główkę pochyla,
I z każdéj trawki, z każdego kwiatka
Chciałby słodycze ssać do ostatka, —
Nie goń motyla!

Marząc o różach, pije cykutę,
Jemu nie szkodzą krople zatrute,
Niech je wychyla!
Dopóki wierzy w balsamu kwiecie,
Jeżeli spłoszysz, grzech tobie, dziecię!
Nie goń motyla!

Gdyby żył tyle, co my żyjemy,
I gdyby, wiedząc to, co my wiemy,
Ssał miód z badyla —
Niech nie doczeka przyszłéj jutrzenki!
Skradnij się, dziecię, nie żałuj ręki,
Zabij motyla!

1857. Borejkowszczyzna.

Procedencye szklanicy miodu.

I.

—Stary miód w szlacheckiéj chacie
To rzecz święta, panie bracie!
Bo nim niegdyś swoje zdrowie
Pili nasi pradziadowie.
No, a pijąc, jużci gwarzą,
Otwierają wzajem duszę,
Przy nim rady i sojusze
I zrywają, i kojarzą.
Miód był uczty towarzyszem,
Hart nadawał sercu, pięści;
Co dziś gwarzym, co dziś piszem,
To niewarto setnéj części

Owoczesnych zgód i sporów,
Gdy roziskrzy miodek oczy,
Kordyalnych rozhoworów,
Co przy miodzie szlachta toczy.
Szkoda tylko, że w mogile
Słowa, czyny, sława zgasła...
—„Więc pamiątki tylko tyle?
Więc do czegoż szumne hasła?
Więc dla czegoż, panie bracie,
Ten miód świętym nazywacie?
Że opleśniał?—pleśń nie święta!
Że dawniejszy czas pamięta?
Że, jak niegdyś szumiał w tłumie,
Opowiedzieć sam nie umie?“
— Gdy świętości tylko tyle,
Że w nim niegdyś ludzie mokną,
Dajcie pokój ich mogile,
A wylejcie miód za okno!
Gdy się z niego ulotniła
Starodawna moc i siła,
Gdy ma służyć za napitek,
To-ć nie pijcie ludzie młodzi!
Dziś za drogi taki zbytek
I na głowę wam zaszkodzi.
Słabe głowy waszych gości
Niechaj raczy napój świeży.
Co inszego, kto w świętości
Widzi świętość, jak należy,
Z myślą ojców kto się spotka
Kiedy spełnia ich wiwaty,
Kto w kropelce staréj daty
Pije duszę swego przodka,

Temu chyba ucztę sprawcie,
Lecz profanów od niéj z dala!
Stary miodek przed nim stawcie.
On świętości nie pokala.
Gdy mu miód zaszumi w głowie,
A rumieńcem skrasi lice,
Ze czcią patrząc na szklanicę,
On wam przeszłość jéj opowie,
I oświeci nas, prostaki,
Ot mniéj więcéj w sposób taki:

II.

Przed latami, przed wiekami,
Na téj saméj co my ziemi,
Żyli ludzie tacy sami,
Tylko z pierśmi gorętszemi;
Na wojaczce męże chrobrzy,
Między swymi bracia dobrzy,
A choć jeszcze bałwochwalce,
Żywszą wiarę mieli w łonie,
I w ołtarzy swych obronie
Byli radzi umrzeć w walce.
Grunt, co dzisiaj sochą orzem,
Grobowcami ich usiany;
W górach, lasach, pó nad morzem,
Wszędzie znajdziesz ich kurhany:
A z ich piersi to snop żyta,
To wzorzysty kwiat wykwita.
Bo za życia ludzie czyści
Wciąż na myślach mieli plony:

Jak najwięcéj dać korzyści?
Jak ozdobić kraj rodzony?
I niepłonno męże prawi
Byli myślą tą zajęci,
Bo im Pan Bóg takie chęci
I za grobem błogosławi.
Gdy ich czyny, słowa, pieśnie
Na pożytek szły współcześnie,
To-ć i z grobów, z nad ich ciała
Nie pokrzywa wyrastała.
Gdy potomek kwiaty zżyna,
Ani sobie przypomina,
Że to z kości pra-pradziada;
Ani zgadną ludzie ślepi,
Co im nowych sił udziela,
Że w tym chlebie—to ich krzepi
Wigor z piersi rodziciela.
A dziewczyna ani marzy,
Gdy się w kwiaty ozdobiła,
Czemu chłopcom taka miła?
Czemu kwiatek tak do twarzy?
Och! bo w skromny polny kwiatek
Czarodziejstwo Nieba wlały:
On wyrasta z serca matek,
Co swą dziatwę tąk kochały,
Co z niebiosów wysokości
Patrzą na nią pieszczotliwie!
Tak ku staréj swojéj niwie
Przeszłość dyszy w potomności,
Żyje zawżdy między swemi,
Jest w powietrzu, w wodzie, w ziemi.

III.

W tém naczyniu, mchem nawisłém,
W starym miodzie pra-pradziada
Jest zaklęta myśl nielada!
Pij go ze czcią i rozmysłem
I dopij się, co tam w duchu,
Co tam za treść uroczysta:
Bo iż może lat ze trzysta
Wisiał w sklepie na łańcuchu,
Tego jeszcze nam niedosyć,
Aby stągwiom ołtarz wznosić.
A czyż myślisz, że ci starzy
Już w niebiesiech zbyt weseli,
Gdy potomek się podchmieli
I o przeszłych czasach gwarzy?
Gdy odgadnąć stare pleśnie
Serce nie da ci sposobu,
Starożytność z głębi grobu
Tylko śmieje się boleśnie.
Gdy niezręcznie jéj dotyka
Świętokradzka dłoń badacza,
To mu przeszłość z oczu znika,
Większém ciemnem się otacza.
Gdy się mrokiem raz otoczy,
Już mozoła nadaremna!
Uzbrojone szkłami oczy
Nie przebodą wieków ciemna.
Chyba sercem zaklnij święcie,
Przęszłość stanie na zaklęcie.

IV.

Patrz na ciemny obszar puszczy:
Jak tych dębów postać święta!
Ten bór wiele snadź pamięta,
Może on nam coś wyłuszczy.
Patrz: przy staréj, gęstéj lipie
Jakiś kopiec, drugi, trzeci;
Czyjaż ręka tu je sypie,
Gdzie dziś ptaszek nie doleci,
Gdzie dziś wąż się nie dociśnie
Za gęstemi krzewin sploty?
Czy sypano je umyślnie?
Jaki cel był téj roboty?
Dąb na kopcu tajemniczy
Wzrósł, by jakieś widmo wieszcze;
Kilka wieków sam dąb liczy,
A więc kopiec starszy jeszcze!
Starszy jeszcze, bardzo stary,
Wgniecion w ziemię do połowy,
Kędzierzawe, siwe mszary
Obwisają pień dębowy.
A nad mszarem, wyżéj nieco,
W piersi dębu już nadgniłéj,
Skrzętne pszczółki, co tu lecą,
Ul dla siebie założyły.
Patrz: z nasypu tego wzgórza
Ludzka czaszka się wynurza...
Więc to cmentarz staréj daty,
Z przed dziesięciu wieków chyba.
Patrzaj!—zagon—znaczna skiba...
Więc orano grunt przed laty!

Więc tu niegdyś było pole,
Potém ludzkie grobowiska;
Więc to drzewo się wyciska
Z piersi ludzkich, więc w ich czole
Swe korzonki dąb zanurza,
I ssie ztamtąd swoje soki,
I tak wzniósł się pod obłoki,
Jakby jaka chmura duża,
A gałęźmi po nad darnie
Ze sto kroków cień ogarnie.
Toż to piersi być musiały
Tego człeka, co tam leży,
Kiedy dały żywot świeży
I wzrost drzewu tak wspaniały!
A w tych piersiach, a w téj głowie
Być musiała myśl życzliwa:
„Niech tu przyszli potomkowie,
„Niech tu ludzkość odpoczywa,
„Niech przygarnę na mém łonie,
„Niech prawnuków mych osłonię!“
I konary z dębu wzrosły
Jakby ręce—ze swobodą
Ku niebiosom się podniosły,
Błogosławiąc ludzkość młodą.
Ta krzewina, z razu licha,
Czyjeż kształty ma na sobie?
To praojca, co śpi w grobie,
Co do wnuków się uśmiécha.
Ze swych piersi w piersi drzewa
Zapożyczył dobréj treści;
Jego myślą dąb szeleści,
Kiedy wietrzyk weń powiewa.

Drugi z ojców dał wzrost lipie,
Co rozrasta się krzewiście,
W młode, bujne szumi liście,
I już kwieciem się osypie.
I już ludzi plemię młode,
Kiedy znojem znuży głowę,
Szło do gaju po ochłodę,
Przytulenie brać ojcowe.
A znęcone wonnym kwiatem
Które gaik bujnie rości,
I wonniejszym aromatem
Rodzicielskiéj życzliwości,
Przyleciały pszczółek roje,
Zakrzątała się gromada.
Dąb otworzył piersi swoje,
Kędy pszczółka ule składa,
Lipa kwiatów nie zazdrości,
Bóg przeżegnał pszczół zachody,—
I już były w plastrach miody;
Znów na korzyść potomności
Z ojcowskiego plony czoła
Dla prawnuków brała pszczoła.
A w téj lipie, zkąd miód bierze,
I w tym dębie, gdzie go składa,
Była dusza pra-pradziada,
Co prawnuki kochał szczerze;
Każda kropla była święta,
Jego myślą przesiąknięta.

V.

Dobrze wiedząc, czyjéj głowie
Podziękować winni czule,
Szli do gaju potomkowie
Opatrywać pszczelne ule,
I wynieśli dobre plony,
I warzyli miód sycony.
Gdy się potém w kółko zbiorą
I podchmielą się biesiadnie,
To zaledwie kto odgadnie:
Zkąd te myśli w głowach gorą,
Zkąd ten zapał serce bodzie
Ku wielkiemu, cnotliwemu?
I odgadli, jak i czemu
Dusza ojców mieszka w miodzie?
Gdzie z ramienia bohatera
Rosła lipa, ztąd miód wzięto,—
Od szklanicy krew się wzbiera,
Czujesz dzielność niepojętą.
A gdzie z piersi u pieśniarza
Wzrosły dębu miodne barcie,
Tam od kropli już otwarcie
Rzewna dumka duch rozżarza,
I piosenka płynąć rada,
Sama w uściech się układa.
I szczęśliwi ci, co pili,
Bo nie znali ducha nędzy;
Stare myśli odrodzili
I jak starzy byli tędzy.
A doznawszy, jak te myśli
Czarodziejsko sercu służą,

Strzęśli gaje jak najściślėj,
Nasycili miodu dużo,
I schowali dla swych dzieci,
W nim zakląwszy ojców dusze,
Mając w dobrėj płyn otusze,
Że poczciwą myśl podnieci,
Że skarlałą pierś ożywi,
Serce pocznie grać ochoczo,
Że gdy usta w nim umoczą,
Będą prawi i cnotliwi.

VI.

Z dawnych piwnic gdzieś zakątka
Taki spadek nam się dostał,
Aby wiek nasz dawnym sprostał.
To coś więcėj, niż pamiątka!
W tėj szklanicy przeszłość cała
Jeszcze dyszy aromatem,
Czuć lipowym starym kwiatem,
Myśl dawniejsza nie zwietrzała,
Kto, jėj treścią dość przejęty,
Chowa w sercu cnoty stare,
Godzien brzęknąć czarą w czarę
I wychylić płyn zaklęty.
I obaczy po tym płynie,
Jak pokrzepi się nieznacznie,
Ciepło w piersiach się rozwinie
I już zdrowie płużyć zacznie.

1857. Wilno.

Do ks. Wacława Żylińskiego,

Biskupa wileńskiego, arcybiskupa mohylowskiego i metropolity rzymsko-katolickich kościołów w Cesarstwie Rossyjskiém.

Kiedy kornie schylamy chrześciańskie czoła
W obec arcypasterza Pańskiego kościoła,
Gdy wiara naszych ojców szczera i głęboka
Przy jego przeżegnaniu łzę ciśnie nam z oka,
Gdy dusza chrześciańska świętych wrażeń syta,—
Niechże Litwin swą chlubę rodzinną powita!
Od czasu, jak chrzest święty omył Litwy dzieci,
Stara katedra nasza liczy pięć stuleci;
Szereg swoich pasterzów liczyła dostojny
Imionami Holszańskich, Radziwiłłów, Wojny.
Ale żaden z tych mężów, choć cześć ich mogile,
Matki świątyń litewskich nie uświetnił tyle;
Żaden, arcypasterską władzą obleczony,
Nie rzucił tyle blasku na rodzinne strony.
Nie dziw tedy, że Litwa, jak jedna rodzina,
Chlubi się z posiadania dostojnego syna,
Że miłością ku swemu pasterzowi pała,
Że wszystkie jego chwile weselićby chciała.
Oto wita cię, gościu, uprzejmym wyrazem
Kraina twoich przodków i naszych zarazem!
Wstępuj w stolicę Litwy, gdzie łączy tak żywo
Arcypasterza z trzodą rodzinne ogniwo;
A namaszczoną dłonią, jak Litwin życzliwy,
Przeżegnaj nasze domy, przeżegnaj nam niwy.
Przeżegnaj nasze serca, bo w każdém się mieści
Wielki ku tobie zasób miłości i cześci;

Bo tu jednym okrzykiem cały naród woła:
Niech żyje chluba Litwy i filar kościoła!

1859. Wilno.

W DZIEŃ IMIENIN

IGNACEGO CHODŹKI.

Któryż z Litwinów mnie nie pozazdrości
Fortunnéj doli, żem pieszczoch jedyny?
Wśród miłych sercu litewskiemu gości
Dziś obchodzimy Chodźki imieniny.

Chcemy ci wszyscy życzyć najgoręcéj,
Ale tu na nic oratorskie chryje!
Sto lat ci życzyć—ty żyć będziesz więcéj,
Będziesz żył póty, póki Litwa żyje.

Wedle *Obrazów*, coś wysnuł z twéj duszy,
Niechaj się kształci i mąż, i pacholę;
Niech wzrasta, mimo ulewy i suszy,*
Ziarno, coś rzucił na litewskie pole.

Z twojego ziarna doczekawszy chleba,
Gdy się dla Litwy bratnia uczta sprawi,
Błogosławieństwa ojca nam potrzeba:
Niech stary Chodźko nas pobłogosławi!

31 lipca 1857. Wilno.

Do Deotymy.

Odpowiedź na jéj traktat, w imieniu Litwinów.

I góra z górą niekiedy się zbieży,
I rzeka z rzeką się spłynie:
Oto u Wisły dalekiéj wybrzeży
Lirnicy Litwy w gościnie.

Widzimy imion najpiękniejszych grona,
Co się w około nas cieśnią;
Wy nas witacie ze szczerego łona
Chlebem, i sercem, i pieśnią.

Bógże wam zapłać! nad taką gościnę
Nie masz rzewniejszéj na świecie...
Może nawzajem i w naszą krainę
Kiedyś zawitać zechcecie.

Twardsza piosenka, chleb u nas czarniejszy,
Mniéj imion głośnych u świata;
Lecz w sercu zasób miłości nie mniejszy,—
Przyjmiem, czém chata bogata.

1857. Warszawa.

OSTROKRZEW.

(*Kwiat przyjaźni*).

Kwiatku przyjaźni! dla czegoś wszystek
Taki ciernisty, taki kolczaty?
Zbrojny cierniami każdy twój listek,
Krwawe jagody, krwawe masz kwiaty.
Bo ty wyrażasz ów związek wielki:

Ręką do ręki, łono do łona;
Bo cóż jest przyjaźń? bratnia obrona
Aż do ostatniéj krwawéj kropelki.
Takiéj przyjaźni nic nie rozdzieli,
Czy zła, czy dobra nastanie doba;
Gdy nam wesoło, bądźmy weseli,
Gdy mamy cierpieć, to cierpmy oba.
U nas, potomków starych rycerzy,
Biada, gdzie taka iskra nie gore!
Biada, kto w taką przyjaźń nie wierzy,
Gdzie piersi w piersiach mają podporę!

1857. Warszawa.

W imionniku

TYTUSA MALESZEWSKIEGO

PASTELISTY.

Pyłkiem tak lekkim, jak puch brzoskwini,
Albo jak puszek skrzydeł motylka,
Kiedy twa ręka mój obraz czyni,
Kiedyśmy dzionków spędzili kilka,
Dobrze się wyrył w kontur wieczysty
W sercu modelu obraz artysty...
Cóż ci, żegnając, twój model doda?
Niech się w pamięci twojéj zachowa
To, coś malował: czoło, nos, broda,
Dłoń, co cię bratnio ścisnąć gotowa,
Szara kapota, spięta pod szyję,
I... proste serce, co pod nią bije.

1857. .Warszawa.

Maurycemu Krupowiczowi,

Członkowi Bractwa
ludzi statecznych, trzeźwych i pracowitych.

Ty, coś nie spleśniał w archiwowéj pleśni,
Ty, coś *uczony* nie samém imieniem,
Żyjesz tym duchem, co wszyscy współcześni,
Tylko bogatszy dziejów doświadczeniem!

Jako twój patron, rycerski Maurycy,
Dosiadł rumaka nie raz, nie sto razy;
Tak ty, doszedłszy wieszczów tajemnicy,
Po bajronowsku siodłasz swe pegazy.

Choć pogadanką nie gardzisz swawolną,
Lubisz pogwarzyć wśród gwaru młodzieży;
Ale wiesz dobrze, *z czego śmiać się wolno,*
Nad czém *koniecznie zapłakać należy.*

Wielki pijaczu jałowcowéj wody!
Spirytualnie-ś nasze serca okuł:
Przyjmij braterskiéj miłości dowody,
W swojego serca zapisz je protokół.

I my muzeum w naszéj duszy mamy,
Kędy się bratnie pamiątki rozwiesza:
Tam, bracie, znajdziesz kątek taki samy,
Jak sławna głowa i czapka Bekiesza.

22 września 1857. Wilno.

SOSNA.



Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jéj krzepnął na siłach,
Wybujała jéj głowa.
Pogiętemi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednéj jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniéj się zieleni,
I pożółkła jéj głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca,
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcéj kolców z niéj strąca;
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna...
W końcu—jeszcze przed zimą—
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jéj pyta:
—„Biedna sosno z mogiły!

„Czyś ty gromem przebita?
„Czy-ć robaki stoczyły?
„Czy ci żeru nie było
„W żółtym piasku z poblizka?
„Albo kamień swą bryłą
„Twe korzenie naciska?“

— „Och! mnie nie tknął grom z burzą
„I robaki nie toczą;
„Ziemia soków ma dużo
„I mnie karmi ochoczo;
„Gdzie kamienie i głazy,
„Szłam z korzeńmi z daleka;
„Wrosłam — gorzéj sto razy!
„W trumnę złego człowieka!
„Trumna zgniła na próchno,
„Zgniły w piersiach mu błonki,
„W serce trupa leciuchno
„Zapuściłam korzonki.
„Chłód mię przebiegł grobowy,
„Gdym possała zeń trocha;
„Bo to człek był takowy,
„Co nikogo nie kocha!
„Pierwsze z piersi swéj soki
„Dał cmentarnéj choinie;
„Czułam, jak z téj opoki
„Brzydki we mnie jad płynie.
„Z jadem śmierci w mém łonie
„Byłam smutna, milcząca...
„Każdy wietrzyk, co wionie,
„Więcéj kolców mi strąca.

„Próżno w ziemię rodzimą
„Nowe rzúcać chcę ziarna...
„Ziarna zeschły—przed zimą
„Ginie sosna cmentarna!“

1857. Wilno.

PAJĘCZYNA.

Pająk jestem, pająk,
Snuję sobie nici,
Puszczam je w powietrze,
Każda gdzieś się chwyci.
  Śpiewak jestem, śpiewak,
  I piosenki snuję,
  Puszczam je po świecie,
  Każdą ktoś odczuje.
Nitka jedna, druga,
W poprzek, wzdłuż przeleci,
Tak sobie powoli
Zasnowywam sieci.
  Piosnka jedna, druga,
  Z wsi do wsi przeskoczy,
  Rozwiązuje serca,
  Porozwidnia oczy.
Jak z tysiąca nitek,
Tak z tysiąca pieśni,
Coraz lepsza siatka
Zawęźli się cieśniéj.
  A pająk bezpieczen
  Pod siatką swych nici,
  I z wichrów żartuje,
  I muszkę pochwyci.

Pod siatką piosenek
My żywi i zdrowi,
I złego człowieka
Ta siatka ułowi.

1858. Wilno.

POWINSZOWANIE AFISZERA WILEŃSKIEGO.

Chrystus wskrzesnął! armat grzmoty
Zakończyły postną ciszę;
Nastał dla nas czas roboty,
Czas roznosić wam afisze.

Gmach teatru, nie kolumny,
Lecz trzymają afiszery;
A więc człowiek trochę dumny,
Że w publicznéj służbie szczery.

Proboszcz piękne miał kazanie,
Łez wywołał rzewne strugi;
Ale dzwonnik dzwonił na nie,
To i on ma coś zasługi.

My po palmę nie sięgamy —
Dla artystów są oklaski;
Lecz komedye, farsy, dramy,
Wszystko żyje z naszéj łaski.

Czy w świątyni Melpomeny
Dramat serce wam rozedrze,
Czy komiczny głos ze sceny
W *Rewizorze* lub *Don Pedrze*;

Czy *Karliński* z armat pali,
Czy *Elżbieta* wyrok pisze,
Wszystko my wam zwiastowali
Wczesnym rankiem przez afisze.

Czy w *Ernanim* nóty śpiewne
Bierze para rozkochana;
Wszak śmiech pusty i łzy rzewne
My pod pachą nosim z rana.

Publiczności! w tobie życie,
W tobie naszych prac podnieta;
Więc do serca dłoń ściągnijcie,
A przy sercu—portmoneta.

1858. Wilno.

PIERWSZE MYŚLI
W DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA.

Chrystus zmartwychwstał! chrześciańskie dzwony
Radosną światu ogłosiły wieść;
Chrystus zmartwychwstał! śpiesz, duchu strapiony,
Zmartwychwstać z Bogiem, do nieba się wznieść.

Grobowy kamień, co-ć serce naciska,
Odwal z twych piersi i żyw z martwych wstań!
Anioł zwątpienia, co strzegł grobowiska,
Cofnie się z trwogą, gdy blask padnie nań.

Chrystus zmartwychwstał, a z Chrystusem razem
Słońce z zimowych zmartwychwstanie chmur;

Błysnęło ciepłem — za jego rozkazem
  Stopione śniegi polały się z gór.

Zimna pierś ziemi ocieplała z wolna,
  Wre życie w trawkach i w korzonkach zbóż;
A czyliż dusza człowieka niezdolna
  Raz wyziębiona ocieplić się już?

Wstań, biedna duszo, z pościeli Łazarza,
  Orlego oka w ciemności nie mrocz,
I niech lód zimny, co serce zamraża,
  Łzami ciepłemi poleje się z ocz.

Niechaj się głowa na światło odsłania,
  Niech nowych myśli wysnowywa nić;
Niech serce nasze od dnia zmartwychwstania
  Nowego życia pocznie takty bić.

Wiosna przed nami! do pługa, do pługa,
  Kto jakim pługiem orze zagon swój!
Pan Bóg da żniwo — i plon, i zasługa,
  Miodu i mleka wytryśnie nam zdrój.

Z Chrystusem brzemię dźwigaliśmy krzyża,
  Bok nam przebito, pochowano nas;
Chrystus zmartwychwstał, do nieba się zbliża,
  U bram niebieskich oczekuje nas.

Lecz nie masz nieba bez czynu, bez woli,
  Bez łez, bez trudów, bez ofiar i strat;
Och! nieraz krwawo serce nas zaboli,
  Nim się w nadchmurny uniesiemy świat!

Nieraz ku sercu się pochyli głowa,
Krople krwi, potu posączą się z niéj;
Ale choć rani korona cierniowa,
Po zmartwychwstaniu już dźwigać ją lżéj.

Poganin pada wśród życia katuszy,
Pomimo wielkich stoicyzmu cnot;
Boleść jest skrzydły chrześciańskiéj duszy,
Na których orli bierze w górę lot.

Mamy u ramion skrzydła promieniste,
Mamy przed sobą nadpowietrzny kraj...
O Słońce nasze, Zbawicielu Chryste!
I oczom naszym orlą siłę daj!

Tam na przestworzu szerokiego nieba
Są mgły, są chmury i uragan dmie:
Bystrego oka lecącym potrzeba,
Abyśmy słońca nie stracili w mgle...

1858. Wilno.

HULAJ DUSZA!

Czarka w czarkę! pal go kaci!
Od waszeci do waszeci!
Czy ubodzy, czy bogaci,
Jakoś wszyscy boże dzieci.
A gdy czarka się wysusza,
To i w myślach nowa zmiana:
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Grunt nie rodzi... wielkie święto!
Ha, bo susza... ha, bo deszcze!
Gdy na morgu kopę zżęto,
To i' czegoż trzeba jeszcze?
A gdy dziedzic w gwałt przymusza
Kilka złotych płacić z łana,
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Wieśniak głodny na przednówek,
Głodne woły jego płużne,
Chcę go cieszyć; lecz ze słówek
Grzech podawać czczą jałmużnę.
Boleść braci choć cię wzrusza,
Choć społeczna boli rana,
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Ojciec chory, matka chora,
Złe nadzieje... złe nadzieje!
Nie ma płacić czém doktora —
I tak chory pozdrowieje.
Swych receptów kartelusza
Nie da lekarz bez kubana...
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Zmarli... zmarli... moi mili!...
Gdzie tam?!—żyją!—lecz w nich pusto:
Swoje serca upodlili
Egoizmem lub rozpustą.
Kłamstwo... kłamstwo... czart spokusza!
Odżyj, wiaro niezachwiana!

Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Chwytam książkę w méj rozpaczy:
„Daj mi prawdę w słowie ścisłém!“
Co to znaczy? co to znaczy?
Ja tu czytam fałsz z rozmysłem!
Ale wierzę w geniusza,
Bo to książka drukowana...
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Boże, Boże! piosnkę złożę;
Lecz z téj piosnki cóż przybędzie?
Trochę wiary, albo może
Rozpaczliwych snów narzędzie.
Nie chcę piosnki — ból mię skrusza;
Lepiéj padnę na kolana...
Po modlitwie—hulaj dusza,
Szukaj pana bez żupana!

Już niegłupim, abym wierzył
W jakąś ziemską przyszłość błogą,
Abym czołem tàm uderzył,
Gdzie potrzeba kopnąć nogą.
Człeka wyższy cel porusza...
Przebolała w sercu rana:
Hulaj dusza bez kontusza,
Szukaj pana bez żupana!

Są tam insze światy boże,
Gdzie nie bawi czcze mamidło;

Ile tutaj czynów stworzę,
Tyle piór mi wrośnie w skrzydło.
A gdy skrzydła wiatr napusza,
Już mi dalsza droga znana:
Wolna dusza niechaj rusza
Najwyższego szukać Pana!

1858. Wilno.

HYMN DO NAJŚWIĘTSZÉJ PANNY
w Ostréj-Bramie.

Maryo, Bogarodzico,
Matko cierpiących nędzarzy,
Co nad Jagiełłów stolicą
W bramie stanęłaś na straży!
Spojrzyj na tłumy skruszone,
Co klęczą u stop téj bramy:
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Niebiosów wysokich Pani!
Spojrzyj na rodzaj człowieczy:
Oto na sercu znękani;
A któż ich boleść uleczy?
Tyś miała serce zranione,
I twój żal nie miał swéj tamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto kalecy i chorzy
Żebrają litości Twojéj.

A któż im siły przymnoży?
A któż im rany zagoi?
W Twéj łasce, cudem natchnione,
Uzdrawiające balsamy.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

W litości Twojéj matczynéj
Głodnych nakarmiasz z rozkoszą:
Oto ubogie rodziny
O chleb powszedni Cię proszą.
Otwórz im wsparcia skarbonę,
Błogosław pracy ich saméj.
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Oto grzesznicy skalani,
Co się rozstali z nadzieją,
Na święte oblicze Pani
I oczu podnieść nie śmieją.
Rozpal ich serca zziębione,
Niech grzechu oczyszczą plamy!
Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

Kiedy nas klęska dotyka,
Wstaw się do Syna życzliwie,
Błogosław pracy rolnika,
Błogosław plonom na niwie,
Błogosław litewską stronę
Z wysokiéj baszty Twéj bramy!

Matko! pod Twoją obronę
Z pokorą się uciekamy.

1857. Wilno.

TANIEC FORTUNY.

WARYANTY KANTYCZKOWE.

O jak często u fortuny odmiana.
To gliniana, to żelazna, to szklana!

Fortuna siedzi opięta na koło,
Na swéj skrzypicy gra piosnkę wesołą;
A pod jéj takty w pracowitym trudzie
Pląsają ludzie.

A tutaj strojne w tęczowe kolory
Latają w kółko błędne meteory;
A mądra ludzkość, rozpuściwszy pasa,
Za niemi hasa!

Tam gore światło, do niego się garnij,
Jako niebaczny ptaszek do latarni,
Jak płoche dziecię, gdy gwiazdka daleka
Przed niém ucieka!

Lecz rajskie światło, co migało jasno
Nim-eś doleciał, już całe zagasło;
Cóż z garncarskiego zostało komina?
Popiół i glina!

„Na przezroczystym a twardym granicie
„Budujcie gmachy na bezpieczne życie!"
Lecz to nie granit, to lodu posłanie
Na morskiéj pianie.

Oto już padasz, przeciążon bez miary
Wymarzonemi twych gmachów obszary:
Pluchniesz z twym gmachem, marzycielu szybki,
Pomiędzy rybki.

„Z jasnemi skrzydły, z promienistą głową,
„Oto ptak leci, co go Miłość zową;
„Leci wysoko, lecz się spuści może
„W ziemskie bezdroże!“

Gońmy bezdrożem, choć nam oddech pęknie,
Choć zranim stopę, niech żaden nie jęknie;
Lecz zniknął ptaszek, co-ś gonił w zawody,—
Napij się wody!

Zdobywać szczęście śpieszmy pracowicie,
Ważmy dla niego pracę, krew i życie;
A kiedyś ujmiem w ręce spracowane
Szkło, wiatr i pianę.

Śmiało! bo tutaj nagroda nielada:
Za myśl bolącą, co się w czoło wjada,
Za pracowity bieg bez wypocznienia,
Dogonim cienia.

1858. Wilno.

Do Faustyna Łopatyńskiego.

Faustynie, który zwiedzasz macierzyste kraje
I badasz naszą Litwę i jéj obyczaje!
Najprzód, wyznam otwarcie, byłem zadziwiony,
Że w słotnym listopadzie przybyłeś w te strony.

Lecz przyznaję ci trafność, pomyślawszy dłużéj:
Dziś dla badacza Litwy właśnie czas podróży.
Późna jesień przychodzi z darami swojemi,
Szare chmury na niebie, a błoto na ziemi,
Wiatr elegicznie szasta w obnażone drzewa,
Szlachta gra w preferansa, lub śpi, lub poziewa;
Ludzie siedzą po domach, jak przykuci więźnie,
Chyba chłopska furmanka gdzieś po błocku grzęźnie;
Gdy twój powóz wędrowny brnie w mętnéj kałuży
Nos wędrowca opadnie, oko się zachmurzy,
W głowie smutnie się roi dumka tajemnicza,
A serce sennym taktem sekundy odlicza.
Wszędzie smutno, gdziekolwiek powiedziesz oczyma,
Życia niéma w naturze, to i w nas go niéma.
Lecz jeśliś wprawny badacz i bystre masz oko,
Dojrzysz niemało ruchu pod smutną powłoką.
Jesień, to nasze gody — teraz mianowicie
Wstępuje w łono Litwy niesłychane życie.
Widzisz te pańskie dwory z pomiędzy bezdroży?
Tu mieszka pan marszałek, tu pan podkomorzy,
Tam jaśnie oświecony, tu jaśnie wielmożny,
Owdzie sędzia graniczny lub deputat drożny;
Każdy na swéj stolicy rozparł się wspaniale,
Każdy rzemiennêm berłem sprawia swe wassale.
Wejdź na jego dzielnicę i z pozoru zgadnij,
Jak tu z ojcowskich rządów cieszą się podwładni?
Zrzucili barbarzyńskie kożuchy i świty,
Każdy w bluzę strzępiastą z paryzka okryty,
Każdy blady, snadź duma, lub pobożnie pości,
Każdy wesół odwiedza *klub wstrzemięźliwości.*
Miasto wzorem weneckim—zwiedź ten gród bogaty,
Płyń po błocie gondolą od chaty do chaty.

Wędrowcze! z takich rysów dostrzeżesz dobitnie,
Że tu mody nie braknie i pietyzm kwitnie.

1858. Wilno.

Ze wspomnień gór.

Z pośród wąwozów przedtatrzańskich wzgórzy,
Z nad gajów brzozy, z nad świerków wierzchołka,
Cicha wioszczyna czasem się wynurzy,
Lub dwór szlachecki, lub wieża kościołka.
Mignie na chwilę i znowu się schowa
Za stromy wzgórek, gdzie żyto jak złoto;
Cienista lipa i gałąź dębowa
Znów przed oczyma zasłonę uplotą.
I znów rozwiną jak czarowną kartę
Nowych widoków ciąg długi a długi:
Drewniane chatki, do wzgórków przyparte,
Małe jeziorka albo wązkie strugi.

Spadasz w dolinę — choć piękna, bogata,
A jednak mniemasz, żeś sto sążni w ziemi;
Wchodzisz na górę—jesteś panem świata,
Sto gór się korzy pod stopy twojemi.
I myślisz w duchu:—Ot z téj wyższéj góry,
Już mi się wszystko odsłonić powinno;
Oprę się czołem o urwiste chmury,
I moją Litwę zobaczę rodzinną!
W białéj z obłoków promienistéj szacie,
Głośne gór echo mając ku posłudze,
Otoż zdumienie na Litwie obudzę,
Gdy huknę do nich: jakże się miewacie?

Natężą ucho i patrzą do koła,
Co jeszcze głosu mojego pamiętni:
Czy to z obłoków ich brat na nich woła,
Czy to w ich piersiach znajomy głos tętni?...
Wchodzę na górę, chcąc dopełnić dziwa,
Patrzę na północ—lecz tam pomrok szary,
Znów się dla oczu pasmo gór odkrywa,
Góry jak fale—jak nasze Ponary.
Tylko doliny coś nie tak się kwiecą,
Coś nie tym taktem grzmi strumyk w opoce,
I powiew wiatru zimniejszy tu nieco,
I leśny ptaszek inną pieśń świergoce.

Próżno w złudzenia bawić się, jak dzieci,
Albo z cieniami puszczać się w gonitwy:
Okiem nie dojrzę, jakże głos doleci?
Piersi rozedrę... sto mil ztąd do Litwy!
A choćbym włożył moje pozdrowienie
W chłodną pierś wiatru, lub na ptaszka ramię,
To nim przeleci ogromne przestrzenie,
Wiatr się unuży, ptak skrzydła połamie.
Oto błysnęło, zagrzmiało 'nad głową,
Chmura karpacka w tamte strony płynie;
Ale czyż można chmurą piorunową
Głos pozdrowienia posyłać rodzinie?
Czyż wolno dziecku, kiedy się zamarzy,
Nad strzechą ojców rozciągać postrachy,
Coby powinno stać przy nich na straży,
Własnemi piersmi osłaniać ich dachy?

Niewolno... nie chcę gromów za narzędzie.
Litwo! nad tobą czuwa oko boże!

Z moich pozdrowień nic ci nie przybędzie;
Raczéj je w głębi serca mego złożę,
A potém... potém, gdy się pora zdarzy,
Gdy puls gorący uśmierzy się nieco,
Wyszepcę z cicha u stopni ołtarzy,—
Ztamtąd skuteczniéj i prędzéj dolecą.
Chrystus je prześle, jak tylko się dowie—
Promieniem słońca, jutrzenką lub rosą;
Na starą Litwę Pańscy aniołowie
Błogosławieństwo najpewniéj doniosą.
1858.

Toast w Piotrkowie.

(Urywki).

Nie mnie ten zaszczyt, co dzisiaj spotyka,
Nie mnie należy, ale wspólnéj sprawie.
We mnie, ziomkowie, chcieliście łaskawie
Uczcić piśmiennéj niwy pracownika.
Czy źle, czy dobrze moją niwę żąłem,
Wy mnie dla tego witacie życzliwie,
Żem szczerém sercem, z zapoconém czołem,
Jak Bóg nauczył, pracował na niwie.
Gdy moje żniwo zaledwie w połowie,
Gdy się południe zaledwie rozżarza,
Wam się spodoba, serdeczni ziomkowie,
Pod snopem żyta dać ucztę żniwiarza.
Pięknaż to uczta, co serce napawa,
Co duszę karmiąc, dodaje zachęty!
A choć do uczty nie mam jeszcze prawa,
Bo widzę jeszcze mój łan niedożęty;

Alem się znużył... O dzięki wam, dzięki
Za pokarm, dłonią podany życzliwą!
Z nowemi siły, chwycę sierp do ręki
I do wieczora może skończę żniwo.
A jeśli żniwo pracowitéj ręce
Pan Bóg dozwoli dokonać zawcześnie,
Do was przyniosę dożynkowe wieńce
I wam zanócę dożynkowe pieśnie.

Żniwo pieśniarza, to żniwo nielada,
Bo serca ludzkie jak kłosy pożyna;
Zawsze go słucha uprzejma drużyna,
A on jéj łzami, on sercami włada.

. . . .

Słuchacze moi, ziomkowie współcześni!
Czułem tę prawdę w mym zawodzie całym:
Ze strachem szedłem do ołtarza pieśni,
Ze strachem w struny serc waszych trącałem.
Choć niedołężne, ile siły mogą,
Lecz czyste chciałem wydobywać tony.
Śpiewałem najprzód moją Litwę drogą,
Jéj pola, wioski i jéj lud rodzony,
Jéj uroczyste i powszednie chwile,
Jéj ciche dworki, kościołki, cmentarze;
Chciałem się wpatrzyć w jéj praojców twarze,
Wsłuchać się w serca, co już śpią w mogile.
Co oko zajrzy, co ucho podsłucha,
Brałem do serca widoki i dźwięki;
Potém z krwią serca, z ogniem mego ducha
Rzucałem na świat w postaci piosenki.

Bóg ją przeżegnał, Litwa wysłuchała,
Wszędzie jéj w Litwie dano dach ochrończy...

. . . .

Sierpień 1858. Piotrków.

ZNICZ.

Znicz zgasnął na wieki z litewskich ołtarzy,
Nie smuć się, narodzie nasz stary!
Bóg Znicza nowego w twéj piersi rozżarzy—
Ognisko miłości i wiary.
Twa jutrznia różowa, twa jutrznia promienna,
Choć ciemnym się mrokiem pokryła,
Nie smuć się, narodzie! jest światłość odmienna,
Co z nieba Duch Święty posyła.
Na miejscu Perkuna, co gromem się gniewał,
Piorunem roztrącał wam głowę,
Masz Boga, co za cię krew swoją wylewał
I ręce wyciągał ojcowe.
W ojcowe ramiona, ugiąwszy kolano,
Litwini, rzucajcie się radzi!
W chrześcian i ludów społeczność wybraną
On znakiem krzyżowym prowadzi.
Nad miasty waszemi dzwon niechaj uderza
Z modlitwą do Pana nad Pany;
Niech w falach rzek waszych szmer cichy pacierza,
A w wietrze hymn będzie słyszany.
Gdzie żyli bożkowie, co chat waszych strzegli,
Niech Pańscy latają anieli;
Krzyż stawcie na kopcach, gdzie ojce polegli,
A będzie im w grobach weseléj.

W Kiernowie nie palą dziś krwawéj ofiary,
Stargano z bogami ogniwa;
Kościołek Chrystusa drewniany i stary
Pod swoje sklepienia was wzywa.
Pobożnie na tacy połóżcie grosz wdowi,
Zmurujcie tu ściany i wieże,
Niech ręka ochocza podźwignie, odnowi
Ołtarze ku świętéj ofierze.
Nie krwawéj ofiary, lecz cichéj modlitwy
Chce Ojciec,—wysłucha swe dziecię.
Tu, dobrzy Litwini, o dobry los Litwy
Skuteczniéj się modlić możecie.

1858. Wilno.

Do Niemna.

Parodya.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Zgubne dla Słowian Teutońców szeregi:
Zaarendują twoje piękne brzegi;
Dęby i sosny obetną z ich wianków;
Pociągną zyski z gorzałek i z miodów;
Co warto szeląg, przedadzą za złoty;
Wszystko zagarną; poróżnią kochanków;
Z kijem i z torbą puszczą wajdeloty;
Groszem, postępem lub wymową zdradną,
Jak Kopernika—wszystko nam ukr...

1858. Wilno.

STAROPOLSKIE RORATY.

I.

„*Rorate, coeli!* Górne niebiosa!
„Niech z was wytryśnie zbawienna rosa;
„Z górnych obłoków na ziemskie niwy
„Niechaj się spuści mąż sprawiedliwy;
„Niechaj się ziemska otworzy bryła,
„Swojego Zbawcę by porodziła!“
Tak z Izajaszem ród ludzi woła,
Takim brzmią hymnem mury kościoła,
Kiedy nadchodzi kres wielkich godzin,
Dzień uroczysty Bożych Narodzin,
Gdy ma się życie rozpocząć nowe,
Panna wężowi ma zetrzeć głowę,
Kiedy na wschodniéj niebiosów stronie
Nieznana gwiazda wkrótce zapłonie,
Gdy stara przeszłość czeka w pokorze,
Kiedy ją wezwą na Sądy Boże.

II.

W świątyniach Pańskich, przed świtem, nocą,
Blaski jarzęcych świateł migocą,
A w złotogłowy strój przyodziani
Pańscy lewici, Pańscy kapłani,
Jak każe obrząd, swoją koleją,
Ołtarze kadzą i hymny pieją,—
I uroczyście, jako w dni święta,
Ofiara Pańska już rozpoczęta.
A przy ołtarzu, w ofiarną porę
Siedem jarzęcych świeczek zagore.

Lud, co ofiary niekrwawéj słucha,
Prosi o dary Świętego Ducha,
By stały w sercach, jako pochodnie,
By Zbawiciela powitać godnie:
Mimo radości—straszno w téj porze,
Czy jest gotowy na Sądy Boże.

III.

O wiaro święta, Chrystusa wiaro!
Ty przodków cnotę budziłaś starą:
Bo ci przodkowie, ci nasi starzy,
Brali hart ducha od twych ołtarzy.
Rozumni w radzie, bitni na wojnie,
Cały swój zawód wiedli dostojnie;
Bo swoje sprawy o każdéj chwili
Bogiem poczęli, Bogiem kończyli.
Siedem cnot ducha człowiek posiadał,
A kraj ze siedmiu stanów się składał;
A w każdym stanie ziemica cała
Szczególną cnotą wygórowała.
Bo o dar cnoty ziomkom przydatnéj
Błagała Boga we *mszy roratnéj*;
A gdy swe wota przed Panem złoży,
Gotową była iść na Sąd Boży.

IV.

Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed mszą *roraty*
Siedmio ramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
A każdy jedną świeczkę rozżarza:—

Król, który berłem potężném włada,
Prymas—najpierwsza senatu rada,
Senator świecki—opiekun prawa,
Szlachcic, co królów Polsce nadawa,
Żołnierz, co broni swoich współbraci,
Kupiec, co handlem ziomków bogaci,
Chłopek, co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli,—
Każdy na świeczkę grosz swój przyłoży,
I każdy gotów iść na Sąd Boży.

V.

Ten, co przodkuje nad wszystkie stany,
W świetny dalmatyk król przyodziany,
Szedł do ołtarza, zapalał świecę,
I kraj polecał bozkiéj opiece:
—„Tyś Król najwyższy, Tyś Królem króli!
„Boże! pierś Twoja niech nas przytuli,
„Niechaj nie dozna bicza Twéj chłosty
„Senat, rycerstwo i naród prosty.
„Czy przeciw wrogom oręż wymierzę,
„Czy z obcém państwem zawrę przymierze,
„Dostojnych królów niech idę śladem,
„By się mój jasny nie ćmił dyadem.
„Chociaż mi złoto uwieńcza skronie,
„Noszę, jak Chrystus, ciernie w koronie;
„Lecz jeśli Chrystus sił mi przymnoży,
„*Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.*"

VI.

Po królu przyszedł pierwszy z poddaństwa,
Pasterz gnieźnieński i prymas państwa;

Zapalił świeczkę na lichtarz drugi:
—„Boże, co wspierasz Twe wierne sługi!
„Pasterz pasterzów Twojego ludu,
„Błagam Twéj łaski i Twego cudu.
„Czy się w pasterskiéj ukażę szacie,
„Czy wezmę pierwsze krzesło w senacie,
„Czy pójdę walczyć na różnowierce,—
„Umacniaj, Boże, zwątlone serce!
„Daj mi odróżnić białe i czarne,
„W kogo uderzę, kogo przygarnę;
„Niech z moich piersi iskra wystrzeli
„W kmiotków, w kapłanów, w obywateli;
„A gdy Twa łaska wzrok ich otworzy,
„*Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.*“

VII.

Potém senator najpierwszy w radzie
Na czoło, na pierś znak krzyża kładzie,
Idzie przed ołtarz, przed lichtarz trzeci,
Na trzeciéj świeczce ogień roznieci,
I w myślach taką modlitwę mówi:
—„Boże! gdy będę radził królowi,
„Niech godnie spełnię radę i władzę,
„Niech powinności mojéj nie zdradzę.
„Czy jak senator dam zdanie moje,
„Czy jako hetman pójdę na boje,
„Niech każda bitwa i każda rada
„Na dobro ziomków moich wypada.
„Czy jak marszałek nad braci głową
„Będę podnosił laskę sejmową,
„Czy się kanclerską pieczęć przyłoży,
„*Niech będę gotów na Sąd Twój Boży.*“

VIII.

Potém szedł szlachcic najpierwszy z ziemian,
Co pług i statut dzierżył na przemian,
Co opuściwszy sochę i bronę,
Na skronie królów wkładał koronę.
Szlachcic-ziemianin kląkł u ołtarza,
Na czwartéj świeczce płomień rozżarza,
I ze schyloną modli się głową:
—„Boże! strzeż moją wolność sejmową!
„I w oczach Twoich, i w oczach ludzi
„Niech czarna plama jéj nie zabrudzi!
„Czy w imię kraju albo kościoła
„Król pospolite ruszenie zwoła,
„Czy na elekcyę starsi powiodą,
„Pragnę oddychać braterską zgodą;
„A bratobójczych brzydząc się noży,
„*Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.*"

IX.

Potém szedł żołnierz w zbroi ze stali,
I piątą świeczkę na ołtarz pali:
—„Dałeś nam, Panie, w rękę pałasze,
„Dałeś pancerze na piersi nasze;
„Naszym orężem, pierśmi, ramiony,
„Jak gdyby murem kraj ogrodzony.
„Lecz gdy nas Twoje nie wzmocni ramię,
„Wróg najmocniejsze mury przełamie,
„Najkrzepszy hufiec podda się snadnie,
„Najwarowniejsza baszta upadnie.
„Czyśmy w obozie, czyśmy w pochodzie,
„Niech Twoja wiara serca nam bodzie;

„Czy po wygranéj, czyśmy na leży,
„Chroń nas od ducha brzydkiéj łupieży.
„Gdy mię nie przeklną słabi i chorzy,
„*Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.*“

X.

Potém przychodzi przed ołtarz Pański
Sławetny kupiec z rzeszy mieszczańskiéj,
I stawiąc szóstą na ołtarz świecę,
Stan swój porucza bożéj opiece:
—„Boże, coś nasze zaludnił miasta!
„Przez Ciebie handel i przemysł wzrasta,
„Przez Ciebie pieniądz zyski nam dawa,
„Ty nam przez królów nadałeś prawa.
„Ty się opiekuj wagą i miarą,
„Krzew w naszych sercach poczciwość starą.
„Sam kieruj szkutem albo wiciną,
„Gdy polskie zboża w kraj cudzy płyną.
„A gdy za moją obrotną pracę,
„Bogacąc siebie, kraj mój bogacę,
„Kiedy mój pieniądz zysk mu przysporzy,
„*Gotowy jestem na Sąd Twój Boży.*“

XI.

Potém przychodził rolnik w sukmanie,
I z siódmą świeczką przed ołtarz stanie:
—„Boże! już kraj mój karmię od wieka,
„I ja mam prawo do nazwy człeka;
„Lecz głód, pomorek, wojna, niewola,
„Brudzą nam serca, pustoszą pola,
„Bogacim drugich, a sami biedni,—
„Dajże nam dzisiaj nasz chleb powszedni!

„Bez Twojéj łaski ziarno nie rodzi,
„Łąka kwiecista zginie w powodzi,
„Grad nasze kłosy wyniszczy w ziarnie,
„Albo stodołę pożar ogarnie.
„Dajże nam, Panie, chleba dostatek,
„Miłość do serca, zgodę do chatek;
„A gdy poczciwie zagon wyorzę,
„*Gotowy jestem na Sąd Twój, Boże.*“

XII.

Tak siedem stanów z ziemicy całéj
Siedmiu płomieńmi jasno gorzały,
Siedem modlitew treści odmiennéj
Wyrażał lichtarz siedmioramienny,
Lecz roratnego całość lichtarza
Wspólną modlitwę kraju wyraża.
A na ten lichtarz—komuż to dziwno,
Że Pan Bóg spuszczał rosę ożywną?
Królowie—dobrzy i chrobréj mocy,
Pasterze Pańscy—duchem wysocy,
Senatorowie—w radzie niezłomni,
Ziemianie—w sejmach na prawo pomni,
Żołnierz—jak olbrzym szedł jeden na stu,
Kupiec—przynosił bogactwo miastu,
Swobodny kmiotek jak las miał zboże,—
Gotowi byli na Sądy Boże.

XIII.

Ale zmądrzała Rzeczpospolita,
Siedmiu świeczkami ołtarz nie świta,
Siedmiu modlitew już zapomnieli,
Stary obyczaj Piastów wyśmieli;

Szli na roraty przed dniem do fary
Tylko niewiasta lub dziadek stary.
Zardzewiał lichtarz siedmioramienny,
Los siedmiu stanów nastał odmienny:
Na królów—twarde włożono pęta;
W pasterzach—znikła gorliwość święta,
Senatorowie—poili braci,
Szlachta—się ciągle konfederaci,
Żołnierz—jął gnębić tych, których bronił,
Kupiec—przez lichwę bogactwa strwonił,
Kmiotek—niewolnik, zmarniał we dworze,—
Anioł zatrąbił na Sądy Boże.

1858. Wilno.

Wigilia sieroty.

(Wiersz poświęcony pannie J. St..)

Bracia, bądźmy gotowi
Przyjąć łaskę w pokorze!
Anioł pasterzom mówi:
Narodzenie dziś Boże!
Wielki czas się poczyna
I na ziemi, i w niebie:
Wita ludzka rodzina
Zbawiciela wśród siebie.
Na chrześciańskiéj ziemi
Wszyscy w rodzinném kole,
Każdy chciałby ze swemi
Uczcić Boże Pacholę.
I rodzice wśród dziatek,
I druhowie, i krewni

Łamią święty opłatek,
A łza oczy im rzewni.
Wszędzie gwarna wieczerza
Radość zlała na czoło,
Z okien światło uderza,
Promienieje wesoło.

Tylko w jedném okienku
Tęskny płomyk migota.
Głowę wsparłszy na ręku,
Płacze młoda sierota.
W obcéj stronie, wśród świata,
Co nie przyszedł z opieką,
Myślą ku tym ulata,
Co daleko... daleko!...
W grobie wszyscy jéj mili,
W grobie dobra jéj matka:
Nie masz, nie masz w téj chwili,
Z kim podzielić opłatka!
Nie ma dla niéj na ziemi
Z kim się pośmiać, weselić;
A tu z ludźmi cudzemi
Nie chce łzami się dzielić.
Oni pełni ochoty,
Każdy troskę osłodził;
Tylko dla niéj, sieroty,
Chrystus się nie narodził.

Matkę sercem i duszą
Woła z ciemni grobowéj;
Święteż słowa być muszą
Tajemniczéj rozmowy!

—„Jam tu pastwą złych losów,
„Jam tu pastwą męczarni:
„Przyjdź tu, matko z niebiosów,
„Popieść, ulżyj, przygarnij!“

Och! sieroto! w téj ciszy
Święciéj, niźli nam w tłumie:
Twoja matka cię słyszy,
Chrystus boleść rozumie.
On ma sierot na względzie,
Duchem zleci tu matka,
I Stróż Anioł przybędzie
Dla dzielenia opłatka.
Przyjmij z okiem wesołém,
Daj cześć, jak im należy;
Z matką, z Stróżem Aniołom
Siądź do skromnéj wieczerzy.

24 grudnia 1858. Wilno.

DO BOLESŁAWA NOWIŃSKIEGO.

Cny panie Bolesławie, co też myślisz sobie?
Że cię Jacek za króla ubrał w garderobie,
I żeś był do Zygmunta podobien z oblicza,
I żeś wziął za kanclerza Karabanowicza,
I że ci, na złość cieniom Zygmunta Augusta,
Odyniec końcówkami napakował usta,—
To sądzisz, żebyś zhańbił twą koronę złotą,
By pod dach wierszoklety przytrzepać piechotą?
Nie, najjaśniejszy panie, to pycha junacka!
Korony i purpury—wszystko w ręku Jacka!

Jak on kurtę wykroi, fałdy poprzymierza,
Pachołka zrobi z króla, a szewca z kanclerza.
Schylmy głowy przed jego nożyczek wszechmocą;
Nie wdawajmy się w spory, kiedy nie ma o co.
Z przed twego majestatu każ ustąpić straży,
A słuchaj: — Czepielewska kiełbasy nam smaży!
Z twego serca zrzuć pychę wielkowładców hardą:
Lepsza jest od korony kiełbasa z musztardą,
Albo, jak pewny mędrzec historycznie zbadał,
Że Jagiełło kiełbasy z kapustą zajadał;
Musztarda czy kapusta, co będzie ci w guście, —
Idź śladem Jagiellonów, Zygmuncie Auguście!
Bo smutne panowanie, kiedy król nic nie je —
Co powiedzą Tarnowscy, Maciejowscy, Reje?
Co pomyśli Barbara? O, postępuj dzielniéj!
Słyszysz? kuchmistrz koronny skwarzy na patelni;
A gdy poda dar boży, zmiataj go z półmiska,
Jakbyś hufce Tatarów zmiatał z bojowiska.
A po dobrém śniadaniu, w blasku twéj korony,
Będzie czas *barbarzyńskie* śpiewać antyfony.

1859. Wilno.

KAMIENNE BOŻYSZCZE.

Starzec z kamienia ciosany,
Długo-brody, straszno-licy,
Siedział przyparty do ściany
W progu pogańskiéj bożnicy.
Na jego brodę, na głowę,
Zamróz nawieszał swe igły,

Z brwi zwisły sople lodowe,
Ręce jak trupie zastygły.
Na silnych barkach u dziada
Śnieg złożył ciężar niemały,
Na szacie, co z nóg mu spada,
Fałdziste pręgi bielały.

Młodzi, swawolni duchowie,
W wesołéj a pustéj chwili,
Siadając na jego głowie,
Żarty ze starca stroili:
—„Cóż z twoim stało się duchem?
„Czego się trzymasz pochyło?
„Rzeźbiarz chciał ciebie mieć zuchem,
„Lud chce uklęknąć przed siłą.
„Tyś zziębły, tyś cały w lodzie,
„Coś nakształt ziemskich nędzarzy;
„Lodu nie zgarniesz na brodzie,
„Śniegu nie otrzesz z twéj twarzy.
„Patrz tylko na nasze czoła!
„Krew w całéj uderza sile,
„Na sercu dumka wesoła,
„U ramion skrzydła motyle!
„A gdy, latając szczęśliwi,
„Trafim na mroźne powietrze,
„Ruch skrzydeł krew nam ożywi
„I śniegi z piersi nam zetrze.
„Zakrzepną czasem rączęta,
„Przyjdzie zapłakać, jak dziecię,
„Bo i duch czasem pamięta,
„Że są zawieje na świecie;
„W duchu wre życia potęga,

„Co bole z serca rozproszy:
„Kuty z kamienia ciemięga
„Nie dozna takich rozkoszy!“

Z kamiennéj otchłani łona
Dziad uroczyście odpowie:
—„Dziatwo, ty dziatwo szalona!
„Staréj urągasz się głowie!
„Głowa, co wieki przeżywszy,
„Zakamieniała w zadumie,
„I w myślach uczuć ruch żywszy,
„I chłody wytrzymać umie.
„Wiekowe dumań mych cele
„Nie jednodniowa pogoda!
„A więc się troszczę niewiele,
„Że lodem skrzepła mi broda.
„Kiedy, latając wśród ludzi,
„Stracicie życia mamidła,
„Gdy się wasz zapał ostudzi,
„A chłód zawarzy wam skrzydła,—
„Siądźcie na głaz, co was ziębi,
„Ufając jego pociesze:
„Z kamiennéj piersi méj głębi
„Ciepłą wam iskrę wykrzeszę.“

1859. Wilno.

MYŚL.

W braci, w przyjaciół tłumie
Żyć tak błogo, przyjemnie!
Lecz jeden nie rozumie,
A drugi szydzi ze mnie.

Uściska w samėj rzeczy,
Lecz okiem wnet pokaże:
—„Oto jest syn człowieczy,
„Tego chwytajcie, straże!“
A tak ci służąc wiernie,
Na urąganie wyda;
Świat cię ustroi w ciernie,
Jako Syna Dawida.
Zginie twoja swoboda
W sądach, przesądach świata,
U Annasza, Heroda,
Poncyusza Piłata.
Jam doznał tych katuszy,
I chcę ufać najśmielėj,
Że Pan Bóg mojėj duszy
Insze słońce udzieli.

Zwisły chmury na skroni,
Zwisły ręce bezwładnie,
Zaschło pióro w mėj dłoni,
Na spoczynek je kładnę.
Mówią bracia najszczersi,
Że i dusza już chłodna,
Że zdrój uczuć w mėj piersi
Wyczėrpany aż do dna,
Że już wyschły łzy z oka...
O nie, bracia! krew czuła,
Tylko lodu powłoka
Pierś pancerzem zakuła.
W głębi skryłem roztropnie
Miłość, wiarę, nadzieję,
A jak zamróz roztopnie,

A jak słonko przygrzeje,
Jak uczuję weseléj,
Że nic piersi nie ścieśnia, —
Toż to z duszy wystrzeli
Łza, i dumka, i pieśnia!
Myśl ku ziemi przybita
Wzniesie się razem z głową,
Jak po deszczu kłos żyta,
Odżywiony na nowo.
A tymczasem—Bóg ze mną!
Z wiarą w mego anioła,
Szukam słońca do koła...
Ale wszędy coś ciemno.
Jeszczem przybrać się gotów
W śmiech serdeczny, w śmiech złoty;
Lecz tu nie masz przedmiotów
Do niewinnéj pustoty!
Rzecz do żartów gotowa
Z głupstwa, zbrodni, lub grzechu;
Lecz od takiego śmiechu
Niech mię Pan Bóg zachowa!
W urąganiu, w dowcipie
Bluźnić światu otwarcie,
Takich żartów nie sypię,
Moje szczęście nie w żarcie.
Niech szyderstwo świat zgłuszy,
Niech się śmieją weseli:
Pan Bóg dla mojéj duszy
Insze słońce udzieli.

Pióro, moja ty socho!
Twe pole wielkie, żyzne,

Czyż się zapiszesz płocho
W tygodniową pańszczyznę?
O nie! nikt cię nie zmusza
Stanąć w szereg rozumny,
Pod sztandarem arkusza
Gazeciarskiéj kolumny,
Gdzie najmita z kolei
Wychodzi strzelać baśnie:
Nie zastrzeli idei,
Ale serce zadraśnie.
Czemuś nie napawała
Pióra żółcią z posoką?
Dziś rozbita ich strzała
Już nie wzleci wysoko.
Niech się łamie, niech kruszy,
Kiedy chmur nie przestrzeli!
Pan Bóg dla mojéj duszy,
Insze słońce udzieli.

1859. Wilno.

ŚWIĘCONE.

Nie to Polka, którą grały
Powolniéj, to prędzéj;
Lecz to Polka, co chleb biały
Wypieka dla nędzy.

Nie to Mazur, co swe ruchy
Na klawiszach brzęczy;
Lecz to Mazur, pulchny, kruchy
Co święcone wieńczy.

Zacnych matek zacne córy
Wystąpcie w téj porze:
Takie Polki i Mazury
Ródź nam, Panie Boże!

1859. Wilno.

Do Luminarzów mojéj parafii.

Nie lubię ciebie, księże prałacie,
Gdy się uczenie łeb twój najeża,
Gdy dogmatycznie nam rozprawiacie
O nieomylnéj władzy pasterza.
Lecz kiedy w cichym wiejskim kościele
Wznosisz Sakrament w Pańskiéj ofierze,
A lud się wierny pomostem ściele
I w grzeszne piersi bije się szczerze,
Gdy w sutéj kapie albo ornacie
Grzmisz *Święty Boże!* starą piosenkę, —
Tak cię uwielbiam, księże prałacie,
Że chciałbym szczerze całować w rękę!

Nie lubię ciebie, bazgraczu płonny,
Gdy się czepiając obcego wzoru,
Kreślisz na płótnie rzymskie Madonny
I bez rysunku, i bez koloru.
Lecz gdy twój obraz widzę w kościele,
Choć pendzel gruby, a postać krzywa,
Lecz naród przed nią na twarz się ściele,
Z piersi pobożny jęk wydobywa;
Gdy Opatrzności kreślisz nam oko,
Boga rodzicę lub Bożą Mękę, —

Tak ciebie kocham, tak czczę wysoko,
Że chciałbym szczerze całować w rękę!

Nie lubię ciebie, mój organisto,
Gdy przy gitarze, wśród dziewic grona,
W niedzielnym stroju, z miną rzęsistą,
Fałszywym głosem śpiewasz *Filona.*
Ale gdy w cichym kościołku słyszę,
Jak intonujesz ku bożéj chwale,
Kiedy popsute gnieciesz klawisze
Na Alleluja lub *Gorzkie Żale,*
Wiernego ludu sto głosów razem
Kiedy powtarza twoją piosenkę, —
Łza wzrok mój pali, jakby żelazem,
Chciałbym cię, mistrzu, całować w rękę!

Mszą świętą, pendzlem czy antyfoną,
Wiejskich kościołków pierwsze potęgi,
Wydobywajcie nótę rodzoną
Z pod serc, z pod piersi, z pod szmat siermięgi!
Przez was się ziszczą boże zamiary!
Niewolno tracić ni jednéj chwili,
Bo to nasz kościół, nasz kościół stary,
Gdzie się ojcowie nasi modlili.
Wam nie mędrkować—tylko po prostu
Wzywać z kantyczek *Ranną Jutrzenkę;*
Bóg porozdziela kwiaty od ostu,
A my was będziem całować w rękę.

W dzień Wniebowstąpienia 1859. Borejkowszczyzna.

Piosnka wieśniaczki litewskiéj.

Kiedy smutno roję,
Kiedy cierpię wiele,
Gorzkie dumki moje,
Z kim ja was podzielę?
Któż mój ból uleczy?...
Próżno głos swój trudzę:
Zimny ród człowieczy
Na boleści cudze.

Czy się matce zwierzę?
Lękam się jéj złości...
Powiem siostrze szczerze—
Siostra pozazdrości...
Brat nie pojmie rzeczy...
Próżno głos mój trudzę:
Zimny ród człowieczy
Na boleści cudze.

Gdy mi duch upada,
Kiedy łza się leje,
Sąsiadka ogada,
A sąsiad ośmieje.
Któż się śmiać zaprzeczy?
Próżno głos mój trudzę:
Zimny ród człowieczy
Na boleści cudze.

Luby mój, jedyny,
Cała ma otucha;

On dumkę dziewczyny
Zrozumie, wysłucha!
On mój ból uleczy,
Głosu nie utrudzę...
Zimny ród człowieczy
Na boleści cudze.

1859. Borejkowszczyzna.

Jeszcze lirnik.

Deszcz, to wicher, to pogoda,
Już nastała jesień święta,
Rozpłakana, uśmiechnięta,
Jak do ślubu panna młoda;
To posępna, to wesoła,
Jako dumki mego czoła.

Pieśń dożynek naród śpiewa,
Echo płynie uroczyście,
Po nad pola, po nad drzewa,
Po nad krzewy żółtoliście;
Rzewna nóta gra dokoła,
Jako dumki mego czoła.

I nastały ciemne noce —
Strach ogarnia tajemniczy,
W okna chatki wicher grzmoce,
A na dworze pies skowyczy,
Puhacz z mogił smutnie woła,
Jako dumki mego czoła.

A jednakże — lirnikowi
Dziś swobodniéj niźli wiosną:
Jego bracia żywi, zdrowi,
Jego piosnki grzmią rozgłośno,
Lecą z końca w koniec sioła,
Jako dumki mego czoła.

W takt skowronka i słowika,
W cieniu leszczyn, wedle źródła,
Śpiewał wiosnę, która znika,
Śpiewał miłość, co zawiodła;
Krew mu kipi, ledwie zdoła
Wysnuć dumki swego czoła.

Dziś, skąpany we łzach szczerze,
Zimniéj snuje swe piosenki,
Spokojniejsze takty bierze
Pod jesiennych wichrów jęki;
A nie zgadli ludzie zgoła
Zmiany w dumkach jego czoła.

Lecz on czuje ton swój zmienny,
Bicia serca bacznie słucha,
I przeraża go kamienny,
Martwy spokój jego ducha:
„Wróćcie do mnie! wróćcie, — woła —
„Wrzące dumki mego czoła!“

Zawiedziony od współbraci,
Nie o siebie on boleje,
Lecz się lęka, że utraci
Miłość, Wiarę i Nadzieję;

W nich miał stróża, w nich anioła
Pięknych dumek swego czoła...

1859. Borejkowszczyzna.

ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drócianém więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika;
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że pierś mu przenika.
Och! nie masz tu cieniu w olszniaku, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Och! nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Och! nie masz tu lubéj, dla któréjby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Niemożna wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.
Tu zamiast wietrzyka o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany;
Tu kurzem osypie jadący karocą
Pan w złoto przybrany.
Tu zamiast strumyka tłum, płynąc jak woda,
I tętni, i wrzeszczy:
Gdzie tutaj zacisze? gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczy?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi;
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.

Poczyna piosenkę, w tonach się rozpada,
Wygłasza swe żądze,
Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna.
Wóz tętni po bruku... „O, ja go przekrzyczę!“
Tak myśli ptaszyna.
I nótą wciąż wyżéj a wyżéj wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.
Przypomniał swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną;
Przypomniał serdeczne, długie rozhowory
Ze swoją jedyną,—
Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannéj lał trele,
I głosem królując nad ptactwa tysiącem,
Był zawsze na czele!
„Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
„Pomimo hałasu!
„Do wyższéj, do wyższéj nastroję się miary!“
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziéj a bardziéj łoskotów grzmią krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekór, w ulicznéj ciasnocie
I ludniéj, i ludniéj.
Ów,. drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;
Pochwała tém bardziéj pierś jego rozdyma
I zapał rozżarza.

Niebaczny! twój tryumf opłacasz zbyt drogo,—
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogą
Ich oczy matowe.
Słuchaczów, co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;
Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy
Kto w dłonie zaklaśnie.
Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,
Skrzydełka omdlały...
On tego nie czuje, bo w swojéj piosence
Utopił się cały.
Całego słowika ogarnął szał pieśni,
Aż echem drga klatka;
Tém śpiewa donośniéj, im cierpi boleśniéj,
Z sił swoich ostatka.
A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie, on sobie;
Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy
W ostatniéj swéj probie.
Daremnie w drobniuchne skrzydełka szeleszcze,
Chwieje się i słania;
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.
I ten, co pieśniami górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły;
A koła po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły!

1859. Wilno.

ZWIERZYNA.

Obrazek z miasta.

—„Strzelcze! hej, panie strzelcze! co chcesz za kwi-
[czoła?“
Na rynku małe chłopię tak na strzelca woła,
Dogania go z pośpiechem, a strzelec wąsaty
Popatrzał na twarz chłopca, na odzieży szmaty,
I pomruknął niechętnie:—„Ha, piękna mi przedaż!
„Co ja chcę, to chcę, malcze, ty mi pewno nie dasz.
„Dwa złote!... nie dla ciebie, to zwierzyna droga.“

—„Dwa złote! dobry strzelcze! bój się Pana Boga,
„Mam dwuzłotkę, to prawda, lecz mi reszty trzeba,
„Idę kupić dla braci mleczywa i chleba,
„I zanieść do apteki ten przepis doktora,
„Bo widzisz, panie strzelcze, moja matka chora.
„Na dzień dwie łyżki strawy za pokarm jedyny,
„Pan doktor kazał warzyć rosół ze zwierzyny,
„Mój ojciec stary cieśla—a my niebogaci,
„Przedaj mi za złotówkę, a Bóg ci dopłaci!“

—„Jak żyję, nie słyszałem—rzekł strzelec wesoły,—
„Aby pani cieślowa miała jeść kwiczoły.
„Na chorobę jest u mnie recept doskonały:
„Powiedz matce, niech palnie kieliszek gorzały.
„Ja za złoty nie strzelam ptactwa dla biedaków,
„Nabój drożéj kosztuje, nie licząc już kłaków.“

—„Hej, strzelcze! zbliż się tutaj! co chcesz za kwi-
[czoła?“—
Tak z błyszczącéj kolaski jasny pan zawoła.

—„Pięć złotych, jasny panie... i groszy dwadzieścia;
„Teraz strasznie zwierzyna podrożała w mieście,
„A wyszukać, a zabić, wielką miałem pracę.“
—„Strzelcze! ja ci półtora, ja ci dwa zapłacę,
„Oddaj mi!.. — mówił chłopak bolejącą mową,—
„Sam mówiłeś dwa złote!.. a gdzież twoje słowo?“
—„Czego chce ten ulicznik?“—rzecze pan z kolaski.
—„Łaski! wielmożny panie! proszę małéj łaski!
„Pozwólcie mi u strzelca kupić tę zwierzynę,
„To mojéj choréj matki lekarstwo jedyne,
„Doktor kazał!..“

— „Doprawdy! czy masz młynka w czubie?
„Uważasz, mój kochany! ja kwiczoły lubię,
„Teraz w jesieni tłuste, przewyborne jadło!
„I bardzo mię to cieszy, że kupić wypadło.
„A wam na co kwiczoły? czy wy smak ich znacie?
„Oszczędność w waszym stanie, oszczędność, mój bracie!
„Dla choréj matki klejek... niech doktora spyta,
„Można trochę osolić, to rzecz wyśmienita,
„Zdrowa i niekosztowna... wyzdrowieje stara.“

To mówiąc, pan strzelcowi zapłacił talara,
Wziął kwiczoła i skinął swém pańskiém obliczem.
Dziecię w płacz—stangret spojrzał i smagnął je biczem,
Kolaska się po bruku potoczyła żywo,
A strzelec do gospody wyruszył na piwo.
A ubogie pacholę z dwuzłotówką w dłoni
Stoi, jak skamieniałe, i łzy ciche roni.
Ostąpili je w koło uliczni krzykacze:
„Patrzajcie, jak on płacze...jak on śmiesznie płacze!“

Coś w tydzień... na mogiłki trzy trumny przynieśli:
W jednéj leży w łachmanach biedna żona cieśli;
W drugiéj wąsaty strzelec, co w podpiłéj dobie,
Przypadkiem trącił w strzelbę i pierś strzaskał sobie;
W trzeciéj trumnie wspaniałą karawaną jedzie
Pan, co kostką kwiczoła zdławił się w obiedzie.

Nędzarzy zakopali do ziemi koleją,
Panu stroją katafalk i psalmy zań pieją;
A tam... w krainie duszy, archanioł już woła
Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła.

1859. Wilno.

SERCE, ROZUM, ŚWIAT I OWSIANKA.

Serce.

Wzbiję się lotem jak mogę,
Gdzie gwiazd się iskrzy gromada.

Rozum.

A włóż futerko na drogę,
Bo tam w obłokach śnieg pada.

Serce.

Sam chyba w powłoki odziéj
Twoją postać nieudolną.

Dozorca.

Lecieć, widzi pan dobrodziéj,
Że bez pasportu niewolno.

Serce.

Skrzydło me w chmury uderzy,
Ścisnę nadziemskich współbraci!

Jankiel.

A któż mi na święty Jerzy
Sześćdziesiąt rubli zapłaci?

Serce.

Jak motyl, błoni poeta,
Lilią nakarmię się polną.

Doktor.

Dyeta, panie, dyeta!
Nic, prócz owsianki, niewolno!

Serce.

Pójdę się spytać na niebie,
Czy moja gwiazdka nie zgasła?

Doktor.

Owsianki można w potrzebie
Filiżaneczkę bez masła.

Serce.

Owies to ziemskich żer koni,
Mnie co innego posila,
Gdzie róży oblicze płonie,
Gdzie narcyz główkę nachyla.

Rozum.

Ja do porady ci służę,
I rzecz ci powiem nieznaną:
Narcyzy i polne róże
Już pokosili na siano.

Serce.

Jak tu przekonać tę tłuszczę?
Materyaliści! lichwiarze!

Doktor.

Ja krwi ci za to upuszczę
I bańki postawić każę.

Rozum.

Ja ci zabraniam pić rosę,
Bom ja doradca twój stary.

Jankiel.

A ja wnet protest zaniosę
O moje ruble, talary!

1859. Wilno.

W imionniku ***

Wspólna mowa, kraj i wiara,
Łzy, modlitwa i ofiara,
Święta miłość ojców ziemi—
To nas czyni znajomemi.
Po tych cechach, jak po nici,
Duszę brata Litwin chwyci,
Pozna swego nieomylnie,
Czy w Pekinie, czy to w Wilnie.

1859.

* * *

Gdym pisał w téj książce, choć jeszcze nieznany,
Odczułem rodaczkę w téj chwili;
Dziś, kiedym ją poznał, dzięki wam, Birsztany,
Sprawdziłem przeczucie tém miléj.
Chwil kilka, słów kilka, szerokie już pole,
By zgadnąć, co człeka porusza:

Zbadałem myśl wzniosłą, co mieszka w tém czole,
I piękno, co kryje ta dusza.

30 czerwca 1860. Birsztany.

ZAMIEĆ.

Czy ty słyszysz, matko?
Sądny dzień na świecie!
Jak nad naszą chatką
Miecielica miecie!

Już usnęła w wiosce
Wszelka żywa dusza,
A wiatr szumi w brzozce,
I śnieg ją przyprósza.

Sypki śnieg, jak piasek,
Niesie wiatr żałosny,
Obwiał cały lasek,
Pozaśnieżał sosny.

Daléj, daléj jeszcze
Rozwiał się po błoni,..
Czy to wiatr szeleszcze?
Czy to dzwonek dzwoni?

Śnieg zasypał drogę,
Sanie rzną po grudzie...
Och! ja spać nie mogę —
Biedni jacyś ludzie!

Och! ja skoczę żywo,
W piecu żar jest właśnie,

Zaświecę łuczywo,
Okienko rozjaśnię;

Wśród śnieżnéj zamieci
Blask drogę ogarnie,
Podróżny tu wleci,
Jak wróbel w latarnię.

—„Ej, córko! śpij cicho,
„Nie prosi nikt ciebie;
„Niech sobie to licho
„W zamieci się grzebie!“

Lecz córka nie słucha,
Powstaje co żywo,
Iskierkę wydmucha,
Zapala łuczywo, —

I w ścianę je wciska
Pomiędzy bierwiona,
Aż łuna z ogniska
Trysnęła czerwona, —

I w złotem pasemku
Gdy szybę przebodzie,
Iskrzy się po ciemku,
Na śniegu, na lodzie...

1860. Barejkowszczyzna.

Co jest poeta?

Nie poeta, kto śpiewa i patrzy,
Czy słuchają, czy patrzą słuchacze;

Lecz kto piersią do ziemi przypadłszy,
Sam dla siebie śmieje się i płacze.

Nie poeta, co stojąc na górze,
Z pychą stroi pieśniarskie narzędzie;
Struny porwą, rozszarpią mu burze,
I nic z pieśni sławionéj nie będzie.

Lecz poeta, co kląkł po cichutku,
Jak pokutnik światowy i boży,
Co łzę swojéj radości i smutku
Na wilgotnéj swéj ziemi położy.

Bo z łez gorzkich wyrośnie, wykwitnie
Piołun gorzki, co służy na zdrowie;
Uśmiech w kłosy przemieni się żytnie,
Z których chleb swój wypieką wnukowie.

Szczątki ojców, co mieści ta gleba,
On westchnieniem wywoła, wyświeci,
Aby, oprócz powszednich brył chleba,
Chleb duchowy szedł z ojców na dzieci.

1860. Wilno.

TRZY PIOSNKI.

I.

Piosnka francuzka — wpół myśl, w pół czyn,
To wystrzał korka szampańskich win,
Uderzy echem do głębi dusz,
Rozpali serca i znikła już.
Tą samą pieśnią, w ten samy ton,
Marsylczyk zburzy Burbonów tron,

Huknie z Maratem: *„Bogaczów zduś!“*
I z Bonapartem pójdzie na Ruś,
I z nóty w nótę, i z tropu w trop
Do orleańskich przypadnie stop.
Sam tylko zamrok, sam tylko szum, —
O! taką piosnkę układa tłum!

II.

Piosnka germańska — to *eins*, *zwei*, *drei*,
Mierzone czucia i takty w niéj,
Co kiedy oczy rozpłakać chce,
Najprzód chemicznie rozłoży łzę,
Co jeśli w sercu ma stopić lód,
Kładzie do piersi termometr wprzód.
Gdy z Göthe'm w górny wzbije się szlak,
I kiedy gwiazdy przybiera znak,
To ani zgadniesz, czy zorza łask,
Czy to cmentarny fosforu blask;
Gdy Heine świętość obraca w żart,
Znać, że tę pieśnię układał — czart.

III.

Piosnka słowiańska — to ostry miecz,
Z ucha do ucha ogniście siecz,
W serce, jak włócznią, serdecznie grzmoc,
A wyprobujesz piosenki moc;
Szorstko, lecz silnie do braci piéj,
Jak Czarnolaski, jak stary Rej,
Czy tam na dworze słońce, czy deszcz,
Nie zmieni nóty sarmacki wieszcz;
Sarmacka piosnka nie zmieni tła,
I pierwéj pęknąć, niż zgiąć się da,

I bierze sercem to prym, to wtór,
Idzie z modlitwą w bojowy chór,
Płaci i ziemi, i niebu dług:
Taką nam piosnkę naszepnął — Bóg.

1860. Wilno.

Czy jeszcze gawędy?

—„Jeszcze książeczka rymów, gawędy i baje!
„Czyż wam innéj osnowy i wątku nie staje?
„Wypłowiał stary kubrak u waszego Feba,
„Pal je kaci gawędy, nam czynów potrzeba!"
Tak powiada czytelnik i ramiony ściska,
A krytyk, z wysokiego patrząc stanowiska,
Siedząc, jak na trójnogu, na arkusza szpalcie,
Woła: „Zniszczcie *Gawędy*, a *Rymy* popalcie!"
Autor jednak nie zważa i tonu nie zmienia,
Bo wiele rzeczy z braćmi ma do gawędzenia.

Jeszcze przy szumném piwku i ciepłym kominie
Przyjacielski rozhowor jak dawniéj popłynie;
Bo nasze wspólne myśli, wspólne serca bicie,
Ja was kocham serdecznie, a wy mnie wierzycie!
Ot! nastał wiek postępu, daj Boże mu zdrowie!
Już nam teraz obecność i przeszłość nie w głowie;
Telegraf nas wprowadza na postępu drogę,
Wiąże do Europy, jak wróbla za nogę.
Już myśli naszéj głowy i serca uczucie
Będziemy w świat daleki posyłać na drócie;
Trzeba tylko rachunek zrobić gospodarczy,
Czy nam myśli i uczuć na posyłkę starczy?

Bo w oczy śmiać się będą zamorscy współcześni,
Jeśli drót elektryczny rdza litewska spleśni.

Parowóz popchnie zboże niesłychaną siłą,
Byle tylko na polu żytko zarodziło,
Byle wzrosła pszenica, cośmy sieli w trudzie,
To już nawet żniwiarkę wynaleźli ludzie.
Do gazet już paro młyn urządzają, słyszę,
Co bez ręki aütorskiéj artykuły pisze;
Wstrzemięźliwość, jak Hebe, olimpijska dziewa,
Dary Bacha skromniejszym kufelkiem nalewa;
A co stary ekonom nie słyszał od wieka,
Nawet w chłopie wypadnie uszanować człeka.

Jest o czém pogawędzić przy piwku lub winku,
Jakby ten sławny postęp schwytać na uczynku,
I wyzwać go po prostu na szlacheckie słowo,
Czy nam szczęście gotuje, czy klęskę domową?

Krzyż po krzyżu wyrasta z darniny cmentarzy,
Wymierają przeszłości zwolennicy starzy;
Czemuż młodzi do ojców po radę nie biegą,
Czy tam u tronu Niebios nie słyszeli czego,
Jak zadość obowiązkom uczynić wypada?
Bo tu bez wyższych natchnień niepodobna rada;
Bo jasnych myśli naszych gdy duch nie oświeci,
Pająk gęste a brzydkie pozasnuwa sieci,
Mgła starego przesądu pozakrywa oczy,
A robak samolubstwa serce nam roztoczy.

Przestała rodzić niwa, niegdyś tak bogata,
Posłania się ku ziemi wyrobnicza chata,

Już kwieciem staroświeckiém nie kraśnieje łąka,
A smutny duch zwątpienia po piersiach się błąka.
Gdzież rada? wielkie życia tajemnice drzemią
Tylko w błękicie niebios i w grobach pod ziemią.
Tam Litwin niech pobożném spojrzeniem potoczy!
A jeśli łza popłynie, to zdrowiéj na oczy;
A jeżeli się serce pokajaniem wzruszy,
Niech ryknie głośnym jękiem, to zdrowiéj dla duszy.

Oto wszystko, co miałem na dzisiaj wygłosić,
Szanowny czytelniku! wszak tego już dosyć.
Gdy błysną nowe prawdy z jutrzejszém świtaniem,
Znów może po staremu do gawędki staniem.
A w daremnéj gawędzie aby duch nie skonał,
Może pokutném czołem grzmotniem w konfessyonał,
Pójdziem na miedze polne ojcowskiemi ślady,
Wybadamy wieśniaka, czemu taki blady?
Naszych dziewic i niewiast zapytamy szczerze,
Zkąd się na pięknych ustach na uśmiech dziś bierze?
Glebę litewskiéj ziemi, zwyczajnie, jak młodzi,
Ogrzejem ciepłém sercem, to bujniéj zarodzi.
A choćby zamiast pióra trzymał piorun w dłoni,
Takich nam pogadanek krytyk nie zabroni.

1860. Wilno.

SEN I KĄBAŁA.

I.

Morfeuszu! skléj mi oczy,
Niechaj jaki kraj uroczy
Zobaczę!

Siedzi sobie po nad Nilem
Ptaszek, zwany krokodylem,
I płacze.

Bieży sobie ciche jagnię,
Co się wody napić pragnie,
I pyta:
—„Krokodylku! co to znaczy?
„Na twym dziobku łza rozpaczy
„Tak świta?“

—„Synu owcy i barana!
„Twemu sercu litość znana,
„Daj uszko.
„W méj boleści ulżę może,
„Gdy do głębi ci otworzę
„Serduszko!“

I baranek dał skok chyży,
Ze współczuciem doń się zbliży,
I rzecze:
—„Ulżyj sercu, co pod głazem,
„Pozwól, niechaj z tobą razem
„Zabeczę.“

I poufnie uszko schyla,
Aż się paszcza krokodyla
Zaśmieje.
Klapnął paszczą — bez zachodu
Pożarł baraniego rodu
Nadzieję!

II.

Stara babka sny tłómaczy:
—„Powiedz, babko, co się znaczy
„Sen taki?“
Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.

—„Dzwonka!... czerwień!... sens się splata,
„Że nie z sercem idź do świata,
„Lecz z wiedzą;
Zamknij serce, niech się studzi,
„A unikaj czułych ludzi,
„Bo zjedzą.

„Tuz... król... kralka... dama... walet...
„Kto chciał szukać z serca zalet,
„Był skaran!
„Krew serdeczną wyssą tobie,
„I napiszą na twym grobie:
„Żeś baran!“

1860. Wilno.

Pod obrazem uzbrojonego rycerza.

Dawniéj złoty hełm migota
Na rycerskiéj dzielnéj głowie,
Dzisiaj cienką blaszką złota
Owinęliśmy mózgowie.

Dawniéj rycerz chrobre piersi
Chronił w pancerz z kutéj stali;
Dziś żelazem ludzie szczersi
Chłodne serca zakowali.

Rycerz nosił miecz przy boku,
Dzisiaj miecze pordzewiały;
My nosimy sztylet w oku,
A w uśmiechu — żądło strzały.

Gdy się zbroi ciężar zmniejszy,
Czy to lepiéj? czy to gorzéj?
Rycerz dawny, czy dzisiejszy
Więcéj trupów u nóg złoży?

1860.

Święty Piotr.

Sielanka.

Nizka chatka, nizka,
Nędza nas uciska,
Szczupła nasza miedza,
Głodem Bóg nawiedza.
Pszenica niesiana,
Żyto po kolana,
Sianożątka licha
Bez deszczu usycha,
Kąkol rodzi z żyta,
Wilk owieczki chwyta,
Grad wybija pola:
Czarnaż nasza dola!

Mój Boże! mój Boże!
Człek czyni, co może;
Kto radę poradzi?
My i słuchać radzi,
I pieśni śpiewali,
I na msze dawali,
Na każdéj półmili
Krzyżyki stawili;
Z chorągwią czerwoną
I z wodą święconą,
Ksiądz w komżę ubrany
Błogosławił łany...
Insza bozka wola:
Czarna nasza dola!

Chyba jedna rada:
Posłuchać wypada,
Co przyśnił wójt stary
W noc świętéj Barbary.
Mówił mu Piotr święty,
Jasnością przejęty:
—„Ej, dosyć wam, dosyć
„Taką nędzę znosić!
„Pozbyć się jéj trzeba,
„Zginiecie bez chleba!
„Ja mam niebios klucze,
„Sekretu nauczę,
„Że ustąpi z pola
„Czarna wasza dola.

„Wszyscy gospodarze!
„Kto ma woły w parze,

„Kto ma konie w bronie,
„Kto ma zdrowe dłonie,
„Wszyscy idźcie tłoką,
„Zaorzcie głęboko
„Tę drogę od brzozki,
„Do *gospody* z wioski.
„Zabronujcie końmi,
„Zagrzebajcie dłońmi,
„Niech ślad i nazwanie
„Drogi nie zostanie,
„A zarodzi rola,
„Pojaśnieje dola!

1860. Borejkowszczyzna.

PIOSNKA LUDOWA

z okolic Wilna.

Pojechał Jasio wyszukać żony,
Lecz się nie kłaniał matce rodzonéj,
I przywiózł żonę, ale niebożę
Teści do serca trafić nie może.
Więc stara teścia kłopota głowę,
Jakby ze świata zgładzić synowę,
I jadowite gotuje zioła,
Gorzką trucizną by ją zatruła.

Spotyka syna winem zielonèm,
A jego żonę zielskiem truconém.
Syn wina nie pił, lecz matki zdrowie
Trucizną z żoną pił po połowie.

—„Ej, matko, matko! w nieszczęsnéj dobie
„Nie chciałaś, byśmy służyli tobie.
„Umiesz ze świata zgładzać bez winy,
„Umiejże pogrześć swoje dzieciny.“

Więc grzebią syna wedle ołtarza,
Grzebią synową w rogu cmentarza;
I wyrósł jawór nad syna głową,
A biała brzozka po nad synową.
I rośnie brzozka biała, pochyła,
I do jaworu pierś przytuliła.
Ej, czyż nie znacie? ej, czyż nie wiecie,
Że jest kochanie na tamtym świecie?

1860. Borejkowszczyzna.

CO UMIEM NAKREŚLIĆ.

Kiedy biorę ołówek (chętka dzisiaj rzadka),
I, nie wiedząc co kreślić, błędne stawię kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościołek wioskowy, lub dworek litewski.

Nic innego nie umiem kreślić na papierze,
Tylko to, com ukochał z całéj mojéj duszy;
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze,
Chciałem kreślić gmach pański — ołówek się kruszy.

Bogdaj to wiejska chata! Tu prostemi sztrychy
Dach słomiany, bierwiona, okienka wywiodę,
A w środku wyobrażam, że mieszka lud cichy:
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode;

Młodość, co kochać, wierzyć, spodziewać się umie,
Starość, co starych wspomnień wygrzebuje zgliszcze;
Oni serdecznych dumek nie zgubili w tłumie,
Choć im wicher przez szpary piosnkę nędzy świszcze.

Bogdaj to wiejski kościół! Dzwonnicę pochyłą,
Z dranic skleconą wieżę zrysować tak łatwo!
Wewnątrz księdza plebana wyobrażać miło,
Jak pszenne ziarno cnoty sieje między dziatwą.

Lub stary organista, gdy kantyczki złoży
I na pacierz wieczorny uroczyście dzwoni,
To słyszysz wyobraźnią, jak leci Duch Boży
W drganiu echa świętego po zielonéj błoni.

Bogdaj szlachecki dworek z ogrodem, stodołą!
Sam zdaje się z pamięci pod ołówek bieży
Dąb przed gankiem, co zwiesił pochylone czoło
Nad szczepy dębowemi chocimskich rycerzy.

Ot i wszystek mój talent wyczerpał się marny,
Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny...
Ot jeszcze umiem skreślić wiejski krzyż cmentarny,
Pod jakim chciałbym spocząć obok ojca trumny.

1860. Borejkowszczyzna.

PAMIĘCI

Fabiana Sebastyana Acerna

(Klonowicza).

Nasz staroświecki, nasz słodki Acernie!
Któryś nam Flisa wyśpiewał tak wiernie,

Jak na swéj szkucie, w wesołéj drużynie,
Do Gdańska płynie.

Tyś nam opisał, tak dobrze ci znane,
Piękne wybrzeża, miasta nadwiślane,
Flisi obyczaj, wśród żeglownéj wody
Różne przygody.

Do twego flisa z mazurskiéj galary
Nasz flis litewski niech idzie do pary;
Wszak oni właśnie, pomimo przestrzeni,
Bracia rodzeni.

Nie wiążąc gęśli na strój Nazonowy,
Prostemi flisa opisałem słowy.
Maluczka praca niechaj się poświęci
Twojéj pamięci.

Nietylko Polska na żyznym zagonie
Usiadła, jako u Boga na łonie;
I leśną Litwę, matka nie macocha,
Opatrzność kocha.

Za łaską bożą rodzi nam obfito
Z pól nowogródzkich przenica i żyto;
Na świętéj Żmujdzi wywdzięczą uprawę
Lny kędzierzawe.

W poleskiéj puszczy, ciemnéj a bezdennéj,
Rośnie sośnina i dąb sturamienny;
Można z nich ciosać wyniosłéj budowy
Maszt okrętowy.

I mniejszych darów leśnego Sylwana
Nieskąpą ręką obfitość nam dana:
Smolna żywica, budowlana kłoda,
Grzyb i jagoda.

Nasz stary Niemen bystro i wspaniale
W gardziel Baltyku leje swoje fale;
Więc nasze plony, flisakom roboczym
Jest spławiać po czém.

Siekiera cieśli, ostra gdyby kosa,
Spławną wicinę misternie wyciosa;
Potrafi utkać córa wiejskiéj chaty
Żagiel skrzydlaty.

Uczony sternik na naszéj wicinie
Spłaszczonym rudlem jak piórkiem wywinie;
Uczenie robi, czy wiosło, czy prysa,
W rękach u flisa.

Chleb nasz u Niemca wżdy ma swoją chwałę,
Więc żeglujemy, by karmić zgłodniałe;
A w téj żegludze przez całe pół roku
Nie brak uroku.

Gdy wiatr po temu, gdy pogoda służy,
Jest czém nakarmić źrenicę w podróży:
Bóg porozrzucał z obu Niemna boków
Siła widoków.

Owdzie się Niemen jak modry wąż kręci
Zieloną smugą pól i sianożęci;
Owdzie się bystro wrzezał w bór ponury
Lub w żebro góry.

Owdzie, osłonion wierzbą lub olszniakiem,
Swym staroświeckim przesuwa się szlakiem;
Owdzie gwałtownie nowéj drogi pyta,
Rwie swe koryta.

Albo spotkawszy kamień po swéj drodze,
Bije weń piersią i pieni się srodze,
Lub się na piasku, gdy złość przeminęła,
Miękko rozściela.

Na brzegach jego, to krzyż z Bożą Męką,
Albo napotkasz kapliczkę maleńką,
Lub cichą wioskę, lub dworek poziomy
Z dachem ze słomy.

Czasem na górze dziwnego nazwiska
Sterczą starego rudery zamczyska,
Lub stary kurhan, gdzie śpią, jak na straży,
Rycerze starzy.

A jakież święte przepływa on grody!
Owdzie Lubcz stary, jak dziad siwobrody,
Gdzie omył święty chrzest prawego Boga
Głowę Mendoga.

Owdzie obiega, w swoich wirach skorych,
Odwieczne Grodno Witoldów, Batorych;
Do stop ich zamków pokornie przypadłszy,
W majestat patrzy.

Tam stare Kowno, raj litewskiéj strony,
Duchem Kiejstutów jeszcze przesycony;
I tam obwija miłosnemi sploty
Błoń Wajdeloty.

Owdzie Wielona, gdzie pocisk z moździerza
W Gedyminową chrobrą pierś uderza,
Gdzie Litwa, patrząc na zwłoki książęce,
Łamała ręce.

I któż policzy te grody i miasta,
Gdzie Niemen coraz rozszerza się, wzrasta,
Niesie do morza wicinę i płyty
Kilku koryty?

Taką flisówkę, chociaż nie w piosence,
Śpiewaku Flisa, twoim cieniom święcę!
Tyś bliżéj Boga, proś niech się powodzi
Flisom i łodzi.

Mazur na szkucie, Litwin na wicinie,
Do swego portu niech szczęsno zawinie;
Na naszych masztach wżdy niechaj jaśnieje
Gwiazda nadzieje.

1860. Borejkowszczyzna.

NIEMEN.

Flumina magna vides parvis
ex fontibus orta. *Ovidius.*

Płynie strumień, płynie mały,
Z grzęzawiska lub z pod skały,
Płynie w lewo, płynie w prawo,
Między kwieciem a murawą,
I na szmaty ziemię kraje,
I sąsiednie ssie ruczaje;

A wezbrany u łożyska
Z wartkiéj fali pianą pryska,
I rybackie pędzi łodzie,
I górzysty brzeg przebodzie;
I otworzy przepływ łatwy
Dla wiązanéj z drzewa tratwy,
I w wesołe puszcza tany
Statek zbożem ładowany.
A gdziekolwiek trąci falą,
Pana Boga ludzie chwalą,
Bo bogatszém być poczyna
Ich miasteczko i wioszczyna,
I zieleniéj rosną drzewa,
I weseléj ptaszek śpiewa,
Niebo uśmiech ma w błękicie,
Wszędzie żywiéj kipi życie,
Bo falista woda rzeczna
To krainy krew serdeczna.

1860. Borejkowszczyzna.

BOREJKOWSZCZYZNA.

Nie mój to domek, nie moja gleba,
Choć chleb mi rodzi przez lato;
Moim jest tylko ten błękit nieba,
Co się unosi nad chatą.

Pod skrzydłem chmury, pod cieniem strzechy
Miałem i ciernie, i róże;
Prędkoż me bole, moje pociechy
Ojcu ziemskiemu wynurzę?

W poblizkiéj wiosce, w cmentarnéj głuszy,
Zacny się starca proch mieści:
Boże! daj spokój zmarłego duszy,
A żywym — mądrość boleści.

1860. Borejkowszczyzna.

FRAGMENT.

...Starzec podumał, westchnął i pokiwał głową,
I nam dzieciom powiedział przypowieść takową:
— „Widziałem, raz po Niemnie płynęła łódź duża,
Wtém na niebie straszliwa zerwała się burza,
Wicher z pod czarnéj chmury gwizdnął rozhukany,
Zczerniałą wodę Niemna poskręcał w bałwany,
Co, pieniąc się i kipiąc piersią nienawistną,
Łódź to wzbiją do góry, to w głębinę cisną.
Przerażeni filisacy nuż walczyć z przemocą!
Rozpaczliwemi wiosły, jak umieją, grzmocą;
Ale burza silniejsza, bez pomocy wiosła,
Samą czółno na chwilę do brzegu doniosła.
Wtedy, widząc, że klęska po nad głową wisi,
Szybko na brzeg skoczyli najmężniejsi flisi;
Innym nie było czasu czepiać się krawędzi,
Bo huragan uderzył i znowu łódź pędzi,
A więc radzi nieradzi w łodzi pozostali,
By być nowém igrzyskiem szturmującéj fali.

A owi, patrząc z brzegu, jak się łódź kołysze,
Jako walczą ze śmiercią tamci towarzysze,
Mówią jeden drugiemu: — „Patrzcie, jak ich miota!
„A jakże niedołężnie idzie im robota!

„Zamiast szybować prosto, oni łódkę wiodą
„Jeden raz przeciw wodzie, a drugi raz z wodą!
„A widzicie, jak czółno trzyma się pochyło!...
„Ot!... grzmotnęli o kamień... ale z jaką siłą!
„Sądziłem, że się łódka na trzaski rozpryśnie.
„Już mówcie mi co chcecie, a to naumyślnie.
„Zła wola... nie inaczéj... oczywista zmowa:
„Oni chcą łódź zatopić — niech Pan Bóg zachowa!
„A na prawo!... a w lewo!... a wprost przeciw fali!
„Ot bez naszéj przestrogi radyby nie dali.“

Tak jedni płyną z burzą, ile siły zmogą,
A drudzy idą lądem bezpieczniejszą drogą,
I to jeden, to drugi na płynących ciska
Złorzeczenia, szyderstwa i urągowiska.
Gdy wioślarze pracują, aż się wiosło kruszy,
Ja sobie pomyślałem w głębi mojéj duszy:
Kiedy burza ucichnie, gdy się rozpogodzi,
Jabym lądowych flisów nie przyjął do łodzi.“

1860. Wilno.

NIEDZIELA.

Sielanka

z niedawnéj przeszłości.

Macie cztery pieśni
Z niedzielnego dzionka.
Czasem głowa nie śni,
Co lira wybrząka.

Och! tak nienawistnie,
Och! tak brzmi niemiło,
Czasem w struny piśnie,
Jak po sercu piłą!
Lira odpowiada:
— „A po cóż mam duszę?
„Co mi wiatr nagada,
„To wybrząkać muszę.“

I. Poranek.

Spuściła się z góry
Święta niedziela,
Z za różowéj chmury
Słonko wystrzela.
Wiatr kołysze kłoski
Zielonéj niwy,
Lata wkoło wioski
Anioł życzliwy,
I łąkom, gdzie kwiatki,
Wieści udziela:
— „Radujcie się, dziatki,
„Dzisiaj niedziela!“

Trawka pełna rosy
Czeka na stada.
Ryczy w niebogłosy
Oborka rada.
Sute, dzięki Bogu,
Pastwisk obszary!
Trąbi w trąbkę z rogu
Pastuszek stary;

Za wsią sterczy z drzewa
Krzyż Zbawiciela,
Ptaszek na nim śpiewa:
„Dzisiaj niedziela!“

Przed Jankową chatą
Skrzypi kolasa;
Dziatwa, czując lato,
Po dworze hasa.
A Janek otwiera
Zamek śpichlerza,
Na targ się wybiera,
Zboże odmierza.
Już i żniwo blizko...
To go ośmiela
Jechać w targowisko,
Bo dziś niedziela!

Licha gospodarka:
Grosza potrzeba,
Nie zostało ziarnka
Na bochen chleba.
Żona nie ma soli,
Suszy mu głowę;
Drobna dziatwa woli
Książeczki nowe.
Toć to gościńcami
Ich poobdziela!
Dzieci! Pan Bóg z wami,
Dzisiaj niedziela!

Na wóz Janek wsiada,
Konia zacina;
Bieży za nim rada
Dzieci drużyna.
Minął sielskie wrota,
Minął krzyż kłusem...
A dziatwa szczebiota:
„Z Panem Jezusem!“
Mówią pięć pacierzy
Do Zbawiciela,
Modły idą szczerzéj,
Bo dziś niedziela!

Gdy dzieci łzy ronią,
Schyliwszy czoła,
Anioł Pański dzwonią
Z wieży kościoła;
A jak dzwon uderzy
Świętym wyrazem,
To i puhacz z wieży
Jęczy z nim razem.
Kto nocną brzydotę
Jęczeć ośmiela?
Świeci słonko złote,
Dzisiaj niedziela!

II. Powrot Janka z targowiska.

Jestem sobie podpiły:
Jedna czarka dla siły,
Druga z ręki sąsiada,
Czy odmówić wypada?

Poszła trzecia .i czwarta,
Ot zebrała się kwarta,
Ot i w głowie już świta,
Héj, pal koniu z kopyta!

Na bok pany, bom pijany!
Wstyd wam mojéj sukmany;
Lecz Jankowa sukmana
Nie bywała skalana,
Wy o waszéj sajecie
Czyż to samo powiecie,
Kiedy Pan Bóg was spyta?
Héj, pal koniu z kopyta!

Stoi karczma przy drodze,
Pyknąć lulkę zachodzę;
Człowiek węgle roznieca,
A tam szatan z za pieca
Daje znaki wciąż głową:
„Wypij! będzie ci zdrowo!“
Posłuchałem i kwita, —
Héj, pal koniu z kopyta!

Krzycz czy nie krzycz tam żono,
A jeść będziesz niesłono!
Niechaj cierpi nieboga!
Sól być musi za droga.
Coś mi z głowy wyleci
Kupić książkę dla dzieci:
Co tam dziecko wyczyta?
Héj, pal koniu z kopyta!

Choćby umiał czytanie,
Toć chłop chłopem zostanie;

Sześć dni w pracy gnie szyję,
W siódmy dzień się upije.
Więc za przykład pokuty
Zdadzą chłopa w rekruty,
Kapral pleców dopyta.
Héj, pal koniu z kopyta!

Krzyż przy drodze... tu stanę...
Nogi chwieją się pijane...
Przebacz, Chryste! jam ciemny,
Bój z szatanem daremny!
Któż mi głowę oświeci?
Kto zapewni los dzieci?
Przyszłość ciemna, zakryta...
Héj, pal koniu z kopyta!

Grzmi... błysnęło w oddali...
Piorun w sosnę gdzieś pali...
Czemuż karczmy oszczędza,
Z których grzech nasz i nędza?
Ej! urosło ich tyle,
Że aż dziesięć na milę,
Krwią płacimy ich myta...
Héj, pal koniu z kopyta!

Ot i wioska... snadź nasza;
Konia nęci już pasza,
Targnął wozem tak srodze,
Żem się zwalił na drodze.
Trudno powstać, bo ciemno,
A czart stoi nade mną,
Klaszcze w dłonie i zgrzyta...
Koń sam pobiegł z kopyta.

III. Lament pana arendarza.

Janek!... spił się jak, Bela...
Jak zabity śpi w rowie.
Prawda, dzisiaj niedziela!
Czarka, druga, na zdrowie.
Tobie zdrowia przybędzie,
Ja mieć będę grosz w zysku...
Lecz ty, zamiast w arendzie,
Spił się na targowisku!
Tyś mi ukradł, co moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czy nie złodziej? no proszę!...
A ja z czego żyć będę?
Jan z kieszeni skradł grosze,
Przecięż płacę arendę:
Tysiąc złotych gotówki,
Głowę cukru z napaści;
Muszę karmić dwie krówki,
Żonę, dzieci dwanaście;
Czyż ja poły okroję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Konie, kozy, barany,
Sztuk dwadzieścia się zbierze...
I mam kontrakt pisany,
Na kosztownym papierze.
Kontrakt pisze w tém słowie,
Węzłowato a krótko:
„Wszyscy moi chłopowie
„Tu upiją się wódką...“

Jak pijanych napoję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Pisze dalėj tak srogo:
„Niechaj każdy pamięta,
„Nie wyjmując nikogo,
„Baby, chłopcy, dziewczęta,
„Żaden z chłopów, broń Boże,
„I to w żadnym już względzie,
„Pić gorzałki nie może,
„Tylko w swojėj arendzie,
„Bo zapłaci we troje."
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czytaj, co tu pisano!
Lecz chłop głupi nie czyta...
Jadąc na targ dziś rano,
Miałeś miarki dwie żyta,
Miałeś jeszcze ćwierć grochu,
Warto złotych dwadzieście...
Jużci, pijąc po trochu,
Mogłeś przepić coś w mieście,
Już ja o to nie stoję,
Choć to gwałty, rozboje!

Ale resztę... to znowu
Przepij u mnie na zgodę;
Ja wydźwignę cię z rowu
I do karczmy zawiodę.
Wstawaj, zbierz się na siły,
Pokaż kieszeń!... No, proszę...
Ach, ty chłopie opiły!...
Ukradziono mu grosze!

Toż ja liczył jak moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

No!... co robić? przygoda...
Jużby lepiéj to przepić...
Mnie samemu cię szkoda,
Warto ducha pokrzepić.
Janek! Janek! ty słaby,
Wypij kwarty z połowę;
Nie idź do swojéj baby:
Naturbuje ci głowę,
Ty jéj oddasz za swoje,
Będą gwałty, rozboje!

IV. Wieczór.

Opuściwszy głowy,
    Kwiatki już drzemią;
Wieczorek różowy
    Pieści się z ziemią;
Słońce, nim zapłynie
    Za chmurną ścianę,
Złotem wprzód owinie
    Strzechy słomiane;
Błyszczą ognie z chatek,
    Krąży lud w bieli:
Taki jest ostatek
    Świętéj niedzieli.

Powracają trzody...
    Dzielne ich harce!
Pasterz siwobrody
    Gra na fujarce.

Polny konik brzęczy
W podskoku chyżym,
A niewiasta jęczy,
Padłszy pod krzyżem.
Ej, jak cierpi srodze,
Ludzie widzieli;
Bolesny niebodze
Wieczór niedzieli!

Skrzypek podchmielony
Na taniec zowie, —
Grzmią w kapliczce dzwony
Po czyjéjś głowie...
Dziś mnie, jutro tobie,
Janku nieboże!
Dziś hulałeś sobie,
Przedawszy zboże;
A wieczorem człeka
Na mary wzięli...
Nie wie, kto doczeka
Przyszłéj niedzieli.

1861.

NIE MASZ NIEWIAST NAD SARMATKI.

Miłe dziecię, póki w kwiecie,
Póki oczki ogniem płoną,
Dziewczę z serca troskę zmiecie,
Twarz rozjaśni zachmurzoną,
Czy szybkiemi biega kroki,
Czy szczebiocąc zbiera kwiatki...
Bo choć cały świat szeroki,
Nie masz niewiast nad Sarmatki.

Gdy w dziewicę dziewczę wzrośnie,
Gdy swawola minie płocha,
Już w szesnastéj życia wiośnie
Krasawica kogoś kocha.
W téj miłości skromne roki,
Tylko z lubym pragnie chatki...
Bo choć cały świat szeroki,
Nie masz niewiast nad Sarmatki.

Tą miłością świat otoczy,
Ojca, matkę, dawne dzieje;
Kto w jéj zacne spojrzy oczy,
Sam na sercu pozacnieje.
To kochania są uroki...
Cud po innych krajach rzadki...
Bo choć cały świat szeroki,
Nie masz niewiast nad Sarmatki.

W domu męża się zasklepi,
Już jéj wszystko na tym świecie;
W bojach życia męża krzepi,
Własną piersią karmi dziecię;
Niemowlęce stawiąc kroki,
Miłość kraju wpaja w dziatki...
Bo choć cały świat szeroki,
Nie masz niewiast nad Sarmatki.

Czy w boleści, czy w radości,
Nie zlatuje myślą z nieba,
Miłém słówkiem wita gości,
A żebraka kęsem chleba.
Czy to pogrzeb, czy wesele,
Wspiera ludu niedostatki...

Bo choć niewiast w świecie wiele,
Nie masz niewiast nad Sarmatki.

Gdy podeszłe przyjdą lata,
Czy to w domu, czy w świątyni,
Do-pacierza ręce splata
I za wnuków modły czyni;
Zacną postać krzyżem ściele
Za pomyślność swéj gromadki...
Bo choć w świecie niewiast wiele,
Nie masz niewiast nad Sarmatki.

1861.

NAGROBEK OBYWATELOWI.

D. O. M.

Bił chłopów pałką,
Poił gorzałką,
Miał sto chat z górą,
Jadł barszczyk z rurą,
Popijał piwo,
Zbierał grosiwo,
Czasem od święta
Ciął się w karcięta.
Miał arendarza,
Z którym rozważa:
Czy będą wojny?
Czy czas spokojny?
Zjadł na śniadanie
Udo baranie

I witych w cieście
Kołdunów dwieście.
Tak z niestrawności
Doszedł wieczności,
I w ciemnym grobie
Spoczywa sobie.
Nim wieki zbiegą,
Tnie chrapickiego,
Aż głos anioła,
— „Wstawaj! — zawoła —
„Bo już gotowa...
„Pieczeń wołowa!“

1861. Borejkowszczyzna.

OWIDYUSZ NA POLESIU.

August Cezar, co niegdyś dla pańskiego tonu
Posprowadzał do Rzymu muzy z Helikonu,
Nie szczędząc hojnych darów i sutych przyrzeczeń,
Wirgilich i Horacych zapraszał na pieczeń, —
Dostrzegł, że z etykiety straszliwą obrazą,
Bałamuci mu córkę Owidyusz Nazo.
Był to poeta, dworak przy wielkim Auguście,
A pannie były jego pentametra w guście...
Julka to, panie, była hoża czarnobrewka,
Rzymianka, krew nie woda, spirytus nie dziewka...
Dyabeł nie śpi w tych rzeczach, może być niełądnie...

. . . .

Tak myślał Cezar August...

. . . .

Więc się radzi przyjaciół, nie zwlekając chwili.
Agryppa i Mecenas tak mu poradzili:
— „Trzeba zaraz ostudzić te zapały wieszcze.
„Szkoda, że nikt Kajenny nie wymyślił jeszcze,
„Lecz, jak można w tych czasach, zaradzając biedzie,
„Niech nad morze Euksyńskie poeta pojedzie;
„A tam, jeśli się gadać nie nauczy prozą,
„Niech go na szuhalei do Pińska zawiozą.“

Jak się rzekło, tak stało: znękany i chory,
Już Nazon w pińskich lasach zbiera muchomory,
Łowi wjuny i raki Cezarów dworaczek
I z łuku sarmackiego pudłuje do kaczek,
A co poczta przyjaciół swemi listy nudzi:
„Jak mi tęskno do Rzymu, do tamecznych ludzi!
„Proście, niechaj mnie Cezar uwolni od kary,
„Bo tutaj mnie poleskie zagryzą komary.“
Przyjaciele, zwyczajnym torem przyjacieli,
Przyrzekli uroczyście, potém zapomnieli.
Julia! — puchu marny! istoto kobieca! —
Do junkra pretoryańskiéj straży się zaleca...

. . . .

A poeta, wygnaniec, z głodu i ze smutku,
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.
Dotąd jego imieniem góra się nazywa...
Otoż czułych poetów dola nieszczęśliwa!

Ja, co żadnéj Julii nie zaszedłem w drogę,
Ja, co z Owidyuszem równać się nie mogę,
Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopocie,
Siedzę w Borejkowszczyznie, jak on w pińskiém błocie.
Kazano mi naturą napawać się wiosną:
Patrzę na wielkie brzozy, a tam rózgi rosną;

Na łąkach nie masz trawy, a kłosów na niwie;
Wśród kwiatów bujny oset wyrasta szczęśliwie.
A ja, biedny wygnaniec z krainy dalekiéj,
Nawet raków nie łowię, bo tu nie ma rzeki.
A Litwinki nadobne, a królowe żniwa?
Każda się z nich do roku dwa razy umywa,
Każda, snadź dla większego sielskiego uroku,
Czesze złocisty warkocz tylko raz do roku,
A swą śnieżystą szatę z góry aż do dołu
Ozdabia w długie pasma sadzy i popiołu.
Bohaterki litewskie, Aldony, Pojaty!
Musiałyście myć częściéj oblicza i szaty,
Albo wasi rycerze w kudłatéj niedźwiedni
W zapalczywéj miłości nie byli wybredni,
A dzięki wajdelotom i harfie pieśniarzy,
Litwinki wyszły piękne, choć nie myły twarzy.

Wychodzę do ogrodu, a tu Żyd się kłania,
(Polak mojżeszowego, chcę mówić, wyznania);
Za czterdzieści srebrników, co mi dał do dłoni,
Arenduje owoce gruszy i jabłoni,
I, jako mąż przezorny, przygląda się bacznie,
Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie.
Więc krok w krok postępując od drzewa do drzewa,
Jerozolimskie hymny pod nosem mi śpiewa.
Jakże tutaj potrafisz, o synu człowieczy!
Zgłębiać filozoficzne lub dziejowe rzeczy,
Lub siadłszy pod gałęźmi cienistéj topoli,
Grać na wiejskiéj fujarce swemu sercu gwoli?
Choćbyś został Newton'em, domyślać się snadno,
Że tutaj żadne myśli z jabłkiem ci nie spadną.

Powracam do komnaty, do cichéj komnaty,
Kędy człowiek pracował i marzył przed laty,
Gdzie były stosy książek, mój pokarm młodzieńczy,—
Dzisiaj echo samotne pod stopami jęczy...

. . . .

1861. Borejkowszczyzna.

JUTRZENKA.

Gawęda z sobą.

Widzę, mospanie, jutrznię różową,
I kiwam głową!
Porwał śmiech pusty, komedya szczera
Serce rozdziera!
Jam stary wróbel i nie dziś przecię
Żyję na świecie;
I wiele, wiele w życiu mém całém
Jutrzni widziałem.

Na jasném niebie, na ciemnéj ziemi,
Z barwy złotemi,
Lub w siedmiorakich kolorach tęczy
Jutrznia się wdzięczy;
I wiele rzeczy dobrych przyrzeka,
Chcąc zdurzyć człeka.
Ej! to zalotna tylko niewiasta,
Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w téj chwili
Biedę przebyli:
„Wkrótce nie będzie, zobaczysz, dziadu,
Nędzy ni śladu!“

Znów obietnice, znowu nadzieje,
Serce się śmieje;
Ale ich czekać koléj tak długa...
Najniższy sługa!

Już zawstydzona przeszłość surowa
W ziemię się chowa;
Przyszłość przychodzi w tęczowéj szacie,
Wierz, panie bracie!
Dla zbolałego serca osłoda
Jutrzenka młoda,
Lecz jasne słońce ze swą opieką
Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży!
Wierzą niektórzy!
Chociaż nad górą ściele się nizko
Czarne chmurzysko.
A jak się wróci chmura burzliwa
(Co często bywa),
Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje,
Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:
„Mieć będziem ciszę."
Błogosławiony, kto dziś ma wiarę
We wróżby stare!
Co to!... nietylko bredzą bezkarnie
Nasze drukarnie,
I w Berdyczowie kalendarz, słyszę,
Androny pisze.

Ej, doloż moja! przyszło mi dosyć
W życiu przenosić!

Słońca mi trzeba, i powiem szczerze,
Gwiazdom nie wierzę...
Niech sobie widzą niewinne dusze
Na wierzbie grusze,
Niech sobie zefir przebiega błonie,
Ja go nie gonię!

1861. Borejkowszczyzna.

MELODYE Z DOMU OBŁĄKANYCH.

I.

Ja jestem panem całego świata!
Co chodzi, pływa, czołga się, lata,
Niebo i ziemia—to wszystko moje!
Ja się ich stracić nie boję!...
Bo jasne niebo kluczem zamknąłem,
A ciężką ziemię sznurami spiąłem;
Klucz do kieszeni—a końca nici
Już z mojéj ręki nikt nie wychwyci.
Ludzie i duchy! siedźcie jak w norze!
Ani mi pisnąć, broń Panie Boże!
Bo tak się skrzywię, tak tupnę nogą,
Że popadacie, przejęci trwogą!
Niech będzie cisza!—bo mię sen mroczy,
Przygaście słońce, bo kole w oczy,
A gdy za wiele blasku w przestrzeni,
To mu ogólcie głowę z promieni,
Jak ogolono mnie moją głowę
Za to, żem rzucał światło różowe.

II.

Patrzajcie! szatan wskoczył do pieca!
Jak się masz, kumie?
I skrzydełkami ogień podnieca,
Jak tylko umie.

Jakąś miksturę gotuje światu
Z opium i maku;
Dodał krwi trochę dla aromatu
I łez dla smaku!

Z francuzkich gazet dodał musztardy,
Z niemieckich—kwasu,
A z nadtybrowych—trochę pogardy
Dla ducha czasu.

Zlał do butelki, zatknął miksturę,
By nie uciekła,—
I pozasmolał całą jéj górę
Smołą aż z piekła!

Dał sygnaturę—na jéj papierze
Pisze te słowa:
„W sto lat trzy razy niech ludzkość bierze,
A będzie zdrowa.“

III.

List przy odesłaniu książek.

Dzięki tobie, panie bracie,
Za poważne twe księgi!
Lecz ja w świecie i w méj chacie
Dość mam mitręgi!

Jak poważnie czoło mroczy
Rozwieszona wskroś chmura!
Jak poważnym chodem kroczy
Pan urzędnik do biura!

Jak chce dziewic orszak liczny
Dać powagi oznakę!
Jak poważnie stróż uliczny
Sypie z rożka tabakę!

Ptak indyjski spuścił skrzydła
I spoważniał u płotów...
Ta powaga tak mi zbrzydła,
Żem przeklinać ją gotów!

Okazałość uroczystą
Tak dziś wszystko przybrało,
Że już wolę łzy na czysto,
Niż tę nudę wspaniałą.

Bógże wie. co będzie daléj?
Smutna dola jest nasza!
Łza przynajmniéj serce pali,
A powaga je skwasza.

Patrz, jak śmiesznie naokoło
W ludziach, w celi, na dworze!
Przyślij książkę mi wesołą,
Co się uśmiać pomoże.

Aby myśli zbić sieroce,
Co mi wieją po głowie,
Jak szalony pochychocę,
To mi będzie na zdrowie!

Śmiéj się każdy bez różnicy,
I pismaki, i ptaki!
Śmiéj się stróżu na ulicy
Z twoim rożkiem tabaki!

Niech się w świecie śmiech rozbudzi,
Wszak nie braknie sposobów!
Śmiejcie się, mogiły, z ludzi,—
Ludzie, śmiejcie się z grobów!

Śmiéj się, góro! śmiéj się, chmuro!
Niech zahuczy swawola.
Lesie! nie płacz tak ponuro,
Śmiéj się z łąki i z pola!

Jedni z drugich—wszystkim, wszędzie,
Niechaj śmiech się udzieli!
Niech wysoko słychać będzie,
Jak my tutaj weseli!!

IV.

Chodź, panie doktorze! wszakże was uczono
Mineralogii!
Patrz na te paciorki, co mi zawieszono
Na choréj méj szyi!
Twarde jak dyament, a błyszczą jak słońce,
A czyste jak woda,
Odblasków tęczowych tysiąców tysiące
Co chwila się doda.
A w środku paciorki kropelka czerwona,
Jak główka od szpilki,
Przelewa się, błyszczy i mieni się ona
Od chwilki do chwilki.

Od każdéj paciorki woń płynie tak dzielna,
Że jesteś, jak w niebie;
Do ust jéj nie kładnij, bo gorycz piekielna
Zatrułaby ciebie!
No!... cóż to za kamień? odpowiedz, doktorze!
Ha!... rzecz to niełatwa!
Nauka wszystkiego zrozumieć nie może,
Coś zawsze ją gmatwa!
Co?... nie wiesz?—objaśnię—nie moja w tém wina,
Mnie serce pomaga:
To łza zasuszona biednego Murzyna,
Plantator gdy smaga.

V.

Kot się w pląsach wywija,
Snadź niegłodna bestya!
Kocie, moje kochanie,
Jakie miałeś śniadanie?
Możeś chodził na łany,
I pod kamień schowany,
Wyszpiegował ptaszynę,
Co nam dobrą nowinę,
Co wiosnę przepowiada!
Sama z jutrzenki spada,
A pełna jéj promieni,
Gdy je w pieśnię zamieni,
To tak tryska, szczebiota,
Że aż płakać ochota,
Że aż serce sieroce
Obertasa zagrzmoce!

Najprzód ptaszek z ukosa,
Potém leci w niebiosa,

I w błękitne sklepiska
Ostrze pieśni swéj ciska,
I znać daje do nieba,
Że tu ludzie bez chleba,
Że nam łaski potrzeba.
A gdy niebo rozczuli,
Spada na dół w lot kuli,
I nad głową oracza
Rzeźwe kręgi zatacza.
Na „dzień dobry“ mu rzecze:
—„Uśmiechnij się, człowiecze!
„Bóg rozjaśnił swe lica,
„Siej, a będzie pszenica!“
O! to anioł, nie ptaszę!
O! to szczęście on nasze!
O! to kapłan téj niwy!
To poeta prawdziwy!
W jego słówku i treści
Dobrodziejstwo się mieści.

A ty, kocie! swe szpony
Może w piersi natchnionéj,
Może w sercu śpiewaczém
Zatopiłeś cichaczem?
Mów! czy żyje skowronek?
Czy wydzwoni nam dzionek?
Czy da siewcy nadzieję,
Gdy ten potem się zleje?

Kot tak spojrzał zuchwało,
Że odgadłem rzecz całą:
Legł rozszarpan na szmaty
Bogomodlca skrzydlaty!

* * *

Kot się drapie po ścianie.
Kocie! dziki tyranie!
Powiedz: krwawe twe gardło
Co na obiad dziś żarło?
Możeś chodził na łowy
W młody gaik liściowy,
Gdzie leszczyna cienista,
Kędy wierzba się chysta,
I gdzieś w ciemnéj leszczynie
Śmierć zadałeś ptaszynie,
Co swą pieśnią wieczorną
Spędza troskę uporną,
A w jéj miejsce—nadzieje
Zdrowia, życia naleje?
Pieśni jego ciekawa
I leszczyna, i trawa;
Księżyc przy jego śpiewie
Własnéj drogi już nie wie:
Zatrzyma się, i słucha,
I westchnieniem wybucha,
I łza, co leje z duszy,
Na ziemię rosą prószy...
Mów, potworo! mów, dzika!
Czy zabiłeś słowika?“

Zbrodniarz siadł przy ognisku,
Krew wymywał na pysku;
To krew była—niestety!
Gajów naszych poety.

* * *

Kot się bawi, jak dziecko,
Wzrok mu patrzy zbójecko.

Powiedz, straszne ty zwierzę,
Jaką miałeś wieczerzę?
Może za swą zdobyczą
Wpadłeś w strzechę rolniczą,
Gniazdo jaskółcze zdarłeś
I pisklęta pożarłeś?
Przyleciała z daleka,
Zdała w ręce człowieka
Swoje gniazdo z pisklęty—
Skarb swój drogi i święty!
Onaż nasza gosposi,
Ona lato przynosi,
Ona w ciepłe już lato
Nad stodołą, nad chatą
Pływa długiém skrzydełkiem
I szczebioce ze zgiełkiem;
Pędza czeladź leniwą:
--„Do roboty co żywo!
„Jedno lato jest w roku,
„Zwóźcie zboże do toku!"
A gdy obłok się brudzi,
Lata nizko wśród ludzi
I przestrogę swą kwili:
—„Deszcz! deszcz będzie w téj chwili!"

Słyszysz?... jęczy tak głucho!...
Po nad gniazdka okruchą;
W pośród gruzów się świeci
Krew i piórka jéj dzieci!
Nieszczęśliwa ptaszyna
Nas i siebie przeklina;
Bije pierśmi o ścianę,
Woła dzieci kochane.

Gdy tak mówię do zwierza,
Kot się na mnie najeża
Ze strasznemi oczyma...
Wątpliwości już niéma!
Zgubił w całym jéj losie
Strzech litewskich gosposię!

* * *

Kot z mruczeniem zdradzieckiém
Usnął w cieple za pieckiem;
A ja, myśląc niedługo,
Jak go skropię maczugą!...
Aż się zerwie, zapieni
I wyskoczy do sieni,
Na dziedziniec, do sadu,
I już kota ni śladu...
Ha!... na drzewie!... ja za nim...
„My go prędko dostaniem!"

Pan dozorca szpitala
Wyszpiegował to z dala;
Kazał ściągnąć mię z drzewa,
Zimną wodą oblewa,
Sadzi w ciasną zagrodę:
—„Trzy dni na chleb, na wodę!"
Za co? żem mścił się czynnie
Krwi przelanéj niewinnie,
Krwi ptaszęcéj, śpiewaczéj?
Czyż być mogło inaczéj?

Pan dozorca!... ej, biada!...
Pewno ptaszki zajada,

Więc pogląda przez szpary
Na pobite ofiary!
A toż mamy już przecię
Dziewiętnaste stulecie!
Nadaremnie się trudzi:
Nie poprawi już ludzi!
Cóż ja poczę? mój Boże!..
Chyba spać się położę.

VI.

Śmieszne snuły się postacie
W téj komnacie:
Coś się miasto, coś wioszczyna
Przypomina.
Tam na kurzéj nóżce chata
Wichrowata;
Tam przymila się gospoda
Siwo-broda;
Pałac zerka na uboczu
We sto oczu;
A kościołek skrzypi w stronie,
Gdy wiatr wionie.
Na drewnianych szczudłach wsparty
Dach podarty;
Ktoś założył tam kwieciarnię,
Mchy i darnie!
Ludzie chodzą, gwarzą, siedzą
I nie wiedzą,
Gdzie skierować senną postać?
Iść czy zostać?
Tak śmiesznego nic na świecie
Nie znajdziecie.

Dzwon szczerbaty kaszle z wieży:
„Do pacierzy!“
Czterech dziadów w szmatach, boso,
Trumnę niosą;
Cztery babki szpitalnice
Niosą świéce;
A na czele organista
Aż się chysta.
Musiał zażyć dla zapału
Kordyału,
Bo z zapałem bierze tony
Antyfony.
A gdy huknie: *Dies illa!*
I *Sybilla!*
Requiescat kiedy palnie
Kapitalnie,
To aż, czując radość błogą,
Tupnie nogą.

Trumna prosta—a za trumną
Niezbyt tłumno:
Idą sobie ludzie prości
Z ciekawości,
Potém bieży tłum pacholi
Dla swawoli;
Dwóch przyjaciół nieboszczyka
Z drogi zmyka.
Mówią sobie:—„Szkoda, szkoda!
„Dusza młoda!
„Serce wulkan, co z ogniska
„Lawą tryska!

„Aż się samo własną siłą
„Przepaliło.
„I cóż teraz?—niech kto spyta:
„Trup i kwita!“

—„Po kim beczysz tak nieczysto,
„Organisto?!
„Trup, jak widać i po zgonie,
„W dobrym tonie.
„Musiał cierpieć—w ustach znaczny
„Jęk rozpaczny.
„Są na czole myśli znaki...
„Kto to taki?“
Tak zapytał pan z natłoku
Z szkiełkiem w oku.
Organista tak mu rzecze:
—„Ja nie beczę:
„Po łacinie śpiewam z nóty
„Psalm pokuty.
„A nieboszczyk, co widzicie,
„Sterał życie:
„Po obłokach się kołysał,
„Wiersze pisał;
„Czytał w książkach w noc i we dnie
„Jakieś brednie;
„Dał każdemu wieść się w pole,
„Jak pacholę;
„A jeżeli rzec nawiasem,
„Płakał czasem.
„Krasawica sercu miła
„Go zdradziła;

„Przyjaciołom nic nie wierzy—
„Bo nieszczerzy;
„Wiersze zgryźli z dobréj chęci
„Recenzenci,
„A pokrewni gdzieś tam z dali
„Wieś zabrali!
„I tak szło mu nieciekawie
„W każdéj sprawie.
„Wziął na rozum za głęboko,
„Spuścił oko,
„A jak w drodze spotka człeka,
„Precz ucieka.
„I poczęto mówić w mieście,
„Że nareszcie
„W jego głowie—złe nadzieje,
„Kogut pieje!
„Zachorował, była zima,
„Jeść nic niéma!
„Na kominku dogorywa
„Kłódka drzewa,
„A on nie wie nic o świecie,
„Wiersze plecie.
„Albo jęczał jak w malignie,
„Gdy już stygnie:
—„Kiedyż w piasku głowę złożę?
„Mocny Boże!
„Jam tak kochał!... za co? za co
„Tak mi płacą!?"—
„Głodną śmiercią literata
„Zszedł ze świata;
„My go musim grześć co prędzéj
„Bez pieniędzy!!

„A na świece do karbony?
„A za dzwony
„Kto zapłaci?... czy bogaci
„Literaci!?
„A, doprawdy, boli gardło
„Śpiewać darmo!...

„Ha!... cóż począć?... Dziady, baby!
„Głos nasz słaby;
„Ej! hukniemy u mogiły
„Z całéj siły
„*Requiescat!*—daj mu, Panie,
„Spoczywanie!
„Wieczna światłość—krzyczcie dzieci—
„Niech mu świeci!“

1861. Borejkowszczyzna.

CUPIO DISSOLVI.

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała?
Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie,
I zatrzymuje na ziemskim świecie.
Ja jestem duchem... duchem, nic więcéj...
Po co mam chodzić w szacie zwierzęcéj?
Moje radości, moje katusze,
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę,
A nieśmiertelnych myśli osnowa
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mię stworzył wolną istotą
Między występkiem a między cnotą,
Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba
Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?
Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,
Czyż tylko ciało braterstwo splata?
Czyż tortur ducha nie masz w twych ręku?
Czyż nie rozumiesz bolów bez jęku?

Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?
Czyż choć cień myśli méj wytłómaczy?
Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?
Każdy ułomny, każdy z nich słaby,
Każdy kłamliwy w swojéj osnowie,
Żaden mi ścisłéj prawdy nie powie.
W uchu i w oku, w smaku i woni,
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczéj,
By doskonaléj pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciała i kości
Spada korona niezależności;
Duch musi stawać na ziemskiéj mierze,
Ziemska namiętność swe prawa bierze,
Wysokie żądze giną bezpłodne,
W zamian rozkoszy, co mnie niegodne.
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka;
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca, co było boże.

Tak... nawet miłość — uczuć królowa,
Tutaj świętości swéj nie dochowa.

A zawsze bolem serce się kraje,
Ale ta boleść chluby nie daje;
Ja, moje ziemskie spłacając długi,
Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!
Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,
Z więzów cielesnych wyrwiesz mię, Boże;
Ale już dusza nie będzie młoda,
Już jéj przeminie dawna swoboda,
Bo ją bolesna pamięć przygniata
Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

1861. Borejkowszczyzna.

Do gości.

Czém was przyjąć, goście mili,
W zamian soli i chleba?
Goście duchem tu przybyli,
Duchem przyjąć ich trzeba.
Wprawdzie wszystek nieskupiony
Do téj chatki poziomu:
Cząsteczkami, w różne strony
Rozesłałem go z domu.
Często szukam — nie znachodzę,
I sam jeden być muszę;
Po ciernistéj życia drodze
Rozproszyłem mą duszę,
Wszędzie serca część oddartą
Mnie zostawić sądzono:

Coś nad Niemnem, coś nad Wartą,
Coś nad Wisłą spienioną.
Reszta poszła w inny sposób,
Aż się spłacze, przeboli
Na mogiłach drogich osób,
Albo własnéj méj doli.
Jeden tylko duch skrzydlaty
Został w sieni u wchodu,
Opiekuńczy duch téj chaty —
Gościnności narodu.
Więc i z niego bądźcie radzi:
On tu pełni swą straże,
On do domu was wprowadzi,
On me serce pokaże...

24 sierpnia 1861. Borejkowszczyzna.

PRZEBUDZENIE.

Błogosławione zimy doświtki
Dawnom zapomniał w szaréj omroczy;
Dziś moje ranki dręczy sen brzydki,
A trupie spanie zasklepia oczy.
Nie tak bywało w dawniejsze lata,
Gdy z Bogiem, z książką, o cichym ranku,
Ciało ochocze a myśl bogata
Snuły poczciwy trud przy kaganku.
Nie brakło strunom śpiewnego dźwięku,
Nad głową jasność snuła się biała,
Spokój był w duszy, a pióro w ręku,
Piosnka kaskadą z duszy tryskała.

Jeszcze w błękicie mojego nieba
Ostatnie czarne chmurki się wloką,
Łzami wzrok jeszcze omyć potrzeba,
Ażebym słońce dojrzał wysoko.
Jeszcze niesforne jakieś rozgwary
Wydają śpiewne méj piersi strony,
Puls mego serca nierównéj miary,
To przyśpieszony, to opóźniony.
Ale już w sercu jest, Bogu dzięki,
Najświętsza wiara z nadzieją błogą:
Spokój do duszy, pióro do ręki
Już może wkrótce powrócić mogą.
Piosnka szła na świat w skromnéj postaci,
Ale szerokie miała swe echo;
Czuję, że grałem na sercach braci,
Że mnie słuchali moi z pociechą.
Ale dni smutnych, czarnych dożyłem:
Kamień zwątpienia piersi zawalił,
Książki się grubym pokryły pyłem, —
Jużem w doświtki lampy nie palił.
Myśli promienne, jak brzask jutrzenki,
Już się czarnemi, jak chmura, stały,
I spokój z duszy, i pióro z ręki
Zda się na zawsze już odleciały.
Całunem jednych marzeń spowity,
Torturą jednych wspomnień łamany,
Straciłem z oczu syońskie szczyty,
Przestałem kochać świat mój kochany.
Gdy się przebrała już cierpień miara,
Gdy sercu pęknąć było najsłodziéj,
Wśród burzy na mnie zleciała wiara,
By uratować rozbitka w łodzi.

Znowu się do mnie uśmiecha praca,
Znów czuję w piersi pieśni oddźwięki...
Boże mój, Boże! czuję, że wraca
Spokój do serca, pióro do ręki.

1861. Borejkowszczyzna.

Nowe abecadło.

B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —
Nagroda za pracę nie chybi!
Uczyła się dziatwa czytania,
I czego katechizm zabrania,
I kiedy duszeczka szczęśliwa,
I jak się ta ziemia nazywa,
I jacy tu byli królowie, —
A wszystko—by rozum mieć w głowie,
By w oczach mieć jaśniéj, weseléj,
By w sercu mieszkali anieli.
Bóg dziatki przytulał na łono,
Lecz jeszcze nie wszystko spełniono;
Bo myśląc o własnéj potrzebie,
Uczyły się tylko dla siebie.
O! jeszcze niewielka w tém sztuka,
Nie takie ma cele nauka.
Kto siebie na pierwszym ma względzie,
Ten jeszcze zbawionym nie będzie,
Bo celom Najwyższym uchybi.
B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —

C, a, ca, c, e, ce, c, i, ci, —
Kto ziarnko nauki pochwyci,

Niech zaraz tém ziarnkiem wzbogaci
Wioskowe siostrzyczki i braci.
Ich ojciec, co z sochą we dworze,
Nauczyć swych dziatek nie może,
A matka, robotą zajęta,
Zaledwie *Ojcze nasz* pamięta,
A szkoła daleko od wioski,
A szczupły jest grosik ojcowski.
Więc, dziatwo! choć iskrę oświaty
Zanieście do ciemnéj ich chaty,
Nauczcie wieśniaków czytania,
I czego katechizm zabrania,
I kiedy duszyczka szczęśliwa,
I jak się ta ziemia nazywa,
I jacy tu byli królowie,
Niech każde, co umie, rozpowie,
A dojdziecie kłębka po nici!
C, a, ca, c, ce, c, i, ci!

Pod brzozą cienistą lub gruszą
Podzielcie się sercem i duszą;
A gdy im rozjaśnią się oczy,
Nauka was z kmiotkiem zjednoczy;
Już wtedy w niebiańskim zachwycie
Na waszą książeczkę spojrzycie,
A widząc raj ziemski otwarty,
Całować będziecie jéj karty,
Bo anioł wam w sercu zagości
Za wasze zasługi w ludzkości.
A kiedy ziemica rodzona
Was wszystkich powoła do grona,
Czyż dusza nie będzie ci rada,
Gdy obok zobaczysz sąsiada?

Gdy blaskiem talentu zaświeci
Wyuczon przez ciebie syn kmieci,
Przypomnisz książeczkę twą młodą;
Siądziecie z braterską swobodą:
D, a, da, d, e, de, d, o, do!

1861. Borejkowszczyzna.

WSTĘP DO KALENDARZA WILEŃSKIEGO
na rok 1862.

.... novi incipiunt menses.
Virgilius.

Witajcie, nowéj epoki czasy,
Was spotykamy z chlebem i z solą!
Idź, stara nędzo, na suche lasy,
Idź na dno piekieł, stara niewolo!

Kmiotek litewski, co orząc łany,
Żył i umierał na cudzéj grzędzie,
Dziś uroczyście został wezwany
Zająć swe miejsce w społecznym rzędzie.

Aż poświetlało w ubogiéj chacie,
Poweselało na polu zboże,
Gdy mu rzeczono: — „Rolniku bracie,
„Ziemia twych ojców twoją być może!“

Szlachcic ją zdobył krwią swego przodka,
Ty ją zdobyłeś trudem mozolnym;
Jeszcze zdrój potu... nagroda słodka...
Rzeczesz do syna:—„Ty jesteś wolnym!“...

Ale do tego trzeba ofiary,
Przez nią do szczęścia jedyna droga;
Potrzeba nałóg porzucić stary
I trzeźwą myślą czcić Pana Boga.

Starą nienawiść do starszéj braci
Niech zapomnienie wieczne przygniecie;
Trzeba przebaczyć, że są bogaci...
Dziś bogatymi zostać możecie!

Promienie światła, nauk mozoły,
To tajemnica bogactwa cała:
Do szkoły dziatwę szlijcie, do szkoły!
Już dziś ciemnota wam nie przystała!

Dziady szlacheckie z dziady waszemi
Przeżyły wieki doli, niedoli;
Wnuki z wnukami na téjże ziemi
Obywatelska miłość zespoli.

Tak siła z siłą dwoiście zlana
Dzielniéj społeczną wesprze budowę;
Śmieléj będziemy prosić u Pana
Błogosławieństwa na naszą głowę.

1861.

W imionniku Michaliny Szelutówny.

Nieznany z twarzy, tylko z piosenki,
Co czasem w polskim brzmi domu,
Wezwany jestem ślad mojéj ręki
Złożyć do pani albomu.

Z tego zadania najlepsze chęci
Jakże uiścić się mogą?
Rodak rodaczce chyba poświęci
Jakąś piosenkę ubogą.

*
* *

Wężem się zwija kręta Wilia,
Słucz płynie z bagien wśród ziela,
Rzekę od rzeki przestwór daleki
Zdaje się wiecznie rozdziela.

Jednak zmierzone w tę samą stronę,
Pomimo wielkiéj oddali;
Jedno marzenie, jedno dążenie
Kipi zarówno w ich fali.

A gdy koleją z sobą się zleją
Kędyś w baltyckiéj powodzi,
Znajdą się snadno, i zaraz zgadną,
Że jedna ziemia je rodzi.

Podbiorą tony piosnki rodzonéj,
By bratnie rzeki przybyły;
Strach dla wybrzeży, gdzie pęd uderzy,
Gdzie żwawe skupią się siły.

13 marca 1862. Wilno.

MILCZENIE POETY.

Czy prawda, moja pieśni, mój ty skarbie cały,
Że mi w duszy zastygło, myśli postarzały,
Że już wkrótce ulecą z piersi lodowatéj,
Jako ów motyl z chwastu, co stracił swe kwiaty?
Czyż sercu już mojemu pozostać należy,
Jak kościół opuszczony, gniazdem nietoperzy?
Zdać się na łaskę świata—och! wiem co to łaska:
Zimnym gromem uderzy i w gruzy roztrzaska,
A potém, nagradzając, że męczył tak srodze,
Uczyni mię szczęśliwym, jak kamień przy drodze.
O! niech się takie szczęście i wrogowi nie śni.
Ja chcę żyć, czuć i cierpieć, jak wojownik pieśni;
Zbrojny potęgą ducha, chcę czuć całą siłą,
Czy co bolem doskwiera, czy co sercu miło;
Czy mię kwiatek przynęci, czy mię cierń ubodzie,
Chcę się rzucać na świecie, jak ryba na lodzie.

Bojować?... Już minęły młodociane chwile...
To fałsz! wszak w duszy mojéj jeszcze ognia tyle!
Zkąd wiecie, żem postarzał? Z nachmurzonéj twarzy?
Nie wierzcie, bo to wulkan w popiele się żarzy;
Że mi harda ku ziemi schyliła się głowa?
To była tylko dumka, czy drzemka chwilowa;
Że pieśń moja zacichła?—o! gmin tego nie wie,
Że dla echa potrzebny przestanek we śpiewie.

Oni ruchliwą rzeszą wybiegli na drogę,
Wołają, żem ja stary, że śpiewać nie mogę:

Mogę jeszcze—nie dopuść, o pieśni skrzydlata!
Abym przyszedł na hańbę przed obliczem świata!
Nie opuszczaj mię, pieśni!—wszak ja wrę zapałem,
Wszak godności śpiewaczéj nigdzie nie sprzedałem:
Ręka, co grała w struny, wszak złota nie liczy,
Nie poniżył méj głowy pokłon niewolniczy,
Nie poplamiłem szaty świętego wesela,
I oko śmiało jeszcze ku niebiosom strzela,
A myśl, niepokalana w pospolitym tłumie,
Z Bogiem się i naturą jeszcze porozumie...
Przed Jehową nie zbluźnię, przed cielcem nie klęknę,
Nienawidzę co czarne, uwielbiam co piękne:
Za cóż miałby się karać, co Zakonu słucha,
Niemotą grzmiących piersi i starością ducha?

Ja czuję, żem nie stary, ani jeszcze niemy:
Do mnie, pieśni! ej, huczno jeszcze zapiejemy!
Zadmę w płuca — o! jeszcze grają pieśni moje;
Gęśl, prawda, że niestrojna — jeszcze ją nastroję.
Zapiejem, że aż echo rozgłośne rozbudzi
I na polach, i w lasach, i we wnętrzu ludzi.
Niechaj zahula w górach, zahula w równinie:
O! z przestarzałych piersi taki głos nie płynie.
A ludzie muszą przyznać, że silnie przenika,
Że tu nie znać starości i płuc suchotnika.

Ale nie dosyć młodość, nie dosyć mieć zdrowie:
Trąba w dzień ostateczny i piewcę przyzowie,
Gdzie przed całą ludzkością przeszłą i potomną,
Jak hojnie odmierzono, hojnie się dopomną,
I rzekną:—„Zdajcie liczbę, służebniki boże!
„Siewcy! gdzieście rzucili waszéj siejby zboże?

„Czy na niwę uprawną, czy na skałę zsiadłą,
„Gdzie ją susza spaliła i ptactwo wyjadło?
„Czy plonem waszych pieśni zabujało pole?
„Czy tam kłosy wyrosły, czy chwast i kąkole?
„Czy gdzie kamień zapłakał czuciem waszych pieśni?
„Złożyłyż jad gadziny i wężowie leśni?
„Gdzie i przy jakim zdroju, łamiąc dzikie prawa,
„Wilk i cichy baranek razem się napawa?
„Pieśń ludzka to nie marne świegotanie ptasze:
„Dano wam tworzyć cuda—a gdzież cuda wasze?
„Nie łukiem Nemrodowym, nie grotem strzelistym,
„Ale Pan was uzbroił słowem uroczystém,
„Co dzielniejsze od miecza i stalnéj pawęży,
„Co nigdy serc nie chybia, a zawsze zwycięży.
„Pan was posłał na ziemię we świętym zamiarze,
„I promieniami cześci ozdobił wam twarze,
„I duchem czarodziejskim tchnął na wasze łono.
„O! póki posłannictwa jeszcze nie spełniono,
„Pan nie pozwala spocząć ani jednéj chwili:
„Uwolnił was od czynów, byście czyn spełnili.
„A wy, słudzy, celowi waszemu niewierni,
„Używaliście cudu na zabawę czerni,
„A ziarno waszéj siejby roztrwoniwszy marnie,
„Święty chleb pracowitych jedliście bezkarnie!..
„Niewierne najemniki! o, z dala ztąd, z dala!
„Pójdźcie w ogień, gdzie wnętrze zgryzota wypala!“

Och, czuję w mém sumieniu tych słów przepowiednie,
Twarz moja gore wstydem i przestrachem blednie.
Straszno byc pieśnio-twórcą, bo sąd na nich srogi:
Boże! oddal ode mnie ten kielich złowrogi,
Tę ochotę do pieśni, te dumki, co marzę!
Pójdę na grunt ojcowski orać na poparze,

Pójdę jarzemne byki wypasać na błoni,
Pracowity jak oni, bezmyślny jak oni!..

Co ja rzekłem! zbluźniłem w przerażenia chwili!
Biada, kto pod brzemieniem swojém się uchyli!
Raz wziąłem się do gęśli, wytężyłem płuca,
Przyjmę sąd, chociaż srogi—niech mnie nie porzuca!
Ja nie chcę żyć bez pieśni, tęskno i jałowo,—
Duchu Boży! bądź ze mną—ja śpiewam na nowo!

Duchu mój cudotwórczy! pieśni moja, pieśni!
Tyle celów przed nami—nie drzemajmy w pleśni;
A dopóki nie zgaśnie żar naszego ducha,
Strzeżmy go, strzeżmy pilnie, niech ogień wybucha,
Choćby miał nasze piersi rozrywać okropnie,
Niech bucha—w sercach bliźnich może lód roztopnie.

Mieć piękno w uwielbieniu, mieć złe w nienawiści,
To głos się upotężni i cuda uiści;
A choć nas w środku dzieła Pan k'sobie przyzowie,
Pięknież stanąć z koroną zasługi na głowie!

1854. Borejkowszczyzna.

OSTATNIA MYŚL POETY.

Czujny grajek przy lutence,
Z czeczotkowym kijem w ręce,
Od komina do komina
Swą wędrówkę rozpoczyna.
Czy w karpacki szczyt Łomnicy,
Czy w podolski łan pszenicy,
Czy w kijowskiéj staréj ławrze
Ze świętymi w grób się zawrze...
Czy u Gopła stojąc toni,
Po Kujawach okiem goni...
Myślą goni jeszcze daléj...
. . . .
Zawsze bardon ma strojony,
Wedle czasu, wedle strony,
Gdzie pogościć pragnie dłużéj,
Gdzie z sandałów pył okurzy...
. . . .

1862, przed zgonem. Wilno.

WARYANT ZAKOŃCZENIA

„WYROKU JANA KAZIMIERZA.“

Helena.

Ojcze! daremnie swą ranę jątrzycie,
Jest jeszcze pora... zaradzić się zdoła:
Tu król przed nami... wybłagamy życie.

Gnoiński.

Ale mu hańby nie omyjem z czoła,
Nie, moja córko! z sakwami i kijem
Pójdziem ztąd zaraz w jaki kraj daleki,
Sponiewierane nazwisko ukryjem,
Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.
Widzisz, król pisze, wyrokuje o nim,
Podpisał hańbę naszego nazwiska!
Uciekaj, córko... pod ziemię się schronim...
Patrzaj, lud na nas kamieniami ciska,
Tętnią siekiery, wznoszą rusztowanie...
Kat się urąga... opatruje ostrze...
Wnet winowajca pod pręgierzem stanie,
Na radość ojcu, na chlubę swéj siostrze...

(Król, skończywszy pisać, klaszcze w dłonie. Wchodzi dworzanin).

Król.

Oddać to pismo dozorcy więzienia.
Spieszaj! tu nie masz chwili do stracenia.
(*Dworzanin odchodzi*).

Król (*do Gnoińskiego*).

Najmilszą gorzkich dni naszych osłodą
Jest łzy ocierać, łagodzić niesnaski.
Dziś, za obecnych senatorów zgodą,
Naszéj królewskiéj chcemy użyć łaski.
Dzisiaj niewolno, by ktoś łzę miał w oku,
Kiedy król wraca, a kraj żyć poczyna.
Panie kanclerzu, powiedz treść wyroku,
Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

Kanclerz.

Syn wasz w téj chwili swobodnym zostanie,
Król piętno hańby z jego czoła ściera.
Niech w obce kraje idzie na wygnanie
I tam niech obce nazwisko przybiera;
A gdy się dowie, że te nasze kraje
Przestanie miotać wojenne igrzysko,
Śmiało przed króla majestat niech staje,
A król mu wróci łaskę i nazwisko.
Więc hańba zdjęta.

Gnoiński.

I wy to mówicie,
Strażnicy prawa, wielcy dygnitarze!...
Królu! tyś mocen podarować życie...
Lecz zmazać hańbę... i Bóg jéj nie zmaże.
Piętno jéj, czoło gdy zbezcześci czyje,

Gdy twarz wykrzywi podłości wyrazem,
Już w krew przechodzi, w pulsach serca bije,
Już jéj nie wydrzeć, chyba z sercem razem.
Charakter hańby, jak sakrament piekła,
Z pohańbionego nie daje się zmazać.
Pogardzie ludzkiéj, gdy swój sąd wyrzekła,
Sam król milczenia nie zdoła nakazać.
W dniu wiecznéj mego imienia zakały
Niewczesne, królu, twoich łask dowody.
Nie proszę łaski, jak w dniach mojéj chwały
Nie przychodziłem prosić o nagrody.

Król.

Bluźnisz, Gnoiński.

Gnoiński.

. . . .
Łza w twoich oczach, najjaśniejszy panie!
Nie płacz—kraj wszystek to twoja rodzina.
Żem ja łez moich powstrzymać nie w stanie,
Och, bo ja tylko jednego mam syna!
Lecz dziś się, panie, czułości wyrzeczem,
Naszą powinność spełnić bądźmy w sile:
Tyś król — w zbrodniarza uderz kary mieczem;
Ja ojciec — skonam na jego mogile.

Król (*do wchodzącego dworzanina*).

Cóż tam o więźniu? czy zdjęto kajdany?

Dworzanin.

Nie mogłem zdążyć do więzienia jeszcze,
Gdy wyrok śmierci został przeczytany.

Więźnia śmiertelne ogarnęły dreszcze,
Pobledniał, upadł, szarpiąc swe okowy,
Oczy się dziko po ścianie powiodły,
Krew do zwieszonéj uderzyła głowy...
Umarł ze strachu...

Gnoiński.

O, jeszcze raz podły!
Nie umiał umrzeć—ale już nieżywy,
Toporem hańby niedotknięte zwłoki.

Król.

Wielkie są Nieba!... Boże sprawiedliwy!..
O! Ty i królów przesądzasz wyroki.

Gnoiński.

Ocalił imię zhańbione sromotą,—
O! wesół pójdę po żebranym chlebie.
Chodź ze mną, córko! chodź, biedna sieroto!
Niebo mi jedną zostawiło ciebie.
Na grobie jego odmówim pacierze...
Nie! on niegodzien ojcowskiéj modlitwy:
Złamał poczciwość staréj ojców wierze,
Nie umarł z mieczem i na polu bitwy.
Przeklinać nie chcę, boby głos ojcowski
Nazbyt potężną ugodził go władzą.
Idźmy! choć nasze popalone wioski,
Chleba i soli dobrzy ludzie dadzą.

Czarniecki.

Kraj się odradza, Szwed pierzchać poczyna,
Jutrzenka błyska nad królewską głową.

Gnoiński.

Boże mój, Boże! a ja nie mam syna,
Aby go posłać na służbę krajową!

Król (*powstawszy z tronu, podchodzi do Gnoińskiego*).

Ja dam ci syna, podporę rodziny,
Którym się ojciec pochlubi z rozkoszą,
Co z młodu pełni bohaterskie czyny,
Jak o tém jego wodzowie donoszą.

Gnoiński (*osłupiały*).

Syna! co słyszę! w głowie mi się kręci!...
Gdzież ten syn, królu?

Król.

Oto Jerzy Lacki.

(*Obraz. Król łączy ręce Heleny i Lackiego. Gnoiński rzuca się Lackiemu na szyję*).

(Zasłona spada).

1860. Wilno.

WARYANT Z PIEŚNI GMINNĖJ.

W oczach gryzie, serce boli,
I zapłakać chce się;
Pójdę szukać lepszéj doli,
Wywoływać w lesie.
Hop! hop!

Héj! z doliny aż do wzgórka
Bieży głos donośny,

Jak ptaszyna, jak wiewiórka
  Po gałęziach sosny.
    Hop! hop!

Może jękiem w leśnéj ciszy
  Zawtóruje echo,
Może dola jęk posłyszy,
  Odhuknie pociechą,
    Hop! hop!

Boże, Boże! nie pomoże
  Ni echo, ni drzewa:
Wiatr zahuczał w głuchym borze
  I mój głos odwiewa.
    Hop! hop!

Boli serce, cóż za dziwy?
  Niech już sobie boli:
Zerwiesz piersi nieszczęśliwy,
  A nie zhukasz doli.
    Hop! hop!

Piosnko moja! ej, nie tobie
  Stłumić głos niebieski!
Wracaj jęczeć sama w sobie
  Z pod piersiowéj deski.
    Hop! hop!

1850. Załucze.

TŁÓMACZENIA.

DZIAŁ I.

PRZEKŁADY POETÓW ŁACIŃSKO-POLSKICH EPOKI ZYGMUNTOWSKIÉJ.

(WYJĄTKI).

POEMATA
KLEMENSA JANICKIEGO.

ELEGIA.

Do Jędrzeja Krzyckiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, gdy go po raz pierwszy widział.

Non adeo fuit ulla dies mihi clara
sub illo tempore....

Dni w mojém życiu szczęśliwszych nie liczę
Nad dzień dzisiejszy, co błysł niespodzianie,
W którym raz pierwszy, najwyższy kapłanie,
Widziałem twoje dostojne oblicze.
Widziałem z blizka to szanowne czoło,
Co blaskiem mitry promieniście słynie;
Uczciłem męża wielbionego wkoło,
Co zacnéj polskiéj przodkuje krainie.
Bo czy uważasz dostojność niemałą,
Ród znakomity, złączon znakomicie,
Czy własne dzieła uwieńczone chwałą,
Któremi piękne przyozdabia życie:
Tu szczyt, gdzie męża wynosi się głowa
I w gronie ziomków promienieje świetnie,

Tu mądréj myśli zacność umysłowa,
Jednak skromnością przykryta szlachetnie,
Nic tutaj losom — w szczęściu i boleści
Mądra się głowa nie ugnie, nie zetrze.
Rzadko kto zniesie, kiedy los go pieści,
Szwankuje okręt na zbyt wolnym wietrze.
Gdy Aleksander podbił ludy wschodnie,
Synem Jowisza obwołał się razem,
Własnego ojca wyparł się niegodnie
I w pierś Klitona ugodził żelazem,
Przymuszał wypraw swoich towarzysza
Klękać przed sobą, wolą czy niewolą.
I Klearch, szczęsną oślepiony dolą,
Przyswoił sobie synowstwo Jowisza.
Nie wspomnę Brenna, co chlubny wygraną
Zagrażał bojem już Apollinowi.
Nie wspomnę innych, co za dobrą zmianą
Karne swe żądze wyuzdać gotowi.
O zacny Krzycki! kusząca bogini
Płochéj w twém sercu myśli nie wylęgła;
Ona, co tylu niewolników czyni,
Do twego jarzma sama się zaprzęgła.
Już się nie wyrwie — znam po twéj naturze
Jak święcie ważysz twoje powinności;
Łacno to widzieć — i niepłonno wróżę,
Że cnota twoja bez końca uroście;
Że lubo codzień dank odbierasz świeży,
Nie zwolnisz jarzma szlachetności twojéj;
Że cię łaskawość twoja nie odbieży,
Co wielkim duszom tak pięknie przystoi;
Że zawsze będziesz cierpliwym i względnym,
Bardziéj niż Jowisz w starodawnéj bajce.

Ileż on razy w swym gniewie zapędnym
Dał żreć płomieniom swoje winowajce!...
  Gniew za występki rodzi się w twéj duszy,
Ale się zaraz rozmiękczy widocznie:
Jowisz nikogo nie wyrwie z katuszy,
Nie pożałuje, gdy raz karać pocznie.
Karcisz występnych, ale w słuszną miarę,
Bo prędko w serce zakołata łaska;
Ona przestrzeże, upomni ofiarę,
Ale w nią nigdy piorunem nie trzaska.
A lubo-ć w gniewie złe myśli nadbiegą,
Jednak miłością zwyciężasz je skoro;
Jest to zwyciężać lwa Herkulowego,
Jest to panować nad dziką potworą,
Jest to gruchotać dzikiego bawoła,
Jest to ucinać złym gadzinom głowy.
Otwarta dobroć przemawia ci z czoła,
Słynnyś pogodą twarzy i rozmowy.
  Jednak, choć dobroć jest twoim nałogiem,
Umiesz być srogi, gdy potrzeby każą.
Zawsześ pobożny, cnotliwy przed Bogiem,
Wiarę i miłość pod pilną masz strażą.
Małaż to praca walczyć z różnowierce,
Bronić od wilka Chrystusa owczarnię?
Małoż to trudu dać krajowi serce
I plon ojczysty zbierać w pięknêm ziarnie?
Któż po Zygmuncie najwięcéj dał pracy?
Kto w naszéj łodzi siadywał przy sterze?
Cieszcie się zatêm, waleczni Polacy!
W Krzyckim ojczyzna pierwszą chlubę bierze.
Bierzcie otuchę, ludy téj krainy!

Was najświetniejsze czekają nadzieje;
Już wam nie zamrą wielkie ojców czyny,
Kiedy je Krzycki nadobnie opieje.
Jak niegdyś Grekom za sprawą Homera,
Albo Rzymianom przez pieśni Marona,
Tak wam dziejowa rozjaśni się sfera
W pieśni Krzyckiego, co nigdy nie skona;
Bo pierwéj zginąć Herodota pracy,
Trudom Padewca podlegnąć zagubie...
Cieszcie się zatém, waleczni Polacy!
Otwarte wrota narodowéj chlubie.
Pierwszy dank służył Auzońców imieniu,
Albo gdzie Renu czyste wody płyną...
. . . .
W polu cię bitwy sąsiady poznały,
Dzisiaj muzami zasłyniesz na świecie —
Krzycki ci doda nowy rodzaj chwały.
Za jego wzorem nasza młódź ojczysta
Pośpieszy muzom dać ofiary święte;
O! młódź nietylko ze wzoru skorzysta,
Lecz ma od niego opiekę, zachętę.
Tak za Krzyckiego staraniem ochoczém,
Polsko! potęga i sława cię czeka.
Niepłonna wróżba -- bo jest widzieć po czém,
Co się snadź święci z takiego człowieka.
Skoro się wróżba na przeszłości wspiera,
Dobra to wróżba — spełni się niedługo:
Łatwo wywróżyć było bohatera,
Gdy młody Herkul gniótł hydrę maczugą.
On spełnił świetne swéj matki nadzieje,
Ty, Krzycki, spełnisz nadzieje Polaków;

Bo lud, co wróży z nieomylnych znaków,
Im więcéj widzi, więcéj się spodzieje.
Wy zaś, Sarmaci, drużyno krajowa,
Szanujcie czoło, które was uświetnia!
Módlcie się Panu — niech go nam zachowa,
Niech mu pomyślność świeci długoletnia,
Niechaj od niego wolnym krokiem idzie
Śmierci posępnéj widziadło surowe,
Niechaj się zrówna wiekiem Neleidzie,
Niech żyje lata Laomedontowe.
A potém z niebios jak anioł w ochronie
Wyciągnie k'Polsce przyjacielskie dłonie.

ELEGIA.

Poleca swéj muzie, aby mu zjednała Stanisława Hozyusza.

Ergone semper eris turpi taciturna timor Musa?...

Czemuś, o muzo! milcząca i trwożna?
Niech się wieśniacza bojaźń przezwycięża;
Nabierz odwagi — tu śmiałą być można,
Staniesz przed okiem uczonego męża.
Wejdź doń i powiedz z winném pozdrowieniem:
„O mężu w świetne ozdobion zaszczyty!
Znany zacnością, nauką, imieniem,
Gwiazdo i chlubo ziemi rodowitéj!
Nie miéj za płochość, że tutaj przychodzę,
Lubo nieznana — między świetne duchy.
Jabym nie śmiała, ale w mojéj drodze
Przyszła mi w serce myśl dobréj otuchy.

Orlik, co ledwo z łusek się wydziobie,
Nie śmie w słonecznêm patrzéć się przezroczu:
I ja nie śmiałam, nie ufając sobie,
Ku twéj jasności skierować mych oczu.
Ale poeta, niecierpliwy zwłoki,
Rzekł do mnie słowo sprzyjającéj wróżby,
I kazał tutaj skierować me kroki...
Możem za wcześnie przyszła na twe służby?
Oto pół roku upływa bez mała,
Jak w pięknym grodzie Krakusowym goszczę;
Dość Janickiemu przyjaciół zjednała,
Jednego dzisiaj pragnę i zazdroszczę:
Hozyusz tylko brakował mi zacny,
Którego najprzód skarbić należało.
Mówiono o nim, że przystęp doń łacny,
Że próżen dumy i z duszą wspaniałą.
Im kto naukę zamiłował szczerzéj,
Têm serce jego skłonniejsze do łaski:
Wielki mąż własnym zaletom nie wierzy,
Choć słyszy w koło pochlebne oklaski.
Względny dla wszystkich, na siebie się sroży,
Każdego z sobą porównać ochoczy:
Dobra otucha! on nam drzwi otworzy,
On skrzydłem swojéj opieki otoczy.
Gdy drzwi otworzył i gdy nas ośmiela,
W niewielu słowach cała prośba nasza:
Weź Janickiego za swego czciciela;
Dawno się o to u Niebios doprasza.
Weź Janickiego i daj mu łaskawie
Cząstkę w twêm sercu i przyjazne słowo.
Wielka-ć to prośba, lecz śmiało ją stawię,

Boś nie zwykł smucić przeczącą odmową.
Im się kto większym dłużnikiem nazowie,
Tém o wdzięczności przemyśliwa ściśléj:
Młody on jeszcze, lecz w młodzieńczéj głowie
Nie ma już lekkich i przelotnych myśli.
Jak stary wiekiem, na łaski pamięta,
I umie cenić prawicę pomocną.
Różdżka, niedawno z gałęzi odcięta,
Jednak do gruntu wkorzenia się mocno.
Gdy młode ziarno posiejesz na roli,
Nie zwiedzie pewno nadziei żniwiarzy...
Lecz cóż ci mówić? już czytam na twarzy
Pomyślną wróżbę dla méj przyszłéj doli.
Więc, co cię nadto uwielbić nie może,
Kochaj młodzieńca, i żegnaj cię Boże!"

DYALOG

O niestałéj rozmaitości odzieży u Polaków.

Władysław Jagiełło, król polski, i Stanisław Morosophus.

Król.

Już Wołoszę i Węgry zły Turczyn zwycięża,
Już do mego królestwa zbliża się pożoga.
Wstaję z grobu — niech moi przypaszą oręża,
Wspomogę ich choć radą przeciw siłom wroga.

Morosophus.

Ha! to król... dziad królewski, przechwala się srodze;
A sam broni nie nosi... cała Polska taka.

Chodzi w owczym kożuchu, nie w królewskiéj todze...
O! trudniéj podbić Turka niżeli Prussaka!
Znam... to stary Jagiełło... ten głos i ta mina...
Przystąpię: Dokąd, królu, i zkąd, jeśli wola?

Król.

Do was z grobu!

Morosophus.

A po co?

Król.

Zwyciężyć Turczyna.

Morosophus.

Ha! to sroga bestya, nie dotrzymasz pola!

Król.

Lecz bywa zwyciężoną.

Morosophus.

Ej, nierówne siły!

Król.

Bóg za tym, kto na siłę nierówną uderza.

Morosophus.

Dzisiaj pokój trzymamy.

Król.

Nie trwóż się, mój miły,
Nie ma u mnie z Turkami świętego przymierza.

Morosophus.

Nie ma? kogoż uzbroisz?

Król.

Prawnuków Polaków,
Przez których w moje czasy Krzyżak był odparty.

Morosophus.

Chcesz ich widzieć?

Król.

Potrzeba.

Morosophus.

Patrz na tych wojaków!

Król.

To jacyś cudzoziemcy, poniechaj te żarty!
Pokaż mi mych Sarmatów, moje wierne straże.

Morosophus.

Kiedy? gdy się odrodzą?

Król.

Nie! zaraz, w téj chwili!

Morosophus.

Oto stoją! patrz na nich, jacy są, pokażę.

Król.

Szanuj mię i zaniechaj głupich krotochwili!

Morosophus.

Tyś sam głupiec, że nie wiesz, iż czas wszystko zmienia.

Król.

Ale wszystko odmienia w kształty jednakowe,
A tutaj tysiąc kształtów, postaci, odzienia.
Nie!... ja tych ludzi nigdy mymi nie nazowę!
Za mną była ozdoba i odzież jednaka,
I serca jednostajne w miłości i zgodzie:
Po piórach zwykle ptaka odróżniasz od ptaka,
Po piórach zwykle sądzisz o wnętrznéj przyrodzie;
Tak chce Bóg i natura. O! zwątpiłem znacznie,
Już mię zwyciężyć Turka nadzieja nie głaszcze.

Jak tu bić się—z żołnierzem strojnym tak dziwacznie?
Lecz co widzę? tureckie przyjęliście płaszcze!?
Widać, że Turczynowi sprzyjają te duchy!
Zły znak!...

Morosophus.

Owszem najlepszy, bo to nasza młodzież
Nosi łupy tureckie — znak dobréj otuchy,
Gdy łup nieprzyjacielski wystarcza na odzież.

Król.

Daj Panie! lecz cóż znaczy ten płat jakiś duży
Od szyi aż do głowy? to jakieś dwuroże?

Morosophus.

Jeśli trzeba uciekać, a wiatr k'temu służy,
Ten ubiór bieg przyśpieszy i uciec pomoże.
Lecz uciekać nie sposób, bo się bót nie poda
Dychtowany żelazem, dłuższy od kolana.
Nie pobieżysz w tych sztylpach, lecz inna wygoda:
Można brodzić po wodzie lepiéj od bociana.

Król.

Żałuję ja tych ludzi — dobrowolnie nogi
Krępują kajdanami...

Morosophus.

Już uzwyczajeni.

Król.

A toż pewno dla brzęku sążniste ostrogi?

Morosophus.

Brzęczą, gdy w polu bitwy wiele jest kamieni.
Przyśpieszają bieg koni, a ich brzękotanie
Straszy nieprzyjaciela, jako rolnik ptaki.

Król.

Patrz na tych długonogich, co w krótkim kaftanie?

Morosophus.

Nazywa się żołnierskim każdy kaftan taki,
Straticitca po grecku, to odzież jedyna,
Wszystkim dobrym żołnierzom najlepiéj przypadnie,
Bo nie obciąża ramion, ku ziemi nie zgina,
A rzekę w niéj przebywać wygodnie i składnie.

Król.

Niemcy! Włochy! Francuzy!

Morosophus.

Nosim strój ich z młodu,
Bo rzemiosło wojenne kwitnące w tych krajach.

Król.

Lecz z téj tłuszczy nie złożysz żadnego narodu,
Nie wniesiesz o ich rodzie, sercu, obyczajach.

Morosophus.

Prawda! gdyż, Bogu dzięki, lud sarmacki stary
Rozrodził się w narody—garstka ich niemarna.
Rozrodził się—rozumiesz?—bez końca, bez miary,
Ot! jak z jednéj makówki niezliczone ziarna.

Król.

Lecz ziarna zawsze mają swój kształt macierzysty,
A tu jak poznać ojców po tym stroju sroczym?

Morosophus.

Zmienna odzież nie serce—patrz! senat ojczysty!
Czy widzisz tam na lewo? ty płaczesz? a po czém?

Król.

I ci się przekształcili, pozmieniali skóry,
Jak naród, jak rycerstwo,—opłakana strona!
Nosi senat wenecki jednakie purpury,
I Rzecz tam Pospolita stoi niewzruszona.
A toż ojce ojczyzny! ten w bótach, ten w zbroi,
Temu świetne sandały złotem się migocą,
Ów nosi lekki pancerz, ów w żupanie stoi!

Morosophus.

Zrzędzisz tylko, a łajesz sam nie wiedząc o co!
Potępiasz, czego nie znasz:—ten strój, to obuwie,
Przywdzieli, aby błysnąć powagą i władzą;
Ludowi trzeba blasku...—ale ci mężowie
Dla Rzeczypospolitéj i gardła podadzą,
I dadzą się rozszarpać choćby od siepaczy
Za ojczyznę, za wiarę, za króla, za cnotę.

Król.

O! powracasz mi spokój!—ale cóż to znaczy?
Na co im te sygnety, te łańcuchy złote?

Morosophus.

Straszny jesteś gawęda, gderasz nieprzyjemnie;
Nie mam czasu, napróżno aby gwarzyć szerzéj.

Król.

Słowo jeszcze!

Morosophus.

Daj pokój, wojuj i beze mnie,
Lecz sprowadź nieboszczyków sobie za żołnierzy!

Król.

Powiedz, kto jesteś?

M o r o s o p h u s.

Żołnierz!

K r ó l.

Znaczno po zakroju,
Bo dobrze o żołnierce rozprawiasz, mój zuchu!
Jak ci na imię?

M o r o s o p h u s.

Żołnierz!

K r ó l.

Nie zgadłbym po stroju!

M o r o s o p h u s.

Jak w tobie nie znać króla po owczym kożuchu!

K r ó l.

Czyż królowi niewolno mieć skromnéj odzieży?
Czyż koniecznie potrzebny okazały zbytek?
Ale cóż to za zbroja pod suknią ci leży?
Worek wełny czy siana? jaki ztąd użytek?

M o r o s o p h u s.

To mój grzbietowy puklerz — dobrze z tym pukle-
[rzem,
Bo my kijmi częstokroć swe nagrody bierzem.

EPITALAMION

Najjaśniejszemu królowi polskiemu Zygmuntowi Augustowi.

NA ZAŚLUBINY TEGO KRÓLA Z ELŻBIETĄ AUSTRYACKĄ

w roku 1543.

Czterowiersz na Orła, godło królewskie.

Ptak-li to Jowiszowy ulata nad męże?
Rozbija nieprzyjaciół w wojsku nieprzebranem,
Broni swoich—pierś jego staje za pawęże—
Bezpiecznoż ci, żołnierzu, pod takim hetmanem!

. . . .

Do Zygmunta Augusta, króla polskiego.

Siodłać lotne rumaki! jedź, pogoni chyża!
Auguście! oto rzymska królowa się zbliża:
Wyjedź na jéj spotkanie; ta dziewica hoża
Godna być uczestniczką królewskiego łoża;
Z takiego bowiem domu, z takiéj krwie pochodzi,
W jakiéj ci jeno szukać małżonki się godzi.
Urodą tak kształtowna, tak piękna, że pewnie
Żadna z niewiast nie zdoła dorównać królewnie.
Nie słowom cudzym wierzę, lecz własnéj źrenicy,
Bom ją widział przed laty w wiedeńskiéj stolicy;
Widziałem, jak dziecina, wspaniale przybrana,
Szła z matką do świątyni świętego Szczepana.
Z oczu jéj promień strzelał, a skromność dziewicza
Szkarłaciła jagody pięknego oblicza.
O! nie tak piękną była, mimo ród swój bozki,
Kiedy szła córka Ledy w przybytek ojcowski!
Ale cóż ci powiadać? co sławić jéj lica?
Sam ujrzysz i zaświadczysz, co to za dziewica!

Krasna dziewo! ochoczo wędruj z tak daleka,
Znakomity i piękny małżonek cię czeka:..
Masz się z czego pochlubić, bo niemało waży
Piękna postać młodzieńca i wdzięki na twarzy.
Pięknie, gdy świetne cnoty zdobią duszę młodą,
Pięknie, gdy się nad innych celuje urodą,
Pięknie się naszym oczom i duszy przymila,
Atryda Homerowa, Askani Wirgila.
Gdy dwaj męże u murów pergamskiego grodu
Walczyli o małżonkę i o cześć narodu,
Pryam, Agamemnona postrzegłszy z daleka,
Zapytywał synowéj o pięknego Greka:
—„Powiedzże mi, jako mam zwać Greczyna tego,
„Co to pleców szerokich a wzrostu słusznego?
„Drudzy, widzę, są, co go głową przerównają,
„Ale tak podobnego oczy me nie znają,
„Ani tak poważnego — tuszę, że jest królem.“
Maro słodko nad pięknym rozwodzi się Julem.
Więc gdy piękność w monarchach jest wielkiéj zasługi,
Bądź pewien twojéj chwały, o Zygmuncie Drugi!
Boś jest majestatyczny, jak posłannik Nieba.
Lecz nie dzisiaj te rzeczy wyśpiewywać trzeba;
Przyjdzie czas, kiedy muza głos dla cię wytęży,
Opiewając tryumfy sarmackich oręży.
Wiem, że staniesz się godnym opiewania rymem,
Bo już dobrą nam wróżbę dałeś pod Chocimem,
Dałeś chlubę ojczyźnie, wrogom starłeś głowy, —
Błogoż tak rozpoczynać zawod pierwiastkowy!
Leszek — swój piękny zawód zbyt rozpoczął rano,
(Co go Białym, dla białych kędziorów przezwano);
Gdy dzieckiem pragnął bić się mężnemi rękoma,
A senat mu przedstawiał, że bezpieczniéj doma:

—„Po cóż mię—rzekł—trzymacie swojemi przestrogi?
„Czyż mi jeszcze nie pora pokonywać wrogi?
„Czy ja mieczem nie rąbnę? czy w sercu ostygnę?
„Czy ja nie mam ramienia? włóczni nie podźwignę?
„Malowany proporzec nikogo nie zgniecie,
„A wy jednak proporce na wojnę bierzecie!“
Obiecujące dziecię! za szlachetne czyny
Winieneś nosić imię wodza Kartaginy,
Który, gdy jego rodzic szturmem Sagunt bierze,
Dziewięcioletnie dziecko, walczył jak rycerze.
I ty, zacny Auguście, wróż dobre koleje,
Świetny los twego ojca na ciebie się zleje.
Wziąłeś już po nim imię, wziąłeś panowanie,
Więc i dalsza spuścizna przy tobie zostanie:
Weźmiesz serce, i cnotę, i męztwo w potrzebie,
Tylko przykład ojcowski postaw wedle siebie.
Jako dawni Rzymianie, co w domowéj sali
Swoich przodków woskowe posągi trzymali,
Jako Egipcyanie u domowych składów
W szklanych trumnach chowali prochy swych nad-
[dziadów,
Aby, mając na oku ich przykład i życie,
Wedle wzorów kształtować siebie przyzwoicie.
Nie trzeba ci posągów namaszczonych woskiem,
Bierz twe wzory na żywym przykładzie ojcowskim:
Niechaj cię opanuje szlachetna tęsknica
Sprostać wielkim przykładom twojego rodzica;
A jeżeli podobna, przewyższaj go raczéj, —
Wierz mi, serce ojcowskie wdzięcznie to przebaczy.
Filipie macedoński! pełniąc wielkie dzieła,
Ostateczna twa żądza na synu spoczęła;

Rzekłeś: „Równać się ze mną wszystkim nadaremnie,
„Lecz pragnę, aby syn mój był większy nade mnie!"
Spełniło się, co chciałeś w twém żądaniu szczerém:
Syn twój został zaiste wielkim bohaterem;
A jeśli twoje ramię silnie Greki bodzie,
Aleksander zwyciężył cały świat na Wschodzie.

Zwykła modła ojcowska wysłuchana w niebie,
Bóg, co dał wiele ojcu, więcéj da dla ciebie;
Pełń jeno sprawiedliwość—żadnéj cnoty niéma
Spodobańszéj w mocarzach przed Niebios oczyma;
Miéj troskliwość o wiarę w twém sercu, w twéj gło-
Jako czynił twój ojciec i twoi przodkowie. [wie,
A kiedy gwoli sądu zasiędziesz na wiece,
Miéj karę dla występku, miéj cnotę w opiece;
A pilno pędź od siebie rój, co skusić gotów,
Co jeno gębie płuży, pilnuje zalotów.
Wszelki trefniś, pochlebca, narajca od złego
Niech od ciebie z przestrachem, jak zbrodniarze, biegą.
Są ludzie godni chwały, są męże szlachetni,
Garnij ich, bo się przez nich twe berło uświetni;
Dawaj im wszelki zaszczyt i w pięknym widoku
Pierwsze radne ławice przy królewskim boku.

Patrz pilno na strażniki granice podolskiéj,
Którą często najeżdża nieprzyjaciel Polski;
Między temi strażniki znajdziesz kogoś, tuszę,
Co godzien, by pozyskał twą królewską duszę,
Co w bojach spędził życie, zahartował serce,
Którego z młodu ojciec wytrawił w żołnierce.
Nie na puchu dziecinna prawica się słabi,
Nie znał on, co to miękkie wezgłowie z jedwabi,

Spał na darni zielonéj i jesień, i lato,
Jak na łożu puchowém usłaném bogato.
Zamiast łaźni, deszcz rzęsny pluskał mu na głowę,
Zamiast puharów wina, pił wody zdrojowe,
W takt surmy miasto śpiewów wywijał swe tańce,
Goniąc w taniec morderczy spłoszone pohańce.
Ma u siebie wszelkiego łupu podostatek,
Łup ten, wzięty na wrogu, nie z nędzarskich chatek;
Nauczył się przestawać miernemi użytki,
I nie dał swego serca na chciwość, na zbytki.
Ten, co doma tak dzielny, a cóż z niego będzie,
Gdy stanie na wysokim publicznym urzędzie?
Na wojnie czy w pokoju, kto mędrszy, kto szczerszy,
Między pierwszemi męże stanie się najpierwszy.
Kto poda lepszą radę, gdy wystąpisz zbrojnie,
Niż ów, co całe życie przebywał na wojnie?
Kto poradzi, gdzie obóz roztasować snadnie,
W jakim czasie i miejscu zwycięztwo przypadnie?
Nie przytoczy ci z dziejów wypadek daleki,
Nie powie: że przed laty tak czyniły Greki, —
Bez przykładów Ulissa, przysypanych pyłem,
Rzecze: „Jam to doświadczył—ja sam tak czyniłem!"
I w święty dzień pokoju, można ufać radom
Męża, który obrotu wojennego świadom,
I w wątpliwych zdarzeniach łatwo on rozstrzyże,
Jakie podać warunki w pożytecznym mirze.
Świadom, jak służy szczęście Pospolitéj Rzeczy,
Wedle tego jéj losy snadno zabezpieczy.
Już to bacznie się wszystkim przypatrzywszy stronom,
Każe miecze zawiesić, dać folgę ramionom,
I wykrzesywać młodzież—kształtem bojowiska
Sprawować pożyteczne rycerskie igrzyska.

Ukształtuje, rozdzieli i szykownie sprzęże
Owdzie jezdne rycerstwo, owdzie piesze męże;
Jak Sparta, jak Rzymianie, pod nim młódź ojczysta
Ze spokojnych dni miru szczęśliwie skorzysta.
We włócznie i koncerze, nie w puhary brzęknie,
Głowę w hełmy, nie w kwiaty, przyozdobi pięknie.
Bo od takiego mistrza i młodzież, i wodze
Nigdy się nie ośmielą przyzostać na drodze;
Świecąc własnemi czyny i cnotami duszy,
Mistrz łacno wszystkie serca do cnoty poruszy.
Lecz nie samo Podole ma gwiazdę zaszczytną:
Królu! szeroka Polska, i cnoty w niéj kwitną.
Rolnicy naszych wiosek, co nad biedną miedzą,
Żadnéj sławy nie pragną, o pysze nie wiedzą,
Jak ów mąż znakomity, co mu Rzym niepłochy
Powierzał swoje losy, wezwawszy od sochy.
Znajdziesz, przyzwij ich k'sobie, złącz w twój orszak [drogi,
Powierz im, niech pilnują twoje pańskie progi!
Królestwo ci zakwitnie, i chwała cię spotka,
Dorównasz i prześcigniesz niejednego przodka, —
I nietylko obecność mile ciebie wspomni,
Lecz wieki cię poznają, uwielbią potomni;
Każda chwila ci zejdzie zaszczytnie, korzystnie,
W każdy dzień nowy promień z korony ci tryśnie.

Kochaj uczonych mężów, szanuj mądre dzieło,
Jako niegdyś szanował twój pradziad Jagiełło.
Mędrcy twemu krajowi przysposobią wdzięku,
Twa sława nieśmiertelna spoczywa w ich ręku.
Co ty zdziałasz — zapiszą i wyświecą jaśnie,
Żaden czyn twego życia w przyszłości nie zgaśnie.

Znasz-li czyny Lechowe, choć pełne zaszczytów?
Był on zakładcą państwa i wodzem Lechitów;
Znasz czyny Krakusowe? choć słynął w zalecie,
Niestety! już ich pamięć zamarła na świecie!
A żyją stare Greki, masz ich przed oczyma,
Znasz Achilla — choć Troi i śladu już niéma.
I stare króle rzymskie przypominasz snadnie,
I głośno o nich będzie, póki świat nie padnie.
Dobrze czynił bohater, co z rycerstwem swojém
Idąc kraje zdobywać zwycięzkim podbojem,
Wiódł z sobą dziejopisy, dawał wieszczom wsparcie,
Ażeby jego czyny spisano na karcie.
Tym celem wielki Scypio, ilekroć się zdarza,
Brał z sobą na potyczki swego kronikarza;
Tak czynił (jeśli z nowych przykłady należą)
Mathias, co na Węgrzech panował tak świeżo.
Cóż Cezar? O Zygmuncie! on ci rzecz wyłuszczy.
Gdy był o to jedynie pomawian od tłuszczy,
Że uczonymi ludźmi tak pilno się troska,
Jako dziatwą kochaną opieka ojcowska:
—„Hańba ci, — wołał senat — chlubo naszéj ziemi!
„Żeś otoczon jedynie ludźmi uczonemi,
„Co wiodą ród z pospólstwa, spokrewnieni z gminem,
„Przyszli na świat pod dymnéj chałupy kominem!“
Cezar na to: — „Tych ludzi nie otacza ciemno,
„Sam Bóg dał im pierwszeństwo nad wami, nade mną,
„Oni wyżsi nad wszystkich—gdy ich wielkość cenię,
„Cóż mię ich dom obchodzi, lub ich urodzenie?“
O zacny Rzymianie! jak twa mowa słodka!
Słuszna ci, że pochodzisz od wielkiego przodka,
Boś szlachetne miał serce, gdy szlachetne usta.
Królu nasz! często przywódź te słowa Augusta!

Zygmuncie, tyś Augustem narzeczon niemarnie:
Niechaj cię Augustowa i cnota ogarnie,
Niech muza w tobie swego opiekuna widzi,
Wierzaj mi, ta opieka króla nie zawstydzi;
A tak idąc w małżeństwo w zachowaniu bożém,
Będzie ptak dobréj wieszczby latał nad twém łożem,
Muza służyć ci będzie, jako ojcu służy,
Byleście tylko oba kwitli nam najdłużéj!
Berło z berłem, król z królem zespoliwszy głowy,
Uczęstniczcie na tronie chwały narodowéj.
Nieba! przyjmijcie modły, wysłuchajcie czule,
Któremi ziemia polska modli się za króle,
Za króle szczodrobliwe w swą łaskę książęcą.
O Boże! przyjmij modły, co poddani święcą.

28 stycznia 1847. Załucze.

RYMY ŁACIŃSKIE
JANA KOCHANOWSKIEGO.

ELEGIA I.
(Księga I. Elegia 2).

Hoc dodoneas tibi dicere crede columbas.

W dodońskich synogarlic wierz prorocze słowa:
Nie zawżdy się i Barses poczciwo zachowa!
Fedra, ogniem występnym płomieniejąc cała,
Na głowę Hippolita klęskę wywołała.
O! jak się na zbrodnicze kwapiła rozkosze,
By serce pasierbowe skłonić ku macoszel

Czy z mężem, czy bez niego, myśl ją trawi cicha,
I oko płomieniste od łez nie wysycha;
Często chadza do gajów — nie Dyany pyta,
Lecz prosi u Wenery serca Hippolita;
Wśród dnia jéj wrzące myśli zgryzota zatruwa,
Wśród nocy na bezsennych rozmyślaniach czuwa.
Cóż taić żar powolny, co przegryza łono?
Tych ogniów nie zagasić, nie pokryć zasłoną;
Raczéj miluchném słówkiem wyznaj udręczenie,
Wszak on nie syn tygrysa, ani lwicy szczenię.
Twoje lice tak krasne i żądz tyle łechce,
Prostak chyba tych wdzięków posiadać nie zechce.
Zgwałcić płonne krwie związki?! i cóż za obawa?
Czyż i bogi w Olimpie szanują te prawa?
Sama powiedz mu wszystko, odkryj mu swe bole,
Nie przez zdradne służebne, ani przez pacholę;
Pacholę i służebna zniewierzyć się mogą,
A miłość za niesławę — to kupować drogo!
Więc od rozkosznych myśli szalona i wrząca,
Ani mogąc pod sercem zataić gorąca,
Modli się: „Bozka Wenus, pofolguj niebodze!
„Wiedź mię wedle pragnienia na ponętnéj drodze!“
Rzekła, trwogą, nadzieją rzucana na dwoje,
Z drżącém sercem kołata w kochanka podwoje;
Weszła — oczy jéj błądzą, chwieją się kolana,
Ujrzała Hippolita — i zbladła, jak ściana;
Usta drżą, niespokojne kołysze się łono,
I cicho wyszeptała swą prośbę szaloną.
Młodzieniec się zdumiewa z tak śmiałego ducha,
Pyta, dziwi się, mówi — lecz Fedra nie słucha,
I w gwałtownych uściskach plotąc rączki hoże,
Nic więcéj oprócz *kocham* wymówić nie może.

Poznał pasierb występne macochy zamysły,
Zrozumiał łzy namiętne, co z oczu jéj trysły:
—„Jak to!—rzekł—o występna! taż cię myśl prowadzi?
„Czy cię furya ośmiela? czy ci piekło radzi?
„O hańbo! o wyrodku! o zbrodnicza głowo!
„Jam cnotliw, mnie nie skusić piekielną podmową!“

Wyrwał się, uciekł prędko,—jego twardéj duszy
Ani prośba nie zmiękczy, ni płacz nie poruszy.
Co czynisz, nieszczęśliwy? zgubiłeś się zgoła;
Czyż żądza zawiedziona pomsty nie zawoła?
Zaliż ciebie nie spotka hańba lub mogiła?
Wróć, klęknij, Hippolicie, gdy ci głowa miła!
Nie wrócił, dopadł konia i pośpiesznie znika,
Snadź nie wie, jako Wenus karze niewdzięcznika.
A Fedra? O! jéj miłość, jéj żądze i siły
We wściekłą się i w krwawą nienawiść zmieniły;
Bojaźń męża i sędziów, hańby i bezcześci,
Jeszcze bardziéj zawściekla jéj umysł niewieści.
A więc gubi pasierba, i skarży go o to,
Że chciał łoże ojcowe nabawić sromotą.
Wierzy łacny Tezeusz, przyjmuje potwarze,
I syna z rodowitéj ziemi wygnać każe,
I jeszcze za wygnańcem tak przeklęctwo ciska:
—„Ojcze mój! wielki władco morskiego łożyska!
„Wszak jeszcze słowa bogów nikogo nie zwiodły,
„Wspomnij, żeś przyrzekł trzykroć wysłuchać me modły,
„Oto jedno z mych życzeń: niech mój syn zbrodniczy
„Dzień dzisiejszy ostatnim żywota policzy!“
Neptun łacno wysłuchał modły Tezejowe,
I wnet gotuje klęskę na młodzieńczą głowę;
A właśnie po nad morzem, w tymże samym czasie,
Pędził wygnany młodzian na żartkiéj kolasie.

Wtém byk straszliwych kształtów wynurzył się z morza,
Rumaki przepłoszone pędzą na bezdroża,
Wóz pęka, młodzian pada, konie rwą w ubocze,
Młodzian wleczon cuglami na śmierć się gruchocze.
Oto jak się okropnie pomściła macocha:
Kara godna każdego, kto niewiast nie kocha.
Barses! nie dróż się wielce, bo ucierpisz srodze;
Niech ci ta moja powieść służy ku przestrodze.

ELEGIA II.

(Księga II. Elegia III).

Quid me tam variis torques, amor improbe, curis?

Miłości! za cóż mię udręczasz tylu klęski?
I tu, i owdzie pchniesz, tak silnie, tak zdradziecko?
Gdzie moc? gdzie mężny duch? gdzie jest mój duch [zwycięzki?
Gwoli rozkazom jéj—ja korzę się, jak dziecko.
I lekka głowa drży, jak z wiatrem splot pajęczy,
Jako sitowia krzew, co fal i wiatrów słucha.
Ja cierpię, leję łzy, ja widzę, kto mię dręczy,
Lecz mścić się moich klęsk—nie umiem zebrać ducha.
Mam-li w jéj ucho nieść i żale, i wyrzuty,
I mój wydatny grzech zmyć przez kłamliwe płacze?
Śpieszcie ratunek dać, ach! otom w więzy skuty,
Stoję za progiem drzwi i próżno w nie kołaczę?
Nie wezmę ludzkich serc, nie przyjmę ich ofiary,
Szalony! raczéj skał o litość proszę ku mnie,
Nie iżbym wzgardził świat, albo się lękał kary,
Iż truję ludziom sen, wołając bezrozumnie,
Lecz nie zna miary człek, kiedy ku zgubie idzie,

A żadna rada dziś mych szałów nie rozbroi.
Ciesz się, miłości, ciesz! tryumfuj, zły Kupidzie!
Oto już rozum mój w ruderach smutnych stoi.
Tyś cały ziemski kraj, tyś morską okuł wodę,
Tyś ciemnych piekieł król, tyś pan w Jowisza dworze,
Tyś biedne serce me, za moje grzechy młode,
Zagmatwał w mocną sieć, że wyrwać się nie może.
Pod twardą wolą twą zniszczało życie moje,
Bez folgi jarzmo rznie i ciśnie kark żelazem;
Niechże zapomnę mąk, niech serce uspokoję...
Ja nienawidzę jéj—dla czegoż kocham razem?
Jakże rozliczna myśl w moich się piersiach tai!
Tu pała srogi gniew, tu miłość bije w strony,
Skrwawione wnętrze me, rozwlekłe w dziewięć stai,
Żarłoczne sępy dwa szarpają swemi szpony.
Pójdę gdzie wskaże wzrok, na drogę gdzieś kolczastą,—
Bóg żegnaj, druhy, was, doznanych w złéj potrzebie!
Pójdę, bo łatwo dom, łatwo porzucić miasto,
Lecz niedość chyżo biedz, by umknąć sam od siebie.
Pójdę, bo muszę iść, pójdę w głębokie knieje,
Pomrok dla smutnych dusz prawdziwą jest pociechą,
Tam bujno wszelki kwiat i trawa zielenieje,
Tam ptactwa słodki gwar rozlewa leśne echo,
Tam psów i łowców wrzask zające trwożne płoszy,
Tam osmolony dzik plącze się w sideł zdradzie...
Ach! nieszczęśliwa pierś nie czuje w tém rozkoszy,
Miłość u bladych ust milczenia pieczęć kładzie!
Do miasta wrócę znów,—żegnaj, zielony lesie!
Przykro mi w gajach żyć, precz wioski, precz mi zdroje!
I miasto nudzi mię, i życie—umrzeć chce się...
Zdradny miłości Bóg zamroczył chwile moje.

ELEGIA III.

(Księga I. Elegia X).

Quid deploratae produco tempora vitae?

Za cóż przedłużam opłakane chwile
I noszę bliznę na sercu tajemną?
Wprzód zmiękczę skały i góry przychylę,
Niż pani serca zżali się nade mną.
Póki nadzieje łechtały me zmysły,
Szedłem, gdzie losy pchnęły mię swą siłą;
Dziś złote widma pierzchnęły, rozprysły,
Nie masz nadzieje, to i żyć niemiło.
Cóż dłużéj czekać? czy stępiały miecze?
Dla biednéj piersi czyż topieli niéma?
Staréj miłości inak nie uleczę,
Kiedy nadzieja pierzchła przed oczyma.
Lecz wiarołomna! wara lżyć me prochy!
Nie czyń im krzywdy swojém urąganiem;
Choć przez cię zginął zapaleniec płochy,
I ty okrutna śladem pójdziesz za nim.
Gdy Kallirhoe na imię Bachowe
Była zabita ofiarnym bułatem,
Ten, za którego dała biedną głowę,
Nie był jéj krewnym, ni siostrą, ni bratem,
Jeno kochankiem—choć wzgardzon boleśnie,
W swoich ofiarach nie oznaczał granic;
Sroga dziewica ujrzała zawcześnie
Jak wierne serce uważała za nic.
Przy trupie jego ofiara złowroga
Umiera z sercem przebitém żelazem.
Ja wcześnie umrę, lecz nie ciesz się, sroga!
Bośmy za jedno, i pomrzemy razem.

Gdy mię przeżyjesz, o biada ci, biada!
Będę cię dręczył z najmilszą rozkoszą:
Gdy zechcesz spocząć, moja mara blada
I dzikie widma ze snu cię wypłoszą;
Gdy czuwać będziesz, tuż przy tobie stanie
Szkielet kościsty, otoczony w ciemno;
Będę cię wzywał przez głośne wołanie,
I zaklnę ciebie, byś cierpiała ze mną.
Złorzeczyć będziesz, żem umarł przez ciebie,
Przeklniesz twe wdzięki, twą duszę skalaną,
Zadymisz piekłom ofiarę siarczaną,
By mego ducha przebłagać w Erebie.
Lecz zapozwana o haniebne zbrodnie,
Skłonisz twą głowę przed piekielną władzą;
Tam twoja miłość uwieńczy się godnie,
Tam wedle dzieła nagrodę podadzą.
Gdzie Danaidy, mężów morderczynie,
Bezdennéj stągwi napełnić nie mogą,
Gdzie potępieniec Iksyon nie ginie
Wplecion do koła, choć cierpi tak srogo,
Gdzie Syzyf kamień ku górze podchwyta,
Co wciąż odpada z góry pochylonéj,
Gdzie Tytyusza rozwlekłe jelita
Żarłoczne ptaki rwą swojemi szpony,—
Musisz w tę czarną dostać się krainę,
Pomnożyć liczbę potępieńczych cieni.
Ja, niezmazany, nurt Styksu przepłynę,
Dojdę pól świętych, gdzie żyją zbawieni,
Gdzie niema trudów, gdzie nie jęczą z płaczem,
Gdzie śpiew i taniec, gdzie w cichéj ustroni
Serdeczna Safo przed czułym słuchaczem
Dźwięk miodo-płynny swojéj lutnie roni.

Z czołem obwitém w wawrzynowe liście,
Tuż siedzi Orfej na lirze oparty;
Daléj Lukrecy pieje uroczyście,
Co się tak pięknie wsławił swemi karty;
Za nimi cieniów tysiące zebrane,
Których podobne i losy, i dusze:
Tutaj i dla mnie miejsce zgotowane,
Znam mą niewinność i dobrze jéj tuszę.
Giń z mego serca, mądrości jałowa,
Co wierzysz w pogrzeb i ciała, i ducha!
Ja wierzę w przyszłość, bo jéj święte słowa
Brzmią w ziemskiém życiu, jak dobra otucha.
Ilekroć zmrokiem szmer usłyszysz rzezki,
Lub po grobowcu przemknie się cień chyży,
Wtedy zapewne dobry duch niebieski
Święty swój polot ku ziemi przybliży,
Hamuje dufność, osładza złe losy,
Strapionych ziemi dźwiga pod niebiosy.

ELEGIA IV.

(Księga III. Elegia III).

Ullane mi est oritura dies tam candida...

Bogdaj mi jasnéj chwili dozwolono,
Gdy, krasna dziewo, przytulisz mi łono!
Wolnoż to wróżyć i modlić się o to?
Czy ty zostaniesz innemu pieszczotą?
O! wprzód kamieniem zostałbym ochotnie,
Nim ta wieść sroga w moje uszy grzmotnie!
Niech mię los dręczy, niech w gruzy zagrzebie,
Bylebym tylko cierpiał nie przez ciebie:

Ta mi nadzieja w czarnéj doli świeci,
Ta kiedy zniknie, i życie uleci.
Jeden chce złota, i złotem niesyty,
Drugi dał prace na sławne zaszczyty,
Temu zwycięztwa miły tryumf pusty,
Inszy zaufał w swój dar złotousty;
Moja nadzieja przy tobie została,
Tyś me bogactwo, tyś mój dank i chwała.
Miłość to męka, jéj szczęście, jak we śnie,
Choć nie ma cierpień, a czekać boleśnie.
Kiedy się serca kochanków zażyły,
Nic im nie znaczy Zodyak pochyły:
Czy zachód słońca, czy zorze pobledną,
Czy rok się kończy, dla nich wszystko jedno.
Ty! co me losy rozstrzyga twe oko,
Krasna dziewico, nie dręcz mię przewłoką!
Mnie nie uszkodzi złość lub zawiść czyja,
Gdy ty mi sprzyjasz, wnet wszystko mi sprzyja.
Znasz moje serce, bądźże mi łaskawa,
Nie nasza siła zgnieść miłości prawa.
Kochało czułe Zaryadra łono
Piękną Odatę, raz we śnie przyśnioną,
I ona k'niemu wzajemnością pała,
Choć go jedynie w marzeniach widziała;
Kochali siebie, choć nie widząc w oczy,
Bo miłość serca odległe jednoczy.
Oboje wzrośli pod królewską strzechą,
Ona u ojca jedyną pociechą.
Próżno jéj ręki proszą obce króle,
Król dziewosłębom odmawia nieczule,
Bo gwoli duszy ojcowskiéj potrzebie
Tęskno mu córę wypuścić od siebie.

Więc szuka w dworskich rycerzy natłoku
Zięcia, co mógłby żyć przy jego boku.
Ufa w jéj sercu i otuchę bierze,
Bo snów jéj nie zna i łez nie dostrzeże.
Kazał we dworcu złotem obić ściany,
Zgotować ucztę, dobyć roztruchany,
Sprosić swe radne i rycerstwa wiele:
—„Dzisiaj — rzekł — święto, méj córy wesele!“
Siedli do uczty wesołéj przytomni.
Gdzież oblubieniec? król o nim nie wspomni;
Królewna, płacząc, dziewiczych warkoczy
Trefi swe włosy i suknie obłoczy;
A tam przy stole puhar w puhar brzęczy,
Poeci pieją swój wiersz nowożeńczy.
A kiedy uczta zawrzała wesoła,
Oblubienicy wołają do stoła.
Zadrżała dziewka i zbladła, jak ściana,
Kiedy ojcowskim rozkazem wezwana
Weszła na pokój—i wstydem się żarzy
Na widok tylu nieznajomych twarzy,
Jako o wschodzie kraśnieje z nad wody
Zaranna jutrznia, zwiastunka pogody.
Wstało rycerstwo z oznakami cześci,
Król ją przywitał, uściska i pieści,
I rzecze:—„Córko, na twe gody przyszli,
„Uwesel serce i bądź dobréj myśli.
„Patrz na tę młodzież, kwiat między rycerze;
„Okiem i sercem przywitaj ich szczerze,
„I naléj winem to złote naczynie:
„Komu dasz puhar, mężem twym uczynię.
„Wybieraj, córko!“

Lecz nie chce małżonka,
Gdy Zaryadres w jéj myślach się błąka.
Niedawno, kreśląc nieszczęśliwą dolę,
Wysłała k'niemu swe wierne pacholę.
On wtedy walczył nad Donem ze Scyty,
Gdy był tą wieścią, jak gromem, przebity;
Więc w mgnieniu oka, jak na lotnym ptaku,
Na swoim dobrym poleciał rumaku.
Brnie przez sumioty, przez rzeki, bez drogi,
Mknie się, jak strzała, rumak wiatronogi.

Ostatnie blaski zachodu migocą,
I szary wieczór zaciemnia się nocą,
Gdy on przyleciał nad zamkowe czaty,
I szedł w nieznane królewskie komnaty.
Tam od lamp jasno, gdyby w światłość dniową,
Poważni męże bawią się rozmową,
Na stołach czasze, a od nich migota
Lustr polerowny od srebra i złota.
Młodzież się cieszy, a tam gęśle tkliwe
Proszą Junony o śluby szczęśliwe,
A tu królewska zapłakana dziewa
Powoli wino do czaszy nalewa.
Poznał dziewicę, a serce odgadło,
Że to jest lube snów jego widziadło,
I szepnął do niéj:—„Cóż stoisz niepewna?
„Jam Zaryadres!“—Spojrzała królewna:
Krasny młodzieniec, jako postać żywa
Tych drogich rysów, co we śnie widywa.
Więc mu podając czarę napełnioną,
Sama się rzuca na lubego łono.

Nim ojciec dostrzegł, nim zwarto podwoje,
Już rumak uniósł kochanków oboje.

ELEGIA V.

(Księga III. Eleg. XII).

Ecquid ignotas abii diversus in oras.

Kiedy odjechać konieczność mię zmusza,
Gdym w obcéj stronie, czy tęskni twa dusza?
Czy też, jak z oczu, tak z serca uchodzę,
Że ani wspomnisz o samotnym w drodze?
O! luba moja, czemu nie wiesz, czemu,
Jak tu bez ciebie ciężko sercu memu!
Jak dniem i nocą, za domem, daleko,
Im daléj, głębsze wspomnienia mię pieką!
Sen gdy mię skrzydły w utuleniu trzyma,
Wnet jakby smutna stajesz przed oczyma;
Sen tylko dla mnie! tą marą się trwożę!
Ach! dla innego rzeczywistość może!
Bo są czyhacze! bo czyliż zadrzémie,
Kto serc zdobyczą rozgłasza swe imię?
Napróżno Akryz miedzianą kuł wieżę;
Próżno ją zamek i zgraja psów strzeże;
Przemogły wszystko zakazane psoty:
Piękną Danaę przeniknął deszcz złoty.
Lecz marne złoto, marny klejnot wschodni:
Ty nie ulegniesz wiarołomstwa zbrodni!
Cierpi Helena i w piekłach sromotę,
Że dla zwodnika w obcą weszła flotę.
Jak chlubny tryumf Penelopy czystéj!
Okryta blaskiem chwały wiekuistéj,

Sławi się dotąd! Ulisses pod Troją,—
Zalotni żonę kuszą, niepokoją,
Każdy z nich końca roboty jéj czeka;
Ona podstępem zmówiny odwleka.
Ten wzór, o luba! niech się w tobie ziści:
Nad wiarę, sławę, nie przenoś korzyści.
Korzyść to ciągnie żeglarza do zguby,
Co tonąc, głuchym wzniósł bałwanom śluby.
Gracz po zysk wyszedł; jakże mu to zganim,
Gdy nocą, milczkiem wejdzie rozpacz za nim!
Mnie, ni sydońskie złotem tkane szaty,
Ni z mórz indyjskich rząd pereł bogaty,
Lecz twarz, co obcéj barwy nie pożycza,
Lecz purpurowa wstydliwość dziewicza,
A nadewszystko mnie twe obyczaje,
Twoja mię szczerość władzy twéj poddaje.
W tém jest miłości podnieta i trwałość;
Gdzie brak tych bodźców, razi okazałość,
A gdy niesława zada życiu plamę,
Téj nie osłonią i brylanty same.
Jeśli tém pismem obrazić cię mogę,
Przebacz! wszak miłość rodzi zawsze trwogę.
Wiem, że w mém sercu wznieca ją daremnie,
A więc obawy pochodzą tu ze mnie:
Lęka się mąż twój, bo cię mąż twój kocha,
O! droga moja! moja ty pieszczocha!
Niech też wędrowiec przeziębły na Żmudzi,
Wzajemną pamięć w sercu twém obudzi!
Pomnij co chwila, że w téj radbym dobie
Wrócić, że duszą tam jestem, przy tobie!

Przełożył *Szymon Konopacki.*

10 lipca 1847 r. Ławrynowce.

ELEGIA VI.

(Księga III. Eleg. XVI).

Nuntius advenio vobis, audite, puellae.

Gońcem do was przychodzę, dziewice! Słyszycie?
Nie wiem, czy słowa moje żywo was zadrasną;
Lecz co mówię, to prawda, klnę się na me życie,
Jako w nocy jest ciemno, a w południe jasno.
Oto młodzian zaszczytny, krasnego oblicza,
Dzielny piórem i słowem, znany w naszéj ziemi,
Dudzicz, mówca u królów, nadzieja dziewicza,
Związał się już na zawsze węzły małżeńskiemi.
Jedna wzięła, co wszystkie pragnęłyście może,
Wiatr rozchwiał, jak tumany, wasze chęci skromne!
Gdzież wiara, gdzie jest stałość, gdzie są pomsty boże
Za sterane nadzieje, klątwy wiarołomne?
Folgujcie troskom serca, w daremnéj żałobie
Niech wam spokojem Wenus ukołysze głowę.
A ty, dziewico krasna, czołem, czołem tobie,
Żeś była godna posiąść serce Dudziczowe!
To serce, co bywało jak warownia mocna
Na Francuzek i Włoszek zalety figlarne,
Pozyskałaś na zawsze, dziewico północna,
Widział snadź, żeś tak jasna, jak śniegi polarne.
On dla niéj wzgardził dolą bogactwa i cześci,
Bo nad cześci, nad skarby przekładał jéj łono;
A ona gwoli jemu rzuca bez boleści
Uściski rodzicielskie i ziemię rodzoną.
Zkądże zacz te zapały w mężu i kobiecie?
Czyliżby prawdę starzy mawiali Grekowie,
Że ten wcale niebacznie, nierozumnie plecie,
Kto jednego człowieka całym człekiem zowie,

Bo jeno połowicę sam sobą stanowi?
Słuchajcie! Stara powieść podawa za pewno,
Że póki miłość była nieznana człekowi,
Żył jako leśne zwierzę, jak nieczułe drewno.
Bez słodyczy społecznych, ci biedni nędzarze
Przepędzali w dziczyźnie swój żywot surowy:
Na pojedyńczych barkach nosili dwie twarze,
Jedną wstecz, drugą naprzód obróconą głowy;
I miewali rąk czworo ci potwory leśni,
Biegali krokiem szybszym, niż jeleń lub łani;
I byli to ogromni siłacze cieleśni,
Wszechmocni w swojéj woli, w chęciach wyuzdani.
I w hardéj swojéj pysze, jak dawne olbrzymy,
Rokosz przeciw niebiosom podjęli hałaśnie.
Więc się radzą bogowie: —„Co zacz uczynimy?
„Jeśli zniszczym rokoszan, toć plemię zagaśnie!“
Jako więc upokorzyć zbuntowane plemię,
Nie mogła się uradzić rada jednakowa;
A wtém Jupiter, ojciec i nieba, i ziemie,
Dał słyszeć uroczysty grom swojego słowa:
—„Bądźcie spokojnéj myśli! otuchę wam głoszę,
„Bom już wynalazł środek bezpieczeństwu gwoli.
„Ja i ziemię, i niebo w mojém sercu noszę,
„Ziemia się nie wypleni, a niebo wyzwoli.
„Harde syny Japeta k'niebu się nie zbliżą,
„Moja prawica śmiałków na dwoje rozsiecze!“
To rzekł i snom rozkazał, by leciały chyżo,
Rzucić twarde uśpienie na oczy człowiecze.
Te różdżkę umoczywszy w letejskim potoku,
Deszczem usypiającym kropią ludzkie czoła.
Wnet senne odrętwienie zamżyło w ich oku,
I zastygłszy w drzemaniu, polegli do koła.

Jako gdy bujną trawę podstrzyżesz żelazem,
Trawa się jeno chybnie i w przekosy kładzie,
Tak mężowie pośpieni układli się razem,
Sen, jako mór, przebieżał po całéj gromadzie.
Tymczasem Jowisz myśli wykonywa swoje:
Z Febem obchodzi sennych, i przy każdym stawa,
I mieczem każdą postać rozpłata na dwoje,
Jedną głowę, dwie ręce każdemu odkrawa.
Febus idzie za ojcem po całéj gromadzie,
Jak lekarz pilno staje nad każdą połową,
Na rzniętych tułowiszczach swoje ręce kładzie,
I namaszcza balsamem, i ulecza zdrowo.
I oto znów do życia powróciła tłuszcza;
Jowisz wzniósł się do niebios na współbogów łono,
A kiedy ludzkie ciała twardy sen opuszcza,
Zdumieli się, ujrzawszy, jako ich zmniejszono.
Biegną, łączą się z sobą, trwożni i ciekawi,
Każdy swéj połowicy najtroskliwiéj szuka;
Ta żądza niespokojna dzień i noc ich trawi,
Pokąd łaskawéj Wenus nie przyszła nauka.
Ta wszystkie dawne serca złagodziła pięknie,
Dodała dzikiéj żądzy słodycz tajemniczą;
Ztąd miłość, w któréj dusza zdrowieje i mięknie, —
Cóż za dziw, że miłości płci obie tak życzą?
Człek rozkrojon na dwoje—a jakież więc dziwo,
Że szuka swéj połowy choć w miejscu dalekiém?
I nasz Dudzicz, zaiste, winszujmy życzliwo,
Nie jest już połowicą, ale całym człekiem.
Znalazł drugą część siebie, przebył ostre ciernie.
Z téj doli, jak przyjaciel, cieszę się niezmiernie.

ELEGIA VII.

(Księga IV. Eleg. III).

Quae vaga curricula, o Firleu, quae reampla theatra.

Nie amfiteatr, nie wóz zapaśniczy,
Nasze, Firleju, zadowoli oczy:
Nam bardziéj k'sercu widok tajemniczy,
Ponętny widok natury uroczéj.
Czyż malowidło spodoba się tyle,
Jak kwiat, ocienion na barwy tysiące?
Czyż mocniéj błyszczą kryształy, beryle,
Nad majską rosę, co błyszczy na łące?
Pochyłe wzgórze, lub bór gęsto-liści,
Lub błędna fala, co w ciągłéj podróży
Nie saméj jedno przyjemności służy,
Lecz niesie piękne owoce korzyści.
Ztąd człek śmiertelny pożywienie bierze,
Gdy krzepkim pługiem rznie skibę na roli;
Ztąd miały paszę bydlęta i zwierze,
Co wysługują człowiekowi gwoli.
Same pustosze dzikie i nieżyzne
Swojemi skarby zadziwią najsłodziéj;
Bo niech-no oracz skarczuje nowiznę,
Na wagę złota swój pot wynagrodzi.
Ani perłowe konchy oceanu
Nie są tak cenne, jak te sterty zboża:
Dań nieprzebraną niosą swemu panu,
Jako strumienie i rzeki do morza.
Patrz na wysoką firmamentu nawę,
Jak ci się wyda za pogodną nocą,
Kiedy Hyady, Plejady złotawe
Iskrami ogniów na stropie migocą?

Tu Oryona płomieniste kreski
Straszą żeglarzów, bo tu grozi burza;
Tu ćma gwiazd inszych; firmament niebieski,
Szparko wirując, w zachód się ponurza;
Tu zodyacznych pięć dopatrzysz zorzy,
Tu błędne gwiazdy w ruchawym płomyku...
Z tych kołowrotów cały rok się tworzy,
I pasmo wieków bez końca, bez liku.
A w środku słońce żarzy się i świeci,
Na bystrych koniach pomyka się cudnie;
Z niego pogody, burze i zamieci,
Mroźliwa północ i skwarne południe.
Księżyc, co ciągle to stary, to nowy,
To w jasnéj pełni, to w półnowiu bladém,
Nie bez przyczyny, ani bez wygody
Stworzon tak blizkim dla ziemi sąsiadem:
Aby, na twarzy mając przemian tyle,
Ściągnął na siebie uwagę człowieczą,
By człowiek, w ziemskim zakurzony pyle,
Uczył się myśleć nad niebieską rzeczą.
„*Poznaj sam siebie*,“ do dawnego Greka
Czyż to źle rzekli delficcy wróżbici?
Poznaj, Firleju, przyrodę człowieka,
A dość twój umysł zajmie się, nasyci:
Jak różne kształty natura wydaje,
W jak różną postać oblekła swe dzieci,
A każda postać ma swe obyczaje,
Cóż więc dziwnego, że w tyle stuleci
Ledwo trzech drużby dojrzano oznaków?
Bo różność serca zgody nie wytrzyma.
Gdzie różność chęci, gdzie duch niejednaków,
Tam pewno węzła przyjaznego niéma.

Czytasz, Firleju, o Sfinksach, lub Scylli,
Lub o Centaurach—nie śmiéj się z téj zgrai;
Ci cudowiska, choć nigdy nie żyli,
Lecz w nich nauka treściwa się tai,
Że człek hołduje dwoistéj przyrodzie.
Patrząj na ludzi, na ich twarz namiętną:
Tego gniew burzy, tego żądza bodzie,
Gdzie tu rozwaga? gdzie rozumu piętno?
W żądzy namiętnéj niebaczni i dzicy,
Pamięć na siebie zatracamy w gniewie,
Jak koń szalony, zerwan z uździenicy,
Leci, ucieka, choć sam drogi nie wie,
Pędzi, czwałuje, lęka się i płoszy,
Już go nie pojmać, — i ludzka czereda,
Gdy hasa w ślepym popędzie rozkoszy,
Pewno się wstrzymać i ocuglić nie da.
Daremnie nosi człowiecze nazwisko
Ów, co hołduje popędowi chęci;
Jest to Centaur, zlepek, cudowisko,
Ciało ma ludzkie, lecz umysł bydlęci.
Czyż z tymi ludźmi w jakimkolwiek czasie
Godzi się równać wielkich mężów łona?
Czyż wszystko człowiek, co człowiekiem zda się,
Co nosi głowę, ręce i ramiona?
Nie ci są męże, co ciałem odziani,
A ducha swego zwierzęcą sromotnie;
Mąż jest—kto idzie, gdzie rozum hetmani,
Kto fałsz i prawdę rozpoznawa lotnie,
Kto z dróg występków dróg cnoty dochodzi,
I kto następność z początków obliczy,
Takiego człeka mężem zwać się godzi.
Kto się w tych rzeczach ustawicznie ćwiczy,

Narzucił jarzmo swym żądzom na szyję,
U niego cnotą sprawiedliwość święta, —
Taki właściwie życiem ludzkiém żyje
I na szlachetność ludzkiéj krwi pamięta.
Za słoném morzem, gdzie przestrzeń daleka,
Gdzie twarde prawa śmierci i boleści,
Gdzież jest zacniejsze zwierzę nad człowieka?
A czemuż człowiek, jak zwierz się bezcześci?!
„Świat dla nas stworzon, z darami swojemi!“
Zwykliśmy mówić—lecz wątpię coś dużo:
Patrz na użytek powietrza i ziemi,
Wszak to człekowi i bydlętom służą.
Gdy ród stanowi te szczeble wzajemne,
Nie bierzmy jeszcze zuchwałéj otuchy:
Jesteśmy wyżsi nad zwierzęta ziemne,
Lecz wyższe od nas nadobłoczne duchy.
Gdy tworząc światów Bóg łaskawy tyle,
Chciał dać pierwszeństwo człowieczéj przyrodzie,
Za cóż tygrysy, lwy i krokodyle
Stworzył na ziemi gwoli naszéj szkodzie?
Przecz głód nas nęka? przed zarazą drżymy?
Przecz dajem śmierci daniny ofiarne?
Mijam krainy wiekuistéj zimy,
I kędy słońce promienieje skwarne;
Mijam przepaści, i morza, i skały,
Wolę godziwsze, bezpieczniejsze żniwo.
Czemuż grunt ziemski ciernisty, stwardniały,
Tak się oraczom stawi uporczywo?
Człowiek, szarpany od dzikiego głodu,
Nie szczędzi siły, nie patrzy, że praca:
Rznie sochą skibę, — ileż to zawodu!
Ileż się razy trud w niwecz obraca?

To susz lipcowa nasze morgi pali,
To deszcz rozgrzęzi, to wiatr je ostudzi.
Źle więc, Firleju, źle mówią zuchwali,
Że cała ziemia stworzona dla ludzi.
Powiedzmy raczéj, że Ojciec, co w Niebie,
Rządząc się swoją Opatrznością Bozką,
Swoje ma cele, dla samego siebie
Ulepił ziemię prawicą mistrzowską.
Ażeby wydać znakomite dzieło,
Godne swéj siły, mądrości, dobroci.
Gdzież co większego nad ten cud stanęło?
Gdzie mistrz bieglejszy? . . . .
On miłém okiem po całym zakresie
Swojemu dziełu przygląda się bacznie.
U nas, gdy bogacz wielki pałac wzniesie,
Już go wspaniale przyozdabiać zacznie,
By odpowiadał znaczeniu i cześci,
Świadczył przychodniom bogactwa książęce;
Stare swe skarby w komnatach umieści,
Złoto, marmury, oręże i wieńce,
Konie i służbę, od tego dom pański
Ma swą wygodę, ztąd cześć jego znamy.
Tu widzisz: bogacz, jak król afrykański,
Słonie postawił na straży u bramy,
I w swojém sercu pyszni się i cieszy,
Mniema, że będzie wiekować budowa.
Śmiejesz się z niego, bo czyż nie rozśmieszy
Taka chełpliwa, nierozważna mowa?
Chyba opilcy śni się nie do rzeczy,
Że świat na jego stworzony wesele,
Kiedy sam rozum i natura przeczy,
I świat wskazuje, że wyższe ma cele.

Tak! wyższe cele: ten przestwór daleki,
To boży kościół, zbudowany gładko;
A my śmiertelni i przelotne wieki
Jesteśmy Pańską służebną czeladką.
Ziemia jest bożą, i ku bożéj chwale,
Jeno z niéj zażyć na pożytek dano;
Wzięliśmy od niéj rozliczne metale,
Na których służby nasze wypisano:
Żelazo czarne, jako rola czarna,
Bo niém się kroi chleborodna niwa.
Miedź różnie służy, więc w rozliczne ziarna
Jak boże słońce jasno połyskiwa;
A srebro zasię dane człowiekowi
Wyciągać jady, dopomagać w boju.
Złoto świat rządzi i prawa stanowi,
Daje bogactwo i żywot w spokoju.
Kto bez łakomstwa, lecz jak chce przyroda,
Szuka z tych darów właściwéj korzyści,
Swojéj ojczyźnie prawych ozdób doda
I rozkazanie Najwyższe uiści.
Śmiałe nadzieje niech rokuje wcześnie,
Śmierć go postawi na prawicy bożéj;
Lecz w czyich ręku metal się zapleśni,
Chciwiec—ojczyźnie blasku nie pomnoży!
Jako czmiel w pszczołach, Pospolitéj Rzeczy
Będzie szkodnikiem, cały wiek przejęczy;
A w jego trupie ropucha zaskrzeczy,
A jego duszę furya udręczy.
Bo nasza dusza słodko lub dotkliwie
Na całą wieczność przetrwa w swoim bycie;
Bo gdy Bóg żywie, sprawiedliwość żywie.
A jednak często na ludziach widzicie,

Że poczciw znosi dolę nieszczęśliwą,
Że występnemu sprzyjają zamiary.
Więc Bóg niesłuszny?—O nie! jako żywo!
Indziéj jest wieczność nagrody i kary.
Nad żywém ciałem nie spełnią wyroku,
Lecz kiedy ciało skazitelne złożym,
Gdy wielka przyszłość da się widzieć oku,
Wtedy ulegniem wielkim sądom bożym.

PIEŚŃ ZWYCIĘZKA.

(Epinicion).

DO STEFANA BATOREGO, KRÓLA POLSKIEGO, PO ZWYCIĘZTWIE I ODZYSKANIU INFLANT W R. PO N. CH. 1582.

Doride cum cythara et cum dulce sonantibus odis.

Dwunasto-wiersz (Duodenarius).

I.

Weź, muzo, lirę, zgromadźmy się w chory,
Hymn słodko-brzmiący zanócę, jak mogę!
Oto powraca wojenny Batory,
Więc czołobitnie zastąpmy mu drogę.
On nie był w próżnych turniejów obozie,
Szukać szermierskiéj u Frygijców chluby,
Nie na zwycięzkim zapaśniczym wozie
Dąży do kraju i małżonki lubéj;
Ale powracać od Dunaju musi,
Wrogów pierzchliwych złamawszy puklerze;
Dobywszy szturmem stu grodów na Rusi,
Wiedzie swe wojsko na ojczyste leże.

II.

Ten mąż rycerski, ten zapaśnik boży,
I radą wesprze dzieło przedsięwzięte,
I szczerze chrobréj prawicy dołoży.
Starłszy kły czasu ostre i zawzięte,
On starą chwałą olimpijską błyska;
Znikły istmijskie gonitwy olbrzymie,
Umarły w Delfach Febowe igrzyska,
Nemejskich szermów nieznane już imię.
Trawą zarosły cyrki zapaśnicze;
Lecz serce mężów, co na nich walczyli,
Nie zmarło światu,—rycerskie oblicze
Jeszcze do naszéj doczekało chwili.

III.

A król mój, wielki przed innemi wodze,
Tak jasny szatą bohaterskiéj sławy,
Że i Mars przed nim ustąpi na drodze,
I znają męże dank jego buławy.
Ale krom tego, jak inni rycerze,
On nie pogardza i nauk przysługą:
Z nich i cześć swoją, i pożytek bierze,
One mu służą i będą na długo.
A jakaż ludzkość w tych piersiach się chowa!
Jaka łagodność przy takiéj odwadze!
Gdybym przytoczył i czyny, i słowa,
Rzekłbyś, że chyba pochlebstwami kadzę.

IV.

Ani ten w wielkiéj Homerowéj odzie
Sławion Ulisses omijał zasadzki

Tak przenikliwie, przy wszelkiéj przygodzie,
Ani tak bacznie, jako król sarmacki.
Nie tak Ulisses baczny i ochoczy,
Bieżał od morskich potworów przejęty,
Nie tak zamykał i uszy, i oczy
Na głos Syreny i na jéj przynęty,
Jako nasz Stefan, co serce zawarłszy,
Gdzie wszelka rozkosz, gdzie wczas i zabawa,
Swoją prawicę i umysł monarszy
Na twarde prace ochoczo podawa.

V.

Jak, na ojczystéj będąc jeszcze niwie,
Szczerze pracował w wojowniczéj szacie,
Na jakich wojnach hetmanił żarliwie
W krwawym pomiędzy królami rozbracie,
I jako z pięknych korzystał przykładów
(Bo w jego rodzie wodze i książęta,
Bo on Attylów, bo wnuk Huniadów),
Kto inny może dokładniéj spamięta.
Ktoś w późne wieki te dzieła wysłowi,
Pomnieć je będą i cudzy, i swoi,
Przeszłość, i przyszłość—kiedyś śpiewakowi
Wdzięczne wspomnienie do serca się wpoi.

VI.

Zwyciężyć zamach zawiści piekielnéj,
Jest to rzecz godna Herkulowéj siły;
Tobie jednakże, o Batory dzielny!
Tę wielką własność losy przysądziły.
Gdzie zamierzyłeś, wraz doszedłeś celu,

Dali ci serce Polacy z ochotą,
Boś w twoim kraju bogatszy od wielu,
Każdego swoją przewyższyłeś cnotą.
Dank ci złożyła Sarmacya cała,
Kiedy, po króla wybornego zgonie,
Głośnym okrzykiem ciebie zawołała
Na swój sierocy tron po Jagiellonie.

VII.

Prawa królewskie przeleliśmy na cię,
Obiór ku twojéj przechylił się szali,
Panowie rada i naród w senacie
Najpierwéj imię twoje zawołali.
I wszystkie ludy cnéj sarmackiéj ziemie
Słowo wyborców stwierdziły zaszczytnie,
I w pomazańców bożych dyademie
Rycerskie czoło promieni się, kwitnie.
Głośno po kraju od końca do końca
Radosne wieści powtórzyły uście,
Żeś ty ogłoszon, jako nasz obrońca,
Żeś panem naszym wybran po Auguście.

VIII.

Nie będą pono winić mię ziomkowie,
Że jeno gwarzę słowy bezładnemi,
Jeżeli k'rzeczy po krótce wysłowię,
Jaki naówczas był stan naszéj ziemi.
Bo twoja dzielność wyraźniejszą stanie,
Cześć dla mądrości twojéj się obudzi,
I przyszła świetność, o chwalebny panie!
Będzie jaśniejsza dla potomnych ludzi.

Jakież nieszczęście nad nami wyrosło!
Jak od niezgody umiérała prawie
Ziemia lechicka, kiedy, wziąwszy wiosło,
Jąłeś sterniczyć na sarmackiéj nawie!

IX.

W jak krótkim czasie zniszczyłeś rozruchy,
Krzepkiemi cugle osadziłeś zgraję!
Wszedłeś, jak gwiazda życzliwéj otuchy,
Co, skoro błyśnie, już burza ustaje,
Już płyń, okręcie, na morzu swobodnie!
Gdy berło nasze z ręki Jagiellonów
Śmierć wytrąciła, zeszli się przychodnie
Żagarnąć spadek opuszczonych tronów;
Z kraju Francuzów przyszło książę zacne,
Starowny Henryk—długo się kłopota,
Aby, przemogłszy umysły niełacne,
Pozyskał na się rozdzielone wota.

X.

Siła pracował: przeciwnych niemało,
Nie wszystkie serca szły za nim spokojnie;
Nie wszystkie dusze zarówno łechtało
Rzęsiste złoto, co rozsiewał hojnie;
Nie każdy wierzył, że wypełniać zacznie
Co przyobiecał; dosłyszałeś w kole,
Jako niemądrze i jako niebacznie
W ręce Francuza składać Polski dolę.
Lecz gdzież do tyla ostry wzrok człowieczy,
Coby w przyszłości wyczytywał snadnie?
Lub coby, patrząc na pierwiastek rzeczy,
Zdołał wywróżyć, co nadal przypadnie?

XI.

Bo w tylu klęskach dźwignionych na sobie,
Co na Sarmatów cisnął los zajadły,
Wśród niebezpieczeństw, jakowe w téj dobie
Z Walezyuszem na Polskę przypadły,
Żaden poeta lub wieszcz zawołany,
Żadnaby mądrość nie zgadła głęboka
Tego: co przyjdzie, że ów król wybrany,
Co ledwo siedział na tronie pół roka,
Nosi w swém sercu tajemne zamiary—
I w ciemnéj nocy, omyliwszy czaty,
Zrzecze się berła i pańskiéj tyary,
I ujdzie z tronu, jak więzień z za kraty.

XII.

Jak straszna wróżba, ten rozgłos się toczy
I w całéj Polski obiega przestworze,—
Srodzy mężowie, do swarów ochoczy,
Znowu do boków przypasali noże.
Lud się rozdzielił na stronnicze szyki,
Czerń w rozmaite rozrywa się strony,
Nie szczędzą mieczów i groźb zapaśniki,
Nie mogąc spoić myśli poróżnionéj.
Jedni chcą losy znów ważyć na szali
I nowy obiór głosi czerń zhukana,
Gdy drudzy, w słowach i czynach wytrwali,
Skłaniają serce na dawnego pana.

XIII.

Jedni chcą sejmu, bo już klęski syci,
Drudzy upornie toją swe zamiary.

Wśród tych niesnasek poczciwi Lechici
Ojcowski zwyczaj przypomnieli stary:
Złożyli wiecę — tam w rozwadze ścisłéj
Jedni z Francuzem trzymają z ochotą,
Drudzy skłaniają wyborców umysły
Na dom cesarski, wsławiony swą cnotą.
Wątpliwa wszakże, czy szorstkie pokrzywy,
Czy kwiatby zeszedł na ojczyste łany,
I jaki owoc, dobry, czy szkodliwy,
Na naszym gruncie zostałby posiany?

XIV.

Siła obradnych, i młodsi, i starszy,
Za rodakami swe wota stanowi,
I radzi radę, aby tron monarszy
I dyademę przysądzić Piastowi.
Rady przeciwne — jak wichry we fladze,
Od których żagiel rozedrzeć się gotów, —
Aż inni w końcu, tusząc w swéj odwadze,
Skwapliwie śpieszą do twoich namiotów.
Nie śpią francuzcy gromadą zuchwalczą,
Nie śpią cesarscy w téj stanowczéj chwili,
Choć się wzajemnie spierają i walczą,
Choć się ich serce k'jednemu nie chyli.

XV.

Cesarz rozkazał — więc poszli w zawody,
Zebrali wojska dzierżone w zapasie...
I cóż? Sarmaci dalecy od zgody
Dwoistych królów obwołali dla się:

Jedni cesarza, chlubę Austryaków,
A drudzy ciebie, bo znając cię z młodu,
Mogli wywróżyć z nieomylnych znaków,
Jakeś sprawował berło Siedmiogrodu.
Z obojéj strony rozbiegły się posły,
I obu królów ubierano w togę,
I w miastach polskich jęki się rozniosły,
I wszystek naród uderzył na trwogę.

XVI.

We dnie i w nocy naród niespokojny
Drżał, wróżąc klęski na ojczystéj niwie;
Obraz domowych pożarów i wojny
Lękliwym oczom stawił się straszliwie.
Bo już z obu stron obozy wytknięto,
Z obu stron wojska gromadzi się siła,
I tu i owdzie warownie zajęto.
Miedziana surma wojnę ogłosiła.
Struchlał po wioskach lud wojen świadomy,
A mało licząc na bezbronnéj strzesie,
Zabrawszy dziatwę i rzuciwszy domy,
Uszedł, nie bacząc, gdzie noga poniesie.

XVII.

Tutaj widziano zacność wiekopomną,
Jakiéj przykładów w dziejach nie znajdziecie:
Królu! godzieneś, by twą duszę skromną
Jak przynależy opiewano w świecie.
Gdy bowiem państwo, troskliwe o władzę
I przez zazdrosnych zabiegów niemało,
Mając ulegnąć cesarskiéj powadze,
Na jego stronę swe serce skłaniało;

Ty, pełnym żaglem pływając wesoło,
Twój silny rudel wstrzymałeś na chwilę,
I sam zwolniwszy twéj Fortuny koło,
Chciałeś zaniechać jéj obrotów tyle.

XVIII.

Widziała ziemia, jakeś w dobréj myśli
Chciał cesarzowi ustępować danku!
Gdyby on jeno szedł ku dziełu ściśléj,
Nad swemi prawy czuwał bez przestanku;
Ale, dość mając królewskich oznaków,
Puścił bezczynnie dalszych starań wodze,
I sam nie przyszedł po berło Polaków,
I ciebie, mężu, chciał wstrzymać na drodze.
Cieniem królewskiéj władzy i imienia
Chciał puścić tuman w twe rycerskie oko:
Rychło postrzegłeś, że nie w tór sumienia,
Jedno chciał działać zdradziecką przewłoką.

XIX.

Oziębłe serce dostrzegłszy z daleka,
Nie chciałeś czekać w niewolniczym tłumie;
Bo po cóż łaski świadczyć dla człowieka,
Po którym nie znać, że wdzięcznym być umie?
Czyniłeś wszystko dla przyjaznéj zgody;
Lecz skoroś widział, że przyjaźń umknęła,
Więc się ważywszy na wszelkie przygody,
Jąłeś prawicę do wielkiego dzieła.
W kierunku losów puściłeś swe nawy,
Z fortunnym wiatrem twój żagiel się śliźnie,
I załatwiwszy doma twoje sprawy,
Poszedłeś, królu, ku nowéj ojczyźnie.

XX.

Szedłszy nawiedzić święte progi boże,
Serdeczniesś westchnął do rodzinnéj chaty,
I wzrok ostatni siejąc po przestworze,
Takeś jéj mówił: „O moje penaty!
„Piastunko moja, rodzicielska ziemi!
„Żyzna w swych plonach, bogata, gościnna,
„Sławna po świecie mężami wielkiemi,
„Nie żal mi ciebie, o ziemio rodzinna!
„A jeśli losy życzliwe pozwolą,
„Że kiedyś stanę przy zaszczytnym kresie,
„Sława, co wtedy będzie moją dolą,
„Do macierzystéj ziemi się odniesie.

XXI.

„Bo żądny czynów ku chwale żywota
„I marną drzemkę mający w ohydzie,
„Bystro polecę, gdzie zawezwie cnota,
„Nie patrząc trudów, co pokonać przyjdzie!
„Będę pracował i ręką, i głową,
„Bo mię wybrali cni obywatele,—
„Nie gwoli biesiad, nie na taniec zową.
„Widzę w tym kraju niesnasek tak wiele,
„Widzę rozruchy, ale się nie trwożę:
„One do czynu wołają me męztwo,
„Bo gdzie się snadniéj laur zaszczepić może,
„Jako na polu, gdzie krew a zwycięztwo?

XXII.

„Już wyrzucona kostka mojéj doli!
„Błogosław, Boże, gdzie mi iść potrzeba!

„I poświęć ścieżki moim stopom gwoli!“
Tak, zacny królu, wołałeś do Nieba,
To był twój pacierz. Ze słowy takiemi,
Kornie klęknąwszy, jak syn najżyczliwszy,
Dałeś całunek macierzystéj ziemi;
Potém, świątynie Pańskie nawiedziwszy,
Na grzbiet rumaka poskoczyłeś raźno,
Co stojąc tętni w swe kopyta chyże,
Przeżuwa, brzęcząc swą tręzlą żelazną,
I parska w nozdrza, i uszami strzyże.

XXIII.

I poniósł pana — znał się na swéj chwale,
Czuł kogo niesie, iskry miał na oku,
I piękną głowę podnosił zuchwale,
I w pełnym ognia sadził się podskoku.
Ciebie natenczas, pożądany panie,
Otoczył orszak wybrany na sejmie;
Słyszałeś zewsząd życzliwe wołanie,
A sameś wszystkich pozdrawiał uprzejmie.
Widna życzliwość na pańskiéj osobie,
Słowem i wzrokiem radowała z dali.
I tak w oznakach serdecznych ku sobie
Wciążeście długą podróż odbywali.

XXIV.

Zaledwoś przebył skaliste Karpaty
I wszedłeś w pola—już gońcem po przedzie
Wieść pożądaną, że monarcha jedzie,
Po ziemi polskiéj ogłosiły czaty.

I rakuszańskie nadziejo i plany
Ujrzano, jako dożyły swéj straty;
Od dawna bowiem ten odgłos był znany,
Że ów zostanie panem nad Sarmaty
I w płaszcz szkarłatny będzie obleczony,
Kto pierwszy stanie na naszéj granicy.
Tak mówił naród i obiedwie strony,
Tak poradzili sami przeciwnicy.

XXV.

Tyś miał przeprawy, gdzie rzeki się sączą,
Góry i skały niedostępnych szczytów;
Lecz je przebyłeś fortunnie i rączo,
I pierwszyś stanął na ziemi Lechitów.
A on, któremu przybywać tak snadnie,
Miedzowy sąsiad i tak chciwy cześci,
Nie przybył dotąd; któż jeszcze nie zgdanie,
Kogo Fortuna i Niebo obwieści?
Tak i cesarscy szeptali nad cudem,
Bo wyrok boży jasno był widziany;
A ty, okolon witającym ludem,
Wchodziłeś do nas, jak gość pożądany.

XXVI.

Gdzie polska ziemia i gdzie polskie miasta,
Głośném wołaniem przyjęto cię w koło:
Lud obwoływał, i mąż, i niewiasta,
I rzeźwa młodzież głosiła-ć wesoło.
Skoroś się zrównał z baszty krakowskiemi,
Coraz się okrzyk powiększał ochoczy;

Wszystek lud z miasta i kwiat polskiéj ziemi
Tłumnie wybieżał, by zajrzeć w twe oczy.
Tu lekkie włócznie, tam mżą się puklerze,
Tu błyszczy złoto, brylantów potęga,
Tu wylatują na koniach harcerze,
Tu piesze wojsko wije się, jak wstęga.

XXVII.

A wszystkie hufy i seciny dworskie,
Z orły, z proporce, swe rumaki toczą, —
Owdzie poważne koło senatorskie,
I stan rycerski, z młodzieżą ochoczą,
I zacna szlachta, każdy pod swym znakiem,
Na pełnych ognia dzianetach przyśpiesza,
A potém wojsko—i cała ta rzesza
Z twoim podróżnym łączy się orszakiem.
I mąż wyborny ze starszyzny koła,
W swych senatorskich współbraci osobie,
Wita twe przyjście, i z narodem woła,
Dziękuje Niebu, wyrokom i tobie.

XXVIII.

I prosi Boga, by twoje przybycie
Było dla ciebie fortunném najdłużéj,
By polska stała na świetności szczycie,
Jakowéj żąda i jakową wróży,
I któréj wcale dobry już zadatek
Widać w narodzie za twojemi dzieły, —
I prosił Boga, by ci naostatek
Oddał chwalebną stolicę Jagiełły,

Gdzieby twa, mężu, zajaśniała głowa
I cnota wyszła na widniejszy przedział.
Słuchałeś mówcy, i na jego słowa
Takeś do ludu całego powiedział:

XXIX.

Że nie dziecinna chęć k'pańskiéj tyarze
Przywiodła ciebie do Krakusa grodu;
Żeś przyjął berło nie w inszym zamiarze,
Jak gwoli trudom na korzyść narodu;
Że lud tak dzielny suadź wiedział, dla czego
Uczynił wybór, mimo tylu osób;
Że w tym wyborze narodu wszystkiego
Prawicy bożéj nie dojrzeć nie sposób;
Żeś szlachetnemu narodowi gwoli
Gotów królować na wskazanym tronie;
Nie śmiejąc bożéj przeciwić się woli,
Ochoczo głowę poddawasz koronie;

XXX.

Z dalekiéj, staréj siedmiogrodzkiéj strony,
Przebywszy Tatrów krzemieniste szczyty,
Żeś przybył do nas, losom ukorzony,
Stanąć na czele Rzeczypospolitéj.
„Bogdajby (rzekłeś) dozwoliły Nieba,
„By nigdy Polsce płakać nie potrzeba
„Mego obioru!“—Rzekłeś, dobry panie,
I znów cię rada drużyna otoczy.
Ty w środku innych, jak cedr na Libanie,
Jako bohater, uderzałeś w oczy.
Takiéj postaci, takich rysów dzielnych
Ledwo że który bywał ze śmiertelnych.

XXXI.

I takeś, mężu, przez bramy olbrzymie
Wszedł na szlachetną stolicę Polaków;
A lud gromadny obwołał twe imię,
Co się radośnie odbiło o Kraków.
Tu cię wwiedziono w królewskie podwoje,
Tuś sobie wytchnął, i zebrawszy myśli,
Wznowiłeś w sercu całe męztwo swoje,
I w kole stanów złączonych najściśléj
Wzniesiono hymny Bogu poświęcone,
I z obrzędami w uroczystéj chwili
Dyamentową i złotą koronę
Na pomazańca Pańskiego włożyli.

XXXII.

Królewska dziewa, krew po Jagiellonie,
Jeszcze zwiększyła radość pożądaną,
Godna tych pochwał, co w dalekiéj stronie
Słyszałeś, królu, jak jéj oddawano.
Dana-ć w małżeństwo wolą swego ludu,
Chcąc zaprzymierzyć z tobą związek ścisły,
Dość położyła zabiegu i trudu,
Aby zespolić niechętne umysły,
Pod jedno hasło zbratać wszystkie stany,
K'jednemu skłonić wszech rodaków łono,
Wrócić krajowi spokój pożądany,
Pod jedném berłem i jedną koroną.

XXXIII.

Choć bowiem ludzi niepomierna garstka
Za twém przybyciem obwołała ciebie,
Wszelak i strona niechętna cesarska
Przygotowała siły ku potrzebie.

Wielu z rycerstwa nieugiętych w trudzie
Nie chciało zdań swych zaniechać ochoczo;
Każdy się spodział, że cesarscy ludzie
Z niemałą siłą na ojczyznę wkroczą.
Wątłe nadzieje i występne żądze
Jeszcze ich serca trzymały w otusze;
Rozsiane wieści, sypane pieniądze
Jeszcze do reszty zatwardzały dusze.

XXXIV.

Tę nieżyczliwość i rozbrat swawoli,
Ten zapał czerni, te nadzieje tłumu
Zdołałeś ująć prawo i powoli
Mocą twojego męztwa i rozumu.
Bo niceś pysznie, niceś zapalczywie
Nie chciał brać przed się, lecz z ludem, jak z dziec-
Działałeś mądrze, łagodnie, życzliwie, [kiem,
Jako ów sternik, co na morzu greckiém
Zaskoczon burzą, nie tuszył w odwadze,
Nie łajał gromom i wichrom zuchwale,
Ani, pływając naprzeciwko fladze,
Na sztych swéj włóczni chciał przebijać fale;

XXXV.

Lecz zwalczał burze przez umysł wytrwały:
To zwinął skrzydła rozwieszonych żagli,
To puścił okręt kędy fale gnały,
To schylił maszty, to w biegu się nagli.
I tak cudami wytrwałości swojéj
Pokonał szturmy, co biły na głowę,
I jak zwycięzca zawinął w ostoi,
I wrył kotwicę w odsypy portowe.

Tym samym kształtem działając, bez szkody
Wywiodłeś Polskę, choć groźne niebiosy;
A doczekawszy słońca i pogody,
W bezpieczném miejscu złożyłeś jéj losy.

XXXVI.

Ufny w swe twierdze, lud niektóréj ziemi
Słodkim twym prawom nie chciał ugiąć szyje;
Więc, zasklepiony baszty cyklopskiemi,
Mniemał, że w murach od ciebie się skryje.
Wiedzieli jednak, że dobrą jest straża,
Ale bezpieczniéj gnuśnieć za okopy,
I nikt z narodu, chociaż się odgraża,
Nie wyniósł z miasta przepłoszonéj stopy.
Tak żółw leniwy, ośmielony ciszą,
Z rogowéj konchy wymknie się nieznacznie,
Spojrzy, że ludzie nie widzą, nie słyszą,
Wytknie pazury i przepełzać zacznie.

XXXVII.

Lecz go z nienacka ubodnij żelazem,
Zaczmycha zwierzę, nikczemne i głupie,
Przytuli głowę i upadnie głazem,
Mocno skurczone w rogowéj skorupie.
Tym kształtem owi, przymknięci do ściany,
Zrzucili miecze i wojną nie grożą.
Królu łaskawy! znałeś rokoszany,
Aleś zdał pomstę na prawicę bożą.
Nie chciałeś ludzkich cierpień i katuszy,
Aby okazać, żeś król nie morderca,
I obyczajem rodzicielskiéj duszy
Wszystkicheś równie przysłonił do serca:

XXXVIII.

Aby nietylko twoi bojownicy,
Którzy przy tobie dzień zwycięztwa święcą,
Lecz i przeciwni, wyzuci z przyłbicy
Błogosławili łaskawość książęcą.
Oto domowe dzieła twéj prawicy!
Teraz, o muzo! niech się pieśń zadzwoni,
Jako rusińscy setni orężnicy
Nie mogli dotrwać pod piorunem broni,
I na ucieczkę rozpierzchli się w chwili
Od króla mego bohaterskiéj stali,
I chwałę wojny jemu odstąpili,
I ziemie swoje łacno mu oddali.

XXXIX.

Święta Pierys, co zna tamte dzieje,
Niechże swą harfą wesprze moje cele!
Nie będę gmatwał, po krótce opieję,
Bo można wkrótce wypowiedzieć wiele.
Gdzie wielkie czyny, nic po piewczym trudzie,
Można go opiać piosenką powszedną.
I naród Lachów, i rusińscy ludzie,
Jest to krew stara, słowiańska zajedno;
Lecz insza wiara, insze obyczaje
Z dawien pokrewne rozbratały serce,
Z dawien sarmackie i rusińskie kraje
W zapamiętałéj walczyły rozterce.

XL.

Z obojéj strony często miecze bierzem,
Chodzim o lepszą sławy lub korzyści,

I rzadko kiedy chwilowém przymierzem
Usypia żmija staréj nienawiści.
Siła bezprawi, choć powód ich marny,
Lada gniew męża uzbrajał na męża,—
I teraz ruski hospodar polarny
Żądną źrenicę ku Polsce wytęża;
A widząc dobrze, że ku naszéj szkodzie
Snadno mu będzie bój odnowić stary,
Dał swoje carskie hasło po narodzie
I zebrał męża bitnego bez miary.

XLI.

Gdzie warownego grodu baszty sterczą,
Oblężył Połock za litewską miedzą.
Bogate miasto! dobrze o tém wiedzą,
Wzięli je szturmem, śmieją się szyderczo,
Bo chcą nam wydrzeć wszystko na północy.
Inflancie żyzne łechtało go szczerze,
Więc, korzystając z okazanéj mocy,
Z całym zamachem w te kraje się bierze,
Przez piękne wioski, przez miasta książęce,
Przez błogie pola, gdzie złoci się ziarno,
Dąży Ruś mnoga i w skrwawionéj ręce
Niesie miecz rzezi i żagiew pożarną.

XLII.

Naszedł na miasta, zdobył niespodzianie,
Zapisał leże swéj mocnéj załodze,
I daléj wiedzie po wytkniętym planie
Różne zastępy po rozlicznéj drodze.
Tak się przed laty na téj ziemi czyni,
Tak się tu znęca ich nieprzyjaźń dzika,

Tak za Augusta czynili Rusini
I za krótkiego pobytu Henryka.
Królu! tyś jeden wyzwolił od klęski
Ziemię, po któréj wrogi plondrowali;
W przecz im swój pałasz stawiając zwycięzki,
Rzekłeś: Tu koniec! nie pójdziecie daléj!

XLIII.

Już każdy z ludzi uwierzyć był gotów,
Że Bóg poświęcił twe rycerskie łono;
Z najpierwszych bowiem wojennych obrotów
Dobrze o celu wyprawy wróżono.
Gdy bowiem zaraz pod *Wendeńskim* grodem
Stała potężna Rusinów załoga,
Ty, więcéj silny umem niż narodem,
Z małemi hufce pokonałeś wroga.
Nietylko wojsko, lecz w jednymże razie
Został dwoisty tryumf osiągnięty:
Hetmany wojska i najstarsze kniazie
Wziąłeś, skowałeś żelaznemi pęty.

. . . .

XLV.

Wzmocniono mury, osypano wały,
Miasto nieśpiącą opasano wartą,
W obronnych basztach nabito wystrzały
I krzepkie bramy na głucho zaparto.
Gotują strzelbę straszną a wspaniałą,
Tu słychać okrzyk, a tu oręż brzęczy;
Słowem, zebrano zasobów niemało,
Aby wytrzymać napad oblężeńczy.
Lecz skoroś przybył, zadrgały ich nerwy,
Bo szturm rycerski przypuściwszy biegle,

I mierząc strzelbę armatnią bez przerwy,
Kamienne ściany kruszyłeś po cegle.

. . . .

XLVII.

Sprzyjał ci dalėj twój oręż wyborny,
I los ci płużył w najpierwszéj jutrzence,
Bo w tėjże chwili ważny punkt odporny,
Warownia *Suza* zdała się w twe ręce.
Pomijam inne, bo i któż policzy
Pobrane miasta, pokonane rzesze?
Raczéj na powrot (jako serce życzy)
Za królem moim pod Połock pośpieszę.
Miasto wcielone do ojczystéj niwy,
Niechaj się samo wywdzięczy, wysłowi,
Jako je przyjął monarcha życzliwy,
I ile danku winno jest królowi.

XLVIII.

Z monarchą moim, gdy w harce wyruszy,
I Ruś się może postawi do miary;
Lecz czy się zrówna wspaniałością duszy,
Łagodném sercem, dochowaniem wiary?
Bo kto nie zabit w wojennéj potrzebie,
Kto uszedł cało od pożarcia miecza,
Stefan każdego przygarnął do siebie,
Każdemu wolność i byt zabezpiecza.

. . . .

LI.

Szerokie rzeki, nieuhamowane,
Musiałeś pętać mostami i promy,

Przechodzić góry zamglone, zawiane,
Drzeć się na opok urwiste ogromy.
A jeszcze zimny Akwilon szturmowy,
Mszcząc się za swoje rodaki północne,
Wiał ostrém zimnem na sarmackie głowy
I ziębił dreszczem twe zastępy mocne,
I darł proporce.—Lecz strasznyż dla cnoty,
Strasznyż dla męztwa wypadek złowrogi?
Zwycięzko wiodłeś twe ochocze roty,
Jak gdyby środkiem najrówniejszéj drogi.

LII.

Na samo serce północnéj krainy
Rycerską stopą nastąpiłeś śmiele,
I tam zaniosłeś twe waleczne czyny
I twoje szczęście w bohaterskiém dziele.
Oto albowiem na *Wieliża* ściany
Silną prawicą dałeś cios poprzedni,
Choć był po męzku broniony, trzymany;
Daléj i *Uświat*, ich gród niepośledni,
Uległ przed tobą, i w żyznéj krainie
Łuki schyliły swój terem kamienny, —
Miasto obfite, jak sycylskie Enny,
Nie mogło dotrwać szturmowéj secinie.

LIII.

Tymczasem wrogi, bite na około,
Skoro po klęskach dokładnie poznali,
Że niebezpiecznie nastawować czoło
Na silny zamach bohaterskiéj stali;
Więc układają fortelne pozory,
By zachwiać ciebie i twoje szeregi,

To przez pisania, wieści, rozhowory,
To przez obłudne posłańce i szpiegi.
Trudno cię podejść przez fortel niewieści,
Boś wychowaniec Marsa i Minerwy;
Choć dałeś ucho pisaniom i wieści,
Nie dałeś folgi działaniom bez przerwy.

LV.

I jako letni ptaszkowie przed mrozem,
Uszli przed tobą w pierzchliwym zapędzie;
Lecz ty, zwycięzko goniąc za obozem,
Ślad swéj prawicy wyćisnąłeś wszędzie.
Przed tobą *Newel* zniżył się wysoki
I głośno wsławił twe ramię olbrzymie;
Za Newlem *Oziersk* bez długiéj przewłoki
Poddał swą twierdzę na królewskie imię.
I ty się zdałaś, krzepka *Zawołoczy!*
Ni cię warowne miejsce nie ustrzeże,
Ni wielka woda, co się w koło toczy,
Chroniąc i miasto, i forteczne wieże.

LVI.

Już kniaź ustąpił dla naszéj korony
I snadno puścił we władanie twoje
Dzwińskie nadbrzeża po obiedwie strony,
By jeno wstrzymać twe dalsze podboje.
Ruszyłeś obóz—twa drużyna hoża
Leciała, myśląc o chwały ogromie.
Ty w nieprzyjaciół schronienia i zboża
Kazałeś puścić rozdmuchnione płomię.
Północny mocarz, co trwożen się błąka,
W *Starzycy* z całą zamknął się gromadą;

Tam była jego młodziuchna małżonka
I miłe sercu ojcowemu *czado*.

LVII.

Ujrzał, jak płomień naokoło brodzi,
Obaczył pożar przy samém swém gnieździe;
Więc przerażony siadł do bystréj łodzi,
Szukając salwy w skwapliwym odjeździe,
I w głąb swych krain ledwo uszedł zdrowo.
Twa dłoń nie słabnie, twe oczy nie drzémią,
Lotem się zwracasz na odwieczne *Pskowo*,
I jąłeś w mury kołatać olbrzymio.
Tamtejszy *Ostrow*, co się z wody rzecznéj
Wynurzał, jako pływająca nawa,
Uczuł na sobie twój cios niebezpieczny,
Zdał się najpierwszy na zwycięzkie prawa.

LVIII.

Ztąd biorąc drogę do celu w pobliżu,
Pod mur przyszedłeś okolny i twardy,
Tameś podkopał swe gromy ze śpiżu,
Burczące miny, moździerze, petardy,
Od których ściana pęknie i rozerwie.
Wprawdzie nie k'myśli był szturm oblężeńczy,
Szedł ci oporem, lub ulegał przerwie,
Ale tuszyłeś, że koniec uwieńczy.
Żaden nie wątpił, że przed twemi szyki
Zaraz się zniży warownia poddana,
Kto widział dzielne twoje waleczniki
I przeznał serce hetmańskie Stefana.

LIX.

A jeśli zamek mocno okopany
Nie mogła dostać siła wyborowa,

I jeśli łacno nie zdały się ściany
I stare baszty bogatego Pskowa,
Jednak niemały był przepłoch w narodzie,
Ani ich mocna osłoniła cegła;
Bo Ruś, choć twardo wmurowana w grodzie,
Niejednokrotnéj porażce uległa.
Wreszcie, nie śmiejąc iść szablą na szablę,
Chciała wojować fortelnemi dzieły;
Gdyż oto w nocy ich silne korable
Starym gościńcem rzeki podpłynęły.

LX.

Aleś przeniknął ich zamiary blizko,
I takeś zdradę zniweczył na szczęty,
Że jedni w wodzie mieli topielisko,
Drudzy do brzegu przybili okręty
I tam dostali spotkanie z mogiłą.
Także zginęło od sarmackich mieczy
Lądowe wojsko, co zdradą lub siłą
Chciało się gwałtem przedrzeć ku odsieczy,
Wyzwolić miasto od nas niespodzianie.
Silny to zamach, lecz czyż się ostoją
Jakie zamachy, o zwycięzki panie!
Przed szczęściem twojém i dzielnością twoją.

LXI.

Nie żaden zamach wstrzymał nas na drodze,
Nie żadna siła, ni miecz ruskich dzieci,
Lecz ostra zima i wzniecone srodze
Wichry i burze, śniegi i zamieci,

I rodak Rusi, Akwilon złowrogi,
Odjął naszemu rycerstwu korzyście;
Bo ścięty mrozem, ów ręce, ów nogi,
Ów życie stracił, zakrzepł wiekuiście,
Temu zdrętwiały powieki na oku,
Ten nos postradał, ten ucha, ten ręki,
Tego śnieg zawiał (o straszny widoku,
Rany, kalectwa i bolesne jęki!).

LXII.

Nie cięciem miecza rozbito nam głowy,
Nie ostrzem grotu ciśnięto po zbroi,
Lecz wiatr północny i mróz polusowy
Pozbawia członków i twarze nam kroi.
Nie bicie z armat zachwiewa i głuszy,
Lecz wicher wściekły bije w nas z łoskotem;
A przecięż żołnierz nie upadł na duszy
I był zwycięzcą, choć nie wiedział o tém.
Bowiem tu w grudniu i słońca już niéma,
I widok w koło ciemny i surowy;
Znał nieprzyjaciel, że ta ostra zima
Płuży mu, ciążąc nad naszemi głowy.

LXIII.

Więc ośmieleni, przez bramy otwarte
Z całemi siły do natarcia biegą;
Lecz nie zawiedli naszą czujną wartę,
Ani ubiegli rycerstwa polskiego.
Bo mury miejskie, bramy odemknięte,
Przez które weszli do srogiéj zaczepki,
Były już naszym żołnierzem zajęte
I czuwał przy nich posterunek krzepki.

I tak, choć sidła postawiono zdradnie
Na naszą gnuśność, lecz obrona łatwa:
Źrenica bystra zasadzkę odgadnie,
A ręka sprawców sieciami zagmatwa.

LXIV.

Starego miasta nie chcąc dać na straty,
Wróg już zaniechał fortelić nieszczerze,
I zamiast dawać od siebie traktaty,
Wolał już kornie prosić o przymierze.
Prędkoż minęły, królu pełen cześci!
Owe pogróżek nienawistnych lata:
Ruś ci groziła, że przez lat czterdzieści
Żadnym sojuszem z tobą się nie zbrata,
Ani przymierza nie zechce w umyśle,
Ani przymierza żądać nie pozwoli,
Ni posłanników do ciebie nie przyśle,
Aby czynili przyjacielstwu gwoli.

LXV.

Ale w potrzebie pycha się uchyli
I harde serce swoją hardość złoży,
Butna przechwałka w niefortunnéj chwili
Bolesnym wstydem czoło upokorzy.
Pyszny się umysł napróżno wynosi,
Lada wypadek, już kornie się kłania.
Słońce rok jeden ubiegło na osi,
Już wróg podaje rękę pojednania,
Już swe zapomniał pogróżki dobitne,
Bo się o naród i kraj boi szczerze;

Oto przysyła posły czołobitne,
Wyprosić łaski, uczynić przymierze.

LXVI.

Nietylko k'tobie, bo ci nie dowierza,
Bo nadto blizko wieją twe sztandary,
Lecz i do Ojca Świętego papieża,
Na Rzym daleki śle swoje bojary,
By go prosili, aby swojém wdaniem
Zatrzymał twoje rycerskie pochopy,
Abyś je przerwał szczerém pojednaniem
I cofnął nazad twe zwycięzkie stopy.
A papież, widząc, że z pokorą przyszli,
Przyjął, uwierzył, wysłuchał w potrzebie,
Kazał wstać posłom i być dobréj myśli,
I z dobrą wieścią powracać do siebie.

LXVII.

Wybrał legata, zlecił mu staranie,
I kazał w drogę jechać bez odwłoki,
A słowem Rzymu, o sarmacki panie!
Wstrzymać na Rusi twe zwycięzkie kroki.
Kornie przyjąłeś apostolskie słowo,
Dzieło u końca przerwawszy, jak sądzę;
Bo już za chwilę oblężone Pskowo
Miało-ć bram swoich otworzyć wrzeciądze,
Bo głód je nęka i znękać już musi,
I twoje wojsko ścisnęło niemało.
Po wzięciu Pskowa, zrozpaczonéj Rusi
Jużby ratunku pono nie zostało, —

LXVIII.

Chyba siąść w nawę, skryć kirysem czoła
I Wołgą uciec na pustynne pole.
Ale zwycięzca, dobry syn kościoła,
Świętego Rzymu uszanował wolę,
I spełnił rozkaz. Winni ci podziękę,
Bo nie ziem cudzych pragnęło twe łono,
Nie dla zaborów wyzwałeś na rękę,
Lecz by ci twoje ziemie powrócono.
Czyż można słuszniéj bojować zwycięzko
I dać warunki w szlachetniejszéj mierze?
I oto swoją na Inflanciech klęską
Hospodar ruski okupił przymierze.

LXIX.

Masz tedy, królu, w bezspornéj zalecie
Twojemu wojsku powinszować śmiało,
Że tak pod bronią stojąc przez trzy lecie,
Ani się razu w szczęściu nie zachwiało.
Masz co winszować — prawym obyczajem,
Chociaż walczyłeś za liwońskie niwy,
Nic się nad spornym nie znęcałeś krajem;
Lecz hetman biegły, walecznik prawdziwy,
Na ziemię wrogów obróciłeś płomię,
I miecz na winną skierowałeś głowę,
I tameś zyskał w północnym pogromie
Niezaprzeczone wawrzyny bojowe.

LXX.

Czołem ci! czołem! bądź nam wysławiony!
Równego sobie nie znajdziesz nikogo.

O mieczu Marsów! o synu Bellony!
Wrogów ojczystych niedaremna trwogo!
Herkulu polski! tyś kraj znakomity
Wyzwolił z zębów straszliwego dzika,
Co w ciemnym borze niedostępnie skryty
Tylko się gwoli spustoszeń wymyka.
Pod twą maczugą uskromił już ducha,
Już mu nie myśleć o nowéj łupieży;
Próżno się miota, i parska, i grucha,
I szczeciniasty grzbiet kolcami jeży,

LXXI.

I kły naostrza, i oko rozżarza,
I leje pianę po rozwartym pysku,
I smolne boki po murawie tarza,—
Już mu nie leżeć w starém legowisku.
Rolny ziemianin niech spokojnie orze,
Już się doń leśny postrach nie przypyta;
Już niezmrożone na troiste morze
Płyną troistych wielkich rzek koryta.
Dniepr czarnomorski, i kaspijska Wołga,
I Don meocki niech uchylą głowę:
Niech każda rzeka w swą stronę się czołga
I tam rozpowie czyny Stefanowe.

LXXII.

Wieczna twa sława od grodów do grodów
Rozlatać będzie najszerzéj, najdaléj,
Twoje zwycięztwo na uściech narodów
Na nieskończoną przyszłość się utrwali.
Kraj szczęśliw będzie,—mścicielskie ramiona

Wżdy gromić będą wroga, co się zaciął;
Ojczyzna moja, przez ciebie pomszczona,
Śmieléj dziś zajrzy w oczy nieprzyjaciół!
Niechaj Bóg jeno (jak się człek spodzieje)
Da ci wiek długi — i z ojcowskiéj czary
Błogosławieństwo ojcowskie wyleje
Na twoją głowę i twoje zamiary!

LXXIII.

Niech jeno Parka przysporzy ci wieku,
Niech młodość z liców rycerskich nie schodzi.
Ojczysta ziemio! ach, po takim człeku
Czegoż się tobie spodziewać nie godzi?!
Może się cofniesz przed szwedzkiemi wrogi,
Coby nas doma nawiedzić ochoczy?
Lub może Scyta przez dnieprzańskie progi
Na twoje grunta choćby nogą wkroczy?!
Pont, jak za dawna granicą nam stanie,
Pustoszne niwy odrodzą się z chleba,
Winna latorośl da sute zebranie,
A mury grodów wzniosą się do nieba.

Cum Stephani impositum est nomen tibi, nempe coronae
Omen id et magni jam fuit imperii,
Idem vero hominum quod diceris ore Bathorreus,
Flumina designat consilii alta tui.

* * *

Gdyś narzeczon *Stefanem*, już to samo imię
Wróżyło ci koronę i państwo olbrzymie;
Zaś *Batory*, nazwisko twoje starożytne,
Znaczy głęboką mądrość i czyny zaszczytne.

Na weselu Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana, z Gryzeldą Batorówną, córką Krzysztofa Batorego, księcia Transylwanii, synowicą króla Stefana, w r. 1583, przy lirze śpiewał Krzysztof Klabonus, muzyk królewski.

PIEŚNI LIRYCZNE.

Księga jedna.

(Przypisana przez Jana Kochanowskiego Mikołajowi Firlejowi, synowi Jana Firleja, wojewody krakowskiego).

ODA I.

Do Henryka Walezyusza, króla polskiego, bawiącego we Francyi.

Quis casus obstat? quis Deus invidet?

Czy cię los trzyma? czy Bóg iść zabrania?
Wielki Henryku! czy-ć droga daleka?
Tyś od nas wybran gwoli królowania,
Kiedyż cię Polska doczeka?

Tu słychać niewiast i pacholąt krzyki,
Tu senat polski, tu pany i starsze,
Tu wszystek naród, wszystkie urzędniki
Chcą widzieć lice monarsze.

Pośpiesz się, królu! choć ci żal zapewne
Rzucać na zawsze ojczystą krainę,

Rzuć pański dworzec, żegnaj twe pokrewne,
Znieś męzkie płacze siostrzyne.

Jasna korona, oprawna w klejnoty
Tęskliwie czeka, póki król nie włoży,
I nasze berło kunsztownéj roboty
Czeka, pomazańcze boży!

Berło, któremu każdy po kolei
Polak i Litwin ukorzyć się gotów,
I cała ziemia od Hyperborei
Aż do siedziby Meotów.

Samo twe imię, sam widok twéj twarzy
Zlęknie Rusina na wojennćm polu,
I ciężkie wrogi, drapieżni Tatarzy,
Przestaną harców w Podolu.

Zepnij rumaka srebrnemi ostrogi
I idź hetmanić nad rycerstwem naszém;
Ogień, jak lawę, rzuć bystro na wrogi,
Druzgocz ich szyje pałaszem.

Bogdajbym dożył widzieć cię w tym czasie,
Gdy po zwycięztwach, na czele orszaków,
Z wieńcem na czole, zajedziesz w kolasie,
Jak tryumfator, na Kraków.

Gdy za rydwanem iść będą książęta
I wodze wrogów, zakowane społem,
Gdy godła zwycięztw i chorągiew święta
Staną przed Pańskim kościołem;

Wtedy, ożywion przez dzieła tak piękne,
W cześć mego króla piać będę szczęśliwie;
Lepiéj niż Orféj, niż Linus zabrzęknę,
Skały i lasy ożywię.

ODA II.

Na bogi fałszywe.

Aetas prisca virum divitias Jovem...

Jowisz trzymał pierwszeństwo w starożytnéj wierze,
Apollinowi w pieśniach hołd dawano święty,
Za wdzięki, za lubieżne rozkoszy ponęty
Dziękowano zalotnéj bogini Wenerze.
Mądre i stałe serce był to dar Pallady,
Mars dowodził na wojnach i hartował łono,
Neptuna czciły bogiem żeglarskie gromady,
W burzach morskich z nadzieją do gwiazd się modlono.
Dzisiaj ta cześć ustała, — poszły już w otchłanie,
Zatarły się od czasu stare bogi Greków;
My znamy Cię w twéj prawdzie, Nieśmiertelny Panie,
Bez początku i końca od wieków do wieków!
Nie jelitami bydląt, lecz czystym pacierzem
I sercem Ciebie chwalim, o Panie nad Pany!
Ty od nas samą skruchą bywasz przejednany,
Przez Ciebie zło mijamy, a pomyślność bierzem.

ODA III.

Na zjazd stężycki.

Qua vorticosus Vistuleis Veper
Miscetur undis...

Gdzie się Wieprza kręte fale wiodą,
Płynąc w Wisłę, gdzie wygnańcza strzecha,
Poderwana i podmyta wodą,
Sterczy stara siedziba Sieciecha,

Tam oszukan lud polskiéj krainy
Przez ucieczkę Walezego zdradną,

Na płaszczyźnie szerokiéj równiny
Zbiegł się wszystek na wiecę obradną;
Jako trzoda, któréj pasterz zginie,
Nie chce przyjąć ni wody, ni paszy,
Chodzi błędna po trawnéj równinie,
Noc ją trwoży, wilk i niedźwiedź straszy.

Czyż zostaniem bez nadziei zgoła,
Że król przyjdzie, że nas zabezpieczy?
Kraj go wzywa, obywatel woła
I nieszczęścia Pospolitéj Rzeczy.

Czyż pozwolisz, wielki Boże, na to,
By król Franków przybył k'nam na nowo
I panował nad mężnym Sarmatą
Z uwieńczoną wawrzynami głową?

Lecz mu pono w dwoistéj koronie
Trudno rządzić wśród tylu odmętów,
Trudno siedzieć na dwoistym tronie
I sprawować rudel dwóch okrętów.

Gdy więc Niebo taki los przyniosło,
Niech się Polsce do praw wrócić godzi,
I rzucone przez Henryka wiosło
Dać innemu, by kierował z łodzi!

Lecz Polacy! gdy wieca zebrana,
Radźcież dobrze, do obrad zasiadłszy!
Tego sobie wybierzcie na pana,
Kto poczciwszy, nie zaś kto bogatszy.

I co trzykroć i czterykroć mówię:
Niech was kłótnie nie zawodzą płoche;
Zniżcie rogi na wyniosłéj głowie,
Butny umysł pohamujcie trochę.

Bo gdy żaden ulegać nie zechce,
Rzecz publiczna już będzie zatruta;
Na cóż wolność rzekoma nas łechce?
Na co zda się układać statuta?

Można śmiać się, gdy postronny straszy,
Lecz pogróżek nie ważcie za mało;
Jeśli trzeba, przypaszcie pałaszy
I działajcie, jak mężom przystało.

Nie przystało na swobodnych męży
Dawać w jarzmo rycerskie ramiona
Wprzódy jeszcze, nim nas wróg zwycięży,
Nim nas dola na bitwie pokona.

ODA IV.

Do zgody.

Diva, quae caetus hominum et calentes temperas iras...

Bóztwo, zesłane z niebieskich podwojów
Łagodzić gniewy i bratnić sojusze,
I z dzikiéj żądzy do pomsty i bojów
Oczyszczać dusze!

Nic nie masz nad cię! niebo cię przywiodło,
By siać pociechę pomiędzy ludami.
Święta jedności! tyś niebieskie godło,
Że Pan Bóg z nami!

Wiara i miłość w około twéj głowy
Na jasno-śnieżnych skrzydłach lot swój ściele;
Pokój, twe dziecię, krzyż dyamentowy
Kładzie na czele.

Ojciec za synem modli się w niebiosa,
Bo kędy pokój, bezpieczniejsze dziecię;
Ty żywisz ludzkość, jak majowa rosa
Ożywia kwiecie.

Tyś ludzi z lasów wywiodła łaskawa,
Rzuciłaś pierwsze fundamenta grodów,
Tyś nakłoniła pod wędzidło prawa
Karki narodów.

Od ciebie kwitnie i Rzeczpospolita,
Jako od słońca pagórki i niwy;
Przez ciebie męztwo, chociaż zębem zgrzyta
Wróg zazdrościwy.

Bo gdyśmy z tobą, nic nas nie dosięże;
Gdyśmy bez ciebie, wpada śmierci zaród,
I samobójczo własnemi oręże
Niszczy się naród.

O święte bóztwo! nie uskąp twéj łaski,
Weź pod twe oko staréj Polski dolę,
Hamuj narodu ślepego niesnaski,
Hamuj swawole!

Niech bratni oręż nie bije na braci,
Lecz łbów tatarskich pogruchota czaszki;
Niechaj nam Turczyn swoją krwią zapłaci
Dawne porażki!

ODA V.

Do Mikołaja Firleja, wojewodzica krakowskiego.

Firleu! jam rapido Sol calet Leo.

Firleju! już słońce ogniste, lipcowe,
Gorącym płomieniem naciska nam głowę,
A szparkich i bystrych wód fale
Zmęczyły się, płynąc w upale.

I cicho, i głucho, i pola, i knieje
Stanęły jak martwe, wiatr po nich nie wieje,
Zaledwo gdzieś w cieniu na rosie
Strzekocą koniki w przekosie.

Gdzie jawor szeroko rozwiesił swe cienie,
Tam znajdziem zielone i chłodne schronienie,
Nie będziem się troszczyć skwarami,
Gdy dach gęstoliści nad nami.

Namaścim czupryny ku większéj ozdobie,
I w chłodku na trawie położym się sobie,
Przy różach szkarłatnych, dojrzałych,
Przy liliach wonnych i białych.

Pachołcy! héj wina! niepróżno wam gwarzę:
Odbijcie gwóźdź stary w smolonym ankarze
I lejcie do szklanic, do czarek,
Dymiący niebieski nektarek.

Gdy krąży po rękach szklanica dostojna,
Nie będziem się troskać, czy pokój, czy wojna,
Niezgoda, czy zgoda w narodzie,
Niewiele nas wtedy ubodzie.

Któż wtedy się zmarszczy? kto tanka nie utnie?
Kto wtedy odrzuci piosenki i lutnie?

Kto zręczność wyborną ominie
Zaśpiewać o lubéj dziewczynie?

Bogdajby dzień cały upłynął nam żywo,
I smutek przepędził, i myśl frasobliwą,
A jutro na bój się powleczem,
Z pawężą, pancerzem i mieczem.

ODA VI.

Na zjazd warszawski.

Musarum et Clarii cultor Apollinis.

Jam kapłan muzy, i nic mię nie troska,
Czy cesarz zajmie stolice książęce,
Czyli Opatrzność niezmrużona bozka
Da nasze berło w Batorowe ręce.
Lecz proszę Boga, niech króla stanowi,
A sam niech trzyma po nad Polską strażę,
I niechaj z nieba nowemu królowi
Naszą szczęśliwość surowo przykaże.
Niech król zagoi nasze stare blizny,
Niechaj zwaśnione serca ukołysze,
Niechaj powróci zgodę do ojczyzny
I w nowe prawo swój naród opisze.
Niechaj sarmackie ludy przyzwyczai,
By starą karność miały przed oczyma;
Niechaj swobodę wyuzdanéj zgrai
Silną prawicą na wędzidle trzyma.
Niechaj na zbytki potężnie uderzy,
A wszystek naród, za przykładem pana,
Niech się nie wstydzi oszczędnéj wieczerzy
I wełnianego na odzież kaftana.

Niechaj przekupstwa bezecnego narów
Wyniszczy z kraju troskliwym doglądem,
Niechaj przestrzega, by worek talarów
Miasto patrona nie stawał przed sądem.
Błogo nam będzie od takiego tronu,
Pękną łańcuchy naszych gnuśnych oków,
I cnota wyjdzie ze swego uchronu,
Jak ranne słońce z za chmurnych obłoków.
Młodzież troskliwa, aby wyjść na męży,
Wystąpi w pole w całéj męztwa krasie!
Całego serca, całych sił wytęży,
By w tryumfalnéj zajaśnieć kolasie.
Pieśni i liry, grając na przemianę,
Wysławiać będą starym obyczajem
Łupy zwycięzkie, konie krwią zbryzgane,
Mężów, co zgniotą Turka nad Dunajem.

ODA VII.

Do Licyi.

Dum Fortuna tibi prosperior...

Kiedy szczęście za tobą, gdy ci młodość służy,
Nietrudno ci wyszukać miłości przedmiotów;
Póki na licu kraska lilii i róży,
Wtedy i Demochares uwielbiać cię gotów.
Na mnie-ś ani patrzała, ufna w twą urodę,
Chociam długo i tęsknie kołatał w twe progi
I w ciepłém twojém sercu prosił o gospodę,—
Pogardziłaś mą prośbą. Dziś gdy los złowrogi,
Przysłał lata i zmarszczki—w téj nieszczęsnéj dobie
Demochares cię rzucił—czuję nad twą klęską;
Lecz daremnie mnie znęcasz i przyzywasz k'sobie,
Nie głupim zjadać kości, gdy inny miał mięsko.

ODA VIII.

Do Jędrzeja Patrycego.

Que Siren adeo blanda canorve ita
Dulcis.

Czy głos Syreny zwodnicy
Tak słodko złechtał twe nerwy,
Że cię zwiódł z drogi, Patrycy,
Gdyś szedł w świątynię Minerwy?
Chcesz rzucić książki pod ławy,
Ukryć Spenzyppa w zaciszy
I Platonowe rozprawy
Oddać na pastwę dla myszy?
Chcesz już zamieszkać pałace,
W Fortuny wpisać się bractwo,
I twoje lata i prace
Puścić na marne dworactwo?
Może aż wtedy ci Nieba
Dadzą bogactwo w ogromie,
Gdy jedno będzie potrzeba
Grosza przy śmierci na promie.
Daj pokój zamkom na lodzie,
Powróć do wczasu na nowo;
Dowolen swojém, w wygodzie,
Żyj nam szczęśliwo i zdrowo.

ODA IX.

Do wsi Promnik.

O villa, celsis aemula turribus.

Wiejski domu ukochany!
Godzieneś stanąć, jak myślę,

W równi z kamiennemi ściany,
Co wywiódł Krakus przy Wiśle.

Maciejowskiego prawica
Była początkiem téj wioski;
Dziś nowy pan cię zaszczyca,
Chluba senatu, Myszkowski.

Witaj do pracy uchronie!
Gdzie chwile spokojem płyną,
Gdzie żyjąc, rzeźwiéj nam w łonie,
Witaj Pieryd gościno!

Tu wody czysto się sączą,
Tu Flora kwieciem bogata,
Tu wietrzyk, szybując rączo,
Ochładza upały lata!

Niech tu szczęście wszystkim płuży,
A zacna dziedzica głowa
Niech się tu, żyjąc najdłużéj,
Czerstwéj siwizny dochowa!

ODA X.

O zdobyciu Połocka.

Solens canendi, Melpomene, deum
Propago...

Owego boga, Melpomeno, pieję,
Który panuje lutni ucieszonéj
I wielkich mężów znakomite dzieje
Uwiecznia cudnemi tony.

Z lirą słoniową, wieńcami przybrana,
Z kastalską pieśnią wyjdź, jako się godzi,
Spotkać rycerstwo i chrobrego pana,
Co z pod Połocka przychodzi.

Bo tego króla na szczęśliwe lata
Dały nam Nieba łaskawe bez miary,
By po dawnemu był sławien Sarmata
I swe odzyskał sztandary.

Nie z taką myślą odpierał napaści,
Że się wczasować będzie w dyademie,
I assyryjskim balsamem namaści,
I na wezgłowiu zadrzemie.

Lub że pijając nektar z winogronu,
Co gdzieś w zamorskim urodził się świecie,
Będzie oparty na poręczy tronu
Zbytkował w ciągłym bankiecie.

Nad wszelką rozkosz, nad powab nietrwały,
Nad marny połysk klejnotów i złota,
On waży chwałę, pragnie nabyć chwały,
Choćby okupem żywota.

I wróg to zaznał, gdy weń wieść uderza,
Że z bohaterem na Połock idziemy;
A więc na pierwszy chrzęst jego puklerza
Uszedł, rzuciwszy teremy.

Ich bojowniki chronią się jak mogą,
Gdzieby prawica nie dościgła nasza,
I biegli, spiąwszy rumaki ostrogą,
Do zimnych stref Boreasza:

Jak wilk straszliwy, pustoszyciel knieje,
Szarpiąc bezbronne nieszczęśliwe zwierzę,
Opuści głowę i cały struchleje,
Gdy lwa opodal postrzeże,—

I chociaż głodny, lecz zdobycz zostawia,
Ucieka w lasy, łupów nie przywłaszcza,
Bo się niepłonnie trwoży i obawia,
Bo zna, jak straszna lwia paszcza.

Gdziekolwiek król nasz skierował swe oko,
Gdzie swego wojska uszykował czoło,
Wszędzie widziałeś, ogień biegł szeroko,
Cuda żelaza — w około.

Gdy bystra powódź rwie rzeczne koryta,
Popłynie zboże na plennym zagonie,
Nadbrzeżna olcha upadnie podmyta
I chaty odmęt pochłonie.

Pasterz, na wzgórku pasący swe trzody,
Jeno się zdumi, zkąd ta woda plucha,
Jeno policza te klęski i szkody,
I z dziwem bicia fal słucha.

Lecz pod Połockiem, jak pęd huragana,
Wstrzymał się sztandar bojujący śmiało;
Bo mocna twierdza, krzepko szańcowana,
Trudów spożyła niemało.

Deszcz nieustanny ulewnie się sączy,
W koło czarnoziem rozgrzęznął szkaradnie:
Ztąd oblężeńcy mieli port ochrończy,
K'nam szły posiłki niesnadnie.

Ani gdzie w polu rozłożyć ognisko,
Ni rozbić namiot, gdy pluchota leje;
Ni wojsk lub armat wieść na trzęsawisko,
Co się ugina i chwieje.

Wojenne trąby, grając bez ustanku,
Próżno dawały do natarcia hasło;
Płomienne race nie czyniły szwanku,
Na deszczach ognisko zgasło.

Lecz dzień zabłysnął w purpurowéj krasie,
Kiedy się srogie uciszyły deszcze;
Ujrzały wrogi i przeczuły dla się
Przyszłości wróżby złowieszcze.

Kula, co przedtém chybiała swéj mety,
Dziś w dzień pogodny lepszy polot bierze,
I brzmienne ogniem mordercze rakiety
Już palą dachy i wieże.

Radosny okrzyk odezwał się czérstwo,
W szańcach, w obozie, w jedno zlał się słowo,
I spracowane, znękane rycerstwo,
Żyje otuchą na nowo.

Tutaj, Pierys, rozpłomieniaj lice,
Tutaj zaśpiewaj i rozpowiedz o tém:
Jak mury, dachy i twarde wieżyce
Płomień pożerał z łoskotem,

Jak natarczywie w krzepkie bramy parto,
Jako żołnierstwo na mury się wciska;
Opiéj tę walkę wśród nocy zażartą,
Marsowy plac bojowiska.

Powiedz, jak kule armatnie u góry,
By łoskot gromu, na powietrzu drgały;
Powiedz, jak twardo skamieniałe mury,
Bite z wystrzałów — pękały.

Rozpowiedz, muzo, natchnionemi tony,
Jak stary Połock, po długim zaborze,
Moskwie odbity, Polsce przywrócony
Przez króla i sądy boże.

Króla naszego, co w pokoju kwitnie,
A w wojnie przeszedł wszystkie bohatéry,
Piejmy szeroko, wdzięcznie i dobitnie,
Tonami piersi i liry.

EPITALAMION

Na wesele Jana Zamojskiego i Gryzeldy Batorówny.

Strophe I.

Si tibi, o praeses duelli
Mars lua, est coteli Dione...

O Marsie wojenny! jeżeliś był gotów
Z serdeczną Dyoną zabawić się w parze,
Jeżeli, strudzony miotaniem swych grotów,
Niekiedy dasz ucho aońskiéj cytarze,
Gdy-ć wonny kwiecisty spodoba się wianek,
Gdy lubisz wypocząć pod cieńmi gęstemi,
Pozwól niech Zamojski, twój wierny kochanek,
Co walczył tak długo na cudzéj gdzieś ziemi,
Co bronił ojczyzny od ciosów niechęci,
Po długich niewczasach i ciężkiéj fatydze,—

Antistrophe I.

Ten dzień uroczysty radości poświęci!
Już wrogi moc jego poznały, jak widzę,
Ich tłuszcza już z nami bojować nie rada:
Szyszaki i zbroje rzucili na stronę,
Jako rdza, żgryzota ich serca przejada,
Ich groźby niestraszne, ich groty stępione,
Schylili, ugięli swe rogi bojowe.
O wielki Zamojski! ty z silnym przełomem
Trzy lata-ś hetmanił i pocił swą głowę,
Trzy lata-ś ich nękał prawicą, jak gromem.

Epodos I.

Przebyłeś nawalność i grzmoty,
Więc dzisiaj, gdyś stanął u celu,
Zaniechaj niespokój, kłopoty,
Daj serce orzeźwić weselu!
Rozjaśnij myśl piękną twéj głowy,
Byś szczerzéj i pełniéj w téj dobie
Przyjmował te dary Jehowy,
Co dzisiaj spłynęły ku tobie.
Ach, oto dziewica, urocza królewna!
Księżniczka z rodziców, królewska pokrewna
Z Batorych wysokiéj rodziny,

Strophe II.

Przybywa zachwycić urokiem dziewiczym,
Weselić twe serce przybywa do ciebie,
Księżniczka dostojna i krasna obliczem,
Podobna poranněj jutrzence na niebie.
Gdy taka jutrzenka zaświta bez skazy,
Dzień jasny, bezchmurny dla ziemi wywróży.
O szczęśliw Zamojski, o szczęśliw trzy razy!
Nowemi pociechy twa dola ci płuży,

Łaskawe Niebiosa szczęściły ci hojnie,
Wśród ojców ojczyzny cześć twoja zaświéca.

Antistrophe II.

Czy radzisz w pokoju, czy walczysz na wojnie,
Ty działasz, jak dzielna królewska prawica!
Tyś piorun, gdy wrogom trzesz kości,
Gracye kochają cię hoże,
Ktoś szczęściu twojemu zazdrości,
Lecz prac twych i trudów nie zmoże.
Tyś wytknął od razu gościniec swój ścisły,
Gościniec ciernisty,—nie zrażasz się przecię,
Nie chwiejesz się w biegu, jak nizkie umysły,
Co idą mniéj pięknym zawodem na świecie.

Epodos II.

Ty czuwasz nad krajem widocznie.
Czy siadłszy na ławie gdzie radni,
Czy wziąwszy przyłbicę i włócznię,
Odpierać najazdy wypadnie.
Czy z blizka, czy patrzysz z daleka,
Ty codzień zaskarbiasz dank świeży;
Twa cnota nagrody swéj czeka,
Nagrody, co mężom należy.
I u nas, o muzo! niech pierś się rozszerza,
Wynijdźmy na drogę spotykać rycerza
I pieśnią godową powitać.

Strophe III.

Niech dźwięczna kamena słuch jego zasili,
Pieśniami ogrzejmy te piersi ogniste.
Co widzę? czy moja źrenica się myli?
Nie zwodzi źrenica, postrzegam zaiste,

Jak zorza zachodzi wieczorna, różowa!
Lecz w gronie dziewiczém zkąd słyszę wzdychanie?
Dla czego się lękasz, dziewico godowa?
Bądź śmiałą od wrogów przy swoim bogdanie!
On ciebie osłoni ramieniem, jak tarczą,
Nie na dzień, nie na rok sądzony ci gwoli;

Antistrophe III.

Lecz póki godziny żywota wystarczą,
On wieczny i wierny towarzysz twéj doli,
Twojego rodzica ucieszą się oczy,
Gdy z czasem przytuli do piersi swych wnuka,
I dziatwa kochana kołem was otoczy,
Do serca waszego o miłość zapuka.
Jak winna latorośl, co bujnie, groniasto
Przy chacie rolniczéj wije się u strzechy,
Ty wydasz owoce, dostojna niewiasto!
Dopełnisz niepłonnéj małżonka pociechy.

Epodos III.

Ojczyźnie urosną z nich służby!
O! takie ci wróżę koleje!
Choć zda się uciekasz od wróżby
I lice twe wstydem kraśnieje.
Nie płoń się, bo temi myślami
Małżonek się pieści z rozkoszą.
O! ileż to głosów za wami!
O! może wam szczęście wyproszą!
Więc żyjcie szczęśliwie i dojdźcie do celu!
Cna paro, poczynaj swe życie w weselu,
I Bóg ci błogosław na długo!

Przy lirze śpiewał Krzysztof Klabonus, muzyk królewski.

Do Jędrzeja Patrycego.

Dum saepe me gementem
Et improbi nocentes.

Słysząc, jak często kwilę,
Widząc, że cierpię tyle
Od strzałek Kupidyna,
Łaskawa Afrodyte,
Za serce me przebite,
Pacholę upomina:
Przecz w tak drobniuchném ciele
Dzikiéj srogości wiele?
Dla czego złe ma serce?
Czemu nieczuły, płochy?
Czemu kochanków szlochy
I łzy ma w poniewierce?
Czemu nie wspomni szczerze,
Że z bogów ród swój bierze,
Że dziecko Jowiszowe?
A Jowisz tak łagodny!
Dla czegoż syn wyrodny
Srogości ma tak wiele
I nie chce wzorem bogów
Złagodzić swych nałogów?
Nie zważa figlarz mały,
Choć łają go surowie;
U niego ani w głowie
Przestrogi i morały.
Siadł i na twardym głazie
Grot ostrzy w swém żelazie,
I niby żartem celi,
I niby patrzy skromnie,

Lecz zerka oczkiem do mnie
I grozi, że przestrzeli.
Wenus się gniewem zżyma,
Że z chłopcem rady niéma;
Więc chwyta złe pacholę,
I łamiąc skrzydł oboje,
Daje go w ręce moje,
Bym pomścił się, jak wolę;
A sama, z dzieła rada,
W rydwan powietrzny siada,
Który łabędzie wleką;
Tych skrzydła rozciągnione
W Cypru lubego stronę
Uniosły ją daleko.
A jeniec został u mnie;
Ja tryumfuję dumnie,
Lecz nie wiem, co z nim pocznę:
On ranił moją duszę,
A więc się pomścić muszę
Za krzywdy tak widoczne;
A pomścić się surowo
Dałem szlacheckie słowo.
On kwili, klnie się, płacze,
Wszystko to nadaremnie:
Nie miękczą serca we mnie
Zaklęcia i rozpacze.
W około mojéj szyje
Pieszczotnie rączki wije,
I patrzy w oczy słodko,
Ustka krasne, jak wiśnie,
Do moich licźw ciśnie...
Ach! taką on pieszczotką

Nietylko gniewy ludzi,
Lecz gniewy burz ostudzi,
Wichry uciszy rącze;
Całunkiem i oczyma
Piorun lecący wstrzyma,
Jowisza w siatkę wplącze!
A ja, co głupio marzę,
Że więźnia mego skarzę,
Zawiodłem się; gdyż oto,
Całując, niewidomie
Wdmuchnął mi w serce płomię
I został mym despotą.

Francuzowi krakającemu. (Gallo crocitanti).

Et tamen hanc poteras mecum requiescere nocte...

A mógłbyś teraz w nocy spocząć wyśmienicie,
Na wątpliwe ciemności nie narażać życie.
Patrz i żałuj, że byłeś do ucieczki skory:
Czy to ziemia, gdzie grają Sycylskie Nieszpory?
To jest Polska uprzejma, wdzięczna dla przychodni...
. . . .
. . . . Uciekłeś zdradnie,
Jako trzoda od lasu, gdzie owad napadnie.
Po co było uciekać? niech mi każdy powie?
Skarżycie się na zimno—jak to! wy? Gallowie?
Wasz się naród na zimę polusową żali,
Których ojce gdzieś w mroźnéj północy mieszkali,
I którzyście niedawno roili zamiary
Iść z orężem na Moskwę, pognębiać Tatary,
Przebyć góry Rytejskie, i miotając groty,
Nad morzem lodowatém rozbić swe namioty!

Wszak nimbyś dostał Rusi podbojami swemi,
Nimbyś utkwił swój sztandar na scytyjskiéj ziemi,
Przebywałbyś jeziora i rzeki niespławne,
Góry z lodu i śniegu, pola nieuprawne.
Krom Moskwy i Tatarów, chłody cię ogarną,
Musiałbyś walczyć z zimnem pod gwiazdą polarną,
I z silnym Boreaszem.
Dzisiaj marzniesz doma,
Skostniałemi podniecasz ognisko rękoma,
A gdy wojna powoła—wiadoma twa droga,
Cóż uczynisz? ucieczesz, zostawiwszy wroga.
O prawdziwe kurczęta, prawdziwi Gallowie!
Dobrze was określiło Meotów przysłowie.
Słuszna dla was, że ciepłéj krainy szukacie,
Śpieszcie się do komina, co w ojczystéj chacie,
Śpieszcie tam, gdzie przy fletach i tympanach tańczą,
Śpieszcie oddać Cybeli ofiarę rzezańczą,
A kraj Polski nie dla was, bo tu żyją męże,
Których zima nie zmrozi, wicher nie dosięże.
Nie wam iść, o Francuzy, przywykłe do ciepła!
Tam, gdzie lodem wieczystym kraina zakrzepła.
Zamiast zwiedzać krainy zimnego narodu,
Zakamienieć jak Niobe, skostnieć bryłą lodu,
Jedź w uprzejmą gościnę w nasz kraj ukochany,
Zagrzać członki, co zmarzły, pomiędzy Słowiany.
Nie gorsz się, że tu w chatach piec ognisko nieci,
Maciora śpi z prosięty, kobieta wśród dzieci,
Że się ciołek hoduje w téj izbie, gdzie goście,
Lub że kokosz z pisklęty kwoka na pomoście;
Nie gniewaj się, że radę przezorną czynimy,
By uniknąć srogości natarczywéj zimy.

O co obwiniasz Polskę w gronie swych słuchaczy,
I sam, chytry Francuzie, działasz nieinaczéj;
Sam znasz swojego kraju błędy i zakałę,
Sam znasz te kruki czarne, a łabędzie białe;
Lecz potwarzasz Sarmatów, boś w pilnéj potrzebie
Znaleźć gdziekolwiek naród, podobien do siebie.
Lecz pierwéj wiele wiosen i stuleci minie,
Wiele wody tybrowéj do morza upłynie,
Nim będziem wam podobni przed obliczem świata,
Nim obyczajem Gallów zhańbi się Sarmata.
Długoby opowiadać, jako i w téj chwili
Francuzi dziwowiskiem ziemię uraczyli,—
Nasz wiersz musi pośpieszać, a dzieje téj tłuszczy
Niechaj późna potomność spamięta, wyłuszczy,
Ja śpieszę dognać Galla, co nas zwiódł boleśnie.
Podchmieleni, za stołem drzemaliśmy we śnie,
Drzemaliśmy bezpieczni; bo któżby się spodział,
Że, korzystając z mroku, co ziemię przyodział,
Cała czereda Gallów ujdzie tejże chwili,
Naszą czujność zawiedzie i straże omyli?
Sam znasz, jak u Sarmatów gościnność jest święta,
Wiesz, jak wasza czereda była tu przyjęta,
Sam słyszałeś oklaski szczere, nieudane,
Widziałeś w miastach uczty, wam gwoli dawane,
Nie wstydziłeś się patrzać, nie szydziłeś chytrze,
Jako wesół Sarmata tańcował przy cytrze,
Jak ci czynił poczciwość, jako w każdéj dobie
Duch prosty, nieobłudny okazywał tobie.
Tyś sam, gościu zdradziecki, szedł po naszych śladach,
Siadałeś jak przyjaciel na naszych biesiadach,
Dziś masz to za występek, wydwarzasz boleśnie,
Nietylko mnie samego, lecz i własne pieśnie.

Jeśli zasię zgrzeszyłem?—o! zgrzeszyłem wiele,
Ściskając obłudniki, jako przyjaciele.
Podziękujmy Niebiosom głosami wielkiemi,
Żeśmy zbłądzili doma, nie na Franków ziemi,
Gdzie się krew zwykła mieszać do Bachowych dzbanów,

. . . .

Gdzie biesiadnik, gdy zaśnie, już stracone chwile,
Gdzie zamiast go rozbudzać, myśl dlań o mogile.
Trupa oknem wyrzucą,—sądzę, że dla człeka
Skok nieco niebezpieczny, meta za daleka;
Nie wątpię, iż wolałbyś z Sarmaty zabawę
I zwyciężon od Bacha upadać pod ławę.
Zkądżeś przeznał ubóztwo na sarmackiéj niwie?
Temu się, dobry Gallu, dosyć nie wydziwię.
Tak małoś z nami mieszkał—i w tak krótkiéj dobie
Rozpoznać ziemię polską brakło-ć na sposobie:
Jakie tu płody gruntu? jakie mury grodów?
Jakie dary od morza? jaki byt narodów?
Gdybyś się lepiéj zaznał z naszym obyczajem,
Gdybyś się zastanowił nad zwiedzanym krajem,
Zasmakowałbyś, Gallu, do polskiego chleba,
Znalazłbyś tutaj wszystko, co duszy potrzeba.
Wszak Polska nie żądała od was zapomogi,
Zkądże wiesz, żeśmy biedni? że nasz kraj ubogi?
Francuz, widząc, że na tron Henryka wołamy,
W nadziejach niepomiernych nie zakładał tamy,
Mniemał, że idąc z królem, idzie do rozkoszy;
Choćby był lada ciurą, choćby syn kokoszy,
Już go trzeba wzbogacić i w szkarłatnéj szacie
Po prawicy królewskiéj posadzić w senacie;
Że wielkie bohatery, męże polskiéj strony
Wciąż przynosić im będą złoto i pokłony.

Zawiedli się, ujrzawszy, jak my rzeczy bierzem,
Że pachołek pachołkiem, a rycerz rycerzem;
Więc zową nas żebractwem, jak liszka na dworze,
Co schab zwała powrozem, gdy dostać nie może.
Otoż Polak, co k'tobie miał chęci najszczersze,
Złém ci za złe wypłaca—wierszami za wiersze.
Żwawoż uciekaj od nas, o niewdzięczna czerni!
„Niech mi się jasne słońce tyle nie zaczerni,
„Bym kiedy miał powracać do kraju polskiego!"
Tak mówiłeś;—zaiste, niech bogi cię strzegą,
I nas od takich gości niechaj strzegą losy!
Oto moja modlitwa!—we dwa niebogłosy
Jakoś Boga uprosim, że cię tu nie wniesie.
A jeśli wam tak bardzo królowania chce się,
Idźcie w niemieckie kraje ścigać się za władzą,
Tam może wam koronę i berło oddadzą.
Wy umkniecie i ztamtąd, i w płochym umyśle
Powtórzycie nad Renem, co było przy Wiśle.

IV. Pan (bożek leśny) Zamechski.
Do Stefana Batorego.

Pan ego sum, cui silva domus, cui fistula cordi...

Jestem *Pan*, las mym domem, lubię żwawe harce,
Biesiady z dziewicami, pieśni przy fujarce,
Tych zową Satyrami, lud leśnych nałogów,
Natury nieco twardéj i bodliwych rogów.
Tutaj, leśne bydlęta, poklęknąć się godzi!
Zacz nie znacie, co za gość w te knieje przychodzi?
To wielki król Sarmatów, folgując swe brzemię,
Życzliwym dla nas losem zawitał w te ziemie.
Witaj, królu zwycięzki! niechaj los korzyści,
Twe zamiary poszczęści, twe nadzieje ziści!

Pożądany przybywasz! Patrz, jaka szczęśliwa
Ziemia ze słonecznemi barwy poigrywa,
Weselą się niebiosa, ptactwo gra swe tony,
Szumią zielono-liście dęby i jesiony,
Stare lipy i buki, patrz, jak ci się milą,
To ramiona wyciągną, to czoła uchylą.
My, co równą miłością ku tobie pałamy,
Czyliż cienistym lasom ubieżeć się damy?
My dni, w których się cieszym obliczem książęcim,
Jak wielką uroczystość u siebie poświęcim.
Chodząc cienistym lasem, my, polowe bogi,
Zatrzymamy na sercach wizerunek drogi.
Oto nasz dar szczupluchny, przyjmij go życzliwo
Od Satyrów i Faunów, co w tych borach żywą;
Przyjmij oraz tę tajstrę, jak sprzęt leśnéj strony:
Tu jest łyżka myśliwska i puhar toczony;
Przyjmij jabłka, dla ciebie zerwane umyślnie,
I żółty owoc gruszy, i soczyste wiśnie.
To owoc nie z Hesperyd—wyznajemy szczerze,
Ale w ściech monarszych słodyczy nabierze.
Dar, na jaki nas stało na bezludnym lesie,
Każdy na stół królewski chętliwie przyniesie.
Inny zaś musim złożyć dar w starosty ręce,
Co tak pięknie wypełnia rozkazy książęce.
On w swoich ważnych pracach tak łagodnym bywa,
I grzeczność, cnotę dworską, w puszczy wykonywa.
Bóg ci zapłać stokrotnie, królu uwielbiony,
Żeś takiego starostę przeznaczył w te strony!
Przez niegośmy bezpieczni, nikt tu w jego oczy
Do lasu z pustoszliwą siekierą nie wkroczy;
My Satyry, nieguane z siedzib od nikogo,
W naszych ojczystych puszczach wiekujemy błogo.

Czyż innym naszym braciom w innych puszczach miléj,
Gdzie dla nich bezpieczeństwa nie służy przywiléj?
Tam karczują wysmały, tam łoskot rąbania
Ze starego domowstwa Satyry wygania;
Nieraz biedni bożkowie muszą po kolei
Tułać się, jak wygnańcy, od kniei do kniei.

Śpiewano w Zamchu d. 8 maja Roku Pańskiego 1578,
podczas bytności króla Stefana.

V. Orfeusz Sarmacki.

Quae spes, o cives, quae mens in pectore vestro est.

Rodacy! zkąd ten pokój w waszych sercach żywie?
Wierzcie mi, dziś nie pora zasypiać leniwie,
Dziś nie pora na tańce, na Bachowe gody,
Na praktyki tajemne, waśni i niezgody,
Na schadzki i narady, na popisy zbrojne; —
Skierujcie myśl poważną na cele przystojne.
Oto wróg, stojąc we drzwiach, znać o sobie dawa!
Nie z jednéj strony wojna, nie z jednéj obawa.
Jeden od wschodu słońca najezdnik ochoczy
Stawia nogę we strzemię i szablicę toczy;
Drugi wróg od północy, w widokach łupieży,
Brnie przez śnieżne sumioty i ku Polsce bieży.
Świadom waszéj gnusności, śmiało liczy na niéj,
Z nim przyjdą, choć sojuszem przymierza związani,
Co w uściech noszą pokój, a pod sercem gady,
Czyniąc na nas zazdrosne, mordercze układy.
A tyran Azyatów? przypomnijcie sami,
Puścił na morze Jońskie żaglów tysiącami,
Dawno już zajął Rodos, a i w tamtéj chwili
Wasi ojcowie o nim ze strachem mówili.

A dziś już w naddunajskim króluje narodzie,
I rozparł się mocarsko na lądzie i wodzie,
Dziś i nad rzeką Tyrem krainy przywłaszcza,
I na ziemię podolską czyha jego paszcza.
Tyle mieczów nad tobą, tyle zębów zgrzyta,
A ty, gnuśny Sarmato, śpisz jak Sybaryta!
Spaćże pora? o zbudź się! wszak dosyć się spało,
Omyj twoją źrenicę, we śnie zaropiałą!
Rozbudź się, weź twój koncerz i pójdź w imię boże!
Nie chodzi tu o trzodę, wziętą w twéj oborze,
Podbojami, najazdem gardzi wasze łono.
Lecz patrzaj, tu swobodzie twojéj zagrożono.
Może krzepkie masz grody? może czujną wartę?
Czy twierdze niedostępne? czy bramy zaparte?
Możeś rzeki kamienną ocembrował ścianą,
Jako niegdyś do krajów wrota zapierano?
Całe twe bezpieczeństwo—pałasze i włócznie,
Tuż nad tobą zła dola, ty drzemiesz widocznie.
Hańba-ć, hańba, Sarmato, pogrążon w pieszczotki!
Oto krwią i odwagą nabyli twe przodki
Szerokie panowanie, coś stracił, jak dziecko.
Powróć, powróć z wygnania cnotę staroświecką!
Dmuchnijmy z całych piersi po drobnéj iskierce,
Dziś nam zostać mężami, uolbrzymić serce,
Stłumić hardość i zbytki, zabić żądze chciwe,
I brat z bratem zespolić prawice życzliwe
W jednostajnéj nadziei, w jednostajnéj woli,
Że się wskrzesi swobodę, ojczyznę wyzwoli.
Trudno wam było męża hetmańskich przymiotów,
Dziś oto wódz, co wszędzie przewodniczyć gotów!
Oto król nasz, ze szczerbcem i koniem zaznany,
Godzien chodzić o lepszą z pierwszemi hetmany,

Nie w dziecięcéj kolebce, nie w równiance z kwiatów,
On powołan na zacną stolicę Sarmatów.
Nie tam, gdzie brzęk puharów, gdzie się piosnek słucha,
Lecz na bojach północnych usposobił ducha,
Kształcił się pod proporcem, jako Marsów uczeń.
Za nim! za nim, Sarmaci, do mieczów! do włóczeń!
Wspomnijmy na ojczystą dzielność znakomitą,
I uderzmy na wrogi, jako dawniéj bito.
Jako dawniéj uwieńczmy wawrzynem pałasze,
Bóg z nami, wódz przed nami i zwycięztwo nasze!

SPIS RZECZY W TOMIE IV.

UTWORY DRAMATYCZNE.

UTWORY LIRYCZNE.

TŁÓMACZENIA.

DATE DUE



DATE DUE

